IGNACY DOMEYKO

MOJE PODRÓŻE

PAMIĘTNIKI WYGNAŃCA

I

Przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami
ELŻBIETA HELENA NIECIOWA



WROCŁAW — WARSZAWA — KRAKÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH — WYDAWNICTWO
1962

REDAKTOR NAUKOWY
HENRYK WERESZYCKI

OBWOLUTĘ PROJEKTOWAŁ
RYSZARD GACHOWSKI

Redaktor Anna Lergetporer-Jakimow
Redaktor techniczny Marian Naorniakowski

Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo. Wrocław 1962. Wyd. I. Nakład 4800+200 egz. Objętość ark. wyd. 19,45, ark. druk. 16+6 wkl., ark. form. A1 21,77. Papier druk. sat. kl. V, 70 g, 70×100 (16), z fabryki we Włocławku. Oddano do składania 31 X 1961, podp. do druku 18 VII 1962, druk ukończono w lipcu 1962 r. Zakłady Kartograficzne — Wrocław, ulica Kościuszki 29. Zam. nr 1475. (B-9). Cena t. I—III zł 150.—

PRZEDMOWA

I wszystko wkoło wciąż mówiło o Niej,
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka...

(Adam Asnyk)

Żyjąc — być użytecznym dla drugich,
inaczej bowiem nie żyć.

(Ignacy Domeyko)

Pośród rzeszy tułaczy polskich, pośród synów Ojczyzny, co „szli wskróś świata", unosząc ducha polskiego, ducha wolności i sprawiedliwości po tragedii roku 1830/31, po nieszczęśliwej, a przecież pełnej chwały walce z carskim ciemięzcą, osobliwe i wyjątkowe miejsce, a zaszczytne dla siebie i Polski imię zdobył wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego, powstaniec litewski, mineralog i geolog, rektor uniwersytetu w Santiago — Ignacy Domeyko.

Jego droga pielgrzymia, po pruskiej kwarantannie, wędrówce po miastach niemieckich, gwarnej na ziemi francuskiej emigracji, odbiegła od dróg towarzyszy niedoli, wiodąc wygnańca polskiego, inżyniera paryskiej École des Mines, najserdeczniejszego przyjaciela i powiernika Adama Mickiewicza[1], za Ocean, na ziemię chilijską, prawie nie znaną ówczesnej Europie.

Decyzja wyjazdu do dalekiej amerykańskiej republiki nie była łatwa dla polskiego powstańca. Chociaż bowiem trzeźwo oceniał on sytuację polityczną, chociaż „ochłonąwszy — jak powiada — z rewolucyjnej zawieruchy" usunął się „z emigracyjnej ruchawości", całej politykomanii, a oddał się pracy naukowej, przecież karmił się nadzieją wojny o wolność, a w emigracji, w szerokim kręgu przyjaciół widział cząstkę Ojczyzny. „Nie bez namysłu" więc — mówiąc jego słowami — „i nie bez ja-

[1] Wzajemny stosunek A. Mickiewicza i I. Domeyki (do czasu opuszczenia przez Domeykę Europy) omówił J. Tretiak w dwuczłonowej rozprawie: *Mickiewicz i Domeyko do czasów drezdeńskich*, „Biblioteka Warszawska", t. III, 1906, s. 209—249; *Mickiewicz i Domeyko wśród emigracji*, „Biblioteka Warszawska", t. III, 1908, s. 24—48.

kiegoś poniekąd wstrętu" godził się na opuszczenie Francji, przyjmował propozycję profesora Dufrénoy, angażującego go do Chile. „Jakieś nieodgadnięte w sobie chcenie i niechcenie miałem — pisał do A. Mickiewicza — mnóstwo przeważyło się w myśli mojej rzeczy, które chyba ci wygadam kiedy, bo trudno wypisać. W końcu Bogu się poleciłem, a kto wie, może kiedy przez antypody powrócę do Polski"[2]. Myślą tą ożywiony, pewien, że gdy tylko dobra wieść go „doleci", w porę zdąży powrócić, nowy szlak tułactwa obierał.

W myśl umowy z rządem chilijskim nie na długo, tylko na sześć lat — „korzystając z czasu, nim co pomyślnego zabłyśnie dla Polski"[3] — wyruszał w roku 1838 młody polski uczony do Chile, a przyszło mu tam żyć i pracować lat czterdzieści sześć! Przybywał tylko na stanowisko profesora chemii i mineralogii w kolegium górniczym w Coquimbo, a odegrał w dziejach Rzeczypospolitej Chilijskiej niezwykle doniosłą rolę i przeszedł do historii tego kraju jako „jeden z największych promotorów kultury duchowej i materialnej Chile"[4]. Nie ograniczył się bowiem Domeyko jedynie do pracy pedagogicznej, którą gorliwie pełnił przez cały czas pobytu w Ameryce (najpierw w Coquimbo, później w uniwersytecie w Santiago), ale zorientowawszy się w potrzebach młodego państwa, dźwigającego się dopiero — po latach niewoli — ze stanu zacofania i prymitywu, rozwinął bardzo różnorodną działalność i położył ogromne zasługi przede wszystkim jako organizator szkolnictwa, najwybitniejszy badacz i odkrywca chilijskich bogactw naturalnych i twórca podstaw naukowych do ich eksploatacji.

Przebujna działalność naukowa i obywatelska Domeyki (przyglądniemy się jej bliżej w pamiętnikach), znajdująca odbicie w doniosłych publikacjach z dziedziny mineralogii, geologii, paleontologii, fizyki, chemii, metalurgii, geografii, meteorologii, botaniki, pedagogiki i w innych pracach literackich czy specjalnych, dotyczących ekonomii politycznej, reformy monetarnej, kolonizacji itp., jako też podręczniki z kilkutomową *Mineralogią* (i ośmioma doń dodatkami), dziełem obejmującym ponad czterdziestoletni plon badań „całego — jak mówi Domeyko — państwa minerałów, począwszy od diamentu aż do ziem najpospolitszych, od złota aż do torfu", przy tym ofiarna, rozległa pracą na niwie społecznej związały na obcej ziemi imię naszego rodaka z pojęciem

---

[2] List I. Domeyki do A. Mickiewicza z Bonne-Fontaine z 22 paźdz. 1837, *Dzieła A. Mickiewicza*, wyd. zupełne, Koresp. t. III, Paryż 1880, s. 232—233.

[3] Słowa gen. Kniaziewicza, przytoczone przez Domeykę w pamiętnikach (t. I), a nie słowa Niemcewicza, jak podaje J. Tretiak, „Bibl. Warsz.", t. III, 1908, s. 47.

[4] Zob. *Discurso pronunciado por el prof. Guillermo Cruz a nombre de la Universidad de Chile en el Acto de conmemoción del 150 aniversario de don Ign. Domeyko*, maszynopis Muzeum Ziemi, nr 38, s. 11.

wielkości, pracowitości i ofiarności, przyniosły mu nie tylko sławę „znakomitego uczonego", „prawdziwego mędrca", „ojca górnictwa chilijskiego", lecz także powszechny podziw i szacunek, ogromną popularność[5], miłość i wdzięczność zamorskiego społeczeństwa[6], a ze strony rządu chilijskiego najwyższe godności: rektora uniwersytetu, naczelnego probierza rzeczypospolitej, najwyższego sędziego w sprawach górniczych, przedstawiciela, a zarazem organizatora działu chilijskiego na Wystawie Powszechnej w Paryżu (1866)[7], członka komisji kolonizacyjnej i inne, a przy tym najwyższe odznaczenia. Świadczy o tym nadanie obywatelstwa chilijskiego (1848), złoty medal wybity na jego cześć (1885), hojna renta dożywotnia, z której mógł korzystać „tak w kraju, jak też i poza granicą jego"[8], nazwanie jego imieniem chilijskich miasteczek, ulic, pasma Kordylierów i szczytu (na płn. wsch. od Copiapo). Tutaj też należy zaliczyć zaszczytną pierwszą monografię Domeyki pióra ministra oświaty Miguela Amunategui, ogłoszoną w Santiago w 1867 roku, w trzydziestolecie zaandyjskiej działalności naszego uczonego.

Wieść o sławnym profesorze nauk przyrodniczych, jego wspaniałych odkryciach nie znanych dotąd minerałów, skamielin, roślin, meteorytów i bezcennych analizach „dziwnie ciekawych kruszców" chilijskich szybko obiegła europejski świat uczonych; przynieśli ją nie tylko chilijscy uczniowie, których słynny rektor wysyłał do Europy dla pogłębienia studiów, ale przede wszystkim liczne rozprawy naukowe, jakie dawny słuchacz paryskich uczelni zamieszczał w czasopismach francuskich i niemieckich, np. w „Annales des Mines", „Comptes Rendus des Séances de l'Académie des Sciences", „Bulletin de la Société Géologique", „Zeitschrift für Erdkunde", „Neues Jahrbuch für Mineralogie, Geologie und Paläontologie". Prace te, opisujące wyniki rozległych badań geologicznych i mineralogicznych, a przy tym inne naukowe spostrzeżenia i obserwacje, dotyczące wulkanizmu, trzęsienia ziemi, podnoszenia się brzegów oceanu, klimatologii itp., z tak ciekawego, a nie znanego bliżej kraju, znalazły ogromne uznanie wśród współczesnych powag naukowych, jak Élie de Beaumont, Dufrénoy, Sainte-Claire Deville, Alcides d'Orbigny, Aleksander Humboldt, Wilhelm Haidinger i inni, którzy na łamach wydawnictw naukowych, zamieszczając streszczenia, wzmianki czy omówienia prac Domeyki, podkreślali wielką wagę i obfitość nauko-

[5] Zob. J. Siemiradzki, *Na kresach cywilizacji*, Lwów 1896; R. Zuber, *Sześć tygodni w Kordylierach*, „Kosmos", Lwów 1890, s. 209.

[6] List Leona Domeyki do A. E. Odyńca, „Kłosy", t. XXXVII, Warszawa 1883, nr 947.

[7] Dział chilijski górował nad wszystkimi innymi bogactwem eksponatów kruszcowych i kopalnych oraz doskonałą klasyfikacją. Odznaczony został złotym medalem. Zob. J. I. Kraszewski w: „Rachunki", R. II, 1868, cz. 2, s. 562.

[8] Zob. przypis 6.

wych osiągnięć polskiego badacza za Oceanem oraz jego zasługi dla nauki światowej w różnych jej gałęziach[9]. Literatura naukowa wprowadziła imię Domeyki do nazw przyrodniczych: w paleontologii mamy *Ammonites Domeycanus, Nautilus Domeycanus*, w mineralogii — *Domeykit*, w botanice — *Viola Domeycana*. Liczne akademie i towarzystwa naukowe całego świata zaliczyły znakomitego uczonego w poczet swych członków.

Kiedy Ignacy Domeyko zdobywał wawrzyny sławy światowej, a na gruncie chilijskim mówić przychodziło już nie o uznaniu, ale wprost o kulcie dla „apostoła nauki", dla męża stanu, w jego ojczyźnie, pogrążonej w mrokach niewoli, długo o nim głucho. O życiu i działalności wileńskiego wychowanka wiedziano zaledwie w szczupłym gronie naukowców i w kręgu rodziny pozostałej na Litwie. Ciszę tę przerwał „Czas", ogłaszając w roku 1857 (znalezioną w papierach po A. Mickiewiczu) *Czteromiesięczną podróż z Paryża do Chile* oraz wyjątki z listów Domeyki do Mickiewicza; później, w roku 1860, ukazało się w tłumaczeniu Leonarda Rettla (występującego pod pseudonimem Jana Zamostowskiego) słynne na obu półkulach dzieło Domeyki *Araukania i jej mieszkańcy* (*Araucania y sus habitantes*, Santiago 1845) z krótkim życiorysem jego autora, podanym przez Michała Balińskiego, i znowu nastało milczenie.

Domeyko tymczasem, przebywając na obczyźnie, sercem całym tkwił w rodzinnym kraju, do niego tęsknił, nad jego nieszczęściami bolał i pragnął ciągle, szablą czy umysłem, służyć „biednej Polsce". Przebywając w Paryżu pilnie uczęszczał na kursy wojskowe, „na musztrę", w nadziei, że przy poparciu innych narodów „lada dzień może się otworzyć kampania"; świadomy tragedii „cząstkowych powstań", podpisał (wraz z Mickiewiczem, J. i B. Zaleskimi i Karolem Różyckim) odezwę do rodaków ostrzegającą przed odosobnionymi poczynaniami zbrojnymi[10]; sprawy Polski wiodły go na emigranckie zebrania, choć czuł się na nich „jakby na piekielnej uczcie" (jakie reprezentował poglądy, o tym będzie mowa poniżej). W okresie też paryskim, w czasie studiów geologicznych opracował Domeyko mapy fizyczne Polski (hy-

---

[9] Między innymi w dziedzinie paleontologii — Élie de Beaumont, Henri Coquand, A. Bayle („Bulletin de la Société Géologique de France", Paris 1847, S 2, t. IV; „Mémoires de la Société Géologique de France", Paris 1851, S 2, t. IV); w mineralogii — Dufrénoy („Annales des Mines"); w botanice — Claudio Gay („Acad. d. Sc. de Paris", 1865); w geografii — Alfred Moury („Bulletin de la Société de Géographie", S 4, t. XII); w dziedzinie przemysłu światowego — ekonomista francuski Michel Chevalier („Revue des deux Mondes", 1846).

[10] Odezwa z dnia 29 listopada 1833 r. Autograf w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Jagiellońskiej, sygn. 9162 III.

drograficzną, geologiczną i „głównych typów zewnętrznej przyrody") i napisał do nich rozprawę pt. *Essai sur l'hydrographie, la géologie et les productions naturelles de la Pologne pour servir de base à la géographie physique de ce pays*, która stanowi pierwszą syntezę fizjograficzną Polski[11].

W dalekim Chile, od pierwszych chwil swojego tam pobytu, pilnie śledził „nowiny z Europy", międzynarodową sytuację polityczną, z którą wiązał losy Polski, i z utęsknieniem czekał na wydarzenia, które wezwałyby go do służby Polsce. W obfitej korespondencji, jaką utrzymywał z A. Mickiewiczem, Józefem i Bohdanem Zaleskimi, W. Chełchowskim, W. Laskowiczem, A. E. Odyńcem i innymi, w tych szczerych, serdecznych listach, w których druh Żegota zwierzał się ze wszystkich stanów swej duszy, wszystkich pragnień, nadziei i poczynań, znajdujemy wymowne świadectwo niezmiennie gorących zainteresowań dla spraw ojczystych, dla cierpiącej Polski, do której nie widział „jeszcze przystępu". Domagał się więc od przyjaciół obszernych wiadomości o kraju, o Polonii, szczegółów o sprawie polskiej, „o rzeczach, które — pisał — im się zdają małej wagi, a dla mnie droższe od wszystkich srebrnych i złotych gór tutejszych"[12]. Mickiewiczowi wręcz przykazywał: „Ty, Adamie, jak obaczysz, że potrzeba, abym do was wracał, napisz do mnie te tylko słowa »wracaj natychmiast« bez żadnych dodatków, przyczyn ni warunków. Ja będę wolny i skory do usłuchania was"[13]. Prosił o książki i pisma polskie: „Dostań dla mnie jakimkolwiek bądź sposobem »Tygodnik Poznański« i inne jakie dzienniki z kraju, jeśli skąd zarwiesz"[14] — pisał do drogiego Adama. „Ratujcie mnie książkami i broszurami, jak możecie"[15] — wołał zza Oceanu. Jednocześnie prace swoje, pierwsze zaraz w języku polskim na ziemi chilijskiej

[11] Wyjeżdżając do Ameryki druk map i dzieła powierzył Domeyko Adamowi Mickiewiczowi, do wydania ich jednak Mickiewicz nie doprowadził (zob. listy Mickiewicza i Domeyki z roku 1839 i 1840). Egzemplarz trzech map własnoręcznie pokolorowanych ofiarował Domeyko Akademii Umiejętności w Krakowie w roku 1888 wraz z pracą: *O metodzie, jaką by zaprowadzić należało do uczenia się i uczenia geografii fizycznej ziem polskich* (drukowana w XVIII tomie „Rozpraw i Sprawozd. Wydz. Mat.-Przyr. AU" i w odbitce). Rozprawa Domeyki w języku francuskim, mimo przypomnienia W. Kuźniara (w „Rocznikach Polskiego Towarzystwa Geologicznego", 1929, t. VI), dotąd jest tylko rękopisem w zbiorach Bibl. PAN w Krakowie, sygn. 1036.

[12] List I. Domeyki do Stefana Witwickiego z Coquimbo 30 września 1841, rkps BJ, sygn. 9239 III.

[13] List I. Domeyki do A. Mickiewicza z Coquimbo 8 czerwca 1843, *Dzieła Adama Mickiewicza*, wyd. zupełne, Koresp. t. IV, Paryż 1885, s. 291.

[14] List z Coquimbo 18 września 1841, jw., s. 253.

[15] List z Coquimbo 27 stycznia 1840, jw., s. 183.

pisane, przesyłał to na ręce Mickiewicza (*Czteromiesięczną podróż z Paryża do Chile*), to pod adresem Stefana Witwickiego (tłumaczenia swoje z hiszpańskich dzieł św. Teresy: *Rozpamiętywanie i modlitwy duszy do swojego Boga*, *Siedem medytacji nad „Ojcze nasz"*, *Zamek wewnętrzny*) z wyraźnym życzeniem i nadzieją, że wydrukują je w Polsce, w Poznańskiem, bo przecież — nadmieniał — „w rękopiśmie nic nie masz, co by obrazić mogło Prusaków"[16].

Tęsknota za krajem, uporczywa myśl powrotu drążyła umysł i serce rodaka, ale ciągle nowe przeszkody, to chęć odbudowy spalonego laboratorium, to „rozstrojenie coraz większe emigracji"[17], to „klęski krakowskie, galicyjskie rzezie, poznańskie sądy, rozterki nasze tułacze"[18], to znów pilne badania naukowe paraliżowały wielokrotny plan wyjazdu, w wir nowych zajęć wciągając uczonego. Domeyko bolał, że „daleko od swoich", że nie może „być w niczym użytecznym naszej biednej Polsce"[19], że zaniosło się na „długą słotę polityczną"[20], ale mimo wszystkie przeciwności nie tracił nadziei, że „rozwidni się nieco horyzont"[21], i z zamiarów swych nie rezygnował. „Byleby podobieństwo do powrotu i do służenia choć na starość swojemu krajowi, to nie usiedzę, nie usiedzę, choć jestem tu od lat niemała obywatelem, właścicielem i ojcem" — donosił Mickiewiczowi[22], a w kilkanaście lat później zapewniał W. Chełchowskiego: „Mnie żadne bogactwa tego nowego świata, o które nigdy nie dbałem, ani piękne niebo i góry, ani życzliwość dobrych ludzi tutejszych, zasługi, spokojność, dobrobyt, co mówię, grób żony nie zatrzymają, jeżeli będę mógł z dziećmi wyrwać się stąd za Ocean i być bliżej Was, z Wami, i choć na jeden dzień przed śmiercią popatrzeć na ziemię naszą, do której ciągnie mnie taż sama miłość, co i ciebie wyhodowała. Już to jest ostatnie, jedyne pragnienie, które jeszcze zostało mi na dnie spracowanej tylu niepowodzeniami duszy"[23].

Od lat siedemdziesiątych XIX w. kontakt Domeyki z krajem rodzinnym bardzo się ożywia. Poza bogatą korespondencją z dawnym kolegą

---

[16] Tamże. Żadna jednak z tych prac nie ukazała się wówczas drukiem, a przekłady do dzisiaj spoczywają w rękopisach (rkps BJ, sygn. 9239 III).

[17] List I. Domeyki do A. Mickiewicza [Coquimbo] 1844, *Dzieła A. Mickiewicza*, jw., s. 310.

[18] List I. Domeyki do A. Mickiewicza z Santiago 25 kwietnia 1848, jw., s. 326—327.

[19] Tamże.

[20] List I. Domeyki do J. i B. Zaleskich z Santiago 29 listopada 1848, rkps BJ, sygn. 9196 III.

[21] List I. Domeyki do tychże z Santiago 28 czerwca 1849, jw.

[22] List z Santiago 12 stycznia 1854, *Dzieła A. Mickiewicza*, jw., s. 350.

[23] List I. Domeyki do W. Chełchowskiego z Santiago 28 kwietnia 1872, „Przegląd Polski", t. II, 1888, s. 387.

wileńskim osiadłym w Warszawie — A. E. Odyńcem, rodziną na Litwie Domeyko zaczyna zasilać polskie czasopisma swoimi pracami pisanymi po polsku, bądź to naukowymi, bądź wspomnieniami z podróży. Pierwszą nadesłaną do Polski pracą naukową napisaną w języku polskim był artykuł pt. *Chile*, zamieszczony w „Wędrowcu", później przedrukowany w „Kronice Rodzinnej"[24], inne prace o charakterze naukowopopularnym z dziedziny przyrodniczej, jak np. *Pogadanka o trzęsieniach ziemi*[25], *Darwin i Agassiz*[26], jak również wyjątki ze swych pamiętników nadsyłał Domeyko do „Kroniki Rodzinnej", która oficjalnie zaprosiła go na swego współpracownika, a Odyniec wyraźnie do tego nakłaniał, jak można wnosić z listu Domeyki, w którym czytamy: „Edwardzie [...] budzisz mię [...] wyzywasz do pisania nie kastylijskim narzeczem, do którego się od czterdziestu lat wdrożyłem, ale po naszemu, po prostu domową pogadanką, jak gdyby przed pięćdziesięciu laty w Zapolu, kiedy się nam ani śniło, co z nami będzie"[27], a w innym liście — zachęcany widać gorąco przez Odyńca — powiada doń: „Nie uwierzysz, jak mi trudno wybrać godzinę spokojną, wolną i pogodną do pisania po polsku [...] Niemałe to dla mnie szczęście będzie, jeżeli potrafię co jeszcze napisać dla młodego pokolenia w kraju. Ostrzegam jednak Ciebie, Kochany Edwardzie, że jeśli się uda co wypracować i przesłać do Warszawy, to bez żadnej nagrody i zapłaty. Stosy książek tu popisałem po hiszpańsku i po francusku, a za żadną i szeląga nie wziąłem"[28].

Jako członek rzeczywisty Akademii Umiejętności w Krakowie, wybrany na posiedzeniu w dniu 7 lipca 1873 roku[29], przesyła Domeyko Akademii niezmiernie cenny zbiór rud i minerałów z terenów Ameryki Południowej[30], pewną ilość prac naukowych w języku hiszpańskim oraz map krajów i portów chilijskich[31], a także swą rozprawę naukową w j. polskim napisaną pt. *Rzut oka na Kordyliery Chilijskie i zawarte*

[24] „Wędrowiec", 1871, nr 58; „Kronika Rodzinna", 1882.

[25] „Kronika Rodzinna", 1879, nr 2, 3.

[26] Tamże, 1882, nr 11.

[27] List I. Domeyki do A. E. Odyńca, bez daty, rkps Bibl. PAN w Krakowie, sygn. 1356.

[28] List I. Domeyki do Odyńca z 20 stycznia 1873, drukowany w art. W. Korotyńskiego, „Kłosy", t. XXV, Warszawa 1877, nr 650, s. 371.

[29] Mylna data (1875) przyjęcia Domeyki na członka Akademii Umiejętności wkradła się do jego życiorysu w *Polskim słowniku biograficznym*, t. V, s. 316, także do pracy J. Bero, *Ignacy Domeyko — wielki geolog polski*, „Horyzonty Techniki", R. VII, 1953, nr 1, s. 7.

[30] Zob. T. Wiśniowski, *Zbiory mineralogiczno-geologiczne Komisji Fizjograficznej przy Akademii Umiejętności w Krakowie*, Warszawa 1890, s. 43—44.

[31] Szczegółowy ich wykaz zob. „Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1878", [wyd.] 1879, s. 133—134.

w ich łonie pokłady metaliczne, którą w 1878 r. ogłosiła Akademia w swych „Rozprawach"[32], podobnie jak w kilka lat później wyjątki z listu Domeyki do prezesa Akademii, prof. dra Majera, w którym omawia nasz uczony analityczne badania świeżo odkrytych przez siebie minerałów[33].

W omawianym okresie ukazują się w polskich wydawnictwach także inne prace Domeyki, często pisane w formie listów, np. do Bronisława Zaleskiego *Filareci i filomaci*[34] — rzecz do dzisiaj stanowiąca cenną pozycję pamiętnikarską do dziejów związku filomackiego, do Bohdana Zaleskiego *O młodości Mickiewicza*[35] — list, który według własnych w nim słów Domeyki może posłużyć „za materiał do objaśnienia niektórych zdarzeń tyczących się historii młodych lat Adama, a nie będzie jego historią", do Józefa Żulińskiego, adiunkta Akademii Górniczej w Paryżu — list w sprawie założenia w Polsce Muzeum Narodowego, w którym poddając konkretny jego projekt, podkreśla Domeyko, że powinno ono być „obrazem kraju, streszczeniem jego naturalnych bogactw, szkołą dla młodzieży naszej uczącej się i narodową chwałą" i powinno stanąć w Krakowie[36].

Dopiero dzięki tym różnym publikacjom oraz ogłaszanym przez W. Korotyńskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej", obszernym artykułom poświęconym osobie i działalności Ignacego Domeyki[37] społeczeństwo polskie dowiedziało się o sławnym rodaku, przebywającym za Oceanem, i zapoznało się, przynajmniej częściowo, z jego pracami pisanymi po polsku. Na szerszą skalę i w stopniu wzmożonym rozpowszechnił u nas znajomość postaci i zasługi Domeyki powrót sędziwego uczonego do kraju w roku 1884. Nazwiskiem jego rozbrzmiewały wówczas wszystkie niemal pisma polskie, w licznych artykułach, szkicach omawiano życie i czyny dzielnego „siewcy światła i cnoty", mickiewiczowskiego druha, podnoszono zasługi niestrudzonego badacza, wieloletniego reprezentanta myśli polskiej na obczyźnie, kreślono wspomnienia, cha-

---

[32] „Rozprawy i Sprawozdania Wydz. Mat.-Przyr. AU", t. V, Kraków 1878, s. 160—272.

[33] Jw., za rok 1883, t. XI, [wyd.] 1884, s. LVII—LXI.

[34] Druk. w: „Rocznik Tow. Hist.-Liter. w Paryżu za lata 1870—1872", Poznań 1872, s. 1—28 i osobno. Przedruk w pracy H. Mościckiego *Z filareckiego świata*, Warszawa 1924. Autograf w zbiorach rkps Czartoryskich w Krakowie, sygn. Ew. 1761.

[35] Druk. w „Przeglądzie Lwowskim", 1872, później w *Księdze pamiątkowej ku uczczeniu rocznicy urodzin A. Mickiewicza*, t. I, Warszawa 1898.

[36] J. Żuliński, *Polskie Mineralogiczno-Geologiczne Muzeum w Krakowie*, Lwów 1872, list Domeyki, s. 16—23.

[37] W. Korotyński, *Ignacy Domeyko*, „Tygodnik Ilustrowany", t. VIII, Warszawa 1871, nr 186, „Kłosy", t. XXV, Warszawa 1877, nr 644—646, 648—650.

rakterystyki, co łącznie z bezpośrednimi spotkaniami — w Krakowie, Warszawie, na Litwie, we Lwowie — szerszego ogółu z wiecznie młodym chilijskim rektorem, rozkochanym we wszystkim, co polskie, co swojskie, zdobywało dlań serca ziomków i czyniło jego osobę bardzo bliską i drogą.

Czytelnicy „Kroniki Rodzinnej" rozczytywali się przy tym nadal w ciekawych artykułach Domeyki, jak *O początku świata*[38], *Ze wspomnień podróży na Wschód*[39], które nadchodziły już nie z dalekiego świata, ale z rodzimej Zyburtowszczyzny, gdzie zamieszkał przy córce i zięciu i — mimo częste podróże po kraju i za granicę — nie przestawał pracować piórem, już tylko w ojczystym języku. Stąd zasilił naszą literaturę przyrodniczą mineralogiczno-geologiczną pracą *O solfatarach bocznych* (w szczególności o solfatarze Cerro Azul, Chillan i Tinguirica)[40]; tu w ciszy wiejskiej skreślił dwie rozprawki treści religijno-filozoficznej, z których jedną, pt. *Dwie godziny przy grobie brata w maju 1886 r. (Co będzie z duszą?)*, zawierającą na wstępie garść wspomnień z lat dziecięcych, wydano w kilkanaście lat po śmierci autora[41], druga, z roku 1888, pt. *Dusza — duch — materia — eter*, dotąd pozostaje w rękopisie[42]. Tutaj wreszcie kontynuował Domeyko i uzupełniał swoje różnoczasowe pamiętniki, które nazwał w podtytule „pamiętnikami wygnańca", a zatytułował *Moje podróże*.

Dzieło to, imponujące bogactwem treści, zasięgiem terytorialnym i rozpiętością lat, stanowi — łącznie ze wspomnieniami: *O młodości Mickiewicza, Filareci i filomaci* — cenny przyczynek naszego uczonego do polskiej literatury pamiętnikarskiej XIX w. Znane dotąd tylko z bardzo ułamkowych publikacji (o czym dokładnie będzie mowa poniżej), w pełnym, krytycznym wydaniu, opartym ściśle na autografie, ukazuje się po raz pierwszy dopiero w niniejszym wydawnictwie.

Moje podróże obejmują ponad półwiekowy okres życia Ignacego Domeyki od roku 1830/31 do 1888, od wyjścia z żapolskiego domu na zew ojczyzny 29-letniego filarety-gospodarza, uwiecznionego w *Dziadach* „najlepszego w Litwie ekonoma", aż do ostatniego roku przed zgonem sławnego rektora santiagowskiej uczelni.

Skromny ich tytuł o tyle nas nie dziwi, że ten czasu szmat, jaki zamykają, to jakby jedno pasmo nie kończących się podróży ich autora, czy to tułaczych, czy naukowych, czy innych, i właśnie na szlakach

[38] „Kronika Rodzinna", 1885, nr 14—16.

[39] Tamże, 1886, nr 14, 15.

[40] Druk. „Wszechświat", Warszawa 1888, nr 25, 26.

[41] Wydał z rękopisu i wstępem opatrzył J. Tretiak, „Przegląd Powszechny", t. XCVIII, Kraków 1908, s. 45—64.

[42] Rkps Bibl. PAN Kraków, sygn. 1316.

przemierzanych przestrzeni, na drogach od Litwy do Chile, od Zyburtowszczyzny do Jerozolimy, urastał wieloczłonowy, wielobarwny wachlarz treści, który w księgę wspomnień wcielał: powstaniec litewski, emigrant paryski, uczony wszechnauk przyrodniczych, chilijski pedagog, zamorski badacz i odkrywca, społecznik i filantrop, „miłośnik prostej, niepozłacanej prawdy"[43], gorący patriota, żarliwy katolik, „republikanin nie z teorii, ale w praktycznym życiu"[44], wreszcie — wnikliwy obserwator życia, skrzętny pamiętnikarz.

Nietrudno się domyślić, że ten autor na kartach swego pięciotomikowego dzieła nagromadził ogromny materiał do historii, kultury, nauki i obyczajowości XIX stulecia, ze środowisk, wśród których przyszło mu żyć i pracować lub tylko zetknąć się w długiej, „na mile i lata" rozciągającej się jego wędrówce, że przekazał wiele cennych wiadomości, ważnych spostrzeżeń, mających w wielkim gmachu wiedzy ludzkiej trwałą wartość informacyjną, wartość źródła.

Dla historyka polskiego szczególne znaczenie posiada tom pierwszy pamiętników, który przynosi bogaty materiał do dziejów powstania 1830/31 na Litwie, z tragicznym przejściem do Prus, zawiera wiele ciekawych, skądinąd nieznanych szczegółów, jako też wiele uwag i komentarzy do poszczególnych sytuacji. Tom ten odtwarza także tułaczkę żołnierza polskiego poprzez miasta niemieckie na ziemię francuską i paryskie życie emigracji polskiej w pierwszych latach jej istnienia.

Domeyko — uczestnik zebrań emigranckich, świadek namiętnych sporów, polemik, „dyskusji i poróżnień stronnictw emigracyjnych" — śmiało i z rozmachem maluje stan umysłów i nastrojów wychodźstwa polskiego. Pisząc — jak mówi — „dla odszkicowania czasu", w którym żył, daje obszerny wykład o czasach i ludziach współczesnych; na kanwie wydarzeń dziejowych, spraw ogólnych, mniejszej i większej wagi, kreśli sylwetki szeregu polskich działaczy emigracyjnych, różnych znanych sobie osobistości — wodzów, dyplomatów i polityków, a że nie szczędzi ostrych uwag i krytycznej oceny poszczególnych ludzi i wypadków, poznajemy w nim łatwo konserwatystę, którego przerażały wystąpienia „żywiołów" radykalnych i rewolucyjnych, któremu „krew ścinała się" i „zimny pot występował na lica", gdy wymyślano — jak mówi — „na historyczne nasze świętości", gdy oskarżano sejm i generałów, gdy wyrzekano na „tych, co nazywano arystokratami". Domeyko — jak widać — nie potrafił oderwać się od pojęć i poglądów szlacheckiego środowiska, z którego wyszedł, i to odbija się wyraźnie na jego stosunku

[43] Jak o sobie powiada w liście do ks. Jana Siemieńskiego z Santiago 29 października 1880, zob. *Dzieła A. Mickiewicza*, jw., s. 1.

[44] I. Domeyko, *Filareci i filomaci*, Poznań 1872, s. 1.

do pewnych osób i prądów społecznych, z którymi zetknął się w emigracji. Stąd jego głęboko zakorzeniony pietyzm dla „wielkich rodów" i stąd kult dla księcia Adama Czartoryskiego. Stąd też wielkie niezrozumienie, a co za tym idzie, nieprzychylne ustosunkowanie się do działaczy demokratycznych, do ich programów i koncepcji społeczno-politycznych, stąd wreszcie sarkastyczne często sądy, jakie wydaje o najwybitniejszych w rzeczywistości ludziach Wielkiej Emigracji, o członkach czy też czołowych kierownikach Towarzystwa Demokratycznego. Wielu z nich to dla Domeyki — jak czytamy w pamiętnikach — „dziwne figury", które „wichrzyć" poczęły „i szerzyć niezgodę", to obok „bardzo dobrych Polaków" — „szereg ludzi nowotnym zarażonych duchem", którzy „zapuszczają się w niepewną, reformacyjną przyszłość". Dlatego też nie widzi np. w Krępowieckim wielkiego szermierza wolności, ale dostrzega w nim tylko „mieszczanina", to znów „zuchwałego przechrztę". Nawet Słowackiemu nie daruje walki z klerykalizmem, gromiąc go jako demagoga i niedowiarka.

Obraz więc emigracji, dany w pamiętniku, to bynajmniej nie obiektywna relacja, ale subiektywnie zabarwione świadectwo, mające znaczenie czysto historyczne jako dokument ówczesnych zapatrywań kresowego szlachcica.

Dopełniają kart omawianego tomiku notatki dotyczące dziejów Francji, jej życia politycznego za Ludwika Filipa, a nie brak też galerii paryskich uczonych, których żądny „połykania nauki" wychowanek wileński słuchał w Sorbonie, Collège de France, Ogrodzie Botanicznym, Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł. Sam wreszcie Paryż, jego osobliwości i codzienne zdarzenia, parady królewskie i kościelne obrzędy, obrady parlamentu i bale republikańskie, widowiska teatralne i tętniące życie ulicy, podpatrzone i odmalowane z całą jaskrawością, stanowią ciekawy materiał, wzbogacający wielu znamiennymi rysami obraz lat trzydziestych minionego stulecia.

Tomy następne pamiętnika: drugi, trzeci i czwarty — przenoszą nas na drugą półkulę świata, do Chile. Tematycznie, oczywiście, nie wiążą się one ani z dziejami Polski, ani losem emigrantów, ale są świadectwem do historii nauki, na której kartach polski uczony zapisał swe imię, imię Polaka, niezatartymi głoskami, i stanowią niewyczerpane źródło wiadomości o terenie, ludziach i zwyczajach „o całą średnicę ziemi" odległego od nas kraju.

Do kraju tego wiedzie nas — w części pierwszej tomu drugiego — niezwykle interesująco i bardzo szczegółowo, w formie dzienniczka opisana *Czteromiesięczna podróż z Paryża do Chile w roku 1838*. Jak na taśmie filmowej przesuwają się przed oczyma czytelnika obrazy licznych miast, Londynu, Madery, Rio de Janeiro, Montevideo, Buenos

Aires i różnych podzwrotnikowych okolic, które z zaciekawieniem zwiedzał nasz autor, skwapliwie wyzyskując każdy postój okrętu. Obfitości obrazów towarzyszy przebogaty komentarz dotyczący położenia geograficznego, budowy geologicznej, przyrody, klimatu, wnikliwych obserwacji o charakterze etnograficznym, jak również stosunków społeczno-gospodarczych; zawiera nawet dane statystyczne, zaczerpnięte z raportów celnych w Rio de Janeiro, głównym porcie handlowym z krajami Europy. Z tego miasta daje też podróżnik kilka ponurych obrazków ciężko pracujących Murzynów, a nawet handlu nimi. Niegodziwy sposób traktowania porwanych i przywożonych z Afryki ludzi z oburzeniem nazywa Domeyko „hańbą dzisiejszego wieku".

W Buenos Aires zakończył Domeyko podróż morską, dalsza — lądowa, nader uciążliwa, najeżona niebezpieczeństwami, wnosi wiele nowych, ciekawych spostrzeżeń i obrazów do dziennika. Prowadzi ona przez Pampę, stepy argentyńskie, grzbiety Kordylierów i przełęcze andyjskie, wśród których niemal widzimy, jak „na mule, konno, w płaszczu emigranckim [...] nie znany nikomu" zbliża się nasz tułacz „powoli, stępo lub powolnym truchtem" do miejsca przeznaczenia — do Coquimbo.

Dalsze części tomu drugiego (cz. 2—3) ukazują nam Rzeczpospolitą Chilijską, tę krainę pod „wiecznie ciepłym i pogodnym niebem" i całe jej społeczeństwo „w pierwszym zarodzie niepodległości", w okresie — przypadającym właśnie na przyjazd Domeyki — wielkiego jeszcze prymitywu i zacofania pozostałych po trzechwiekowych rządach hiszpańskich.

Na oczach naszego rodaka ten stan społeczeństwa począł szybko ulegać korzystnym zmianom; „za dwadzieścia lat młodzi Chilijczycy — pisze Domeyko — nie będą mieli wyobrażenia tego, czym są ich rodzice dzisiaj". Dalecy od obiektywizmu, jedni z uprzedzenia do tradycji, inni „z pretensji do jakiejś nowej cywilizacji" wiele z rzeczy „już nie przekażą wnukom swoim". Bezstronny nasz obserwator notuje bardzo dokładnie wszystkie gruntowne spostrzeżenia z życia politycznego, społecznego, religijnego i gospodarczego, uchodzącego w przeszłość przełomowego okresu, szczegółowo opisuje codzienny tryb życia, zwyczaje i obyczaje w miastach i wioskach chilijskich. Szeroko opowiada o stanie rolnictwa, sposobie gospodarowania. Interesuje go żywo stosunek właścicieli ziemi „do roboczego ludu wolnego", tzw. „inkwilinów"; porównuje ich położenie z dolą polskiego chłopa pańszczyźnianego. Stwierdza, że „choć to są wolni owi inquilinos, nie są w korzystniejszym położeniu i wolniejsi od naszych chłopów, tylko że mogą w każdym czasie opuścić pana i ziemię i opuścić kraj, nieść swoją chudobę i wolność, dokąd zechcą". Ze współczuciem opisuje także życie górników, „ludzi, którzy

w pocie czoła pracują pod ziemią, nie widzą dnia, aby nasycić [...] dumę próżniaków", podkreśla ich ciężką pracę w prymitywnych natenczas warunkach wydobywania srebra czy złota, rysując przy tym obraz kopalni.

Poza bogatą panoramą egzotycznego środowiska miejskiego, wiejskiego i robotniczego ze splotem bieżących wydarzeń przynoszą te karty morze rozległej wiedzy; pod skromnymi tytułami opisów podróży do rozmaitych prowincji chilijskich, na skaliste szczyty Kordylierów, na niezmierzone obszary pustyń czy w głębiny kopalń kryją się ciekawe omówienia wypraw naukowych, snują się relacje z poszukiwań płodów ziemi, szeregu odkryć miedzianych złóż, pokładów węgla, złota i srebra, skarbów gór, kruszcowych żył; relacje z badań, dociekań i obserwacji zjawisk natury, z budzącymi grozę i spustoszenie trzęsieniami ziemi. Nie brak wreszcie obrazów wspaniałej flory i różnorodnej zamorskiej fauny.

Domeyko pragnął na kartach swych pamiętników zanotować wszystko, co tylko w kraju „palm i kolczastych kaktusów" mogłoby zainteresować ziomków w Ojczyźnie, z myślą o nich bowiem, nie tylko dla siebie, żeby nie zapomnieć mowy ojczystej, notatki swe spisywał. Wyraźnie i niejednokrotnie o tym czytamy, np. „nie piszę wojażu, tylko notatki, które, jeżeli Bóg pozwoli, może się przydadzą jakiemu łaskawemu czytelnikowi w mirskiej, połoneckiej czy stołowickiej parafii na zabicie grudniowego wieczoru", albo: „ja dorywczo i o ile mi czas pozwala, piszę dla siebie i moich przyjaciół ziomków, opowiadam wrażenia, jakich doznałem, i moje własne przygody".

A przygód tych i wrażeń nie brakowało naszemu uczonemu, wykorzystującemu każdy okres wakacji na zwiedzanie przybranej ojczyzny. Oto „zagrzany ciekawością" nie tyle już ziemi, ile przede wszystkim ludzi, pochłonięty pragnieniem poznania — jak pisze — „tubylca Amerykanina dotąd niepodległego, pana i dziedzica ziemi swojej — żyjącą kronikę przedkolumbową", przedsięwziął (w 1845 r.) daleką, ryzykowną wyprawę w południowe rejony Chile, do krainy półdzikich Indian, do Araukanii. Z podróży tej „urósł" obszerny trzeci tom notatek[45].

Inny od poznanych pejzaż, inna przyroda, nawet niebo inne, z brzemiennymi deszczem obłokami, „do naszego podobniejsze niż północnego Chille", powitały odważnego „podróżnika, zakochanego w pięknościach

[45] Z tych to notatek korzystał Domeyko, pisząc w obronie Indian głośne, tłumaczone na wiele języków, także na język polski (Wilno 1860), dzieło w języku hiszpańskim pt. *Araucania y sus habitantes* (wyd. w Santiago w 1845 roku). Dzieło to, wskazując rządowi chilijskiemu właściwą politykę wobec Indian, przyczyniło się do pokojowego włączenia ich do Rzeczypospolitej Chilijskiej. Zob. list. I. Domeyki do A. E. Odyńca z Santiago 27 listopada 1883, druk. w „Kronice Rodzinnej", 1884, nr 4.

przyrody". Na tle tej przyrody i ciekawej dla geologa konfiguracji kraju zapoznaje nas Domeyko z gospodarzami tej krainy — dzielnym szczepem niepodległych Indian, Araukanów. Domeyko opisuje ich ustrój społeczny, zwyczaje i obyczaje, stroje, uroczystości, obrzędy, wesela, pogrzeby, z właściwą sobie bystrością podchwytując mnóstwo drobnych, a charakterystycznych szczegółów. Gościny u mniej i więcej zamożnych kacyków na całym obszarze Araukanii wnoszą do pamiętnika coraz to nowe sceny i fakty. Obraz egzotycznego środowiska podmalował Domeyko wspomnieniami z minionych dziejów, zaczerpniętymi z dawnych kronik i poematu Alonsa don Ercilli *La Araucana*, o stoczonych tu ongiś bojach, historii miast, losach warowni, fortec już rozpadłych. W obszernych opisach ukazuje Domeyko bohaterstwo „synów przyrody", okrucieństwo konkwistadorów, ale nieraz (tu jak i w tomie poprzednim, gdy mowa o kolonizatorach) patrzy na owych pierwszych najeźdźców jakby na romantycznych rycerzy wiary, których nie miłość złota, ale „cel wzniosły wiódł do odkrycia i zawojowania niezmiernych ziem Nowego Świata". Czyżby pamiętnikarz nasz, orędownik Indian, bojownik o wolność, nie zdołał oprzeć się sugestii kronikarzy hiszpańskich, w których się rozczytywał?

Te w kilku miejscach napotkane reminiscencje z hiszpańskiej lektury, a może i odbicie uczuć religijnych i klerykalizmu autora, w żadnym stopniu nie przesłaniają zasadniczej negatywnej postawy Domeyki wobec kolonizatorów. Liczne tego dowody znajdziemy na wielu kartach pamiętnika, a szczególnie w dziele *Araukania i jej mieszkańcy,* gdzie wystąpił już Domeyko wręcz jako „rzecznik niepodległych Indian". Zawarty tu apel o uszanowanie wolności, o zachowanie obyczajów i urządzeń społecznych Araukanów, prawowitych dziedziców ziemi chilijskiej, to nie tylko zdecydowane wystąpienie w obronie Indian, ale też odważny głos protestu przeciw wszelkim podbojom, przeciw wszelkiemu kolonializmowi z całym aparatem ucisku. Głos to tym cenniejszy, że słyszeć się daje w okresie właśnie podbojów kolonialnych, w okresie wyrabiania opinii o wyższości jakoby rasy białej nad innymi rasami i niezdolności tych ostatnich do samodzielnego życia politycznego.

Poza podróżą araukańską, w której nie brak też naukowych spostrzeżeń geologicznych, obejmuje jeszcze ten tomik wyprawę badawczą w Kordyliery Zachodnie, Andy, do gór wulkanicznych w południowych rejonach Chile, z cennymi zeń obserwacjami.

W tomiku czwartym, zamykającym bogate itinerarium z ziemi chilijskiej, dorzuca jeszcze niestrudzony badacz serię obrazów z obfitych zawsze w plon naukowy podróży, odsłania rąbek prywatnego życia — poznajemy zaciszny dom, żonę, dzieci; resztę miejsca poświęca omówieniu, z wielkim umiarem i skromnością, swego czterdziestosześcioletniego „zawodu nauczycielskiego i naukowego w Chile".

Znajdujemy więc naszego profesora w katedrze, w laboratorium, wśród uczniów, najpierw w Coquimbo, później w Santiago, poznajemy jego metodę nauczania, widzimy go jako członka Rady Uniwersyteckiej, Rady Wychowania Publicznego, wreszcie jako rektora uniwersytetu (jesteśmy nawet świadkami emocjonujących wyborów na to stanowisko), zabiegającego wszędzie w sprawach oświaty i nauki. Ta część pamiętnika to zarazem doniosła karta z dziejów szkolnictwa chilijskiego, jego reformy i organizacji samego uniwersytetu, to także obraz studiującej młodzieży, która jak wszędzie, tak i tam „nie z bawełny". Tu szczególnie przejawia się głęboko zakorzeniony klerykalizm autora, doprowadzający nawet do tego, że Domeyko w swych postulatach związanych z zachowaniem nauki religii i wychowania religijnego w szkole jest często nawet bardziej konserwatywny niż przedstawiciele duchowieństwa. W pamiętniku sam przyznaje: „słabo popierany byłem od obecnego na tych posiedzeniach [Rady Wych. Publ.] dziekana teologii, sprawa arcybiskupa upadła". Te szczere relacje Domeyki to dla nas dokument, że zwolennicy laickiej szkoły w katolickim kraju Chile mieli już wówczas zdecydowaną przewagę. „Nie urażało mnie to — mówi autor — że nie zawsze byłem wysłuchany. Teraz, gdy szło o radykalną zmianę, o usunięcie religii z liczby wszystkich innych obowiązkowych klas, nie miałem w Radzie więcej nad dwa głosy tegoż co ja zdania, większość przemogła". I choć należy stwierdzić, że zasługi Domeyki związane z reorganizacją szkolnictwa w Chile były naprawdę wielkie z punktu widzenia dydaktycznego, to w argumentach autora za utrzymaniem wychowania religijnego, opartych na bardzo subiektywnych, niekiedy wprost dewocyjnych kryteriach, widzimy odbicie zapatrywań klerykalnych wyniesionych ze szlacheckiego, zaściankowego środowiska. W dziedzinie wychowania szkolnego Domeyko przeciwstawia się rodzącym się w „młodej rzeczypospolitej" postępowym tendencjom, o których jednak — często ich nie rozumiejąc — w wielu miejscach w ostrych słowach wspomina („W całym ciągu mego urzędowánia starałem się ochraniać seminaria i prywatne kolegia, odznaczające się lepszym moralno-religijnym wychowaniem młodzieży, od intrygi i szkodzenia im wolnomyślnych bezwyznaniowców, masonów, oportunistów" itp.), jednostronnie oceniając rolę kościoła, a szczególnie jezuitów. Ta przymieszka klerykalizmu nie może jednak zaciemniać postępowej na wskroś działalności Domeyki. W końcu tego tomiku obserwujemy jeszcze jedną podróż, już sędziwego uczonego, po Chile, „aż do granic Araukanii, lecz już nie konno, ale po żelaznej kolei, po wspaniałym moście na rzece Bio-Bio i z dwoma dorosłymi synami", gdzie już nie ujrzał dzikich, ale nowe osady, nie puste pola, ale łany zboża, winnice, koleje, stacje murowane itd. Domeyko z wielką radością obserwuje te widome znaki postępu i z radością o nich pisze.

Pożegnanie Chile — gościnnego kraju, który stał się przybraną ojczyzną tułacza, rozstanie z wdzięcznym i kochającym społeczeństwem chilijskim, podróż z Santiago do Krakowa, przeżycia sędziwego emigranta, wiernego syna Polski, któremu dane było po pięćdziesięciu trzech latach stanąć na ziemi ojczystej, odwiedzić Kraków, Warszawę i pospieszyć na Litwę, do ukochanych stron rodzinnych, i osiąść w Zyburtowszczyźnie, składają się na treść pierwszej części tomu piątego.

Kalejdoskop niecodziennych, wzruszających scen i obrazów w tym długim łańcuchu powitań, nastrój radosnego rozrzewnienia utrwalił Domeyko z ogromną prostotą kochającego serca. O tym zaś, jak witali go i przyjmowali rodacy, skromny Domeyko nie opowiedział sam, ale zamieścił obszerne wyjątki z relacji w dziennikach.

W tomiku tym znajdujemy nadto cenne notatki z półrocznego pobytu w Paryżu, dokąd przybywał Domeyko jako dawny uczeń paryskich szkół, by „połasić się jeszcze na uczoność", i jako dawny emigrant, by odwiedzić kraj i ziomków z pierwszych lat swego tułactwa. Ta część pamiętnika to życie kolonii polskiej „z ostatkami wychodźstwa naszego z 1831" roku i młodym pokoleniem, często nie znającym już języka polskiego, to długi szereg obserwacji i porównań życia ówczesnego, nastrojów politycznych wśród społeczeństwa polskiego i francuskiego lat osiemdziesiątych z owymi tak bardzo innymi z lat trzydziestych, to wreszcie nowy obraz paryskiego „uczonego świata", różny bardzo od tego z lat studiów autora.

Ostatni tomik *Moich podróży* (t. V, cz. 2) wypełniają wrażenia z Rzymu i podróży na Wschód.

Niestrudzony podróżnik rozsnuwa przed nami tym razem pełen powagi obraz wiecznego miasta. Ujmuje go bardzo ciekawie — oczyma geologa. I tak jak geolog rozróżnia w skorupie ziemskiej „pokłady ziem z przemijających jednych po drugich epok wraz ze szczątkami istot, które za owych epok żyły", tak rozróżnia w obrazie Rzymu narastające „pokłady" — epoki, ze swymi pomnikami: Rzymu — „przedchrześcijańskiego pomnikowego świata", Rzymu „z pierwszych wieków wojującego Kościoła", „Rzymu z epoki tryumfu Kościoła i potęgi papiestwa" i Rzymu współczesnego. Ciekawość geologa wiedzie go w drogę na szczyt Wezuwiusza, o czym z dumą pisze, że mimo podeszłego wieku „zajrzał do tej paszczy buchającej ogniem i siarczanym duszącym oddech powietrzem". W dalszej części opisuje Domeyko dwumiesięczną podróż z Rzymu do Jerozolimy. Szeroki krąg zainteresowań naszego pamiętnikarza i ciekawość wytrawnego turysty i tutaj znajdują wyraziste odbicie, przynosząc bogate w szczegóły relacje o osobliwościach i życiu miast zwiedzanych w czasie licznych postojów. Wiele zwłaszcza miejsca poświęcił autor Konstantynopolowi. Z przybyciem do

brzegów Palestyny „podróżnik — mówiąc słowami autora — przeszedł na pątnika”[46]. I chociaż zastrzega się autor, że przybył tu „na pielgrzymkę, a nie pisanie podróży i opisanie kraju”, przecież i w tej partii pamiętników pełno uwag natury krajoznawczej, gospodarczej, pełno spostrzeżeń etnograficznych i tych z umiłowanej dziedziny — geologii, nawet wykład z chemii, wpleciony przy okazji oglądania zbiórki soli nad Morzem Martwym. Poznajemy tu też nowe osobistości w ich własnych siedzibach, jak rzymskokatolickiego patriarchę czy baszę jerozolimskiego, gubernatora Palestyny, przez którego przyjmowany był Domeyko ze wschodnią etykietą, obserwujemy muzułmańskie mieściny i portowe miasta, pełne handlarzy, ludzi „najrozmaitszych twarzy i ubioru”. Ale kiedy sędziwy podróżnik stanął w Port Saidzie, pochłonęła go przede wszystkim myśl, że znajduje się „na Delcie Nilowej, w Egipcie, kraju Ptolomeuszów, faraonów, skąd historycy wywodzą pierwsze zabłyski kultury europejskiej”.

Drogę powrotną zaznaczył Domeyko tylko kilkuzdaniowymi zapiskami dziennymi. Na zapisie o przybyciu do Paryża (29 października 1885) urywa się pamiętnik, po czym znajdujemy — choć na innym miejscu pamiętnika — „Dodatek z lat 1887 i 1888”. Dowiadujemy się z niego o pobycie Domeyki w Rzymie, potem w Krakowie, w związku ze święceniami kapłańskimi syna Hernana.

Podsumowując pobieżny bardzo przegląd zawartości *Moich podróży,* stwierdzić wypadnie, że na kartach tego dzieła zagościł szmat świata, przewinął się korowód ludzi różnych warstw społecznych, białych i kolorowych, ujawnił się długi szereg faktów, spraw i wydarzeń minionego stulecia, dotyczących stosunków i bytowania społeczeństw: polskiego, francuskiego, amerykańskiego, po części też angielskiego i tureckiego, dając w sumie bogaty obraz epoki, obyczajów i poglądów, ukazując przekrój środowisk społecznych i zawodowych.

Bystrość obserwacji, zdolność wyławiania z płynnego materiału toczącego się życia cech znamiennych, umiejętność podchwytywania nawet codziennych, na pozór obojętnych, ale mających swą wymowę zjawisk, sytuacji czy nastrojów, skrzętność w rejestrowaniu zdarzeń z myślą o przekazaniu potomnym dają pamiętnikom wygnańca wartość dokumentu historycznego, wartość źródła kulturalno-obyczajowego. Taką też wartość upatrywał w nich zapewne sam Domeyko, gdy zaznaczał, że pisze „dla odszkicowania czasu”, w którym żył, i kiedy nadmieniał, opisując stan Rze-

---

[46] List do redaktorki „Kroniki Rodzinnej”, druk. „Kronika Rodzinna”, 1886, nr 14.

czypospolitej Chilijskiej w pierwszych latach po wyzwoleniu, że notatki jego „mogą być kiedyś pożyteczne dla samychże Amerykanów".

Nie na tym wszakże wyczerpuje się wartość *Moich podróży*. Posiadają one także poważne znaczenie dla biografistyki, zarówno z tego względu, że zawierają ogromną ilość interesujących szczegółów biograficznych, dosadne, choć niejednokrotnie stronnicze charakterystyki osób, żywo naszkicowane sylwetki czy to polskich tułaczy, czy cudzoziemców że świata nauki, polityki, czy wreszcie całego szeregu innych nieprzeciętnych ludzi, z którymi na przestrzeni długich lat swojego tułactwa zetknął się Domeyko, jak też dlatego, że przynoszą bezpretensjonalny obraz życia — od młodości po sędziwe lata — samego autora pamiętników, jednego z najwybitniejszych polskich uczonych XIX wieku.

Śledząc na kartach *Moich podróży* życie Ignacego Domeyki, obserwując jego postawę w mnogich i różnorodnych sytuacjach, przyznać musimy, że była to osobowość niezwykle jednolita, harmonijna, o jasnych i prostych wytycznych, jakby wyjętych z „prawideł życia" grona Promienistych; uczuciowość głęboka, przy twardej, żołnierskiej naturze i trzeźwym spojrzeniu na świat, indywidualność silna bez wewnętrznych wstrząsów i załamań, entuzjasta pracy, którą pojmował jako radość życia i służbę publiczną, miłośnik wiedzy, którą ciągle zgłębiał, poszerzał i popularyzował. A przy tym był Domeyko człowiekiem odważnym, wytrwałym, o niepospolitej energii; pełen pogody i równowagi ducha, bezinteresowny i skromny, posiadał niepospolity dar przyjaznego obcowania z ludźmi, urok osobisty oparty na „ciągłej młodości", a nade wszystko dobre, szlachetne serce. Jego pracę społeczną cechował zawsze (w Zapolu, w Paryżu czy na ziemi chilijskiej) żarliwy humanitaryzm, wysokie poczucie sprawiedliwości, wielkoduszność i dobroczynność. Obrońca wolności, poszanowania godności człowieka bez względu na jego rasę, pochodzenie, wyznanie, bolał nad każdym objawem ucisku, a więc zarówno nad ciężkim losem chłopów gnębionych pańszczyzną, jak i Murzynów wystawianych na targ czy Indian przemocą ujarzmianych. Umiłowanie ludzkości godził z głębokim patriotyzmem, gorącą miłość ojczyzny łączył z niezłomną wiarą w jej zmartwychwstanie. „W Domeyce nie było nic, co by nie było jasne, co by nie było wzniosłe" — powiedział we wspomnieniu o nim Stanisław Tarnowski[47], dodając, że kiedy w sędziwym wieku stanął on wśród uczonych krakowskich, to „jak wcielenie najszlachetniejszych i najzdrowszych sił i uczuć swego pokolenia". Nie ma w tych słowach najmniejszej przesady, takiego właśnie

[47] S. Tarnowski, *Sprawozdanie z czynności administracyjnych i naukowych*, „Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1888", [wyd.] 1889, s. 100.

Domeykę widzimy też w postaci, jaka się ku nam wychyla z ram *Moich podróży*[48].

Zaznaczyć wreszcie należy, że wielostronne w tematyce, swoiste w swym charakterze i ciężarze gatunkowym pamiętniki Domeyki są nie tylko cennym materiałem dla historyka nauki, ale także bardzo ciekawą lekturą dla każdego czytelnika, o którego — dodajmy — pamiętnikarz nasz jest bardzo dbały; nie chce go ani znudzić, ani zmęczyć; przeprasza np., że rozpisał się „niemiłosiernie" o przygodach własnych, o zasłyszanych polowaniach na lwy w Kordylierach, to znów ogranicza się w swych wywodach mineralogicznych, by „nie nudzić tych, co tej rozrywki nie lubią", a zainteresowanych odsyła do swych specjalnych rozpraw.

Szczególnego uroku dodają pamiętnikom i wartość tego dzieła potęgują jego walory literackie: bogaty w kolorycie i tonie styl autora, jego piękny język, tym więcej godny podziwu, że wychodzący spod pióra nawykłego „pod antypodami" do „kastylijskiego narzecza". Żywość narracji idzie tu o lepsze z plastycznością obrazu; postacie i sceny ludzi, widoki natury żyją; wraz z autorem patrzymy, jak na ziemi krzyżackiej „zsiadają nasi z koni, odpasują pałasze, rzucają je na kupę, a na nich składają, jakby róże białe i czerwone, swoje chorągiewki", wraz z autorem „szczeblując" po górach chilijskich spostrzegamy, jak „wytykają zza skały jedne po drugich rozczochrane głowy palmowe", gdzie indziej „bukiety wysokich, rozłożystych drzew figowych", i samego też autora widzimy „jak szalonego na spienionym koniu lecącego w zawód z [...] wrzeszczącymi, w czarnych sukmanach, z nastrzępionymi włosami do góry" Indianami.

Mistrzowskie pióro naszego pamiętnikarza ujawnia się zwłaszcza w przepysznych opisach przyrody, przemawiających całym jej pięknem i artystycznym ujęciem. Domeyko bowiem nie tylko okiem znawcy-geologa, zbrojnego w młot i barometr, przenikał bogactwo i rzeźbę natury, ale jej czar głęboko odczuwał i umiał odtworzyć w pięknej szacie polskiego słowa, mowy ojczystej, którą „o tysiąc mil od Polski, między Amerykanami" tak gorliwie pielęgnował w zaciszu domowym „za okopem książek" polskich, w każdą niedzielę i święto czytając wyłącznie — jak powiada — „tylko to, co polskie", i pisząc „tylko po polsku".

Co jeszcze zwraca w pamiętnikach naszą uwagę, to — obok ciepła wiary, jaka je owiewa — nieustanna z tęsknotą połączona myśl o kraju rodzinnym, nieodstępna towarzyszka „dalekiego włóczęgi", która zawsze znajduje okazję, by obraz ukochanej Polski, jej spraw, problemów, jej ludu i przy-

---

48 Po uzupełnienie profilu duchowego Domeyki sięgnąć należy do jego listów pisanych do przyjaciół na całej przestrzeni lat od wileńsko-zapolskich do chilijskich czasów.

rody wywołać, która — mówi Domeyko — „ma co dzień coś nowego do przypomnienia". Ona to sprawiała, że w obcej przyrodzie, obcym pejzażu doszukiwał się nasz tułacz tchnienia ojczystych stron, że w Andach widział Tatry, w śpiewie tenki słyszał śpiew słowika, w szeleście lasów chilijskich poszum borów litewskich, a wśród palm, cedrów i bananów, wśród przepychu kwiatów południa westchnienia słał do „rozłożystych lip, modrzewiów, kasztanów". Pisząc nawet o wewnętrznych sprawach chilijskich, społecznych, państwowych, gospodarczych, zawsze poruszy Domeyko, porówna, zestawi, przypomni sprawy polskie. Tak np. przy inkwilinach chilijskich — polskiego chłopa pańszczyźnianego, przy wyborach w Coquimbo — „sejmiki w Wilnie", nawet kiedy o uwięzieniu górników opowiada, to dodaje: „i jak w Warszawie przywrócono porządek", i o pieniaczach w Santiago zauważa, że „jak w Oszmianie są jednejże natury". Przykładów można by mnożyć. Ta więź z ojczystym krajem, której — mówiąc słowami Domeyki — „żadna światowość nie wybije z głowy", to jedna ze znamiennych cech naszego pamiętnikarza; ona też stanowi podłoże osnowy uczuciowej „pamiętników wygnańca".

Moje podróże — jak już zaznaczyliśmy — obszernie podają bieg życia ich autora, ale dopiero od wyjścia jego „na żołnierkę". Do lat wcześniejszych sięgają tylko przy okazji, nawiasem. Dla uzupełnienia rzućmy więc okiem na ten nie objęty pamiętnikami okres życia Ignacego Domeyki, na jego lata młodzieńcze, które wyposażyły, rzec by można, uzbroiły duchowo na nieprzewidzianie wielką i doniosłą podróż życia przyszłego uczonego i obywatela dwóch krajów.

Urodzony 31 lipca 1802 roku[49] w Niedźwiadce, majątku rodzinnym położonym nad rzeką Uszą, w Nowogródzkiem, był Domeyko synem Hipolita, prezesa sądów ziemskich nowogródzkich, i Karoliny z Ancutów[50]. Wychowany wraz z czworgiem rodzeństwa, dwoma braćmi i dwiema siostrami[51],

---

[49] W wielu opracowaniach życiorysu I. Domeyki spotyka się mylną datę urodzenia, tak co do roku (1801), jak dnia i miesiąca. Prawdziwość daty podanej w naszym opracowaniu potwierdza nie tylko karta żałobna, daty umieszczone na pomniku Domeyki na cmentarzu w Santiago (31 de julio de 1802 + 23 de enero de 1889), ale także sam Domeyko, który niejednokrotnie na kartach pamiętników podkreśla swój wiek, a w pewnym miejscu, mówiąc o artykule W. Korotyńskiego w „Tygodniku Ilustrowanym", 1884, zwraca uwagę na dwa błędy: „rok urodzenia 1801, który zmienić by trzeba na prawdziwszy, i imię majątku w Lidzkiem: Zalesie, na Zapole".

[50] Mylnie: „Anentów" w pracy J. Siemiradzkiego, *Ignacy Domeyko*, „Kosmos", 1889, s. 13, także „Amatów" w artykule L. Dębickiego, *Ignacy Domeyko*, „Czas", 1889, nr 26.

[51] Boniecki mylnie podaje, że Hipolitowie mieli trzech synów i jedną córkę (*Herbarz polski*, t. IV, Warszawa 1901, s. 374).

w atmosferze gorącej miłości Boga i Ojczyzny, uczuciom tym pozostał wierny aż do zgonu. W siódmym roku życia (wiosną 1809) stracił ojca i opiekę nad małoletnim roztoczyli dwaj stryjowie: Ignacy, „niegdyś sławny mecenas Trybunału Wielkiego Księstwa Litewskiego"[52], i Józef — dawny uczeń słynnego geologa prof. Wernera w szkole górniczej we Freibergu — którego pogadanki o mineralogii i górnictwie rozniecily w bratanku miłość do tej gałęzi wiedzy i — jak wyznaje Domeyko — „może się i przyczyniły do tego, że w trzydzieści lat potem poświęciłem się temuż zawodowi". W roku 1812 wstąpił Domeyko do trzeciej klasy kolegium o.o. pijarów w Szczuczynie, zwanym Litewskim, w powiecie lidzkim, a w cztery lata później, po chlubnym jego ukończeniu, odbył studia na wydziale fizyczno-matematycznym Uniwersytetu Wileńskiego, jako „jeden z uczniów — według opinii rektora ówczesnego — najpilniej przykładający się do nauk i na którego najmniejszej skargi w całym ciągu nie było"[53].

W roku 1822 otrzymawszy stopień magistra filozofii z zakresu matematyki na podstawie rozprawy: *Jak dotąd tłumaczono zasady rachunku różniczkowego i jak w dzisiejszym stanie matematyki należy je tłumaczyć*[54], uczęszczał jeszcze na wykłady historii Lelewela i filozofii Gołuchowskiego.

Okres uniwersyteckich studiów Domeyki zbiegał się z okresem największego rozkwitu wileńskiej wszechnicy, skupiającej natenczas w gronie swych profesorów wzorowych obywateli, uczonych rozległej wiedzy i wytężonej pracy, jak Jędrzej i Jan Śniadeccy, Zachariasz Niemczewski, Bonifacy Jundziłł, Joachim Lelewel i inni, a wśród wychowanków widniały nazwiska Adama Mickiewicza, Tomasza Zana, Jana Czeczota, J. Korsaka, Chodźków i tylu innych, którzy później imię swej uczelni rozsławili szeroko po świecie. W ich to gronie znalazł się w murach uniwersyteckich Ignacy Domeyko, a od roku 1819 powiększył zastęp Towarzystwa Filomatów. „Na koniec i mnie niegodnego, najmłodszego ze wszystkich wiekiem i nauką przyjęli do siebie filomaci, bardziej z serca niż z potrzeby"[55] — powie kiedyś ze zwykłą sobie skromnością Domeyko. Ale ten najmłodszy Żegota, przejęty do głębi hasłami młodzieży skupionej pod błękitnym sztandarem, w ruchu filomackim, w czynnościach Towarzystwa staje się jednym z najgorliwszych działaczy. W ścisłym kółku „Promienistych" piastuje urząd szambelana (adiutanta Zana), w związku filaretów pełni fun-

[52] A. E. Odyniec, *Wspomnienia z przeszłości opowiadane Deotymie*, Warszawa 1894, s. 301.

[53] Z. Bujakowski, *Sprawa Zana i Domeyków z chorążym Pelskim*, Lwów 1913, s. 5.

[54] Ogłoszona drukiem w roku 1921, ze wstępem S. Dicksteina.

[55] I. Domeyko, *Filareci i filomaci*, Poznań 1872, s. 9.

kcje sekretarza różowego grona, pracuje w filareckiej izbie pożyczkowej, służąc wraz z Janem Czeczotem „tak do obliczania długów, jako też do wybierania zaległości"[56], a nadto — w ramach samokształcenia organizowanego przez filaretów — podejmuje się prowadzenia kursu geografii fizycznej. Znany z dyskrecji, siły charakteru i woli, otrzymuje też Domeyko od starszych kolegów ważne do wykonania zadania (np. spowodowanie, wraz z Teodorem Łozińskim, rozwiązania się tajnego klubu, istniejącego wśród młodzieży wileńskiej, który „zakrawał na karbonarstwo"[57] i był tropiony przez policję), z których wywiązuje się zawsze jak najlepiej.

Szczęśliwe te lata wileńskiej młodości, filareckich zebrań, zadzierzgniętych przyjaźni brzmieć będą nieustannie w duszy Żegoty, jak „słodkie akordy i melodie", które po latach z górą pięćdziesięciu daleko „pod antypodami" wyśpiewa w pięknym wspomnieniu o filaretach i filomatach, rysując dzieje „zapaleńców" aż do chwili, kiedy to w noc pamiętną „całą aż do świtu w jakimś domu, w głębi na poddaszu przy ulicy Ostrobramskiej" potajemnie się żegnali, carskim wyrokiem skazani na rozproszenie „po niezmiernej przestrzeni od Białego do Aralskiego Morza" i „po całej Litwie, Wołyniu i Podolu"[58].

Domeyko w procesie filomatów (więziony u bazylianów, jak Mickiewicz, ks. Lwowicz, A. Chodźko i inni) uniknął wyroku wygnania dzięki usilnym zabiegom stryja, wcześniej też od innych współtowarzyszy wypuszczony z więzienia, skazany został — jak Piasecki i Kozakiewicz — na pobyt na wsi, bez prawa wydalania się, i oddany „pod wieczny dozór policji z usunięciem na zawsze od wszelkiej służby cesarskiej"[59]. Przybył więc do Zapola, majątku swojego stryja, i zajął się z konieczności gospodarstwem. Chociaż pięknie się tu zapisał zmniejszeniem, jak mógł — ze względu na carskie zarządzenia — pańszczyzny włościan, zorganizowaniem szkoły wiejskiej i postawieniem gospodarstwa na odpowiednim poziomie, przecież zajęcie to zupełnie nie odpowiadało rwącemu się do poznania świata, „do wojażowania po obcych krajach" umysłowi. Świadczą o tym wymownie słowa listu Domeyki do ciotecznej siostry, Marii Puttkamerowej, z 23 sierpnia 1830 roku: „dotąd mi ani zapolski domek, ani poważna w nim spokojność, ani cała wiejska natura zająć nie potrafiły i zawsze przez szczeble mojej klatki do jakiejś wolności nie przestaję tęsknić"[60]. Po wielu staraniach udało mu się uzyskać zezwolenie na wyjazd do Warszawy. Podróż ta „ja-

---

[56] Dr S z e l i g a, *Proces filaretów w Wilnie*, „Archiwum do Dziejów Literatury i Oświaty w Polsce", t. VI, s. 308.

[57] I. D o m e y k o, *op, cit.*, s. 18.

[58] Tamże, s. 26 i in.

[59] Tamże, s. 26.

[60] *Dzieła A. Mickiewicza*, jw., s. 66.

ko pierwsza w życiu — powiada Domeyko w liście do Odyńca — była dla mnie przyjemną, rozkoszną, odżyłem był nieco [...] Akcent naszych Mazurów, ich wesołość, dobry byt, widok Łomży, Ostrołęki, Pułtuska, Serock, Jabłonna etc. wiele mi przyjemnych obudzało myśli i uczuć"[61]. Sama stolica natomiast, poza podziwem dla „drogich zabytków narodowej wielkości" i dla rozwoju materialnego, zgiełkiem swym, skłonnością „do tego tylko co jest świetnym, choć na pozór, choć znikome"[62], raziła prostodusznego „syna łąk i gajów litewskich" — jak siebie nazywa w pamiętnikach.

Wróciwszy do Zapola niedługo już zabawił na gospodarstwie; dotarły tu bowiem wieści o wybuchu powstania listopadowego, stoczonych kampaniach i nasz „rolnik" w oczekiwaniu na hasło dla Litwy sposobił się z zapałem do orężnej walki. Jakoż wiosną 1831 r. otrzymał polecenie spełnienia misji gońca powstańczego Litwa — Królestwo, a niebawem stanął w szeregach oddziału Chłapowskiego.

Od tych wypadków aż po osiemdziesiąty szósty rok życia naszego pamiętnikarza śledzimy wplecione w ogólny nurt wydarzeń koleje jego losów na kartach *Moich podróży*. Brak w nich tylko relacji z okresu od listopada 1885 r. do lipca 1887 r., a z tego czasu mamy do zanotowania jeden jeszcze niecodzienny szczegół, niosący wielką radość emerytowanemu rektorowi przebywającemu w Zyburtowszczyźnie i oddanemu pracy pisarskiej, a mianowicie otrzymanie, z okazji otwarcia i poświęcenia Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniu 14 czerwca 1887 roku, tytułu doktora medycyny honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie od rzeczy będzie przytoczyć z autografu list Domeyki, przesłany na ręce rektora UJ, w odpowiedzi na wiadomość o przyznaniu mu powyższego tytułu. Oto jego tekst:

> Nie posiadam się z radości, jaką mi przyniosła wiadomość o wysokim zaszczycie, którym udarował mię Uniwersytet Jagielloński, nadając mi stopień honorowego doktora, wyższy stokroć nad słabe moje zasługi w dziedzinie nauk i umiejętności.
>
> Na domiar szczęścia dla mnie, a dobroci Twojej, Szanowny Rektorze, zapraszasz mnie na dzień uroczystości otworzenia i poświęcenia Collegi Novi, w którym to dniu, w gronie najzasłużeńszych mężów Stanu i Nauki[63], przyjąć mam drogi dla mnie, of[i]arowany patent.
>
> Wielki to dzień życia będzie dla mnie, jeżeli na tę uroczystość pośpieszyć

---

[61] List do Odyńca z 31 paźdz. 1830, *Dzieła A. Mickiewicza*, Koresp. t. III, s. 138.

[62] Tamże, s. 137—138.

[63] Równocześnie z Domeyką otrzymali tytuły doktorów honoris causa (różnych fakultetów) minister wyznań i oświaty dr Paweł Gautsch von Frankenthurn, biskup ks. Adam Stanisław Krasiński, Jan Matejko, Władysław Taczanowski, Wiktor Szokalski, August Cieszkowski, Julian Klaczko, Józef Supiński, arcybiskup ks. Seweryn Morawski, ks. Jan Korytkowski i ks. Michał Nowodworski.

do Krakowa zdołam i dzisiejsze moje położenie dozwoli. Na nieszczęście, od czterech miesięcy zatrzymany mój amerykański paszport w Grodnie, dotąd, nie wiem, dla jakiej przyczyny, nie został mi odesłany. Jeżeli dziś czy jutro, na ponowione moje usilności, odbiorę go, jak się spodziewam, to jeszcze będę miał czas do podróży. Jeżeli nie, z bólem serca zniosę to jeszcze umartwienie, przestając na modlitwie do Boga o pomyślność i sławę dla tej naszej Jagiellońskiej Wszechnicy, od której od tylu wieków bije światło dla narodu, a która dziś mnie tak szczodrze uzacnia i moje późne lata ożywia[64].

Przeszkody, o których pisze Domeyko, najwidoczniej zatrzymały go w Zyburtowszczyźnie, gdyż na uroczystości uniwersyteckie do Krakowa wówczas nie przybył. Widzimy go natomiast w Krakowie, znów w pamiętnikach — już po raz ostatni — 1 kwietnia 1888 roku, na mszy prymicyjnej syna Hernana odprawianej w katedrze wawelskiej. I już niewiele przyjdzie dodać szczegółów do biografii sędziwego uczonego. Jesienią tego samego roku, pragnąc wywiązać się z danego Chilijczykom przyrzeczenia odwiedzenia ich i zainstalowania swych synów, Hernana po studiach w Rzymie jako kapłana i Kazimierza po studiach w Paryżu jako następcę swego w uniwersytecie w Santiago, opuścił Domeyko Zyburtowszczyznę i wyjechał do Chile, z zamiarem powrotu do Polski po czterech latach. W drodze poważnie zachorował (cierpiał na pewnego rodzaju katar kiszek)[65], tak że przerywając podróż morską tylko koleją mógł dojechać do Santiago[66]. Przy troskliwej opiece lekarskiej stan zdrowia poprawiał się. „Mam się lepiej, przechadzam się po ogrodzie"[67] — donosi córce i zięciowi. W liście późniejszym pisze do Władysława Laskowicza: „Nie sądź, aby ta moja długa choroba, jedyna może w życiu, trzy miesiące niemocy, wiele mnie pognębiła. Głowa zawsze trzeźwa, humor jednaki"[68]. Że tak było istotnie, świadczy fakt, że w tym właśnie czasie pracował jeszcze Domeyko naukowo, przygotowywał mianowicie wstęp do katalogu chilijskiego zbioru mineralogicznego, który miał być wysłany na wystawę w Paryżu. Ale niestety, była to już ostatnia praca niestrudzonego uczonego[69], w trzy dni po jej oddaniu, 23 stycznia 1889 roku, życie zakończył.

---

[64] List Ignacego Domeyki do rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Stanisława Tarnowskiego z Zyburtowszczyzny 9 czerwca 1887, rkps w Archiwum UJ, sygn. 75 IV.

[65] List I. Domeyki do dra med. Feliksa Michałowskiego w Paryżu z Santiago 1 stycznia 1889, rkps BJ, sygn. 9237.

[66] Opis podróży i przybycia do Santiago zob. w liście I. Domeyki do rodziny z Santiago 25 listopada 1888, „Kłosy", t. XLVIII, 1889, nr 1230.

[67] List I. Domeyki do rodziny z Santiago 7 grudnia 1888, „Kurier Warszawski", 1889, nr 28.

[68] List I. Domeyki do W. Laskowicza z Santiago 18 stycznia 1889, rkps BJ, sygn. 9290 IV.

[69] Zob. B. Lachowicz, *Ostatnia praca Domeyki*, „Kosmos", 1889, s. 260—261.

Wiadomość o śmierci Ignacego Domeyki okryła żałobą całe Chile; obszerne nekrologi, artykuły poświęcone pamięci i zasługom zmarłego rektora zapełniły szpalty chilijskich dzienników. Uroczystym też pogrzebem, urządzonym na koszt państwa, rząd i społeczeństwo chilijskie z głębokim żalem żegnało na cmentarzu w Santiago sławnego na obydwu półkulach człowieka nauki, a zarazem swojego dobroczyńcę[70].

W odległej Polsce żegnano również wielkiego rodaka w licznych pozgonnych wspomnieniach.

Wdzięczni Chilijczycy wznieśli wkrótce (1902) na grobie Domeyki okazały pomnik z popiersiem zmarłego, rzeźbionym w marmurze kararyjskim. Odsłonięcie pomnika połączono z wielką uroczystością ku czci zasłużonego rektora[71]. W roku 1903 nakładem rządu chilijskiego wydano zbiór jego prac naukowych w pięciu tomach.

Pamięć o sławnym Polaku przeszła też w późniejsze lata i dotychczas jest w Chile bardzo żywa. Świadczą o tym ukazujące się w różnych latach coraz to nowe prace poświęcone Ignacemu Domeyce, wydawane bądź osobno, jak monografia pióra B. L. Cavero[72], bądź w wydawnictwach uniwersyteckich, jak praca Olfa Poblete Muñoz[73] i innych, dalej — słynny Kongres Górniczy w Copiapó (w roku 1934) przypominający zasługi Domeyki, na którego cześć wybito wówczas jako „ojcu górnictwa chilijskiego" specjalny plakat, później — ogłoszenie drukiem w języku hiszpańskim (w roku 1946) pierwszego tomiku *Moich podróży* pt. *Memorias. Recuerdos de un emigrado.* Volumen primero[74] (w słowie od tłumacza Manuel de Ferrari (Juan Carrera) zaznacza, że przekład pamiętników rozpoczęto na polecenie rektora uniwersytetu chilijskiego Juvenala Hernandeza na podstawie rękopisu w języku francuskim, będącego własnością rodziny Ignacego Domeyki), wreszcie — obchodzone uroczyście (w roku 1952) przez Uniwer-

---

70 Opis ostatnich chwil życia Domeyki i ceremonii pogrzebowej zob.: *Pogrzeb Rektora*, „Kurier Warszawski", 1889, nr 90 (31 marca). Wspomnę tu nawiasem, że błędne szczegóły co do śmierci I. Domeyki zawiera artykuł M. Römerowej *Życie pełne treści*, „Słowo", Wilno 1939, z dnia 23 marca, Domeyko bowiem ani nie „zasnął wśród plantacji róż, by się już więcej nie obudzić", ani nie w lutym, jak to podała autorka.

71 Opis pomnika i przebiegu uroczystości odsłonięcia jego zob.: *Pomnik Domeyki*, „Życie i Sztuka", Pismo dodatkowe, ilustrowane „Kraju", Petersburg 1902, nr 10, s. 119.

72 Berta Lastaria Cavero, *Ignacio Domeyko y su época 1802—1889*, Viña del Mar 1936.

73 Olfa Poblete Muñoz, *Un servidor de ensenanza Ignacio Domeyko*, „Memoria Universidad de Chile", Santiago 1942.

74 *Pamiętniki. Wspomnienia emigranta*, tom pierwszy.

sytet w Santiago de Chile 150-lecie urodzin Domeyki i wydanie prac dotyczących jego działalności w Chile.

Zasługi Domeyki podnoszono także na Kontynentalnym Kongresie Kultury, który odbył się w Santiago de Chile w roku 1953, a znany i ceniony poeta chilijski Pablo Neruda w rozmowie z polskim delegatem na ten Kongres, Jarosławem Iwaszkiewiczem, takie wydał świadectwo o Domeyce: „Domeykę przywłaszczyła sobie teraz reakcja, dlatego że był wierzącym katolikiem. Ale przecież wyobraź sobie — powiada — jak postępowa była jego funkcja w naszym kraju, pomyśl sobie, jak wiele mu zawdzięczamy... wszystko... cały przemysł... organizację nauczania średniego i wyższego ... zacny był stary"[75].

Żyją dziś w Chile potomkowie Ignacego Domeyki, którzy noszą często polskie imiona i dotąd z pietyzmem przechowują zaszczepione im tradycje polskie. Ostatnio — jak doniosła prasa polska — jeden z wnuków naszego uczonego, Juan Domeyko, „poświęcił się służbie dyplomatycznej i jest obecnie posłem Chile w Australii"[76].

* * *

Podstawę niniejszego wydania *Moich podróży* stanowi autograf znajdujący się w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie pod sygnaturą 1316. W roku 1898 ofiarowały go Akademii Umiejętności dzieci Ignacego Domeyki (córka i dwaj synowie), opatrując poszczególne tomiki dedykacją w języku hiszpańskim: „A la Academia de Ciencias de Cracovia ofrecen los hijos de Ignacio Domeyko — Ana, Casimiro i Hernan Domeyko 1898".

Obszerny rękopis składa się z pięciu tomików w dziewięciu woluminach (każdy tom z wyjątkiem trzeciego dzieli się na dwie części, tom drugi na trzy części) w postaci bądź oprawnych tomików[77], bądź małych teczek zawierających luźne składki[78]. Każdy tom posiada swój tytuł, często podtytuł, a poszczególne rozdziały osobne nagłówki. Spis treści posiada tylko część druga tomu drugiego.

Wszystkie tomy, z wyjątkiem części pierwszej tomu drugiego, skreślone są ręką Domeyki. Wspomniany tom jest to druk — książeczka oprawna złożona z wycinków z Dodatku miesięcznego „Czasu" drukowanej tamże, w zeszytach od stycznia do maja 1857 r. (t. V i VI), *Czteromiesięcznej podróży*

[75] J. Iwaszkiewicz, *Listy z podróży do Ameryki Południowej*, Kraków 1954, s. 229.

[76] „Echo Krakowa", R. XIII, 1958, nr 22.

[77] T. II, cz. 1; t. II, cz. 2; t. II. cz. 2 cd. (czyli cz. 3).

[78] T. I, cz. 1; t. I, cz. 2; t. III; t. IV, cz. 1—2; t. V, cz. 1; t. V, cz. 2.

z Paryża do Chile w roku 1838 z rękopisu, który przesłał Domeyko A. Mickiewiczowi[79] wraz z listem z dnia 23 stycznia 1839 r. List ten wchodzi do tomiku jako przedmowa. Na końcu tomu znajdują się — także z „Czasu" wzięte — „Wyjątki z listów Ignacego Domeyki do Adama Mickiewicza". Omawiany tomik zaopatrzył Domeyko w kartę tytułową własnoręcznie skreśloną: „Moje podróże. Tom drugi, część pierwsza. Podróż z Paryża do Chile (od 1 lutego 1838 do 3 czerwca tegoż roku) wyjęte z felietonów »Czasu« w Krakowie". Wprowadził też szereg poprawek i uzupełnień w tekście[80]. Nie uzupełnił jednak brakującej — w posiadanych przez siebie wycinkach — cząstki tekstu („Czas" zeszyt styczniowy 1857, s. 263—266), zaznaczył tylko: „tu nie dostaje dwóch czwiartek, w których jest początek opisania okrętu i życia na morzu", i wstawką dopisaną odręcznie (na wklejonej kartce) złączył rozerwaną treść. W naszym wydaniu, mając na uwadze życzenie skierowane ongiś do Mickiewicza: „ja bym nie był od wydrukowania w całości rękopismu"[81], uzupełniamy ten brak tekstem z pełnego egzemplarza »Dodatku miesięcznego« „Czasu".

Poprawki, skreślenia i uzupełnienia — nieraz utrudniające złożenie zdania — spotykamy, obok partii noszących wyraźnie charakter czystopisu, na wielu miejscach całego autografu; zdarza się nawet, że na całej stronie wykreślone są wszystkie wiersze, a między nimi wpisany nowy tekst, często bardzo trudny do odczytania, podobnie jak dopiski wzdłuż marginesu. Wynika to stąd, że Domeyko poprawiał nie tylko w trakcie pisania, ale też — jak świadczy zmieniony z wiekiem charakter pisma — także po latach, gdy doń zaglądał, wygładzał go i poprawiał. Rósł bowiem pamiętnik w różnych czasach i rozmaicie; najczęściej na podstawie skrzętnie prowadzonych zapisków, „podróżnych szpargałów" — jak je nazywa — kreślił Domeyko potoczyste opowiadanie bądź o najświeższych zdarzeniach, bądź też odległych, zatrzymując daty zapisków.

Na skutek tego daty zamieszczone na początku pewnych ustępów, które

---

[79] Rękopisu nie odszukano ani w bibliotekach krajowych, ani w Bibliotece Polskiej w Paryżu, ani w Muzeum A. Mickiewicza w Paryżu. Sądzić należy, że rękopis ten od chwili jego druku pozostawał w archiwum „Czasu", które — przeniesione z Krakowa do Warszawy w roku 1936 — spłonęło w czasie ostatniej wojny.

[80] Domeyko posłużył się wycinkami z „Czasu" i jako tomik włączył do całości pamiętników, gdyż posyłając rękopis tego dzienniczka A. Mickiewiczowi z myślą o szybkim druku, choćby w wyjątkach, nie zrobił sobie odpisu. Oto co pisze do przyjaciela w liście z Coquimbo 27 stycznia 1840: „Możesz z tej podróży wykasować, co ci się podoba, i z połowę geologii wyrzucić lub co by trąciło pretensją [...] w każdym razie nie zatrać rękopismu, bo nie miałem nawet czasu ni ochoty go przepisać". Zob. *Dzieła A. Mickiewicza*, Koresp. t. IV, s. 183.

[81] Tamże, s. 183.

niewątpliwie pochodzą z notatek pisanych pod tymi datami, nie są zgodne z datą pisania pamiętnika. Spotykamy np. w opowiadaniu pod datą 18 września 1838 (gdy mowa o obchodzie rocznicy niepodległości chilijskiej) wzmiankę o roku 1847 (t. II, cz. 2), w opowiadaniu pod datą 22 stycznia 1842 (przy opisie polowania na lwy) aluzje do wydarzeń historycznych z roku 1854 (t. II, cz. 3), pod datą 24 stycznia 1842 (gdy mowa o napisach przedkolumbowych) aluzje do „traktatów wiedeńskich czy paryskich" (t. II, cz. 3), pod datą 23 grudnia 1845 (gdy mowa o wyruszeniu w podróż do Araukanii) wspomnienie, jak to „dwadzieścia cztery lata temu" rozstawał się z rodziną w kraju (t. III). Wnosić stąd łatwo, że podróż do Araukanii opisywał w roku 1855, że część drugą tomu drugiego pisał po roku 1847, część trzecią – po roku 1871, przynajmniej częściowo, co znajduje potwierdzenie w wypowiedzi samego Domeyki, że nieraz przerywał pisanie pamiętników, by po latach (nawet dwudziestu) znowu je kontynuować. Czasem wrażenia swe i spostrzeżenia spisywał w formie dzienniczka, a wypadło mu też, wobec skradzenia pierwszego notesu z opisem kampanii powstańczej 1831 roku na Litwie i pierwszych miesięcy wychodźstwa, czyli całą część pierwszą tomu pierwszego, odtworzyć z pamięci, i to z oddali pięćdziesięciu lat od przeżytych wydarzeń. Dokonał tego sędziwy starzec w roku 1886 w Zyburtowszczyźnie, o czym wyraźnie informuje notatka na końcu tej części pamiętnika, jak również wstępne „Ostrzeżenie". Powstające w Zyburtowszczyźnie ostatnie tomy pamiętników, bogatych już w tematykę emigracyjną i chilijską, prowadził Domeyko przeważnie jako dziennik aż do roku 1885. Później wprowadził jeszcze do pamiętników „Dodatek z lat 1887 i 1888" – notatki z Rzymu i Krakowa, które zamieścił nie w dalszym ciągu tekstu, ale, nawiązując do treści, przy końcu rozdziału omawiającego pobyt w Rzymie (t. V, cz. 1). W naszym wydaniu, chcąc zachować chronologię, przenieśliśmy notatki z tych lat na koniec rękopisu.

Na innym miejscu pamiętników (t. II, cz. 3, k. 45 i nast.) zwraca uwagę dość osobliwy szczegół, mianowicie opisawszy dzieje współczesne (1841) miasta Santiago, pozostawił Domeyko siedem kart czystych „do dopisania za 20 czy 30 lat" – jak zaznacza – tego, „co też to będzie z tą stolicą". Dodajmy, że istotnie dane mu było po 33 latach karty te wypełnić. Wspomnijmy jeszcze o jednym miejscu *Moich podróży* (t. II, cz. 3, k. 309 i nast.), gdzie też zostawił Domeyko wolne miejsce (10 kart), aby opowiedzieć „o domach rekolekcyjnych, zwanych casa de ejercicios", ale karty te pozostały nie zapisane; może autor zapomniał je uzupełnić. Spotykamy wreszcie w pamiętnikach taką rzecz, jak pozostawienie małej partii tekstu w dwóch redakcjach (t. V, cz. 2, k. 88v–91 i 92–93). W druku podajemy tekst noszący charakter czystopisu.

Dopełniając relacji o wyglądzie zewnętrznym rękopisu dodajmy, że zawiera on kilka szkiców wykonanych ręką Domeyki (t. II, cz. 2, k. 91v, 115, 194v, 277; t. V, cz. 1, k. 31v, 32v, 34, 46), które zamieszczamy w reprodukcji, z zachowaniem miejsca, jakie mają w autografie. Żałować należy, że „Czas" drukując *Czteromiesięczną podróż z Paryża do Chile* nie uwzględnił rysunków, które załączył Domeyko do tegoż dziennika podróży, a o których dowiadujemy się ze wspomnianego już wyżej listu Domeyki do Mickiewicza. Pisze w nim Domeyko: „nie wstydzę się pomieścić w tym dzienniku rysunków moich, chociaż nie jestem artysta. Rad bym się nimi odwdzięczyć wrocławskim wydawcom za owe rysunki, którymi nie żałowali ozdobić *Podróży dla dzieci*, a które — pamiętam — szczególnie rysunki Murzynów bardzo mię bawiły"[82]. W liście późniejszym jeszcze dodaje: „kilka rysunków, które udało mi się zdjąć z natury, a między nimi góra Teneryf zasługuje na to, żeby ją dobrze wysztychowano, bo jej się dobrze przypatrzyłem, wiernie oddałem i rzecz może mieć wartość geologiczną"[83].

W tomikach pamiętników zachowało się kilka fragmentarycznych odpisów bądź wyciągów z *Moich podróży*, partii, które przesyłał Domeyko do „Kroniki Rodzinnej", luźna notatka podróżna Domeyki, a na niej skreślona ręką Turka nazwa jednego z meczetów zwiedzanych przez naszego pamiętnikarza, brulion listu (w urywku) do redaktorki „Kroniki Rodzinnej", A. Borkowskiej[84], oraz karta wizytowa syna Hernana. Tutaj też (w części pierwszej tomiku pierwszego) znajdują się dwie wyżej wspomniane rozprawy treści religijno-filozoficznej, pisane w Zyburtowszczyźnie.

Dziewięciowoluminowy rękopis pamiętników *Moje podróże* ukazuje się w niniejszym wydaniu w trzech tomach.

Ze względu na całkowicie odrębną tematykę tomu pierwszego (cz. 1—2) od dalszych pozostawiamy go jako tom oddzielny, zamknięty datami 1831—1838. Jako „Dodatek" do tego tomu zamieszczamy zachowany fragment pamiętnika pt. *Pierwsze dni kwietnia 1831 r. w Litwie.* W tomie drugim naszego wydawnictwa łączymy autografu tom drugi (wszystkie trzy części) i tom trzeci, obejmując nim pamiętniki z lat 1838—1845. W tomie trzecim łączymy autografu tom czwarty (cz. 1—2) i tom piąty (cz. 1—2), tj. notatki z lat 1846—1888.

Język oryginału, ciekawy i bogaty, wiernie odtwarzamy, zachowując wszystkie właściwości językowe autora, używane przez niego archaizmy,

---

[82] List-przedmowa do *Czteromiesięcznej podróży...*

[83] List I. Domeyki do A. Mickiewicza z 27 stycznia 1840, *Dzieła A. Mickiewicza*, jw., s. 183. Dziś, niestety, poszukiwania moje tych rysunków nie dały rezultatu.

[84] Drukowany w „Kronice Rodzinnej", 1886, nr 14.

stare formy gramatyczne, wyrażenia regionalne itp. Spotka więc czytelnik wyrazy takie, jak: źwierz, naźwisko, pastki (pułapki), z descek (z desek), żebrować (żebrać), sumnienie, przeklęstwo, ptastwo, przywdzieli, leli, namiętnoście, tą razą, wschody (schody), zniskąd, centnar, sotanna (sutanna), świce (świece) itd., oraz osobliwe konstrukcje składniowe, jak: „ubiegał się za względami", „pytałem się u niego", „poza samym brzegu", „powodem do tego strachu", „oddać do pojęcia nie zdołał" i in. Zachowano też występujące w tekście oboczności: sołtys i szołtys, źródło i źrzódło, sierp i sierzp, ćwierć i czwierć, mieszkańce i mieszkańcy itd., także w pisowni wyrazów hiszpańskich pisownię oryginalną obok fonetycznej, np. chilipa i czilipa, chueca i czueka, charqui i czarki, Pehuenches i Pehuencze itp. Utrzymano końcówki -ę w wyrazach: moję, twoję, oraz -ą w bierniku, np. kompanią, emigracją, natomiast końcówki dopełniacza liczby mnogiej pisane przez autora jako -ow zastąpiono końcówką -ów, np. generałów, klasztorów itp. Zmodernizowano ortografię i interpunkcję, ujednolicono skróty typu: długość i szerokość geograficzna, wysokość nad poziom morza itp.

Co do pisowni nazwisk, nadmieniamy, że w autografie nazwiska obce, a przede wszystkim francuskie, pisane są bardzo różnie: czasem w pisowni oryginalnej, czasem spolszczonej, a dość często w postaci zupełnie zniekształconej. W druku podajemy wszystkie nazwiska i nazwy geograficzne w pisowni poprawnej, zaznaczając w przypisach pisownię autografu. Pewne uzupełnienia skrótów, braki literowe w wyrazach i inne konieczne wstawki pochodzące od wydawcy podajemy w nawiasie kwadratowym, w odróżnieniu od nawiasu okrągłego, używanego przez autora pamiętników. Bez zaznaczenia poprawiono niewątpliwe pomyłki językowe, gramatyczne i kilka razy stylistyczne. Podkreślenia autora podano drukiem rozstrzelonym, jeśli nie były zbyt długie. W tytułach tomów i rozdziałów ingerencja wydawcy polegała na opuszczeniu zbytecznych powtarzań oraz ujednoliceniu numeracji. Przypisy, jakimi opatrzono dzieło, objaśniają nazwiska, nazwy i wydarzenia, które dla niespecjalisty mogłyby być niejasne, podają nadto przekład tekstu obcojęzycznego na język polski. Przypisy rzeczowe oznaczono cyframi, tekstowe literami, przypisy zaś pochodzące od autora pamiętników oznaczono gwiazdkami.

Pragnąc choć w części zadośćuczynić życzeniu autora *Moich podróży*, skierowanemu niegdyś do A. Mickiewicza: „gdybyś chciał kiedy wydrukować mój dziennik, rad bym, żeby choć na okładce była wysztychowana Teneryfa, a gdzie we środku, dla zaostrzenia ciekawości, z parę Murzynów i latającą rybę"[85], a przy tym pamiętając słowa Domeyki, że „wo-

---

[85] List-przedmowa, jw.

jaż bez rysunków jest jak taniec bez muzyki"[86], dołączamy do poszczególnych tomów nieco współczesnych ilustracji.

Z rękopisu objętego niniejszym wydawnictwem, poza wspomnianą już *Czteromiesięczną podróżą z Paryża do Chile*, drukowaną przez „Czas", oraz ułamkowym bardzo jej przedrukiem i streszczeniem w tomie trzecim „Biblioteki Warszawskiej" z roku 1857 i kilkoma urywkami z podróży morskiej, które zacytował Jerzy Pertek w swoim dziele *Polacy na szlakach morskich świata* (Gdańsk 1957, s. 466—469), bardzo nieznaczna tylko część, i to w wyjątkach, ogłoszona została drukiem. Pewne fragmenty, w skróconej wersji, czasem drobnej przeróbce, ogłaszał Domeyko w czasopismach polskich, przeważnie w „Kronice Rodzinnej". Tak pojawiły się na łamach tego wydawnictwa: *Odpust w Andacollo w Kordylierach* (*Moje podróże*, t. II, cz. 3) — „Kronika Rodzinna" 1876, nr 11, 12; *Wyjątki z podróży po Araukanii* (*Moje podróże*, t. III) — tamże 1884, nr 4, 5, 8—11; *Ze wspomnień podróży na Wschód* (*Moje podróże*, t. V, cz. 2) — tamże 1886, nr 14, 15; fragment zamknięty datami 24 maja 1884 — 16 czerwca 1884 pt. *Wyjątek z pamiętnika Ignacego Domeyki. Powrót z Ameryki* (*Moje podróże*, t. V, cz. 1) — tamże 1889, nr 1, 2; *O solfatarach bocznych* (*Moje podróże*, t. II, cz. 2) — „Wszechświat" 1888, nr 25, 26.

Po śmierci Domeyki ogłoszono w *Z ziemi pagórków leśnych i łąk zielonych* — książce zbiorowej poświęconej pamięci A. Mickiewicza (Warszawa 1899) — fragmenty pt. *Wyjątki z nie wydanych pamiętników Ignacego Domeyki* (*Moje podróże*, t. I); w *Sto lat myśli polskiej* (t. III, Warszawa 1907, s. 314—316) przedrukowano z „Kroniki Rodzinnej", 1889, wyjątek pt. *Dzień 24 maja 1884 r. — jesień*. Urywki dotyczące kampanii powstańczej (*Moje podróże*, t. I, cz. 1) wydał H. Mościcki w pracy: *Powstanie 1831 roku na Litwie. Wspomnienia uczestników*, Wilno 1931. Niewielki fragment opisujący pobyt Domeyki w Krakowie (*Moje podróże*, t. V, cz. 1) wydała, wstępem i przypisami opatrzyła E. Nieciowa w pracy pt. *Wrażenia Ignacego Domeyki z pobytu w Krakowie 24 lipca — 3 sierpnia 1884 — wyjątek z nie wydanych pamiętników I. Domeyki*, „Rocznik Biblioteki PAN w Krakowie", R. II.

Cały tom pierwszy *Moich podróży* wydał J. Tretiak[87], nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie w r. 1908, pt. *Pamiętniki Ignacego Domeyki (1831—1838)*, publikując tę część wspomnień jako źródło do dziejów porozbiorowych Polski.

---

[86] List do W. Laskowicza z 27 stycznia 1840, rkps Bibl. Pol. w Paryżu, sygn. 457.

[87] Tenże wydawca zapowiedział ogłoszenie drukiem całości pamiętników („Bibl. Warsz.", t. II, 1906, s. 209), ale zamierzenia te nie zostały zrealizowane.

Nie umniejszając zasługi wydawcy w wydobyciu na jaw cennych dla historyka materiałów, jakich dostarczył Domeyko, stwierdzić jednak musimy, że wydanie to posiada wiele usterek w tekście, przypisach i indeksie. Błędy rzeczowe i inne, jakie zawiera tekst drukowany, wynikły stąd, że wydawca mylnie odczytał poszczególne wyrazy[88].

Osobnego omówienia wymaga fragment pamiętnika *Pierwsze dni kwietnia 1831 r. w Litwie*, który dodatkowo wydajemy z nie znanego dotąd autografu, znajdującego się w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki PAN w Krakowie pod sygaturą 2219, dokąd dotarł ze spuścizną rękopiśmienną po Janie i Stanisławie Egbercie Koźmianach. Jest to zeszyt w sztywnej papierowej okładce, wymiaru 20,4×17,1, liczący kart 35. Na odwrocie okładki u góry mieści się notatka Domeyki: „Napisałem to dla poczciwego Edwarda i powierzam tę książkę do zachowania na lepsze czasy. Drezno 1832. Czerwca 1. d. Żegota". Na tej samej karcie u dołu ręka Jana Koźmiana zapisała: „Zostawione u mnie przez Odyńca. J. K." Pod tekstem, na końcu rękopisu, zaznaczył Domeyko: „Pisałem w Dreźnie 1832, w kwietniu, w rocznicę mojej wędrówki".

Pierwsze dni kwietnia 1831 r. w Litwie ukazały się drukiem dwukrotnie; pierwszy raz na łamach „Kuriera Poznańskiego" w roku 1880 (nr 229—237), bez podania źródła i bez autora, a opatrzone tylko przypisem redakcji, który brzmi: „Podajemy opis przygód, których w początkach powstania na Litwie doznał jeden ze znakomitych dziś rodaków. Jest to tylko drobny, ale zajmujący ustęp, spisany w Dreźnie 1832 r.

[88] Np. w autografie: w pierwodruku:

koło Suchowoli (t. I, cz. 1)	k. 13	koło Duchowoli	s. 6
zza Wilii	k. 55v	zza Wilna	s. 29
Korabiewicz (t. I, cz. 2)	k. 9v	Kozakiewicz	s. 64
w Würzburgu	k. 31	w Würtembergu	s. 70
świętsze	k. 67	świetne	s. 83
wodką	k. 81	wodą	s. 89
księdza	k. 101v	dra	s. 97
30 lat	k. 167	39 lat	s. 117
w Grodnie	k. 233v	w grudniu	s. 138
na żebraninę	k. 299	na Ukrainę	s. 165
w czerwcu	k. 325	w sierpniu	s. 181

Napotykamy też wiele opuszczeń poszczególnych nie bez znaczenia słów w zdaniach, np.: „uporządkowania zbioru" (druk, s. 181) zamiast: „uporządkowania mineralogicznego zbioru" (autogr. t. I, cz. 2, k. 325); „wymówionego choćby" (s. 156) zamiast: „wymówionego ani razu choćby" (k. 281); „zabezpieczenia upamiętały" (s. 145) zamiast: „zabezpieczenia bytu upamiętały" (k. 253 v); „terroryzmu sekretarzem" (s. 145) zamiast: „terroryzmu rewolucyjnego sekretarzem" (k. 251 v) itp. Co do przypisów, aby nie być gołosłowną, wspomnę o mylnych objaśnieniach, np. na s. 84, 97, 174, podobnie też, jeśli chodzi o indeks, o braku pokaźnej liczby nazwisk i niektórych pomyłkach, np. Wincenty Pol zamiast Justyn Pohl, Pusz zamiast Puszet itp.

Wielka szkoda, że nie posiadamy dalszych przygód autora w czasie owego powstania". Drugi raz wyszły — jak zaznaczył wydawca J. Tretiak — na podstawie autografu będącego własnością Biblioteki Ossolińskich jako „Dodatek" do *Pamiętników Ignacego Domeyki* w roku 1908 w Krakowie.

Zachodząca między tekstami tych dwóch publikacji znamienna różnica, polegająca (poza drobnymi, nieistotnymi odchyleniami w słownictwie) na tym, że w tekście „Kuriera Poznańskiego" wszystkie nazwiska osób i nazwy miejscowości podane są w pełnym brzmieniu, a w „Dodatku" przeważnie występują pod inicjałami, ponadto zaś istnienie drugiego autografu w Bibiotece PAN w Krakowie podyktowały mi wzajemne skonfrontowanie dwóch autografów i poznańskiego druku. W wyniku okazuje się, że przy ogólnej identyczności tekstów tekst „Kuriera Poznańskiego" pokrywa się z tekstem autografu Biblioteki PAN, a nie z rękopisem Biblioteki Ossolińskich; nadto proweniencja rękopisu krakowskiego wskazuje, że ten, nazwijmy go, drezdeńsko-krakowski fragment podał do druku osiadły (od r. 1867) w Poznaniu Stanisław Egbert Koźmian, w którego ręce po śmierci Jana Koźmiana przeszedł z inną spuścizną rękopis Domeyki.

W związku z istnieniem dwóch autografów nasunęła się jeszcze kwestia ich chronologii. Rozwiązały ją notatki na odwrocie okładek obydwu rękopisów, na jednym (Bibl. PAN) notatka Domeyki (zob. powyżej, przy opisie tego rękopisu), na drugim (Bibl. Ossol.) notatka Adama Grabowskiego, która brzmi: „Pamiętnik ten skreślił Ignacy Domeyko podczas swego pobytu w okolicy Elbląga, gdzie rozlokowany był korpus g[enera]ła Rybińskiego po przejściu do Prus pod Brodnicą. Gdy się Domeyko dowiedział, że Franciszek Mickiewicz[89] jedzie w Poznańskie, gdzie go u mego ojca oczekuje brat Adam, dał mu ten pamiętnik, który przy wyjeździe z Łukowa, wraz z innymi pamiątkami, Adam M. ojcu memu zostawił. Insbruck, w sierpniu 1890 r. Adam Grabowski".

Wynika z tych notatek jasno, że rękopis Biblioteki Ossolińskich jest wcześniejszy, a że pisany był na ziemi pruskiej, w świeżej jeszcze atmosferze popowstaniowej, stąd ostrożność autora ukryła nazwiska i nazwy w początkowe ich litery. Autograf Biblioteki PAN w Krakowie, późniejszy, pisany w Dreźnię, dla Odyńca, podaje już pełne ich brzmienie.

Nie wyświetliła się nam natomiast sprawa, dlaczego „Kurier Poznański" ogłosił *Pierwsze dni kwietnia* anonimowo, choć to już rok 1880 i Domeyko w dalekiej Ameryce; dziwi nas też i żal nam serdecznie, że o ocalonym pamiętniku ani o jego druku nie wiedział nic Domeyko.

---

[89] Franciszek Mickiewicz (1794—1862), podporucznik w powstaniu listopadowym, internowany w Prusach, na usilne wezwania Adama Mickiewicza przybył do Łukowa w grudniu 1831 r.

Ucieszyłby go on tam „pod antypodami", a pomocny byłby mu wówczas, gdy po latach w Zyburtowszczyźnie odtwarzać musiał z pamięci treść skradzionego mu w Paryżu (1885) dzienniczka, który — jak już wiemy — tworzył pierwszą część tomu pierwszego pamiętników.

Zestawiając to, co o straconym dzienniczku pisze Domeyko we wstępnym do *Moich podróży* „Ostrzeżeniu", z cytowaną notatką A. Grabowskiego w jednym autografie, notatką Domeyki w drugim, wreszcie z zasięgiem treściowym *Pierwszych dni kwietnia*, łatwo się domyślić, że pamiętnik ten jest odpisem tylko początkowych kart owego „pugilaresu", w którym zapisywał Domeyko wszystko, co mu się „szczególniejszego zdarzało".

Ocalony w dwóch autografach fragment omawianego pamiętnika cenny jest nie tylko dlatego, że stanowi ciekawą pozycję pamiętnikarską, ale że na jego podstawie, jako na pamiętniku kreślonym pod bezpośrednim wrażeniem przeżytych wydarzeń, możemy śledzić wiarygodność odległych wspomnień, opisanych z pamięci na kartach *Moich podróży*, a dotyczących przygotowań i pierwszych ruchów powstańczych w prowincjach litewskich oraz osobistych przygód autora w roli powstańczego gońca. Wierność ich odtworzenia w zasadniczych rysach ugruntowuje zaufanie do autentyczności dalszej partii tej części pamiętnika, którą spisywał także z pamięci.

* *
*

Oddając do rąk czytelników *Moje podróże* — księgę skrzętnych notat Ignacego Domeyki, kreślonych dla ziomków na marginesie niemal całego, niesłychanie pracowitego życia — pragnę nie tylko wypełnić należną, a przez długie lata zaniedbaną powinność wobec rodaka, który mimo dziesiątki lat spędzone na drugiej półkuli, wśród najbardziej pomyślnych warunków pozostał wiernym synem swej — jak nazywał — „rodzinnej Ojczyzny", lecz także złożyć hołd światowej sławie uczonemu, który wykrywał tajemnice wnętrza ziemi, gór i brzegów oceanowych i oddawał je na powszechny pożytek, który olbrzymim dorobkiem naukowym wzbogacił ogólnoludzką kulturę, przysparzając chwały narodowi polskiemu.

Ażeby wiedzę naszą o życiu i działalności Ignacego Domeyki należycie poszerzyć i ugruntować, należałoby podjąć jeszcze niejedną poważną pracę. W związku z tym pragnę wysunąć kilka podstawowych postulatów. Otóż wielce pożyteczne byłoby zebranie i wydanie w osobnej publikacji listów Domeyki, częściowo ogłoszonych drukiem po różnych wydawnictwach ciągłych[90], w większym zespole wydanych przez Władysła-

[90] Zob.: Z. H. Gąsiorowska, *O materiałach do Biografii Ignacego Domeyki*, „Wiadomości Muzeum Ziemi", Warszawa 1952, t. VI, s. 399—400.

wa Mickiewicza[91], a w przeważającej liczbie zalegających w rękopisach, w zbiorach bibliotecznych w kraju i za granicą (w Paryżu i w Rzymie). Publikacja ta stanowiłaby cenne dopełnienie „pamiętników wygnańca". Sprawą pilną jest opracowanie bibliografii prac Domeyki, najobszerniejsza bowiem dotąd bibliografia wyszczególniająca 130 pozycji, podana przez M. Dimmla[92], doprowadzona jest do roku 1885, a przy tym bardzo niekompletna[93]. Podobnie ma się sprawa z bibliografią prac o Domeyce: najpełniejsza — zamieszczona w *Polskim słowniku biograficznym*[94], doprowadzona jest tylko do roku 1939, a świetnie zestawiona przez Z. H. Gąsiorowską[95] w roku 1952 bibliografia biograficzna Domeyki zawiera jeszcze luki[96], i ona zatem wymaga skorygowania. Dopiero po zaspokojeniu tych potrzeb można będzie przystąpić do opracowania wyczerpującej monografii Ignacego Domeyki (sądzę, że piórem specjalistów tych wszystkich dziedzin, jakie ogarniał i jakim służył nasz uczony), której tak bardzo domaga się od nauki polskiej pamięć o zasłużonym rodaku.

Drogę ku temu wybitnie toruje Muzeum Ziemi w Warszawie, gromadząc — „w wydawnictwach, nadbitkach, fotokopiach, odpisach lub wyciągach maszynowych"[97] — wszelkie materiały odnoszące się do osoby Do-

---

[91] Listy Ignacego Domeyki do Adama Mickiewicza. *Dzieła Adama Mickiewicza*, wyd. zupełne Paryż 1880—1885.

[92] „Bibl. Warsz.", t. II, 1888, s. 389—394.

[93] Już na podstawie prac ofiarowanych przez Domeykę Akademii Umiejętności stwierdziłam w niej brak pięciu pozycji (z roku 1838, 1860, 1864 i dwóch prac z roku 1875, poza tym brak pozycji o mapach). Dodajmy, że J. Morozewicz we wspomnieniu o Domeyce z roku 1920 określa ilość prac naukowych i literackich Domeyki liczbą 180 (zob. „Sprawozdanie Państwowego Instytutu Geologicznego", t. I, Warszawa 1920, s. 86); Franciszek German zebrał (w pracy nie ogłoszonej drukiem) znacznie większą ilość pozycji.

[94] T. V, s. 317—318.

[95] Z. H. Gąsiorowska, *O materiałach do biografii Ignacego Domeyki*, „Wiadomości Muzeum Ziemi", Warszawa 1952, t. VI, s. 394—405.

[96] Pomijając pozycje nie uwzględnione w niej, a podane w *Polskim słowniku biograficznym*, dorzucę tu dwie nie podane w żadnej bibliografii, mianowicie: jedna (do działu „Przyczynki biograficzne") Zygmunt Bujakowski, *Sprawa Zana i Domeyków z chorążym Pelskim*, Lwów 1913, druga (do działu „Domeyko w poezji polskiej") wiersz *Ignacemu Domeyce* pióra „Wielkopolanina", dziękujący za życzenia, jakie nadesłał Domeyko świeżo zorganizowanemu stowarzyszeniu młodzieży akademickiej w Krakowie (1885) pod nazwą Bractwo Akademickie Filaretów. Zob. „Rocznik Filarecki", R. I, Kraków 1886, s. 1—2. Sprostować też należy podaną na s. 403 pozycję: Władysław Mickiewicz, *Mickiewicz i Domeyko*, „Bull. Polonais", mars 1909, powinno brzmieć: Władysław Malinowski, *Mickiewicz et Domeyko* (d'après J. Tretiak), „Bull. Polonais", 1906, nr 220, 1909, nr 247, 248. Ten sam błąd spotykamy w bibliografii podanej w *Pol. słown. biogr.*, t. V, s. 318.

[97] Z. H. Gąsiorowska, *op. cit.*, s. 402.

meyki. Przedsięwzięcie to jest szczególnie cenne, gdyż bogata literatura dotycząca Domeyki z tak obszernymi opracowaniami, jeśli chodzi o piśmiennictwo polskie, jak opracowania W. Korotyńskiego[98], gruntowne studium M. Dimmla[99] (praca równie cenna dzisiaj, jak była przed laty), dalej obfite pokłosie nekrologowe, późniejsze życiorysy, szkice, sylwetki, wzmianki, przyczynki, okolicznościowe wspomnienia, opracowania późniejsze (np. K. Maślankiewicza i T. Turkowskiego[100]) aż po ostatnie (np. J. Bero z r. 1953, K. Maślankiewicza z r. 1959)[101], rozproszone są po czasopismach, periodykach, wydawnictwach różnej treści, rocznikach nieraz trudno dostępnych. Z literatury tej korzystałam w całej pełni przy opracowaniu niniejszego wydawnictwa, a przy okazji prostowałam niektóre błędnie podane szczegóły biograficzne.

Zanim oddam głos pamiętnikarzowi, pragnę serdecznie podziękować tym wszystkim, którzy w pracy mojej nieśli mi życzliwą pomoc, służyli informacjami. Specjalne słowa podzięki składam redaktorowi naukowemu prof. dr H. Wereszyckiemu za cenne uwagi i przejrzenie tekstu przed oddaniem do druku, wyrazy wdzięczności przekazuję prof. K. Kramarczykowi, który nie szczędził mi pomocy przy kontroli tekstów hiszpańskich w pamiętniku i ich przekładzie. Podkreślić wreszcie pragnę ogromną zasługę Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, o którym słusznie powiedział Domeyko (w swych pamiętnikach), że „jest chlubą i bogactwem naszego narodu", a który realizując obecnie druk obszernych pamiętników wygnańca — *Moich podróży,* czyni zasadniczy, a zarazem milowy krok w dziele przybliżenia dzisiejszemu pokoleniu jednego z wielkich przyrodników XIX wieku, którego warsztatem pracy naukowo-badawczej i odkrywczej była ziemia, w szczególności ziemia chilijska od Cieśniny Magellana aż do granic Peru, a zarazem jednego z głównych przedstawicieli epoki romantyzmu, uczonego, który z gniazda filareckiego ród duchowy wiodąc, wpatrzony w szczęśliwą przyszłość swej Ojczyzny, w „jutrzenkę swobody" i „zbawienia słońce", pracą dla nauki i ludzkości służył Polsce.

Elżbieta Helena Nieciowa

---

[98] W. Korotyński, *Ignacy Domeyko,* „Tygodnik Ilustrowany", 1889, nr 319, „Kronika Rodzinna", 1889, nr 4, także artykuły za życia Domeyki pisane (zob. powyżej, przypis 37).

[99] M. Dimmel, *Ignacy Domeyko. Zarys biograficzno-naukowy,* „Bibl. Warsz.", t. II, 1888, s. 177—201, 374—398.

[100] K. Maślankiewicz i T. Turkowski, *Ignacy Domeyko,* „Pol. słown. biogr.", t. V, s. 313—318.

[101] J. Bero, *Ignacy Domeyko — wielki geolog polski,* „Horyzonty Techniki", R. VI, 1953, nr 1; K. Maślankiewicz, *Ignacy Domejko,* [w:] *Polscy badacze przyrody,* Warszawa 1959, s. 152—171.

TOM PIERWSZY

POCZĄTEK PODRÓŻY MOICH Z ZAPOLA PO ŚWIECIE

1831 — 1832

CZĘŚĆ PIERWSZA

OSTRZEŻENIE

Od pierwszych dni mojego wyjścia z Zapola[1] na żołnierkę i przystania do przechodzącego przez Zapole oddziału wojsk naszych Chłapowskiego[2], w m[iesią]cu czerwcu 1831 r., miałem zwyczaj pokrótce zapisywać w pugilaresie[3], co mi się szczególniejszego zdarzało. Przeszła dla mnie niefortunnie cała pod tym walecznym generałem kampania, przeszły potem leże w piaskach pruskich, tydzień w fortecy piławskiej[4] i nastąpił początek emigracji.

Kiedym po przebytej jesiennej porze i początku zimy w Prusiech połączył się z Mickiewiczem, Odyńcem[5] i Garczyńskim[6] w Dreźnie (pierwszych dni styczn[ia] 1832), już był mój dzienniczek dość spory i tworzył tom pierwszy *Moich podróży*. Jako pamiątkę najważniejszej dla mnie epoki życia woziłem ten dzienniczek z sobą przez 54 lat[a] z górą z zamiarem ogładzić i poprawić to, co po większej części dorywczo w nim byłem napisał. Towarzyszył on mi na morzu w podróży do Ameryki i na stepach argentyńskich, i po Kordylierach, i na pobrzeżu Wielkiego Oceanu; przywiozłem go i za powrotem z Ameryki do kraju; miałem go przy sobie i w Rzymie, i w Jerozolimie. Miałem go też przy sobie w powrocie z Ziemi Świętej, kiedym na początku listopada przy-

---

1 Zapole, wieś w Zyburtowszczyźnie w pow. lidzkim, własność stryja Ignacego Domeyki (również Ignacego Domeyki), gdzie po procesie filareckim i skazaniu na przymusowy pobyt na wsi osiadł Domeyko i prowadził gospodarstwo.

2 Dezydery Adam Chłapowski (1788—1879), generał dywizji, uczestnik walk napoleońskich. Po upadku powstania listopadowego i odbytym więzieniu osiadł w Turwi i oddał się gospodarstwu, w latach 1843—1865 wydawał „Przegląd Poznański".

3 Tj. w notesie.

4 Piława, m. w b. Prusach Wschodnich, dawna twierdza morska.

5 Antoni Edward Odyniec (1805—1885), filareta, pisarz i tłumacz, serdeczny przyjaciel Domeyki i Mickiewicza; redaktor „Kuriera Wileńskiego" (1837), później (1866) współredaktor „Kuriera Warszawskiego" i „Kroniki Rodzinnej". Prowadził ożywioną korespondencję z Domeyką przebywającym w Chile.

6 Stefan Garczyński (1805—1833), poeta romantyczny, uczestnik powstania listopadowego. Zmarł w Awinionie.

był do Paryża, aby towarzyszyć memu przyjacielowi Bohdanowi[7] i pocieszać go przy operacji zdjęcia z jego oczu katarakty przez zacnego a słynnego naszego doktora Gałęzowskiego[8]. Nieszczęśliwy był skutek tej operacji, choć najumiejętniej i najlepiej dokonanej, Cały miesiąc listopad przebolałem przy chorym mym ociemniałym rówieśniku, a w tymże czasie i mój drugi stary przyjaciel Laskowicz[9] zachorował na nogę. Smutny to był dla mnie miesiąc. Jednego ranka dla poprawienia humoru, czy też nie mając co robić, dobyłem z tłumoka ów mój dzienniczek z 1831 roku i przerzucałem w przypomnieniu dawne moje dzieje; zostawiłem go na stoliku, wyszedłszy moim zwyczajem do chorych przyjaciół, i nie wiem, czy tego dnia, czy nazajutrz skradziono mi go, nie pojmuję, w jakim celu i na jaką dla kogokolwiek korzyść.

W tym samym hotelu Cluny skradziono mi pierwej niewielkiej wartości tłumok, w którym był mój przekład św. Teresy i kilka innych małej wagi rękopisów.

Nie zafrasowała mnie zbytecznie ta szkoda; tylko z przyczyny, że rzeczony dzienniczek był niejako wstępem do obszerniejszych pamiętników, które w późniejszych latach dociągnąłem aż do powrotu z Ameryki, czuję się zniewolonym do zebrania w pamięci wydatniejszych szczegółów z pierwszych sześciu miesięcy mojego wychodź[s]twa i do streszczenia ich w całość, mogącą dać pojęcie usposobienia, w jakim byłem, kiedy przyszło na pięćdziesiąt lat oddalić się z domu, z kraju, od rodziny — nie wiedząc, dokąd.

---

[7] Zaleskiemu. Bohdan Zaleski (1802—1886), uczestnik powstania listopadowego, później emigrant, autor dum i rapsodów opartych na motywach ludowych.

[8] Seweryn Gałęzowski (1801—1878), syn Jana, student Uniwersytetu Wileńskiego, znakomity chirurg i wybitny działacz społeczny na emigracji w Paryżu.

[9] Władysław Laskowicz (1811—1891), student Uniwersytetu Wileńskiego, prawnik, uczestnik powstania listopadowego na Litwie, na emigracji czynny członek wielu towarzystw.

I. Wyjazd z domu

Było to roku 1830, a dwudziestego dziewiątego mego życia, że zaświeciła pognębionemu narodowi naszemu nadzieja oswobodzenia się i powrotu do niepodległego życia. W nocy 29 listop[ada] garstka młodzieży dała hasło do boju, a już na nowy rok [18]31 mieliśmy wojska do 30 tysięcy i Rząd Narodowy. Roztoczył skrzydła orzeł biały na czerwonych chorągwiach przed kolumną Zygmunta, poruszyły się w grobach popioły Batorego, Jana III, Czarnieckich, Żółkiewskich, Kościuszki.

Błyskawicą przeleciała wieść znad Wisły do Niemna i Dniestru po Dniepr i Dźwinę i zapaliła do boju Litwę naszą i Żmujdź. Nie przeszło święto Bożego Narodzenia tak spokojnie, na zabawie i wylaniu się rodzinnym, jak bywało od dwudziestu lat od napoleońskiej wojny. Schadzała się nocami młodzież w Wilnie i po mniejszych miastach, zjeżdżali się na narady starzy i młodzi patrioci; zapaleńsi już zbierali broń, lali kule, gotowali konie na partyzantkę, a tymczasem ciągnęły pod naszym okiem coraz liczniejsze o[d]działy jazdy i piechoty z Rosji na Warszawę; pułki z wojskowych osad i gwardia cesarska.

Zima była sroga; biegały złe i dobre wieści. Komunikacje znad Wisły stawały się coraz trudniejsze. Ogarniały na przemian to trwoga, to nadzieja; nieczynność z każdym dniem zdawała się coraz bardziej występną, niepokoiła sumnienie. Zaledwo topnieć poczęły śniegi, gruchnęła wieść o grochowskiej bitwie[1], wraz potem o Stoczku[2], a z zaraniem wiosny o zwycięstwie pod Dębem Wielkim[3].

Dziejopisom zostawuję opowiedzieć, jakie to było wstrząśnienie umysłów na Litwie pod koniec marca i przez cały kwiecień; jak się utworzyła komisja czy rząd patriotyczny tajny w Wilnie, jak się natychmiast organizować poczynały okręgowe powstania w powiatach należących do

---

[1] 25 lutego 1831 r.

[2] 14 lutego 1831 r.

[3] Dębe Wielkie, zwane też Dembe Wielkie, wieś na wschód od Warszawy, pamiętna zwycięstwem gen. Skrzyneckiego w dniu 31 marca 1831 r. W autogr. występuje: Dębą Wielką, Dembą Wielką.

guberni wileńskiej i na Wołyniu; jak stanęli do wyjścia na partyzantkę akademicy wileńscy. Ja się zamknę w moim dzienniczku z przypomnieniem tego, na co patrzyłem.

Nasza gubernia grodzieńska[4] przez cały kwiecień nie była poruszoną; toczyły się tylko narady i robiono przygotowania. Był gościem u nas w. książę Konstanty z żoną, księżną łowicką[5], i niemałym oddziałem wojska; były garnizony po powiatowych miastach i podwajała się czujność policyjna, a co dzień to nowe roty i szwadrony armii rosyjskich nadciągały zza Dniepru.

Powiat lidzki, w którym mieszkałem, był jeszcze niedołężniejszym może natenczas od innych. Niecierpliwość mię brała; z dnia na dzień trudniejsze położenie; wiadomości dochodzące zza Narwy i Bugu coraz to pomyślniejsze i gorętsze; wstyd brał i hańba, a o rachubie i rozwadze ani myśleć.

Miałem już i broń, i konia. Nie pocieszała mię piękna i wczesna ruń tej wiosny, zapowiadająca obfity plon na lato, ani gospodarstwo domowe, ni dom zapolski zaciszny i książki. Dniem i we śnie nasuwały się przypomnienia młodości z filomackich, filareckich lat wileńskich na uniwersytecie, kiedy to tyle marzyliśmy o dobru kraju, o jego przeszłości świetnej i przeznaczeniu, o obowiązkach obywatela i owym: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił"[6], nie byłoż naówczas jakby sprzysiężenie zobopólne dać życie za Ojczyznę, gdy godzina wybije „nunc et olim, et..."[7]

A czas upływał; dawni przyjaciele już pod bronią; wielu już może chwalebnie poległo, odpłaciło dług matce-ojczyźnie; gorzała głowa, sumnienie jak wulkan buchało.

Kiedy jednego rana w czas słotny koło godziny dwunastej zajeżdża przed ganek zapolski wózek chłopski i z niego wysiada ktoś z obwiązaną prawie do oczu twarzą. Poznaję — to Kozakiewicz[8], dawny współfilomat, filaret, mój od serca przyjaciel. „To ty? — skądże jedziesz?" „Jadę — prędko odpowiedział, jakby zadyszany — jadę z Wilna i wiozę dla ciebie słowny rozkaz od Rządu Tymczasowego (czy Komisji Generalnej Wileń-

---

[4] Gubernia grodzieńska obejmowała wówczas część woj. trockiego, nowogródzkiego, brzeskiego i podlaskiego.

[5] Joanna z Grudzińskich, od roku 1820 morganatyczna żona w. ks. Konstantego, otrzymała tytuł księżny łowickiej i na własność księstwo łowickie. Zmarła w 1831 roku.

[6] *Pieśń filaretów*, Mickiewicza, w. 43—44: „mierz siłę na zamiary..."

[7] „Teraz i kiedyś, i ..."

[8] Stanisław Kozakiewicz (ur. 1802), filareta, adwokat w Wilnie, w 1831 emisariusz, spiskowiec wileński zesłany na Syberię w związku ze sprawą Szymona Konarskiego w roku 1838; zmarł w Tomsku.

skiej), abyś co najśpieszniej starał się przedrzeć do naczelnego wodza, który musi teraz mieć główną kwaterę koło Płocka, i doniósł mu, że już powstanie zawiązało się w wielu miastach guberni wileńskiej, a młodzież akademicka wileńska wychodzi na powstanie do Puszczy Rudnickiej[9] i przyległych lasów. Masz tedy donieść o tym, prosić o oficerów instruktorów dla powstańców, jako też o rozkazy i instrukcje dla dowódców Komisji Wileńskiej i dla naczelników powstania". „Ale jakże to mnie uwierzytelnią?" „Oto masz — przerwał, nie dał dokończyć — masz oto na znak te dwa pieniążki miedziane, jeden z roku 1812, które pokażesz Skrzyneckiemu, a one ciebie uwierzytelnią, bo już naczelny wódz jest uprzedzony".

„Dobrze, ależ ogrzej się, zjedz co". „Nie mam czasu, jechać muszę najśpieszniej na Wołyń, zajęty już przez wojska nasze po batalii pod Stoczkiem, i muszę tam porozumieć się z naczelnikami powstania w imieniu Wileńskiej Komisji; nie trać czasu i ty, chodzi tu bowiem o dobro ojczyzny; daj mi co lepiej do jedzenia na drogę".

Opowiedział mi dorywczo Kozakiewicz o przygotowaniach do powstania w Wilnie, o ruchach powstańczych w Oszmianie[10], w Kiejdanach[11], w Krożach[12]: wszystko w najżywszych, wesołych kolorach.

Nie uszło godziny, a już Kozakiewicz był na trakcie do Radziwoniszek[13], a ja w parę godzin na trzykonnej bryczce z młodym moim furmanem Łukaszem ruszyłem do Grodna, nie zostawiwszy najmniejszej instrukcji dla mego rządcy w domu, nie uwiadomiwszy stryja ani kogo bądź, dokąd jadę.

Jadę tedy do Grodna w nadziei, że tam znajdę patriotów, którzy mi ułatwią przedarcie się przez granicę, i stamtąd lasami, piechotą czy jak będzie można, szukać będę sposobu dostać się do głównej kwatery naszego wojska, a choćby do Warszawy.

Zatrzymałem się na moment w Szczuczynie[14] u ks.ks. pijarów, gdzie szkoły byłem ukończył. Dawny mój nauczyciel historii polskiej[15] uści-

---

[9] Puszcza Rudnicka, wokół miasteczka Rudniki w pow. trockim, nad rzeką Mereczanką.

[10] Oszmiana, miasto pow. nad rzeką Oszmianką.

[11] Kiejdany, miasto pow. nad rzeką Niewiażą.

[12] Kroże, miasteczko w pow. rosieńskim nad rzeką Krożentą.

[13] Radziwoniszki, wieś w powiecie lidzkim, na trasie z Lidy do Grodna.

[14] Szczuczyn (zwany Litewskim), miasteczko w pow. lidzkim. W kolegium oo. pijarów kształcił się Domeyko w latach 1812—1816.

[15] Mowa zapewne o Janie Kantym Zakrzewskim (1781—1842), prefekcie i nauczycielu prawa i historii w kolegium w Szczuczynie w latach 1809—1811, 1814—1820, 1823—1832 (notatkę tę zawdzięczam prof. dr L. Chmajowi).

snął mię serdecznie, nie pytał, dokąd jadę, jakby odgadł, uronił łzę i pobłogosławił.

W Grodnie znalazłem Makowskiego[16], adwokata, plenipotenta Paca[17], i drugiego jeszcze znajomego filareta w służbie rządowej[18], którzy mi dali listy do jednego obywatela, mieszkającego nad Bobrem, gdzieś, jeśli się nie mylę, koło Suchowoli[19]. Nie tracąc czasu odsyłam mój powóz do Zapola, a w najętym wózku, bez żadnego ma się rozumieć przyboru ni tłumoka, jadę do tego zacnego obywatela, w którego domu i licznej rodzinie znalazłem najmilsze przyjęcie. Zaledwo zmierzchło, już miałem małą furmankę, na której też bez trudności ze strony straż granicznych dojeżdżam późno do położonego blisko granicy folwarku (już w Augustowskiem) z zaletną kartką do właściciela znanego z uczynności, poświęcenia się[20].

Nie znajduję gospodarza w domu. Młoda, piękna, z dwojga[!] małymi córeczkami jego żona z niejaką bojaźnią mię przyjmuje, ale prosi, abym zaczekał. „Mąż mój — rzecze — od rana poszedł przeprowadzać przez Augustowską Puszczę dwóch powstańców z Wilna do Naczelnego Wodza i lękam się bardzo, niespokojna jestem o niego, bo właśnie odbieram ostrzeżenie, że komenda garnizonu (w Sejnach czy w Augustowie) już się dowiedziała o przejściu emisariuszów i mają nas w podejrzeniu".

W tym momencie zaszczekały psy na dworze; przychodzi uwinięty płaszczem, strudzony całodzienną podróżą gospodarz; uścisnął żonę i dla uspokojenia jej powiada, że już bezpiecznie przeszli dwaj emisariusze: Michał Wołłowicz[21] i Przecławski[22] z Wilna; że cała gubernia wileńska powstała, akademicy wyszli na partyzantkę i nie mamy czego się lękać,

---

[16] Aleksander Makowski, w powstaniu listopadowym podporucznik 2 pułku liniowego, na emigracji dyrektor mennicy w Strasburgu.

[17] Ludwik Pac (1780—1835), generał z wojen napoleońskich, uczestnik powstania listopadowego, członek Rządu Tymczasowego, po upadku powstania emigruje do Francji, potem Azji.

[18] Mowa o Józefie Krassowskim, sekretarzu gubernatora cywilnego w Grodnie; w powstaniu listopadowym kapitan 8 pułku liniowego, jeden z dowódców powstania w Puszczy Białowieskiej.

[19] Suchowola, miejscowość w pow. sokólskim, nad rzeką Olszanką.

[20] Opierając się na zachowanym fragmencie pamiętnika *Pierwsze dni kwietnia 1831 w Litwie* należy przypuszczać, że mowa tu o folwarku Dębowo (w autogr. Dembowa, ale takiego nie zna *Słownik geograficzny*) i o „sławnym z poczciwości Litwinie" Andreackim. Zob. Dodatek, s. 233.

[21] Michał Wołłowicz (1806—1833), filareta, rotmistrz kawalerii litewsko-polskiej. Po upadku powstania wyemigrował do Paryża, w 1833 r. wziął udział w wyprawie do Polski, zginął powieszony w Grodnie.

[22] Leon Przecławski, kapitan, na emigracji członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

bo niewielki oddział dragunów czy kirasjerów[23] z Augustowa poszedł osaczać powstańców na puszczy; a była wiadomość, że w samej Puszczy Augustowskiej było do tysiąca powstańców Puszeta[24] czy innego jakiegoś naczelnika[25].

Tą wiadomością uradowana młoda gospodyni wesoło z dziećmi spać poszła, a nam do północy prawie na przyjemnej gawędce przy dobrej wieczerzy godzina zeszła; nazajutrz o wschodzie słońca przyrzekł mi nieoszacowany gospodarz tąż samą drogą mnie przeprowadzić, którą przeszli rzeczeni emisariusze.

Gdyśmy się zabierali do spoczynku, a było już łóżko dla mnie przygotowane, jakby ruszona przeczuciem pani domu przychodzi i rzecze: „Mężu, idźcie lepiej tej nocy wyspać się spokojnie do stodoły; bo nuż zamarzy się policji tu zawitać, jeżeli się dowiedziała, żeś przeprowadził emisariuszów". „Dobrze mówisz, moja kochana" — odpowiedział mąż i poszliśmy z nim do gumna, a wleźliśmy wysoko na ścianę pod strzechę. Za nami wszedł piętnastoletni chłopak służący, zawarł wrota i położył się na ziemi.

Zaledwo oczy zmrużyliśmy, słyszymy tętent koni i po chwili przez szczelinę widzimy przeciągających stępo ze dwieście czy więcej dragunów. Wnet płacz i krzyk kobiet i dzieci rozchodzi się po całym dworze z groźbą oficera, że spali dom, jeżeli mu nie wydadzą gospodarza domu i emisariuszów. Już po całym dziedzińcu plądrują żołnierze; wpadają na folwark, do oficyny, do stodoły — otwierają gumno. Przestraszony chłopak porwał się z ziemi; biją go, kaleczą, ofiarują nagrodę, byleby powiedział, gdzie jest jego pan; każdy ciąg, każde uderzenie w tego nieszczęśliwego chłopca czułem jakby chłostę po moim karku; zaciął się biedak, jęknął po wielekroć, nie wymówił słowa.

Trwało to straszne poburzenie[!] i odgrażanie się dragunów więcej godziny; już dnieć poczynało — nie przyszło im na myśl wleźć na siano, a i tam może Bóg by im nie dozwolił znaleźć nas zagrzebanych pod strzechą. Uspokoiło się potem wszystko przez kwadrans, a może i dłużej. Potem znowu posłyszeliśmy koło gumna szemranie dragunów już wsiadających na konie; niejedno ich brzydkie słowo, szkaradne przekleństwo dochodziło do nas. Po chwili już tętent koni poczynał oddalać się, cichł i ustał.

---

[23] kirasjer (z franc.) — żołnierz ciężkiej konnicy, zbrojny w hełm i pancerz żelazny.

[24] Jan Kasper Puszet (ur. 1781), syn Filipa i Anny Strzemboszówny, major 4. pułku ułanów, potem podpułkownik. W autografie pomyłkowo: Pusza; w zachowanym fragmencie pamiętnika pisze Domeyko poprawnie: Puszeta. Zob. Dodatek, s. 243.

[25] W Augustowskiem prowadzili partyzantki major Puszet i major Schön, który w Mariampolu dostał się do niewoli i został powieszony.

Nie było czasu dłużej popasywać; zleźliśmy z siana; chłopak był zbolały, ale spokojny; zdjąłem z niego i na siebie włożyłem jego sukmanę, a jemu darowałem mój surdut; takąż zamianę zrobiliśmy na czapki; i tak przybranemu dał mi zacny gospodarz przewodnika do położonego o milę młyna, gdzie miałem znaleźć kogoś, którego obowiązkiem było przeprowadzać ochotników do najbliższego oddziału partyzantów w puszczy obozujących; ci zaś mieli wskazać mi sposób i drogę do najbliższych forpoczt naszej narodowej armii. Gospodarz sam nie mógł mi towarzyszyć; musiał zostać przy chorej, przestraszonej żonie.

Cóż było robić — pomyśliłem — już emisariusze z Wilna przeszli do Warszawy; dopełnią tegoż zapewne, jakie mam, polecenia; — wracać? Ach nie! Broń Boże, jakże nie dopełnić swego postanowienia; a może ich złowią — nie, bądź co bądź idźmy dalej, choćby bez skutku i bez potrzeby.

Przebrany za chłopa, dochodzę dość rano do wskazanego mi młyna. Stary, osiwiały młynarz pozdrowił mię uprzejmie, poznał we mnie ochotnika, posłańca z ważnym jakimś poleceniem; uraczył gościnnie chlebem i syrem i dał mi swojego syna, zalecając mu, aby mię manowcami przeprowadził do położonej o trzy czy cztery mile nad Narwą wsi, tuż przy lesie, gdzie się miał znajdować powstańców oddział do tysiąca ludzi liczący. W owej wsi miał młynarz kuma i przyjaciela swego szołtysa, na którego zaufaniu polegał.

Idziemy więc; niebo się chmurzyło; z daleka od północy dochodziły huki jakby od strzałów harmatnych czy piorunów. Szliśmy dzień cały; już ciemniało, kiedyśmy weszli do chaty szołtysa. Z nim poszeptał zaraz mój przewodnik i odszedł. Oprócz żony i dzieci szołtysa było też niemało ludzi, których postawy nie mogłem dobrze przy migającym świetle palącej się łuczyny rozeznać.

Był jakiś ruch w izbie, na który zrazu niewiele zwracałem uwagi; wchodzili i wychodzili chłopi i niechłopi. Posadzono mię na ławie przy stole; wypiliśmy z szołtysem czark[ę] wódki; przyniosła kobieta misę krupniku i chleb razowy. Potrzebowałem posiłku; a kiedym zajadał, usiadł przy mnie człowiek jakiś i zagadał po niemiecku, ale znać było, że nie był to Niemiec. Nie wiem, skąd mi przyszło powiedzieć też parę słów z niemiecka. Odszedł nieznajomy i wypróżniać się poczęła chata; odszedł i szołtys ode mnie, kiedym się go radził, jak mógłbym był dostać się do powstańców, z których naczelnikiem mam do pomówienia.

Wtem słychać wielki ruch koło chaty, wbiegają ze strzelbami partyzanci. Było ich może do dziesięciu, witają mnie, witam ich, ale nie wchodząc w rozmowy prowadzą mnie do lasu. Zaledwo weszliśmy w gęstwinę, słyszymy przeciągający niedaleko drogą szwadron jazdy rosyjskiej. Podbiegamy, zasadzamy się jak do boju; nieprzyjaciel już był daleko.

Idziemy dalej w głąb lasu: księżyc wschodzić poczynał; poznaję, że niejeden z moich towarzyszy był podochocony. Dochodzimy na miejsce, gdzie z pogaszonych świeżo ogniów wnosiłem, że był tam obóz tylko co zdjęty; znajdujemy jeszcze kilku innych partyzantów i pijanych. Na próżno pytam ich o naczelnika, abym z nim pomówił; nic nie odpowiadają.

„Co to znaczy?" — pytam u jednego, który ode mnie na krok nie odstępował. „Obaczysz — odpowiedział — wiemy, kto jesteś, ty Prusak, tyś na nas naprowadził Moskali". Nic więcej nie mówiąc, zatrzymuje mnie przy grubej sośnie, przy której dwóch jeszcze na wpół jak on pijanych usiadło, a reszta kolegów rozpierzchła się czy poszła za naczelnym dowódcą.

Dosyć, że zostałem sam na sam z trzema nietrzeźwymi partyzantami, z których jeden barczysty przywiązał mię powrozem do sosny, a dwaj drudzy z odciągniętymi kurkami na kilka kroków przede mną na ziemi siedzieli, jakby czekając na jaką komendę.

Księżyc już był się podniósł; las gęsty, cicho. Uszło może pięć minut, kiedy spomiędzy drzew, widzę, podchodzi do mnie jakaś czarna, wysoka figura, ni to człowiek, ni widmo — przybliża się, daje znak trzem moim oprawcom, aby na stronę odeszli, coś z nimi po cichu pomówił i kazał dalej odejść. Kiedy się przybliżył, poznałem, że był to ksiądz posłany może do wyspowiadania. Opowiedziałem mu, kim jestem i dokąd idę. „W złą godzinę przybyłeś — rzekł — większa część naszych podpiła; jakiś szpieg wydał nas komendzie w Augustowie; szołtys doniósł, że złowiono Prusaka i osądzono cię rozstrzelać". „Uciekaj" — rozwiązał mnie i powtórzył — „uciekaj!" Na wpół oburzony, ale spokojny, pomyśliłem, że chcą mię wypróbować, czy w istocie jestem emisariuszem, i że na zasadzce zostawieni dwaj strzelce marnie mnie zabiją. Odpowiedziałem księdzu, że nie chcę uciekać, że zostanę na miejscu; wtedy widząc to moje postanowienie, dobry kapłan wziął mię za rękę i poprowadził może o parę stai w gęstwinę i przeżegnawszy mnie, sam uciekł ode mnie.

W tym momencie takie uczułem znużenie i osłabienie sił po całodziennej piechotą podróży, że padłem na mech i zasnąłem.

Ocykam się, już słońce było weszło. Cóż począć, w którą stronę obrócić się? Tu może partyzanci, tam może draguni, a tam — w puszczy zabłądzę.

Wyjść jednak nakazywała konieczność z wilgotnej gęstwini; szedłem, nie wiedząc dokąd, aż zoczyłem przerzedzający się las; byłem przy brzegu; aż tu spostrzegam mego szołtysa, bieży obces do mnie i pada mi do nóg. „Daruj mi, panie, oszukali mnie, byłem donosicielem, wiem teraz, kim jesteś". Sądzę, że ów ksiądz musiał go oświecić i powiedzieć, gdzie mnie zostawił.

Serdecznie i najzupełniej przebaczyłem poczciwemu szołtysowi, a o księdzu nie wiem, jak się nazywał; był zapewne kapelanem partyzantów w tej puszczy.

Przypadek nocny przyniósł rozwagę do głowy. Po cóż iść dalej, kiedy dwaj emisariusze idący prosto z Wilna mogą lepiej poinformować naczelnego wodza o ruchach powstańczych wileńskich, jako też o Rządzie czy Komisji Tymczasowej, którą znali, która ich ustnie lepiej musiała objaśnić o wszystkim niż to, co mi powiedział naprędce Kozakiewicz. A do tego i szołtys już mi prawił ni to, ni owo, kiedym się rozpytywał, w którą stronę poszli partyzanci i którędy lepiej byłoby przedzierać się do głównej armii, i czy może mi nastręczyć przewodnika.

Ofiarował mi się serdecznie na usługi; ale pomyśliwszy i podziękowawszy Bogu za wyratowanie z dwóch w jednym dniu niebezpieczeństw, rzekłem do szołtysa: „Jakże by tu można przeprawić się przez granicę na powrót?" „Niełatwa sprawa — odpowiedział poczciwiec — kozacy za rzeką jak muchy latają; jednakże bądź pan spokojny, Najświętsza Panna dopomoże; pójdziemy wieczorem niby to ryby łowić, a tymczasem wyśpij się pan i posil się u mnie".

Zaprowadził mię tedy miedzą i poza płotem do siebie, oddalił z chaty dzieci i kobiety, dał mi swoje łóżko i posiłek, zatrzasnął drzwi od podwórza i zasunął kołkiem. Spałem do wieczora. Po zachodzie słońca poszedłem z wędką z synem szołtysa na brzeg rzeki i wsiadłem z nim do czółna. On mi pierwej, niż zmierzchło, wskazał lasek, za którym miała być dróżka, i nie pamiętam, jak mi opowiedział, którędy trzeba iść nocą, aby trafić do znajomego mu obywatela, tego samego, do którego pierwszego dnia mojej niefortunnej wyprawy byłem zawitał z Grodna.

Płyniemy najprzód koło brzegu zarzucając wędki, a spozierając na kozaków porozstawianych jakoby o parę stai jeden od drugiego na przeciwnym brzegu rzeki i przeciągających z wolna po zabrzeżu. Nieznacznie posuwamy się na środek rzeki, potem dalej nieco i znowu nazad. Nie brały się ryby na wędkę, jak sobie przypominam, a chociażby się brały, nie chodziło o nie. Zachodzi zmrok; kozak tam gdzieś jeden może był zadrzemał, drugi przejechał z wolna koło nas zajętych wędkami — a jak pomiarkowałem, że o dobrą staję był się oddalił, plusnąłem z czółna na brzeg i cichaczem drapnąłem w las tak zręcznie, że jak mi się zdaje, ani kozacy nie posłyszeli.

Było już ciemno, przede dniem dochodzę do wspomnianego obywatela; witają mnie radośnie; w parę godzin mam już Żydka z wózkiem i chudą szkapą. Tegoż dnia wróciłem, omijając Grodno, prosto do Zapola.

Nie zraziła mnie bynajmniej ta trzydniowa awantura; zdziwili się wprawdzie moi domownicy w Zapolu, spostrzegłszy mnie za chłopa prze-

branego; ale nie miałem potrzeby zdać sprawy z tego, co się przytrafiło. Był to wtorek czy środa Wielkiego Tygodnia. Pośpieszyłem nazajutrz z Zapola na Wielkanoc do mojego stryja[26], z obawy, aby się pierwej nie dowiedział o moim zniknieniu z domu. W istocie nikt o tym nie wiedział. Ostatnie tego roku jadłem święcone w kraju w Zyburtowszczyźnie u mojego stryja Ignacego — w pięćdziesiąt i pięć lat później po powrocie z Ameryki w tymże domu i tym samym pokoju jem drugie święcone już u mego zięcia i córki[27] i tu piszę ten pamiętnik; wróćmy do niego.

Wraz po Wielkanocy przeczuwając, że niezadługo opuszczę dom i rodzinę, pojechałem pożegnać się z matką[28] do Saczywek[29], potem do siostry Wierzbowskiej do Dołmatowszczyzny[30], potem do braterstwa Adamów[31] i wróciłem do Zapola, z błogosławieństwem matki: jej ręce drżały, kiedym je całował, a łzy jej czuję dotąd gorące na moim czole; na toż mię ona wychowała, abym ją na zawsze opuścił.

Nietrudno przypomnieć, ale niełatwo opisać, co się to w duszy działo, kiedym powrócił do Zapola, jaka w niej wrzała żądza iść czym prędzej na partyzantkę, przyłączyć się do jakiego powstania lub zaciągnąć się do pierwszego jakiego pułku czy szwadronu narodowego, których się od dnia do dnia spodziewano. Jeździłem konno do bliższych sąsiadów, do małego zaścianka, do miasteczka, szukając ochotników; nigdzie na nich nie brakło, ale „czekać, to jeszcze nie czas, obaczymy" było pospolicie odpowiedzią. Tymczasem co dzień nowe pogłoski dochodziły o zwycięstwach, poświęceniu się, odwadze naszego żołnierza w Królestwie; już i na Litwie ruch się rozszerzał; rzeź w Oszmianie[32] i odwet na Czerkiesach Matuszewicza[33]; akademicy biją się w Rudnickiej Puszczy; powstania na Żmujdzi; Francuzi jakoby w pomoc i broń od Anglików zapewnio-

[26] Ignacy Domeyko, regent sądów asesorskich i Trybunału Głównego W. Ks. Litewskiego, w 1817 roku wicemarszałek powiatu słonimskiego.

[27] Zięcia — a zarazem bratanka, syna Kazimierza — Leona Domeyki i córki Anny.

[28] Karoliną z domu Ancutówną.

[29] Saczywki, folwark w pow. nowogródzkim.

[30] Marii Wierzbowskiej. Dołmatowszczyzna, wieś w pow. nowogródzkim, własność Wierzbowskich.

[31] Domeyko miał dwóch braci: starszego Adama (ur. 1799), właściciela Wielkiej i Małej Niedźwiadki, asesora sądów granicznych, ożenionego z Józefą Śliźniówną, i Kazimierza (ur. 1803), porucznika gwardii wojsk rosyjskich, żonatego z Idalią Matkiewiczówną.

[32] W dniu 11 kwietnia 1831 r. Upamiętniona w wierszu K. Garczyńskiego pt. *Rzeź oszmiańska*.

[33] Wincenty Matuszewicz (1801—1862), pułkownik, zwany „piorunowym", słynny partyzant litewski, „naczelnik nad Trockim Jeziorem", uwieczniony w wierszu A. Mickiewicza *Nocleg*. Po upadku powstania emigrant, przebywał w Besançon.

na. Maj upływał w próżnym oczekiwaniu; nie pocieszały mię zieleniejące runie, lipy rozkwitłe, drzewo do budowania domu świeżo przygotowane; rdzewiała szabla w kącie; na strzelanie do mety marnowałem proch i kule.

W tym stanie coraz trudniejszym do wytrzymania znalazł mię przybyły do mnie w gościnę mój krewny Putkamer (mąż Maryli)[34], rozmawialiśmy z nim o tym, jak wyjść z owej bezczynności, kiedy — widzę — zajeżdża przed ganek bryczka kryta, z której wysiadają dwaj młodzi podróżni jakby z dalekich stron; rozpytują się u służącego, czy jestem w domu, czy nie ma kogo z przyjezdnych i czy mogą ze mną sam na sam rozmówić się. Wychodzę i poznaję mego wileńskiego kolegę, Konstantego Zaleskiego[35], a z nim był znajomy mi tylko z widzenia Niepokojcz[y]cki[36]. Jechali z Puszczy Białowieskiej, wraz po batalii pod Hajnowszczyzną[37] wysłani od generała Chłapowskiego z rozkazem, aby o jego wejściu na Litwę ostrzegli powstańców wileńskich i innych, gdzie ich nie bądź napotkają; mieli też polecenie ogólne do naczelników powstań, aby się starali łączyć z korpusem tego generała, ku czemu wiadoma była Zaleskiemu droga, którą Chłapowski miał iść, kierując się ku Wilnowi.

„Masz tedy, Ignacy — rzecze Zaleski — ułatwić natychmiast nam sposób do spełnienia rozkazów naczelnego na Litwie wodza. Niepokojczycki ranny musi dotrzeć do Wilna, a dla mnie daj powóz i przewodnika, abym dojechał do najbliższych oddziałów powstania; sam zaś masz jechać prosto do Słonima[38], gdzie jutro znajdziesz cały nasz korpus, piechotę, pułk ułanów, legion instruktorów, artylerię i jeńców zabranych w ostatniej wygranej batalii. Tam odbierzesz dalsze rozkazy od generała".

Wszystko to tak prędko, z przyciskiem, głośno i stanowczo powiedział (sławny potem na emigracji z popędliwej gadatliwości) Zaleski, adiutant Chłapowskiego, że mi się w głowie zakręciło, nie wiedziałem, od czego począć. Na szczęście obecny p. Wawrzyniec Putkamer był dla mnie skuteczną w tym momencie radą i pomocą.

Po niedługim namyślaniu się, bo dwaj podróżni ledwo na godzinę odpoczynku i posilenie się przystali, w ten sposób uradziliśmy: Niepokojczycki, przebrany za furmana, powiezie Putkamera do Wilna; Kon-

---

[34] Wawrzyniec Putkamer (1794—1850), oficer w wojsku napoleońskim, ziemianin, mąż Maryli Wereszczakówny.

[35] Konstanty Zaleski (1803—1868), filareta, wywieziony do Petersburga, w armii moskiewskiej odbywał kampanię turecką. Na wieść o powstaniu listopadowym przedostał się do kraju i zaciągnął do jazdy poznańskiej. Po upadku powstania uszedł do Francji, w 1833 r. uczestniczył w wyprawie sabaudzkiej.

[36] Wincenty Niepokojczycki, syn Stanisława, miecznika brzeskolitewskiego.

[37] Stoczonej 23 maja 1831.

[38] Słonim, miasto pow. w woj. nowogródzkim.

stantego Zaleskiego zawiezie mój ekonom do Puszczy Rudnickiej, gdzie natenczas miał się znajdować oddział powstańców i akademicy wileńscy; a ja natychmiast mam ruszyć do Słonima.

Zaledwo upłynęła godzina, powóz Putkamera już był na wileńskim gościńcu; Zaleski z ekonomem puścili się kałamaszką[39] na Hołdów[40] ku Ejszyszkom[41], a ja tego dnia nocowałem w domu stryja mojego w Zyburtowszczyźnie o sześć mil od Słonima.

Zdziwiła sędziwego stryja mego, od dziecinnych lat opiekuna, ta niespodziana wizyta. „Dokąd jedziesz?" „Do Słonima". „Po co? Bój się Boga, tam w. książę Konstanty z licznym oddziałem wojska" — rzekł starzec. Kiedym mu opowiedział spotkanie się z Zaleskim, mocno był wzruszony, ale mnie nie zatrzymał. Jadę więc do Słonima w przekonaniu, że tam już nasz korpus znajdę; o czwierć mili od miasta słyszę bębnienie; wracający z targu chłopi donoszą mi, że tam Moskale. Zatrzymuję się na nocleg w domu jednego obywatela i tam się dowiaduję, że Chłapowski od Świsłoczy[42] ciągnie na Lidę[43].

Wracam tedy ku Zdzięciołowi[44]; na moment zatrzymuję się u stryja, z którym i ze stryjenką żegnam się na zawsze; spieszę przez Bielicę[45] do Radziwoniszek i stamtąd gościńcem ku Żołudkowi[46].

Nie ujechałem był mili, kiedym usłyszał trębaczy naszych ułanów i widzę z daleka chorągiewki nasze białe z amarantem.

Było to koło godziny czwartej po południu, słońce czyste, piękny dzień wiosenny, trębacze grali pieśń »Nasz Skrzynecki mężny...«

Opodal za przednią strażą z kilkunastu ułanów jechał nielicznym otoczony sztabem Chłapowski, odznaczający się piękną, marsową postawą; wąs zawiesisty, skromny miał na sobie mundur bez złocistych ozdób, płaszcz na ramiona zarzucony, biały orzełek (jeżeli sobie dobrze przypominam) na czapce. Obok niego jechali: senator gen. Tyszkiewicz[47], Loga[48]

---

[39] kałamaszka (bułg.) — wózek otwarty, bez budki.

[40] Hołdów, dawniej Ołdowo, miejscowość w pow. lidzkim.

[41] Ejszyszki, miasteczko w pow. lidzkim.

[42] Świsłocz, miasto w pow. wołkowyskim, wśród lasów tworzących część Puszczy Białowieskiej.

[43] Lida, miasto pow. w Nowogródzkiem.

[44] Zdzięcioł, miasto w pow. słonimskim.

[45] Bielica, miasteczko w pow. lidzkim.

[46] Żołudek, miasteczko w pow. lidzkim.

[47] Wincenty Tyszkiewicz (1796—1856), syn Jerzego i Łucji z ks. Lubomirskich, gen. w powstaniu listopadowym, poseł skwirski na sejm 1831 r., na emigracji czynny w stronnictwie „Zjednoczenie".

[48] Adam Loga (1800—1831), kapelan jazdy poznańskiej.

z kanoniczym krzyżem na piersi, doktor Marcinkowski[49] i kilku adiutantów, między którymi poznałem mego kolegę Wrotnowskiego[50]. Ten mię z daleka poznał i przedstawił generałowi. Opowiedziałem jak najkrócej, co mi polecił powiedzieć Zaleski; oświadczyłem, że jestem gotów na usługi. „Dobrze — rzekł Chłapowski — czekam na ciebie jutro jak najraniej w Lidzie"; przemówili też do mnie po kilka słów Loga, Marcinkowski i pojechali za generałem.

Stanąwszy na uboczu przy drodze, przypatrywałem się radośnie przeciągającemu gościńcem całemu korpusowi, który nie tysiące, jak mniemano, ale jeżeli się nie mylę, 700 do 800 zaledwo liczył żołnierza i szedł w porządku.

Najprzód za Generałem jechał szwadron 1. pułku ułanów w granatowych mundurach z amarantowymi rabatami pod dowództwem dzielnego oficera Borkowskiego[51]; ludzie dobrani, na dobrych koniach, tak czysto, elegancko wymuskani, jak gdyby dziś wyszli na paradę na Saski plac w Warszawie, a jednak już od trzech tygodni byli w marszu, a przed pięciu czy sześciu dniami tęgie starcie mieli z nieprzyjacielem. Za tym szwadronem postępował legion pieszych strzelców na chłopskich konikach, 180 do 200 wyćwiczonego ze starej służby żołnierza liczący, i tuż za nim, też na koniach, mały oddziałek instruktorów, oficerów ze starej służby rozmaitej broni, przeznaczonych do formowania regularnego wojska z naszych powstańców; między nimi był waleczny Żmujdzin, major Macewicz[52], i dawny mój znajomy filaret, kapitan Stawiarski[53].

Za tymi instruktorami i po części z nimi pomieszani szli, jedni pieszo, drudzy na koniach, jak kto mógł, powstańcy świeżo do służby zaciągnięci i gromada partyzantów, którzy od Puszczy Białowiejskiej i po drodze łączyli się rozmaicie uzbrojeni i w rozmaitsz[ego] kroju i koloru ubraniach. Między nimi byli i chłopi, i szlachta zaściankowa, mieszczanie i służba dworska: ten ze strzelbą, ów z pałaszem, ów przy starej karabeli, z pistoletami u pasa, a był i niejeden z paniczów na dobrym koniu,

---

[49] Karol Marcinkowski (1800—1846), lekarz, filantrop i działacz oświatowy w Poznańskiem, po powstaniu emigrant. Odznaczony był przez Akademię Paryską (1833) złotym medalem za prace nad leczeniem cholery. W 1834 r. wrócił do Poznania, gdzie m. in. założył Towarzystwo Naukowej Pomocy.

[50] Feliks Wrotnowski (1803—1871), student Uniwersytetu Wileńskiego, emisariusz-oficer w powstaniu listopadowym, na emigracji w Paryżu publicysta, wydawca pamiętników o powstaniu na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie.

[51] Karol Borkowski (1802—1865), major, po upadku powstania emigrant we Francji. W 1833 r. organizator partyzantki w Galicji, założyciel związku węglarzy polskich, później skazany na 15 lat twierdzy Kufstein.

[52] Stanisław Macewicz (1800—1846), po upadku powstania wyemigrował do Francji, przebywał w Besançon, w roku 1833 brał udział w wyprawie Zaliwskiego.

[53] Franciszek Stawiarski (1805—1888), zmarł w Paryżu.

i niejeden ksiądz z brewiarzem. Cała ta gromadka powstańcza była, o ile sobie przypominam, podzielona na mniejsze oddziałki, każdy ze swym instruktorem; między nimi było też kilkadziesiąt strzelców leśniczych z kogucimi piórami pod dowództwem poczciwego nadleśniczego z białowieskich lasów, Ronka[54]; może ze stu ochotników ubranych i uzbrojonych w mundury i karabiny, wziętych w niewolę i wypuszczonych na wolność żołnierzy rosyjskich pod Hajnowszczyzną; zostały na zabranych kaszkietach orły moskiewskie, tylko z oderwaną jedną głową z każdego orła. Zamykała ten cały korpus, może na pół wiorsty rozciągnięty, tylna straż konnych strzelców, ze starej służby, nie pamiętam, jakiego pułku.

Wróciłem późno wieczorem do Zapola, a nazajutrz (była to niedziela) rano przybyłem do Lidy. Już było po zwarciu się naszego korpusu z garnizonem lidzkim, który prawie bez wystrzału poddał się, do 180 żołnierza piechoty liczący. Jeden oficer, Litwin Michałowski[55], i kilkunastu żołnierzy z tego garnizonu, też Litwinów, przyłączyło się do korpusu Chłapowskiego; broń i amunicja poszły na korzyść i użytek dla naszych nowozaciężnych powstańców, a więźniów na wolność puszczono, bo nie było sposobu ich zatrzymać, żywić i wozić za sobą.

Generała Chłapowskiego, gen. Tyszkiewicza i liczny orszak oficerów ugościł porządnym śniadaniem w Lidzie marszałek powiatowy Ważyński[56]: było pod dostatkiem wina i patriotycznych uniesień. Tu poznałem lepiej Generała i dłużej z nim rozmawiałem. Generał w całej sile wieku, średniej urody, łączył w sobie powagę i ujęcie polskiego obywatela i nieco surowości charakteru z naturalną, niewymuszoną grzecznością, mianowicie w obejściu się z przybywającymi do niego patriotami; mało mówiący, wysłuchał każdego przyzwoicie; zalecał obywatelom poświęcenie się, ostrożność i niemarnowanie sił. Nie ogłaszał proklamacji ani [nie] wywoływał byle jakiego ruchu. W przejściu przez zajęty Rosjanami kraj, wiedząc, że za nim goni nieprzyjaciel, nie narażał na jego zemstę spokojnych mieszkańców; z wojskowymi był surowszy, zalecał karność, porządek; okazywał się raczej smutnym niż wesołym, ale pospolicie wszystkich ujmował swoim obejściem się.

Tu miałem też sposobność zawiązać przyjaźń z kanonikiem Logą i lekarzem Marcinkowskim. Uczony, odważny, gorliwy patriota i bardzo miłego charakteru, Loga był popularny i wywierał dobry wpływ tak na

---

[54] Ronke, z pochodzenia Szwajcar, szwagier Józefa Krassowskiego, jeden z organizatorów powstania w Puszczy Białowieskiej.

[55] Juliusz Jasieńczyk Michałowski (1807—1878), kapitan, po upadku powstania przebywał w Besançon, potem w Paryżu, gdzie skończył Szkołę Politechniczną.

[56] Porfiry Ważyński, uczestnik wojen napoleońskich, jeden z organizatorów powstania w Oszmianie; wywieziony w głąb Rosji, tamże zmarł.

wojskowych starej służby oficerów, jak i na przybywających do służby ochotników i zalecał im wiarę i miłość, a lubił szczerze nas, Litwinów. Toż i Marcinkowski był dla nas wielce uprzejmy i pożyteczny, ułatwiał przystęp do Generała powstańcom, dopomagał surowszą radą, zachętą i nauką.

Śpiewano w kościołach »Te Deum«; było niemałe ze wszystkich stron zbiegowisko ludu; nikogo nie prześladowano; znany nawet z uczciwości strapczy[57] chodził bezpiecznie po mieście.

Pobyt Chłapowskiego w Lidzie był zbyt krótki, aby mógł wywołać powstanie; tegoż dnia po południu koło godziny czwartej czy piątej wyszedł cały jego korpus z Lidy gościńcem wileńskim do Żyrmun[58]; mnie zaś pozwolił generał pobiec jeszcze na krótko o milę stąd do domu. Wiedziałem, że go dogonię nazajutrz rano między Żyrmunami a Werenowem[59].

Po raz ostatni o zmroku wróciłem do Zapola i tegoż wieczora powiedziałem moim trzem służącym, że są wolni, a jeżeli mają chęć i ochotę, niech jadą ze mną jutro o wschodzie słońca do powstania. Łukasz i Grzegorz wnet oświadczyli, że idą za mną; Wincenty był chory na febrę; musiałem go zostawić samego w domu, bo i ekonom jeszcze był nie powrócił z podróży do Puszczy Rudnickiej.

Jaka to była ta moja ostatnia noc w Zapolu, to tylko Panu Bogu wiadomo. Uporządkowałem naprędce regestra gospodarskie i papiery; książki na górę pod dach zaniesiono. Zdrzemałem się na chwilę.

---

[57] strapczy (ros.) — prokurator powiatowy w carskiej Rosji.

[58] Żyrmuny (Żermony), miasteczko w dolinie Żermony w pow. lidzkim. W autogr.: Zermony, Zyrmuny.

[59] Werenów (Woronów), miasteczko w pow. lidzkim.

II. Żołnierka

O wschodzie słońca były już konie osiodłane; stała czeladź przy ganku na pożegnanie. Jakoś mi było niedobrze; na wyjściu nie znana mi dotąd trwoga ogarniała; zatrzymałem się i do pokoju wróciłem, myśląc, żem czego zapomniał; spojrzałem na zegarek — już czas. Idę i znowu na progu jak gdyby mię kto za poły przytrzymał. Stanęła mi na myśli matka moja, jakby z ostrzeżeniem, że źle poczynam, nie poradziwszy się Boga, nie wezwawszy Go na pomoc. Odszedłem do izby sypialnej, zawarłem drzwi za sobą i uklęknąwszy zmówiłem »Ojcze nasz« i modlitwy, które za dziecinnych lat mnie nauczono; w końcu przyszły mi do duszy te słowa, które wyrzekłem: „Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Świętej Jedyny, spraw, aby myśli moje, słowa i uczynki ku Twojej służbie i chwale były obrócone i nigdy się woli Twojej świętej nie przeciwiły". (Od tego momentu przez lat pięćdziesiąt, gdziem nie był, aż do dziś dnia, była i jest dla mnie tarczą ta modlitwa i dodaje mi siły; odmawiam ją dziennie i w każdej przygodzie.)

Ucałowałem ziemię ukochaną i wstałem rzeźwo i ochoczo, przypasałem szablę, wsiadłem lekko na mego kasztana i — z Panem Bogiem! Za mną Łukasz i Grzegorz.

Zaledwośmy wyjechali z domu o pół wiorsty[1] między Zapolem i Sukurczami[2] w kierunku ku Żyrmunom, spostrzegamy daleko na drodze idący ku nam oddział konnych żołnierzy. Wiedziałem, że Chłapowski musi być w marszu z Żyrmun na północ ku Wilnowi, a w całej okolicy, nawet w powiecie, nie było powstańców; byłżeby to nieprzyjaciel? Ależ i wojsko rosyjskie, które kwaterowało w Żyrmunach, musiałoby raczej popędzić za naszym korpusem, niż iść w przeciwnym kierunku od Żyrmun. Zatrzymaliśmy się na moment, byliśmy przy brzegu lasu, konie mieliśmy dobre. Łukasz pierwszy poznał, że to byli nasi ułani, których już był widział w Lidzie i dniem pierwej na radziwoniskim trakcie.

---

[1] wiorsta (ros.), dawna rosyjska miara długości równa 1066, 78 m.

[2] Sukurcze, wieś w pow. lidzkim.

Podjeżdżamy przeto z całą ufnością i od pierwszego oficera, którego napotykam, dowiaduję się, że po wyjściu z Lidy wpadł nasz oddział nocą na zasadzkę piechoty rosyjskiej w Żyrmunach, że stracił w potyczce kilkunastu żołnierzy i że Chłapowski, otrzymawszy wieść, że większe siły nieprzyjaciela ciągną na niego od Wilna, zmienić musiał kierunek marszu i tą drogą na Hołdów, Myto[3] będziemy się przedzierać do połączenia się z powstańcami na północ.

Zameldowałem się generałowi jako już jego zaciężny i przy jego sztabie jechałem obok Logi, który mi opowiedział szczegóły nieszczęsnego spotkania z nieprzyjacielem tej nocy. Jadąc koło domu, kiedym powiedział kanonikowi, że tu moja siedziba, rzekł: „Dobrze, to zajedźmy na moment do ciebie; pobłogosławię twemu domowi". Pobiegłem z nim w galop raz już ostatni do domu; tam Loga, wielki miłośnik poezji Mickiewicza, z przyjemnością czytał listy jego do mnie pisane i po małej przekąsce puściliśmy się wnet za korpusem naszym, żegnani przy wiosce przez wybiegających naprzeciw nas włościan.

W taki sposób opuściłem na zawsze Zapole, rzucając po ostatni raz okiem na piękne, zielone runie, których plon kto inny zbierze.

Tu się poczyna pełna niepowodzeń żołnierka moja, której szczegółów nie mam dobrze na pamięci. Przypomnę tylko dobitniejsze, nie cytując dat, których nie jestem pewien, a o których z innych pism i historii powstania dowiedzieć się można.

Droga, którą obrał do marszu Chłapowski, oddziela się, jakem powiedział, od głównego traktu z Lidy do Wilna, od Żyrmun na prawo przechodzi najdalej w milę na zachód od tego traktu i nie dochodząc do Radziwoniszek, zawraca się na prawo, idzie na Hołdów, Myto ku Ejszyszkom, Olkienikom[4]. Była to część kraju najmniej zajęta przez siły nieprzyjacielskie. Nigdzie też nie byliśmy napastowani aniśmy spotkali nieprzyjaciela.

Mieliśmy pierwszy nocleg, jeżeli się nie mylę, między Hołdowem i Mytem; deszcz lał obfity, żołnierz był całodziennym marszem strudzony. Była karność i porządek w obozie; stawiano straże, wysyłano szpice i podjazdy.

Toż i przez trzy czy cztery dni następne marsze były utrudzające, mianowicie dla nowozaciężnych ochotników, pieszo idących, a których liczba powoli zwiększała się, bo korpus nasz na parę godzin tylko zatrzymywał się około południa, a na leżach nocnych niełatwy był przy-

[3] Myto, miasteczko i folwark nad rzeką Dzitwą, pow. lidzki.

[4] Olkieniki (w autogr. Olkiemiki), miasteczko nad rzeką Mereczanką, pow. trocki.

stęp do niego przez straże i posterunki, niezbędnie potrzebne; zdarzało się, że do zbliżających się do obozu pojedynczych lub małych oddziałów partyzantki strzelano, biorąc ich za nieprzyjaciela czy szpiegów. Gdziekolwiek zatrzymać się dał rozkaz Generał, natychmiast bito woły, znoszono chleb, mleko, gorzałkę ze wsi i z dworów — a wszędzie przestrzegano porządku.

Żołnierze ze starej służby[5] swoich trzymali się oddziałów; karność nie pozwalała mieszać się zbyt z przybywającymi rozmaitego stanu, ubioru i broni ochotnikami. Instruktorowie pilnowali powierzonych im nowozaciężnych, z małymi może wyjątkami dobrze się, po ludzku z nimi obchodzili. W czas gorący, kiedy jaka gromadka biedniejszych, nie mających częstokroć dobrego obuwia, zdawała się być znużoną długim bez odpoczynku marszem, byli tacy, co im ustępowali koni swoich, a sami szli piechotą; drudzy intonowali pieśń jaką patriotyczną czy religijną, i to nadzwyczaj podnosiło ducha i ochotę, umacniało siłę i rozweselało. Nie było czasu do ćwiczeń wojskowych; dzielono tylko ochotnika na małe szeregi.

Gdy ich liczba powiększać się znacznie poczynała, a wkrótce mieliśmy się połączyć z liczniejszymi oddziałami powstańców, Chłapowski postanowił, a miał do tego upoważnienie od Rządu Narodowego, formować pułk 25 piechoty i dwa szwadrony jazdy z samych zaciężnych Litwinów. To mu zjednało natychmiast wielką popularność i przychylne uczucia u naszych patriotów.

Trzeciego czy czwartego dnia po wyjściu z Żyrmun każe już tworzyć pierwszy batalion do nowego pułku, mianuje do niego komendantem majora Macewicza, Żmujdzina, ze starej służby, potrzebną liczbę oficerów na instruktorów, a mnie adiutantem pułkowym. Macewicz był od wielu lat w czynnej, a jak wiadomo, surowej służbie za w. [ks.] Konstantego; przeto wyćwiczony służbista, a gorliwy patriota, nie był zbyt wymagający; przyuczył mnie, co mam robić, i nie brakło mi pomocy w oficerach. Począłem od utrzymywania kontroli wpisów i pełnienia służby, jakiej wymagała organizacja tworzącego się batalionu; niebawem zawiązała się przyjaźń moja ścisła z Macewiczem.

W tymże czasie zaprzyjaźniłem się z walecznym kapitanem naszej artylerii, Januszem Czetwertyńskim[6], i jego nieodstępnym kolegą, Przeź-

---

[5] Ze starej służby, tj. ci, którzy służyli w wojsku Królestwa Polskiego.

[6] Janusz Światopełk Czetwertyński (1805—1837), adiutant sztabu głównego; internowany w Prusach, zorganizował ucieczkę w chłopskim przebraniu, schwytany dostał się do więzienia w Ragnicy. Na emigracji w Paryżu organizował kursy wojskowe, na których był wykładowcą; członek licznych towarzystw. W autogr. stale: Czetwiertyński.

dzieckim[7]. Przybyli do naszego korpusu pułkownik Sołtan[8] i dwaj Mikulscy, Józef[9] i Izydor[10]. Przychylni dla nas byli sztabowi Chłapowskiego, mianowicie Loga, Marcinkowski, a nie przestawał nowe dawać, nam Litwinom, dowody szacunku i przychylności Generał. Służba szła regularnie, przestrzegana była karność, jak należy; sam Chłapowski objeżdżał nocami posterunki; niekiedy fałszywy alarm robiono w noc późną do boju dla poznania, czy wszystko było na pogotowiu.

Niektórzy starzy oficerowie z regularnego wojska, przybyli z Warszawy, przebąkiwali czasem, patrząc na nowozaciężnych z ukosa, że nie widzą zapowiedzianych im powstań i legionów. Markotno to było naszym, ale ich szanowali, unikali zajścia.

Jednego dnia widzimy przylatującego ku nam na pięknym koniu w towarzystwie kilku towarzyszów zabarmaszystej postaci, w burce powstańca. Był to Matuszewicz, o którym już mówiono, że był pogromcą Czerkiesów w Trokach czy gdzie indziej. Przywiózł dokładną wiadomość o powstańcach guberni wileńskiej. Chłapowski uprzejmie go przyjął i wysłał do nich z poleceniami.

W Niegościu[11] przednia nasza straż zwarła się z kozakami, eskortującymi posłańca wiozącego depesze z głównej kwatery rosyjskiej do gen[era]ł-gubernatora wileńskiego. Było około 30, a może i więcej kozaków; nie poddali się, pokłuli naszych żołnierzy i dali się pozabijać; dwóch czy trzech tylko ocalało i ci potem spokojnie za nami jechali, choć ich nie pilnowano; z naszych Litwinów Zabiełło[12], oficer wielkich nadziei, dostał ciężką ranę w tym spotkaniu.

Z depeszy dowiedział się Generał o batalii pod Ostrołęką, o odcięciu dywizji Giełguda[13] i o jakimś oddziale Moskali, idących na wzmocnienie załogi wileńskiej. Zarzucano potem Chłapowskiemu, że nie poszedł ude-

---

[7] Józef Janusz Przeździecki (ur. w 1805), kapitan artylerii konnej, poseł wileński na sejm powstańczy; na emigracji zamieszkał wspólnie z Czetwertyńskim w Tarbes, stolicy departamentu des Hautes-Pyrénées.

[8] Adam Sołtan (1792—1863), syn Stanisława i Franciszki z Radziwiłłów, pułkownik z wojen napoleońskich, więzień za sprawy towarzystw tajnych.

[9] Józef Mikulski z Więzowic, pow. Grodno, porucznik, zmarł w Paryżu w 1856 r.

[10] Izydor Mikulski, brat poprzedniego, adiutant płk. Sołtana, zmarł w Paryżu w 1878 r.

[11] Według S. Barzykowskiego spotkanie to miało miejsce w Ugołościu (zob. *Historia powstania listopadowego*, t. IV, 1884, s. 231), według Ignacego Wielobłockiego — w Użogościu (zob. *Krótki rys wypadków litewskich w roku 1831*, Paryż 1862, s. 30).

[12] Jan Zabiełło, filareta, major, dowódca drugiego batalionu, zginął w bitwie pod Wilnem.

[13] Antoni Giełgud (1792—1831), syn Michała i Eleonory z Tyszkiewiczów, uczestnik walk napoleońskich, bohater spod Grochowa i Wawra.

rzyć na ten oddział lub nie starał się mu przeszkodzić przejścia do Wilna. Zarzut był niesłuszny, bo nasz Generał miał zaledwo sześćset żołnierza zdolnego do boju i trzy działa Czetwertyńskiego, reszta źle uzbrojona lub bez broni ciężarem raczej niż pomocą była; i cała garstka lepszego żołnierza szła bez odpoczynku, bez jednej dniówki od Białowieskiej Puszczy; ludzie i konie w zmęczeniu.

Pierwszy nieco dłuższy odpoczynek, bo prawie przez dzień cały, mieliśmy w majątku Ogińskiego[14] (jeżeli się nie mylę, w Gabrielowie[15]). Tam sztab Chłapowskiego i wielu oficerów szczodrze podejmował w pięknym pałacu gospodarz, a o południu nadszedł i uszykował się w szereg legion tak nazywany akademików wileńskich.

Ach! Jakież to wejrzenie miał ten legion, po długiej partyzantce w puszczy i za puszczą, po wielokrotnym spotkaniu się i utarczkach z nieprzyjacielem; liczył więcej sta młodzieży wychudłej, odartej, ale raźnej, wesołej. Miało z niej wielu strzelby myśliwskie, jakby z obławy na niedźwiedzia, niektórzy karabiny, wzięte na nieprzyjacielu; niejeden z pałaszem czy z oszczepem, z pistoletami u pasa; ten w czapce z piórem kogucim, ów w kaszkiecie; a obuwie! ledwo się trzymało na nogach.

Wyjechał do nich przed front na pięknym koniu w mundurze Generał, w orszaku licznych oficerów; potrójny okrzyk daliśmy na cześć akademii wileńskiej; dobrze wyprostowani w linii stali jej waleczni uczniowie, sprezentowali broń, jaką kto miał, pod komendą (jeżeli się nie mylę) Giedroycia[16], kapitana z napoleońskiej służby.

Wnet przed linię wyszedł z przemową do Generała gimnazjalny profesor Gronostajski[17], w szarej kapocie, słomianym kapeluszu i jakby po rzymsku w posznurowanych, po prostu mówiąc, naszych chłopskich łapciach. Wymownie się spisał nasz profesor, poddając w krótkich wyrazach cały legion swoich towarzyszy pod rozkazy Chłapowskiego, gotowych umrzeć za ojczyznę.

Na to donośnym głosem wymowniej odpowiedział Generał, pochwalił miłość ojczyzny, poświęcenie się i gotowość do boju; „daliście dowód — rzekł mniej więcej w tych wyrazach — że nie licząc nieprzyjaciela, wal-

---

[14] Gabriel Ogiński (1784—1842), syn księcia Ignacego i Józefy z Ogińskich, w 1812 r. szef gwardii honorowej litewskiej, w 1831 r. wódz powstania trockiego, członek litewskiego rządu powstańczego, na tułactwie introligator. W roku 1840 wrócił do Wilna i tu zmarł.

[15] Gabrielowo, miejscowość w pow. trockim. Spotkanie oddziałów partyzanckich z wojskiem regularnym istotnie nastąpiło w Gabrielowie.

[16] Józef Giedroyć (1808—1849), major w powstaniu listopadowym, jeden z pierwszych stanął na czele młodzieży miasta Telsze. Po upadku powstania emigrował do Bourges, gdzie zmarł.

[17] Gerard Gronostajski. Tekst jego przemówienia zob. K. Bronikowski, *Pamiętniki polskie*, t. III, Paryż 1845, s. 90—92.

czyliście z nim, dopełniając obowiązku dobrych obywateli; ale bądźcie przekonani, nie dosyć jest kochać ojczyznę, nieść miłość i zapał na jej wskrzeszenie, trzeba wprawy, karności, posłuszeństwa dowódcom i militarnej umiejętności w szeregach do boju. Te przymioty posiada nasz wróg, choć nie z miłości ni z zapału, lecz na oślep, złej sprawie poddany; tych i nam przymiotów trzeba, aby się zasłużyć ojczyźnie".

„Niech żyje Generał!" — wykrzyknął legion. „Niech żyje Litwa i Polska!" — odrzekł Chłapowski. Zagrali trębacze »Jeszcze Polska nie zginęła«; odjechał Generał, a wielu z naszego korpusu, koroniarze i Litwini, ułani i nowozaciężni, poszli bratać się z akademikami i częstować, czym kto mógł, i cieszyć się: był to jakby obchód 500-letniej [!] uroczystości Unii Litwy z Koroną[18].

Tegoż dnia starano się nieco opatrzyć potrzebniejszych w odzież i obuwie. Chłapowski jeszcze się wahał, czy miał ten legion wcielić natychmiast do formującego się pułku, czy zostawić go osobno przy sobie, opatrzywszy w broń i dobrych instruktorów.

Na parę godzin przed zachodem słońca ruszyliśmy dalej i przy pierwszej jakiejś zamożnej wsi stanęliśmy obozem; tu przyłączył się do nas dość liczny, dobrze ubrany, uzbrojony w piki i pałasze oddział jazdy powstańców pod dowództwem Platerówny[19]. Z nią przybyli Cezar i Władysław Platerowie[20], niemało obywatelskiej młodzieży i pieszych ochotników.

Nie mogła mieć więcej nad 24 lat Platerówna; niskiej urody, blada, niepiękna, ale okrągłej, przyjemnej, sympatycznej twarzy, błękitnych oczu, kształtnej, ale niesilnej budowy; była poważną, bardziej surową niż ujmującą w obejściu się, mało mówiącą i spojrzeniem nakazującą dla siebie należne względy i przyzwoitość; nikt też w obozie nie dopuścił się w jej obecności wymówić jakiego niedorzecznego słowa, żartu lub uchybić w grzecznym obejściu się. Miała na sobie szaraczkowy po kolana surdut z czerwonym kołnierzem, a koło szyi koronkowy kołnierzyk, co było jej bardzo do twarzy. Przy tym miała na głowie kaszkiecik męski, włosy ucięte, szerokie, do ziemi szarawary, puginał i małą szablę u pasa, ostrogi srebrne przy bucikach. Skromna, bez żadnej nie-

---

[18] Pierwsza unia polsko-litewska była w r. 1385.

[19] Emilia Platerówna (1806—1831), organizatorka powstania w Dusiatach w pow. wiłkomirskim. Przedzierając się do walczącej Warszawy pod nazwiskiem Korowińskiej, zmarła we wsi Justynowie pod Sejnami. Jej zgon upamiętnił A. Mickiewicz w wierszu *Śmierć pułkownika*.

[20] Cezary Augustyn Plater (1810—1869), kapitan oddziału żmudzko-litewskiego, poseł na sejm 1831 r., na emigracji prezes Towarzystwa Literackiego. Władysław Ewaryst Plater (1806—1889), brat Cezarego, oficer wojska polskiego, poseł na sejm 1831 r. z powiatu wilejskiego, na emigracji publicysta i polityk obozu A. Czartoryskiego, założyciel Muzeum Narodowego w Raperswilu.

ıturalnej pretensji, trzymała się zgrabnie na koniu, a przy niej nie-
lstępną była takiejże co ona urody jej przyjaciółka, przystojna, wesoła,
szystkim podobająca się panna Raszanowiczówna[21].

Grzecznie i uprzejmie przywitał Chłapowski hrabiankę, która też
iała staranne wyższego świata ujęcie i wychowanie.

Co dzień spieszniej pomnażał się nasz korpus; dochodził już do pół-
ra tysiąca ludzi, kiedy nadeszła w marszu wiadomość o zbliżającej się
ı nam dywizji Giełguda. Podniosła duch i zapał w każdym żołnierzu,
y to starej, czy powstańczej służby.

Już mieliśmy z nowozaciężnych i tych, którzy od Białowieży przyszli
Chłapowskim, utworzone dwie kompanie 25 pułku piechoty i dwa
y trzy szwadrony jazdy. Pierwszej kompanii był mianowany szefem
eczywistym Stawiarski, a honorowym panna Plater, a drugiej jeden
instruktorów, którego nazwiska nie pamiętam; dowódcą pułku, jakem
ɔwiedział, był Macewicz, przy nim zaś pędziłem obowiązek adiutanta
ıłkowego. Nowych szwadronów był mianowany pułkownikiem Sołtan;
rzy nim pełnił służbę adiutanta Izydor Mikulski.

Opuszczam wiele szczegółów przymglonych w mojej pamięci i prze-
ıodzę do ogólnego połączenia się wszystkich prawie powstań i par-
zanckich oddziałów z dywizją Giełguda w jego majątku na Żmujdzi
iełgudyszkach[a] czy [[b]]); było to pod koniec czerwca.

Przyszedł tam i nasz korpus Chłapowskiego z formującymi się od-
ziałami jazdy i piechoty. Wielka była radość: nadeszły uformowane
ɔwstania z Kiejdan, Króż, szawelskie[22]; przyprowadzili i wilejskie Bro-
ıocki[23], Chodźkowie[24]; i z Inflant ukazali się partyzanci, a cóż dopiero,
edy się przypomni, ile się tam ukazało przybyłych z Giełgudem bata-
ɔnów piechoty i szwadronów jazdy, z których niejeden walczył pod
rochowem, Wawrem, Dębem Wielkim, a ledwo nie od wczora był
ogniu pod Ostrołęką.

---

[a] W autogr.: Giełgudziszkach.

[b] W autogr. wyraz opuszczony, zapewne chodzi o Rykonty. Pereświat Sołtan
ɔdaje, że 18 czerwca Giełgud połączył się z Chłapowskim w Rykontach; zob. *Chro-
ɔlogiczne zestawienie wypadków na Litwie w r. 1830—1831*, „Powstanie 1830—31
ı Litwie. Wspomnienia uczestników", wyd. H. Mościcki, Wilno 1931, s. 160, także
Prądzyński, *Pamiętniki*, wyd. 2, t. III, Kraków 1909, s. 106.

[21] Maria Raszanowiczówna (ur. 1809), adiutant Emilii Platerówny w stopniu
ɔrucznika, po śmierci Platerówny przekroczyła granicę Prus.

[22] Szawle, miasto pow. na płn. zach. od Kowna. W autogr.: szuwelskie.

[23] Wincenty Brochocki, ur. w 1786 r., oficer wojen napoleońskich. W autogr.:
rochodzki.

[24] Trzej bracia Chodźkowie, synowie Jana i Klary z Korsaków, Michał (1808—
79), kapitan, Feliks, podporucznik, i Stanisław, porucznik, brali udział w powsta-
u w 12. pułku ułanów, zmarli na emigracji w Paryżu.

Do czternastu tysięcy mieliśmy zebranego wojska, a jakaż tam była rozmaitość broni, oręża i ubrania! Ze wszystkich dzielnic starożytnej Polski znajdowali się tam partyzanci: Poznańczycy, Galicjanie, Podolanie i Ukraińcy; stary żołnierz i powstańcy. Trzy dni mieliśmy odpoczynku i radości; a choć deszcz padał, biły grzmoty i pioruny, bawiono się niestety jakby po wygranej; w pałacu grała muzyka, zjechało się wiele pań i obywateli ościennych.

Postanowiono jednak na radzie iść natychmiast i całą siłą uderzyć na Wilno, gdzie nieprzyjaciel gromadził ku obronie liczne oddziały. Oprócz Chłapowskiego było pod rozkazami Giełguda, jako starszego w randze, wielu innych generałów i pułkowników, jako też dowódców powstań, znanych dobrze z imienia i zasług.

Wśród tak niejednolitych elementów, z których się składało wojsko nasze, niepowodzeniem i forsownymi marszami strudzone, trzeba było czasu do uorganizowania sił i przygotowania się do takiej wyprawy, jaką była wyprawa na Wilno. Może niesłusznie szemrano na Giełguda, że czas traci. Dał więc rozkaz do wymarszu i po trzech dniach zaledwo odpoczynku ruszyła spiesznym marszem ku Wilnowi cała dywizja Giełguda, pomnożona oddziałem, który przyszedł był z Chłapowskim z Królestwa, i niektórymi legionami lepiej uzbrojonych powstańców, mianowicie jazdy. Macewiczowi dano rozkaz prowadzić dwie nasze tworzące się kompanie do Kowna, a przyłączono do nas jeden szwadron strzelców i jakiś mały oddziałek świeżo przybyłych ochotników.

Nie moją rzeczą przywodzić tu szczegóły tyczące się niefortunnej wyprawy na Wilno i odniesionej tam porażki; nie odstąpiłem na jeden dzień od mojej służby i obowiązków pod dowództwem Macewicza.

Po dwudniowym marszu weszliśmy do Kowna. W mieście ani jednego nie było żołnierza; w szpitalu tylko wojskowym leżało niewielu Rosjan rannych i chorych, nad którymi urząd miejski miał opiekę. Nie było też ani za Niemnem od strony Augustowa, ani na całym obszarze kraju od strony Wilna sił nieprzyjacielskich; te bowiem już zostały ściągnięte do Wilna.

Rozpołożyliśmy się na przedmieściu, a liczyły natenczas dwie nasze kompanie 25. pułku 500 do 600 ludzi i kilkunastu oficerów. Wzięto się zaraz do ćwiczeń wojskowych i do codziennej z rana i wieczorem musztry; mieliśmy czterysta starych karabinów, niezbyt dobrze opatrzonych, i tak mało amunicji, że się zaledwo znalazło po kilka ładunków na każdego. Trzeba było straż utrzymywać w mieście, jako też posterunki na Aleksocie[25] za Niemnem i na wileńskim trakcie.

---

[25] Aleksota, przedmieście Kowna na przeciwległym brzegu Niemna, posiadające górę, na której według podania miała stać świątynia bogini Aleksoty.

Miasto nas dobrze przyjęło. Za pomocą rady miejskiej dostaliśmy z kontrybucji od mieszczan niemało obuwia dla żołnierzy; było pod dostatkiem żywności, chleba i mięsa. Oficerowie zaś i wielu z podoficerów wieczorami nieźle się bawili u przedniejszych obywateli w mieście. Dano nawet bal na przyjęcie Platerówny; bawiono się w domu pani Kowalskiej[26], znanej z szacunku i przyjaźni, jakie ta szanowna pani miała dla Mickiewicza.

Nie podzielałem tych zabaw ni ugoszczeń, miałem wiele do roboty; rozprowadzałem straże i zmiany ich według przepisów Macewicza, za jego i starszej służby oficerów pomocą; nocami objeżdżałem forpoczty, przeprawiając się łódką i za Niemen, utrzymywałem spisy i kontrole pułkowe.

Jednego dnia zrobiliśmy rewizję po sklepach i domach żydowskich, szukając prochu i ołowiu. Znaleźliśmy niemało ołowiu na kule i nieco prochu, cokolwiek też siarki i saletry, ale nie było czasu i komu zająć się ich zużytkowaniem. Przybyły od głównodowodzącego Giełguda, jeżeli się nie mylę, na komendanta placu Plotzer otrzymał za wdaniem się Macewicza od rady miejskiej nieco pieniędzy na żołd dla naszych żołnierzy i choć mieliśmy płatnika, czuwałem nad ich rozdaniem.

Brakło odzieży: dowiaduję się, że Żydzi w podziemnych sklepach chowają wielki skład sukna. Z płatnikiem więc i jednym tęgim oficerem przy pomocy kilku żołnierzy, a za wiedzą i rozkazem komendanta placu splądrowaliśmy wiele podziemnych kryjówek i z nich kilka postawów[27] sukna wyniosłem. Natychmiast zebrałem wszystkich z miasta krawców i ich pomocników do ogromnej szopy i poczęto szyć mundury.

Co dzień to czynniej brali się nasi instruktorowie do musztrów. Ale cóż po ewolucjach, marszach, zmianach frontu, tyralierskich ćwiczeniach bez broni, kiedy jej brakowało połowie naszych ochotników. Nie mieliśmy więcej nad 300 lepiej uzbrojonych, wyćwiczonych żołnierzy. Już drugi tydzień naszego w Kownie pobytu upływał. Niezłe wiadomości z początku dochodziły od czynnej naszej armii koło Wilna, a pochlebiało to naszym oficerom, że zakrywaliśmy jej prawe skrzydło od Augustowa.

Tymczasem rozchodzi się wieść niedobra między Żydami o przegranej batalii pod Wilnem; nasze przednie straże i podjazdy ochotników ostrzegają, że na trakcie wileńskim ukazuje się wojsko. Była to przednia część naszej armii pod dowództwem Chłapowskiego; ci sami ułani i strzelce piesi na chłopskich konikach i działa trzy Czetwertyńskiego, które przywiódł był z sobą Generał na Litwę; ale też z nim szło kilka

---

[26] Karolina z Wagnerów Kowalska, żona Józefa, lekarza powiatowego w Kownie.
[27] postaw — miara długości, równa się 20 m 78,8 cm.

oddziałów powstańczych i może jeszcze co niemało żołnierza ze starej regularnej służby.

Wszedł Chłapowski do Kowna z muzyką i dobrym rezonem, jakby się nic złego nie stało; lecz trudno było zataić przegraną, a przybywający z orszakiem Generała oficerowie zwalali winę na nieczynność i nieudolność Giełguda. Nasi też z tworzącego się pułku oficerowie i żołnierze i inni z załogi zostawionej od wielu dni w Kownie ochotnicy skarżyli się, że zapomniał był o nas głównodowodzący, nie mianował naczelnika siły w Kownie i zostawił nas, wobec nadchodzącego nieprzyjaciela, bez broni i amunicji.

Cezary Plater dał tego dnia obiad dla oficerów; było nas może do czterdziestu przy stole; rozmawiano przeważnie o przegranej i stratach pod Wilnem i jak się pospolicie przy niepowodzeniu dzieje, narzekano na wodza. „Po cóż było — rzekł jeden z obecnych wyższej rangi oficerów — sprowadzać powstańców i partyzanckie oddziały z obronnych miejsc po całej Litwie i przerabiać ich na regularne wojsko, kiedy [do] tego ani broni, ani czasu do omusztrowania i organizacji sił nie było". „Prawda — ktoś dodał — oczyszczono tym sposobem kraj z pojedynczych oddziałów partyzanckich utrudzających ruch na każdym miejscu nieprzyjacielowi, przecinających mu komunikację, mogących walczyć przeciw przeważnej sile po lasach, po bagnach, nocami".

Ogólna była skarga na Giełguda, a ufność w Chłapowskim, na którego cześć piliśmy, dopóki nie zabrakło wina. Przyszło prędko do tego, że poczęto wołać „niech żyje wódz nasz Chłapowski", i na to się jednomyślnie zgodzono, aby nazajutrz przed wymarszem wysłać komisję do Chłapowskiego w imieniu oficerów z prośbą i naleganiem, aby nad całą zbrojną siłą na Litwie objął dowództwo z usunięciem Giełguda.

Nazajutrz też z rana udaliśmy się w znacznej liczbie oficerów do obszernego salonu, z którego drzwi wiodły do pokoju Generała, i delegowaliśmy od siebie trzech zapaleńszych do niego z propozycją. Weszli i w parę minut ujrzeliśmy zagniewanego Chłapowskiego: „Gdyby przyszło do tego — rzekł — iżby żołnierze w kompanii czy ich oficerowie mieli zrzucać mianowanych przez rząd starszych dowódców, a obierać sobie tych, co się im podobają, to pierwej palnąłbym sobie w łeb, niż służył wojskowo. Panowie, zalecam karność i posłuszeństwo, nadzieję i wytrwałość!" Odszedł i zatrzasnął drzwi za sobą.

Tegoż dnia przed południem ruszył ze swoim korpusem Chłapowski głównym traktem ku Kiejdanom, zostawiwszy w Kownie oprócz naszego pułku ze trzysta jazdy i piechoty rozmaitej broni. Było naszym obowiązkiem zakrywać uchodzącą przed nieprzyjacielem armię, a zapomniano nawet mianować na cały nasz kowieński garnizon dowódcę.

Sami zaradzając sobie z Macewiczem, rozstawiamy warty w mieście

i na drugim brzegu Niemna; jeden szwadron powstańców w porozumieniu się z nami wysyła podjazdy na trakt ku Wilnowi.

Na trzeci dzień po wyjściu Chłapowskiego z Kowna dochodzą wieści, że i od Augustowa nadciąga nieprzyjaciel; nieliczną straż utrzymywaliśmy w Aleksocie pod dowództwem jednego oficera; a kiedym o północy przeprawił się łódką do Aleksoty, znalazłem śpiących naszych żołnierzy, a tylko oficera czuwającego z zupełną pewnością, że nie było niebezpieczeństwa. Z rana uszykowaliśmy z naszych lepiej wyćwiczonych żołnierzy i lepiej uzbrojone posterunki jak do obrony za miastem i w mieście na placu i na ulicach od strony Wilna; tych zaś, co nie mieli palnej broni, uzbroiwszy w piki, a niektórych w kosy, ustawiliśmy przy obronie mostu na Wilii.

O południu poczęli o parę mil ukazywać się kozacy na trakcie wileńskim; odpędziła ich nasza jazda powstańcza; a był niemały alarm w mieście i gotowość do boju.

Nad wieczór przyjeżdża z nominacją od Giełguda na dowódcę szczupły, naszej siły militarnej kowieńskiej, ze starej służby wojak, pułkownik Kiekiernicki[28]. Poszedłem zdać mu na piśmie raport o ilości broni i amunicji (nie mieliśmy więcej jak po trzy ładunki na każdego żołnierza), liczbie żołnierza i zapasie żywności; zmarszczył się i nic nie powiedział. O dziesiątej w nocy daje Macewiczowi rozkaz do zdjęcia straży z Aleksoty i z najdalszych posterunków na trakcie wileńskim; spełniam jego rozkaz i cała prawie nasza piechota przechodzi na drugą stronę mostu.

Noc ciemna, spokojna. O wschodzie słońca nowy odbieramy rozkaz od Kiekiernickiego; każe piechocie naszej wracać zza Wilii i szykować ją na ulicach do obrony miasta. Przed południem pierwsze strzały na trakcie wileńskim ostrzegają o zbliżeniu się nieprzyjaciela.

Atak był tak prędki i silny, że po kilkakrotnym wystrzale i starciu się z naszą, Stawiarskiego, jeżeli się nie mylę, kompanią i z drugą na placu większa ich część poszła w niewolą, reszta zaledwo zdołała przejść przez most nad Wilią; nie przygotowano sposobów do zniszczenia mostu. Sam Kiekiernicki i komendant placu zostali wzięci w niewolą.

Nie chcę przypominać bolesnych strat i niemiłych wypadków dnia tego. Ledwośmy przeszli z Macewiczem i połową może naszych żołnierzy za most nad Wilią, poczęły za nami przelatywać kule i pękać granaty, a okrążać sotnie kozaków.

Niezbyt rozległa równina ciągnie się od Wilii do przyległego lasu, do którego zdążyć potrzeba było przed nacierającą za nami jazdą nieprzyjacielską. Tu się zdarzyło, że panna Plater, którą przed chwilą

---

[28] Piotr Kiekiernicki, odznaczył się w bojach pod Wawrem, Grochowem, komendant miasta Kowna, dostawszy się do niewoli w bitwie o to miasto, odebrał sobie życie.

widziałem nieustraszoną, pełną odwagi pod kartaczowym ogniem, spada z konia; i w tym momencie dopędza jej konia Macewicz, sam zsiada, wsadza ją na koń i uprowadza ją z jej przyjaciółką przed bieżącymi za nią kozakami do lasu.

Tej nocy przez kręte drożki i błotniste manowce zdołaliśmy zdążyć do — nie pamiętam, jak się nazywa — folwarku, gdzie przestraszoną znaleźliśmy rodzinę, wiele pań i dzieci. Przyjęto nas najgościnniej, litowano się nad panną Plater; opowiadała ona spokojnie o bitwie, o przegranej, o przypadku, jaki się jej zdarzył, i wyratowaniu przez dzielnego Macewicza. Przypominaliśmy, że ostatniego wieczora, przy obozowym ognisku, kiedy w poufnej rozmowie toczyła się rzecz, czy kobiety mogą brać udział czynny na placu boju w bataliach, a wielu oficerów i ja może przez grzeczność potwierdzaliśmy opinię walecznej hrabianki, że kobiety powinny mieć udział w niebezpieczeństwach, a nawet w boju za ojczyznę, Macewicz tylko był przeciwnego zdania; a jednak, gdy przyszedł moment, on się sprawił po kawalersku, a myśmy na to patrzyli.

Tegoż dnia przybyłem z Macewiczem do Kiejdan. U wejścia do miasta wisiał na szubienicy Żyd, a drugi Żyd stał opodal z karabinem na straży; u tego zapytał Macewicz: „Żydzie, kogo pilnujesz?” — odpowiedział nieco bąkając i jakby dla przypodobania się z uśmiechem Żydek: „Ojczyzny, Jaśnie Panie”.

W Kiejdanach był rząd narodowy centralny, a jego prezesem Zaleski[29], dawny patriota z czasów Czteroletniego Sejmu; wysoki, poważny, pełen godności obywatel. Przy nim znajdował się ministrem dawny z uniwersytetu wileńskiego bibliotekarz, mój dawny znajomy, Kontrym[30], gorliwy Polak, bij zabij na szlachtę i panów. Trafiliśmy na pobór ochotników do wojska, nakazany przez ów rząd, do którego składu wchodził i marszałek powiatowy, jeden z gorliwych naczelników powstania.

Było już z tego poboru około trzysta włościan, ochoczo czekających na broń i uformowanie z nich szeregów do boju. Powzięliśmy z Macewiczem zamiar użyć ich do zreformowania na nowo naszego 25. pułku piechoty, bo i z rozbitego w Kownie nadeszło na drugi dzień po przybyciu naszym do Kiejdan ze sto niezłych żołnierzy, zebranych w rozsypce i przywiedzionych przez jednego z naszych oficerów; do tego

---

[29] Nieściśle. Prezesem rządu centralnego dla Litwy i Żmudzi ustanowionego w Kiejdanach dnia 10 czerwca był senator generał Tadeusz Tyszkiewicz, a Marcin Zaleski, o którym tu mowa, był intendentem armii, Kazimierz Kontrym obejmował wydział skarbu. Zob. S. B a r z y k o w s k i, *op. cit.*, t. IV, s. 243.

[30] Kazimierz Kontrym (1762—1836), żołnierz z roku 1794, później sekretarz Uniwersytetu Wileńskiego, publicysta.

i niejeden z tych, co przyszli byli z Chłapowskim, przyłączył się do nas i spodziewaliśmy się znaleźć nieco broni w miasteczku.

Udałem się więc z Macewiczem do rzeczonego rządu czy jak go też nazywano, Komisji Narodowej, domagając się wydania nam owych trzystu ochotników i utworzenia z nich dwóch kompanii piechoty. Pokazał Macewicz mianowanie siebie przez Chłapowskiego za przybyciem do Litwy dowódcą formującego się pułku, a mnie adiutantem pułkowym. Zaleski nie był przeciwny naszym zamiarom; marszałek chciał z rzeczonych ochotników mieć oddział miejscowy z imieniem powiatu, do którego należeli; największego i najupartszego przeciwnika mieślimy w Kontrymie; skarżył się na generałów, skarżył się na oficerów i żołnierzy koronnych ze starej konstantynowskiej służby, że pogardzali powstańcami i młodymi żołnierzami; powstawał i na panów, i na szlachtę, że im braknie zapału.

Wziąłem na siebie udobruchać Kontryma, przypominając mu dawne uniwersyteckie czasy, jego stosunki z młodzieżą, dobro powszechne i potrzebę zapomnienia uraz. Na trzeci dzień zaledwo przełamałem upór starego zapaleńca demokraty. Wzięliśmy się natychmiast konwulsyjnym prawie ruchem i zapałem do formowania na nowo pułku. Do owych trzystu włościan z poboru i więcej sta ludzi uratowanych z Kowna przyłączyło się do nas niemało młodzieży obywatelskiej i partyzantów, którzy się już byli znaleźli nie w jednej z nieprzyjacielem utarczce, i nie brakło instruktorów.

O pół mili od miasta rozpołożyliśmy się obozem; znalazło się ze sto strzelb i karabinów; tym, co ich nie mieli, rozdano piki i kosy. Po żmujdzku przemówił Macewicz z wielkim zapałem do nowych żołnierzy i to się im wielce podobało. Z nadchodzącą nocą zakonnik bernardyn, który do nas przystał na kapelana, przemówił także po żmujdzku, za nim cała nasza gromada, na dwie kompanie podzielona, zmówiła pacierz wieczorny.

Rozstawiono straże i objechaliśmy je po północy z jednym ze starych oficerów. O świcie brano się do ćwiczeń, kiedy jeden zadyszany w biegu mieszczanin daje znać, że już całe nasze wojsko przeszło nocą przez Kiejdany, że o pół mili uciera się jeszcze nasza jazda z kozakami i że komisje opuściły miasto.

Formujemy się natychmiast do marszu i podwójnym krokiem idziemy na trakt wiodący z Kiejdan do Szawel.

Przechodziła właśnie przez Kiejdany tylna straż korpusu generała Chłapowskiego, kiedyśmy dochodzili do miasta. Pojechałem naprzód obaczyć się z generałem, zdać mu raport i dowiedzieć się w sztabie o zaszłych wypadkach.

Z równąż, jak zawsze, uprzejmością przyjął mię Chłapowski i choć

był wypogodzonej twarzy, widać było na niej strudzenie i bezsenność. Smutniejszy jechał przy nim i mało mówiący Loga; podjechał do mnie, uścisnął za rękę i rzekł: „Winszuję tobie i cieszę się; widziałem wczora prześliczną szarżę jednego szwadronu waszych nowej formacji powstańców litewskich; niedobrze się dzieje, ale nie traćmy nadziei, mamy jeszcze dosyć sił do oparcia się i do kroków zaczepnych".

Szliśmy cały ten dzień bez odpoczynku i połączyliśmy się z Giełgudem.

Przypominam dziś jeszcze jeden szczegół, który na mnie smutne po sobie wrażenie zostawił. Zatrzymało się nasze wojsko, z wielu oddziałów regularnego żołnierza i nowozaciężnych szeregów złożone, w miejscu, gdzie okoliczne wsi pod dostatkiem żywności dla ludzi i karmu dla koni dostarczyły. Giełgud miał w niewielkim domku na wzgórzu kwaterę; koło tego domku był ruch niezwyczajny oficerów szemrzących, narzekających na nieczynność, na brak porządku i planu w obrotach; oskarż[ano] głównodowodzącego, że myśli o układach z nieprzyjacielem i nas do Prus prowadzi.

Schodzili się oficerowie ze wszystkich oddziałów i zebrało się nas może do 60, jeżeli się nie mylę. Stała warta przed domem, a głośno mówiono o tym, czyby nie zmusić lub uprosić Giełguda, żeby zdał dowództwo na Chłapowskiego. Giełgud zaś prawie od batalii pod Wilnem był chory na różę, nie wsiadał na konia, jechał w małym koczyku. Nie było zgody między oficerami: jedni przestrzegali, że to się zanosi na bunt; drudzy, że Chłapowski nie przyjmie dowództwa; inni, zapaleńsi, niesforni, do gwałtowniejszych sposobów rzucać się radzili na ratunek — jak mówili — ojczyzny.

Giełgud, gdy mu doniesiono o tym, co się tuż przy jego kwaterze działo, wyszedł na ganek, chromiąc i nacierając sobie obwiązaną nogę. Był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, niepięknej, ale militarnej twarzy: defigurowało ją to, że miał tylko jedno oko, którym patrzył, a drugie było szklanne; miał sławę dobrego żołnierza jeszcze z napoleońskiej armii, był nieposzlakowany w charakterze, w uczciwości, a przy tym majętny obywatel. Widać było w starym generale oburzenie; zrazu jakieś tylko słowo do przybocznego adiutanta przemówił, a potem z trudnością obróciwszy się do nas rzekł przerywanym, przycichłym, lecz dobitnym głosem, mniej więcej to: „Posądzacie mnie, że myślę o układach z nieprzyjacielem, wiedzcie, gdyby w moich żyłach jedna tylko kropla krwi została z myślą o układach z kim nie bądź, to bym i tę sam ją wycisnął". Odszedł blady, wzruszony. Krzyknęli niektórzy: „niech żyje generał, niech żyje Giełgud", drudzy spokojnie odeszli.

Jeszcze o pół dniówki od Szawel, koło Rosalina, gdzie się dwa głów-

ne gościńce schodzą, w miejscu, które się zdawało obronnym, usiłowano wstrzymać przednie siły armii rosyjskiej i uderzyć jednocześnie na Szawle, gdzie był nieprzyjacielski garnizon, i spodziewano się tam zdobyć zapasy broni i amunicji. Tuśmy stracili niemało ludzi i część artylerii; odcięto nam nowozaciężnych kosarzy, którzy spokojnie do domów odeszli, i tu o mało z Macewiczem nie byłem wzięty do niewoli.

Przechodząc tego dnia z Macewiczem i małą drużyną ostatków naszego oddziału koło Szawel, widzimy o pół mili od miasta żołnierzy naszych, grzebiących ciała poległych tej nieszczęsnej godziny. Nasi byli pewni wygranej, już byli weszli do Szawel; nieliczny garnizon piechoty rosyjskiej, po krwawej walce, schronił się za mur otaczający kościół. Po trzykroć rota naszych żołnierzy usiłowała zdobyć to obwarowane miejsce i była odpartą; w jednym z ataków sam Loga z karabinem w ręku prowadził do szturmu piechotę i padł trupem: nie posłano w asekurację nowego posiłku; nie było w zamiarze Generała opanować Szawle i zatrzymać się w tym miejscu przed nadchodzącą za nami armią nieprzyjacielską.

Po klęsce szawelskiej przyszliśmy z oddziałem Chłapowskiego tej nocy do Kurszan[31], gdzieśmy znaleźli zebrane całe nasze wojsko i to, co pozostało z korpusu Giełguda i co wprowadził na Litwę Chłapowski, i reszty naszych litewskich powstań, złożone po większej części ze szwadronów jazdy, nieźle uzbrojonej i na dobrych koniach.

Przez całą noc trwała narada w głównej kwaterze Giełguda, do której wchodzili generałowie: Dembiński, Chłapowski, Roland[32], Szymanowski[33], Tyszkiewicz, wiele pułkowników i do której byli też przypuszczeni celniejsi nasi dowódcy powstań. Nie ustawały po całym obozie skargi i podszepty na naczelników; przypisywano im marnowanie sił i czasu, nieporządek, brak energii i jedności w wojennych działaniach.

Było jednak, wyznać potrzeba, już widoczne tak w oficerach, jak w żołnierzu osłabienie ducha i ufności w siebie. Oddalenie od głównej narodowej armii i zupełne z nią przerwanie komunikacji, ukazywanie się na licznych punktach od czasu batalii pod Wilnem przeważnych sił regularnej armii nieprzyjacielskiej, ciągłe niepowodzenie, marsze nużące bez widocznego celu, bezradność głównodowodzącego: jakże to

---

[31] Kurszany, miasteczko w pow. szawelskim.

[32] Franciszek Roland (ur. 1781), oficer napoleoński, w powstaniu listopadowym generał brygady, wywieziony w głąb Rosji (do Wołogdy).

[33] Józef Szymanowski (1779—1867), oficer z czasów Księstwa Warszawskiego, ochotnik kościuszkowski. Po przejściu granicy pruskiej w powstaniu listopadowym i więzieniu w Weichselmünde emigrował, umarł w Rzymie.

wszystko nie miało wpłynąć na osłabienie karności i zapału w starej służby żołnierzu, przyzwyczajonym do surowego porządku i posłuszeństwa. Nasz zaś ochotnik, powstaniec z lasów i partyzantki, do taktycznych szeregów zaciągnięty, widział pomarnowane trudy swoje i ofiarność.

Około roznieconego na polu ogniska siedziało wiele nas, Litwinów, w towarzystwie Platerówny i nieodstępnej od niej przyjaciółki. Był tu z nami Macewicz, ponury, smutny, milczący. Nie weselsi też byli nasi instruktorowie, z których już ledwo trzech czy czterech zostało, i przychodziło do nas wielu z innych pułków i szwadronów towarzyszy. Przez całą noc ciągnęła się na przemian smutna i niepocieszająca, na przemian weselsza, ożywiająca nadzieję rozmowa; pytano się wzajemnie, dokąd idziemy? wszak ci już niedaleko brzegi Bałtyku; tu się rozprawić musimy z Moskalem. Mamy siedem do ośmiu tysięcy żołnierza i artylerię, i dobrych generałów — a choćby i nam wszystkim wyginąć przyszło, toć nasi tam pod Warszawą pobili już tylokrotnie — a interwencja Francji! Wszak i Anglicy posyłają nam do Połągi[34] broń i amunicję. Prusacy też nie nam nieprzychylni — wszakże w Memlu[35], w Królewcu kupcy nam sprzyjają; od nich mamy proch i kule. Takie były rozmowy, do których mało się mieszała Platerówna, blada, spokojna; a kiedy widziała weselszych: „Cieszcie się — rzekła — wprowadzą was do Prus na hańbę narodu". Nie odstępował jednak zupełnie humor właściwy nam, Polakom; pozwalano sobie i żartów, i gadatliwości, która niekiedy na kłótnie zakrawała.

Czekaliśmy niecierpliwie skutku narady wojennej; przychodziły ni te, ni owe wieści z głównej kwatery. Jednym razem ruch w całym obozie. Uradzono: na trzy korpusy ma się rozdzielić nasze wojsko: najliczniejszy w piechotę, koło trzech tysięcy żołnierza, pod dowództwem Rolanda i Szymanowskiego pójdzie na północ, kierując się ku Memlu czy Lipawie[36], licząc, jak powiadano, na broń i amunicję z Anglii; Dembiński z półtora tysiącami jazdy i konną artylerią przedzierać się będzie do głównej naszej armii pod Warszawą; Giełgud zaś z Chłapowskim powiedzie resztę sił naszych traktem do Telsz[37] ku granicy pruskiej.

We trzy godziny już każdy z tych trzech korpusów był w marszu, tylko niewiadoma była droga, którą Dembiński miał iść do Warszawy.

Ja trzymałem się mego Generała i towarzyszy niedoli.

---

[34] Połąga, miasteczko w pobliżu Kłajpedy.

[35] Memel (niem.) — Kłajpeda.

[36] Lipawa, niekiedy Libawa, miasto portowe nad Morzem Bałtyckim w pow. grobińskim.

[37] Telsze, miasto powiatowe na półn. zach. od Kowna. W autogr. tu i dalej: Telż, Telże.

Ten sam szwadron 1. pułku ułanów, nieco zmieniony, który z taką radością spotkałem w Zapolu, szedł na przedzie i za nim Chłapowski jechał w towarzystwie dwóch czy trzech przyjaciół. Przyłączył się do niego legion konny kaliski i drugi nieliczny, złożony z Wielkopolanów; tuż za nimi dążył Janusz Czetwertyński z trzema działami konnej artylerii, jako też niewielki oddział powstańców jazdy litewskiej, pułkownik Sołtan i niejeden z luźnych oficerów.

Nie liczył może 1200 ludzi korpus tych, co poszli za Chłapowskim, a byli wszyscy w mniemaniu, że idą pod rozkazami tego generała, kiedy tymczasem przy tylnej straży ujrzeliśmy w małym kabriole jadącego gen[erała] Giełguda w towarzystwie brata swego[38] i dwóch czy trzech adiutantów. Wnoszono, że pod jego, jako wyższej rangi generała, dowództwem byliśmy i z tym się nie tail Chłapowski.

Zaraz po wymarszu z Kurszan poniszczyć kazał, nie wiadomo: Giełgud czy Chłapowski, wszystkie wozy, na których były oficerskie bagaże; służbę tylko prywatną zostawiono, i to na koniach. Z przyczyny, że główny korpus armii nieprzyjacielskiej popędził za Rolandem, jako najliczniejszym, a jedna część tegoż korpusu za Dembińskim, nikt nas nie gonił.

Podchodząc pod Telsze, słyszymy huk dział daleki za miastem; była to potyczka żmujdzkich powstańców z Rosjanami. Wymijamy to miasto; widzimy bieg[n]ący ku nam poczet ochotników z miejscowego powstania; witają nas radośnie, a po krótkiej rozmowie z Chłapowskim wracają do miasta.

Ach, cóż to za miła ta Żmujdź! Kraj piękny, żyzny; włościanie zamożni, pobożni; ich domy dobrze budowane, wewnątrz obrazy świętych, zegary; stoły i ławy czyste; gościnność. Smutny przejeżdżałem koło kościółka, gdzie był lud zebrany. Wszedłem pomodlić się i ulżyło mi na sercu. Kiedym wsiadał na konia, starzec, który mi go pilnował, przytrzymując cugle, pocałował w strzemię i podniósł rękę do nieba.

Na trzeci dzień po wyjściu z Kurszan pożegnała się ze mną i z Macewiczem Platerówna z wejrzeniem pełnym dumy szlachetnej i wyrzucając nam gorzko, dlaczego dajemy się prowadzić do Prus, chociaż jeszcze dobrze nie wiedzieli, co nas czeka. Została we wsi ze swoją nadobną towarzyszką i odtąd nikt z pewnością nie wiedział, co się z nią stało, i dotąd nie wiadomo[39].

---

[38] Jan Giełgud (1795—1877), major, po upadku powstania osiadł w Prusach, potem w Anglii; był członkiem Komitetu Emigracyjnego. Zmarł w Londynie.

[39] Nieściśle, bo losy E. Platerówny były znane na emigracji dzięki publikacjom, np. *Emilie Plater, sa vie et sa mort* par Joseph Straszewicz avec une préface de mr Ballanche, Paris 1834, i inne, a nadto Domeyko jako serdeczny przyjaciel A. Mickiewicza musiał znać jego wiersz napisany w 1832 roku *Śmierć pułkownika*.

Po południu chmurzyć się poczynało i obaczyliśmy nienawistny słup na granicy z czarnym namalowanym orłem. Szliśmy jeszcze ze trzy godziny coraz powolniej i zatrzymując się poza granicą pruską.

Około czwartej z wieczora cała nasza kolumna stanęła. Chłapowski posłał adiutanta swego do Giełguda po rozkazy, a gdy posłaniec ów wrócił, poczęło się przejście nasze haniebne do Prus.

III. Przejście do Prus

Pierwszy przez granicę przeszedł ten sam szwadron ułanów z biało--czerwonymi chorągiewkami, który przed dwoma miesiącami zwiastował mi najmilszą w życiu moim nadzieję i najżywszą na tym świecie napoił radością, jaka już nigdy nie wróci.

Boleść okrutna bierze patrząc, jak ten piękny zastęp naszego żołnierza wchodzi na krzyżacką ziemię, a za nim zaciąga od zachodu łańcuch landwerów[1] z na pół czarnymi, z na pół białymi chorągiewkami na pikach. Zsiadają nasi z koni, odpasują pałasze, rzucają je na kupę, a na nich składają, jakby róże białe i czerwone, swoje chorągiewki.

Za nimi ciągnie legion kaliski i Wielkopolanie, obywatele wracający do swoich siedzib, do pługa, do żon i rodzin swoich. Zbladły, namyślający się, drżący od skrytej w sobie boleści, Janusz Czetwertyński i jego nie mniej oburzony [przyjaciel] Przeździecki wahają się jeszcze, co mają czynić; nagli ich rozkaz, prowadzą swoje działa za fatalną granicę, ale stawią je tuż przy niej i konie przy sobie.

Słońce zaszło krwawo za horyzont, a w tym momencie był już cały nasz korpus rozbrojony na ziemi najgorszego z trzech zaborców Polski. Giełgud został we dworze o ćwierć mili oddalonego od nas folwarku i przespał tę noc jeszcze na Żmujdzi.

Byłaż to noc niełatwa i niemiła do opisania, noc poddania się z bronią bez bitwy. Pierwszy Dwernicki przed pięciu miesiącami dał ów zgubny przykład przejściem austriackiej granicy; my dziś to samo czynimy[2], później i Ramorino[3] nie lepiej postąpił; na koniec i całe nasze

---

[1] Rodzaj wojsk terytorialnych, składających się z rezerwistów; Landwehr (niem.) — obrona krajowa.

[2] Dwernicki przekroczył granicę austriacką 27 kwietnia, korpus Giełguda i Chłapowskiego 13 lipca granicę pruską, zatem nie pięć, ale trzy niespełna miesiące dzieli te wydarzenia.

[3] Girolamo (Hieronim) Ramorino (1792—1849), generał włoski w armii francuskiej, potem polskiej, w powstaniu listopadowym złożył broń Austrii 18 września. W roku 1834 uczestniczył w wyprawie sabaudzkiej, potem w kampanii 1848/49 w armii Piemontu przeciw Austrii, wyrokiem sądu polowego rozstrzelany za niesubordynację. W autogr. pisownia nazwiska różna: Romarino, Ramoryno.

wojsko o dwakroć liczniejsze od tego, które poczynało wojnę i tyle zwycięstw odniosło.

Przez całą noc były zmowy, narady, kłótnie i niepokoje. Chodzili jak mary czy potępieńce nasze wiarusy, złorzecząc sobie, to jedni drugim, to narzekając na dowódców: na Giełguda, na Chłapowskiego. W istocie jednak widoczne było osłabienie ducha nie od wczora, nie od klęski szawelskiej, lecz od batalii wileńskiej, od wcielenia powstańców do regularnego ustroju wojska, nie mającego dostatecznej organizacji ni siły, aby się oprzeć w marszu i na otwartym polu mierzyć się z armią nieprzyjacielską o wielekroć liczniejszą.

Chłapowski był waleczny, pełen zapału, uczciwy generał: nikt go ani Giełguda o zdradę, o przedajność posądzać nie mógł, bo jakaż sława, jakież choćby bogactwo całego świata mogło iść w porównanie z tym, co ich czekało w nagrodę, gdybyśmy odzyskali byt niepodległy, wskrzeszenie Polski.

Ale jak kiedy armia odniesie wygraną, tryumf i chwała spadają na dowódców, tak i z niepowodzenia, z klęski odniesionej pierwsza wina rzuca się na tego, kto dowodził. Chłapowski, widząc nieudolność Giełguda, nie mógł sobie przywłaszczyć władzy, która do wyższej rangi generała musiała należeć; dałby przykład niekarności i wątpię, żeby mu żołnierz regularnych pułków, przybyłych od głównej armii z Giełgudem, był posłuszny.

Co go zmusiło do marszu ku granicy pruskiej, czy rozkaz Giełguda, czy to, co wynikło z rady w Kurszanach, tego nie wiem. Chłapowski liczył, jak zapewniano, na manifest króla pruskiego, zaręczający wolne przejście oddziałom sił wojujących z tym zastrzeżeniem, że Rosjanom wolny będzie powrót z orężem; nam zaś tylko rozbrojonym. Wielki obszar kraju, oddzielający nas od teatru wojny w Królestwie, a zajęty co dzień pomnażającą się armią nieprzyjacielską, już to nadchodzącą z Rosji, już z powiatów oczyszczonych z powstania, czynił przedarcie się do Warszawy tysiąca ludzi pod Chłapowskim trudne zapewne; chciał ich Generał ocalić. Na parę dni przed wejściem, tejże nocy i nazajutrz, użyci przez niego poufali oficerowie, a może i sami z siebie namawiali jedni drugich, mianowicie nas, Litwinów, do oddzielenia się małymi oddziałami na partyzantkę; mogliśmy jeszcze tej nocy mieć od Chłapowskiego i broń, i konie. Jeden z ochotników (nie pamiętam, jak się nazywa) w istocie spod samej granicy we 20 koni doszedł do stolicy naszej. Wielu bardzo uwierzyło, że łatwiej będzie przedrzeć się przez Prusy w Mazowsze czy w Kaliskie lub z Memla, lub z Królewca przemykać do Francji pierwej, nim się wojna zakończy. Sam Chłapowski i Poznańczycy, jako obywatele pruscy, pewni byli kary fortecznej.

Przykro i boleśno jest przypomnieć, co się tej pierwszej nocy na

terytorium pruskim działo. Wiedzieliśmy, że mieszkańcy tej części Prus, mianowicie Memla i Królewca, byli nam przychylni; od nich powstańcy nasi żmujdzcy kupowali broń i amunicję; oni raczej, pewniej i na każdym punkcie, mogli nam ułatwiać powrót małymi partiami przez granicę. Na nich pewniej niż na króla mogliśmy liczyć i niejeden z nas liczył.

Nie było snu tej nocy ani się zważało na głód, na słotę, na wilgotny grunt, na którym byliśmy rozpołożeni. Co kilka minut objazdy i zmiany wart na posterunkach landwerów dochodziły do uszu. Północ minęła, odszedłem od ogniska, by już nie słyszeć sporów i niewczesnych odgróżek, i narzekań, i — jak to bywa na rozweselenie — rozpustnych obozowych rozmów. Spocząłem na ustroniu, położywszy głowę na kępie. Tu mnie znalazł po długim szukaniu mój wierny służący Łukasz; nie odstąpił on mnie od mego wyjścia z Zapola; spostrzegłszy on natenczas na pierwszym noclegu, że nie było jeszcze dla nowozaciężnych broni ni amunicji, ni porządku, jak sobie obiecywał, został przy mnie, opiekował się mną bardziej, niż służył, upatrywał zawsze lepsze miejsce na spoczynek dla mnie, pilnował, dopatrywał konia i czym się posilić niekiedy wyszukał. On to, kiedym z Kowna, zostawiwszy przy nim mego nieco chorego kasztana, musiał na innym, nowo kupionym uchodzić, znalazł mię w Kiejdanach, był bardzo mi użytecznym i po porażce na trakcie do Szawel dziwnym sposobem po drugi raz odcięty ode mnie, znowu mnie dognał, oddał mi mego kasztana i sam na gorszym towarzyszył mi aż do tej granicy nieszczęsnej. W tym momencie przyniósł mi płaszcz, herbaty, pomówiliśmy z sobą nieco o Niedźwiadce, gdzie byli jego rodzice i gdziem się urodził; potem niedaleko mnie położył się. Zdrzemałem się, a równo ze snem poczęły mię dręczyć sny gorsze od rzeczywistości obecnej; widziałem w nich matkę, siostry; wymawiały mi, że je opuszczam na zawsze, ukazywały mi się wsie, pola, łąki i gaje rodzinne jakoś zmienione i ludzie nieznanej postaci.

Ocknąłem się ze zroszoną łzami twarzą, a obudził mię harkawy, niemiły głos mowy niemieckiej objeżdżającego nasz obóz jakiegoś oberlandrata[4] i starego, może z frydrykowskich czasów majora, lustrujących nasze gromady rozbrojonych żołnierzy.

Broń naszą i konie oficerom tylko zostawiono; konie zaś żołnierskie miał rząd pruski zabrać i oddać Moskalom. Z tej przyczyny ze wschodem słońca poczęli oficerowie, kto z nich miał niedobrego konia, przemieniać z ułanami na lepsze, nagradzając im, jak kto mógł. Niejeden porucznik, kapitan czy major zaopatrzył się [we] wcale niezłe rumaki. Trwały te handle na konie cały ranek i przez cały też ranek druga

[4] oberlandrat — wyższy pruski urzędnik administracyjny, tyle co starosta.

jeszcze sprawa zajmowała gorliwie; było to na nieszczęście ubieganie się o nominacje. Przeczuwano, że urząd miejscowy królewski będzie rozróżniał emigrujących według ich rang i świadectw, jakie ukażą. Kto ich nie miał, ubiegał się o świadectwa w głównej kwaterze u Giełguda i u Chłapowskiego. Stąd bieganiny nieustanne od tego generała do Giełguda i na powrót do Chłapowskiego. Co gorsze, starano się w tej smutnej chwili o awanse.

Zostawało jeszcze między nami przy Chłapowskim ośmiu czy dziesięciu oficerów z formującego się za przybyciem na Litwę Chłapowskiego 25. pułku piechoty, który — jak powiedziałem — zaledwo parę razy był w ogniu i był pobity. Ci moi koledzy nalegali na mnie i na Macewicza, abyśmy dla nich upomnieli się u Chłapowskiego o należne im świadectwa nominacji, a nawet niektórzy prosili o podwyższenie stopni; nie chciałem się podjąć tego polecenia i Macewicz odmówił. Sami więc poszli o to się starać do generała i Chłapowski dał dla każdego z nich świadectwo zaginionej nominacji. Nie żądałem jej dla siebie, ale Chłapowski i mój były komendant Macewicz uznali, że mnie jako byłemu adiutantowi pułkowemu odpowiadało powieźć te nominacje do głównej kwatery i domagać się zatwierdzenia ich przez Giełguda, jako do tej chwili głównodowodzącego. Nie mogłem odmówić, wsiadłem tedy na koń i jadę do owego folwarku, gdzie — jakem powiedział — zatrzymał się był z wieczora ze swoim sztabem Giełgud. Kiedym przyjechał i zameldował się, było już południe; Generał jadł spokojnie obiad, u stołu siedziało kilku oficerów i nie brakło potraw i wina. Czekałem może z pół godziny. Wstał Giełgud z jednym z adiutantów i poszli przechadzać się po ogrodzie, a konie ich stały już osiodłane. Korzystając z momentu, przybliżyłem się do generała i opowiedziałem cel mego przybycia. Uprzejmie mnie przyjął i natychmiast poszedł podpisać nominacje.

Między pierwszą a drugą, kiedym wracał do obozu, spostrzegam daleko na trakcie memelskim wielką kurzawę. W obozie sądzono z początku, że był to nieprzyjaciel goniący za nami; lecz wkrótce nasi żołnierze poznali idący spiesznym marszem korpus Rolanda. W istocie szedł od Memla czy od Połągi w odwrocie ten sam oddział naszego wojska, który przed czterema czy pięciu dniami wyszedł był z Kurszan, kierując się na północ.

W miarę jak pierwsza straż Rolanda zbliżała się ku nam, rosło zamieszanie w naszym obozie; a kiedy tą samą drogą, którą weszliśmy do Prus, przeciągał, nie zatrzymując się, w porządku cały korpus Rolanda i Szymanowskiego poza granicę, kierując się do Polski, powstał rozruch między naszymi; jedni rzucali się do koni, by iść za Rolandem, drudzy ich przytrzymywali; było ogólne szaleństwo.

Dochodziły też z szeregów Rolanda krzyki i nawoływania ku nam i przybiegali z nich żołnierze i oficerowie, poburzając i zachęcając do łączenia się z nimi i opuszczenia Prus. Pierwszy przeszedł granicę i pośpieszył ze swymi działami za tylną strażą Rolanda Janusz Czetwertyński z Przeździeckim; rzuciło się też w tymże momencie niemało żołnierzy do złożonej na kupę broni, lecz im na przeszkodzie stanął landwer prusaczy i powstrzymywali ich od tego właśni oficerowie; niejeden ułan wyrwał się oklep bez piki na koniu, niejeden pobiegł i pieszo. Byli i tacy, co w małe oddziałki łączyć się usiłowali; ale też niejeden z piechoty i z jazdy korpusu Rolanda przebiegł do nas i został w[e] wzburzonym obozie.

Działo się to więcej pół godziny — aż oto na owym niefortunnym trakcie memelskim, po którym przeszedł cały korpus Rolanda i Szymanowskiego, nowa poczyna ukazywać się kurzawa i słychać strzały dalekie; był to nieprzyjaciel. Ciemne chmury nadchodziły od wschodu.

W tym momencie Giełgud w towarzystwie brata swego i trzech czy czterech adiutantów przyjeżdża konno do obozu naszego, kiedy jeszcze rozruch, zamieszanie brały coraz groźniejszą siłę. Zaledwo przekroczył granicę stary wojak, kupić się do niego poczęło wielu oficerów. Byłem o kilka kroków od niego, kiedy w pędzie na koniu przyskoczył Skulski[5] i wymówiwszy tylko słowo „zdrajca", ugodził z pistoletu kulą w serce Giełguda i sam poleciał za uchodzącym korpusem Rolanda.

Posłonił się generał, pochwycił go w swoje ramiona brat, błyszczało jeszcze jakby żywe jego szklanne oko na bladej, spokojnej, pogodnej twarzy; nie było to wejrzenie umierającego zdrajcy.

Kiedy się to stało, okrążały nas świeżo przybyłe szwadrony pruskich landwerów: dały ich trąby znak do wymarszu, a ich komendant naglił nas do opuszczenia granicy i powiódł za sobą. Podążyli za nim naprzód ułani nasi z swoim pułkownikiem Borkowskim, jeżeli się nie mylę, z Chłapowskim i kilku oficerami na przedzie, a za nimi poszły inne o[d]działy, nie trzymając się już pierwszeństwa ni porządku. Za nami wieziono ciało zabitego Generała, przy którym szedł brat i kilku wiernych towarzyszy broni.

Cały ten pochód, otoczony na wpół czarnymi, na wpół białymi chorągiewkami landwerów, miał wejrzenie pogrzebowego konduktu. Boleśnie było patrzeć na naszych bez broni, bez lanc ułanów; siedzieli jak zmokłe dziady, a ich konie wlekły się jakby chudziaki od brony. W gromadzie naszych rozmaitej broni oficerów była niezgoda, kłótnie, żwawe zatargi z powodu popełnionego morderstwa. Jedni chwalili czyn Skulskiego, wołali: „niech żyje! dobrze zrobił, taka śmierć zdrajcom!" — i od-

[5] Stefan Skulski, kapitan z korpusu gen. Rolanda.

grażali się na Chłapowskiego; drudzy przeciwnie, potępiali ten czyn jako niepolski, nieszlachetny. Giełgud był patriotą, a jeżeli słabotą swoją czy nieudolnością zaszkodził, toby go nie ominął sąd narodu i własne zabiłoby go sumnienie, a nikt nie powinien być razem oskarżycielem, sędzią i wykonawcą kary. Niejeden wykrzyknął: „toć on nas do Prus zaprowadził, on porozrywał powstania", na to ktoś tam odrzekł: „któż wam zabronił był na nowo w Kurszanach formować oddziały lub iść za Dembińskim, lub wonczas czy dziś jeszcze pójść na partyzantkę?" Szanowany od wszystkich, jadący w pośrodku nas Adam Sołtan, syn ostatniego marszałka litewskiego, starał się ochładzać zapaleńszych, zalecał umiarkowanie — na próżno; „kto broni zdrajców, ten sam zdrajca" — krzyczano jakby na sejmikach; przychodziło do grubych wyrazów, do wyzywań się na pojedynki.

Tymczasem szliśmy za Prusakiem, nikt nie pytał, dokąd. Czarnymi chmurami było zaciągnięte niebo; z daleka dochodziły do uszu to grzmoty nasuwającej się burzy, to przerwami huk dział nieprzyjaciela goniącego za korpusem Rolanda. Przerwała w końcu nasze nienaraźne[6] kłótnie silna ulewa i nie opuściła nas do wieczora.

Zmoczeni przyszliśmy na jakąś obszerną łąkę, przy której był las i wieś pobliska. Tu zatrzymał nas komendant landweru wojennego okręgu tej prowincji, gruby, osiwiały, niemiłej twarzy i postawy i oświadczył Chłapowskiemu, że chce do nas przemówić. Choć każdy z nas myślał tylko o tym, żeby się osuszyć i czym pożywić się, zeszliśmy się na miejsce, gdzie był komendant, i od niego usłyszeliśmy, że z przyczyny cholery i zaprowadzonej kwarantanny na całej granicy pruskiej od strony Rosji i Polski będziemy zmuszeni pozostać obozem w przeciętej komunikacji z miejscową ludnością przez cały czas przepisany ustawą. W istocie był to czas ciężkiej cholery na całym pograniczu Polski i w głębi kraju, a tylko ruch wojenny, zapał, czynność i niepowodzenia odwracały uwagę od tego drugiego nieprzyjaciela, który zabijał ludność po szpitalach i niejednego nam żołnierza uchwycił.

Była to już ostatnia tego dnia gorycz do zgryzienia. W głodzie i wilgoci przespaliśmy tę noc nieszczęsną. Na drugi dzień te same land[w]ery i komendant przeprowadzili cały nasz oddział do siedmiuset ludzi liczący na inne miejsce, gdzieśmy cały dzień gorący na piasku pod słońcem obozowali. Tam odebrano konie prostym żołnierzom, a naszym oficerom zostawiono do woli utrzymywać na swoim koszcie konie lub je przedawać mieszczanom i chłopom, w wielkiej liczbie z całej okolicy na to przybywającym. Rozpoczęły się więc targi na konie i ja tu mego kasztana za 60 talarów przedać musiałem.

---

[6] nienaraźne — nie na czasie.

Zapomniałem powiedzieć, że było między nami niemało rannych, z których jedni od samych Kurszan dojechali na chłopskich wózkach do granicy, wkroczyli z nami do Prus, drudzy na koniach. Trzeba tu było ich opatrzyć i nimi się zajmować, a mieliśmy trzech czy czterech lekarzy, między którymi był Marci[n]kowski z Poznania i Sobolewski[7], mój szkolny przyjaciel, Litwin.

Nie dano nam jednak długo tu odpoczywać i zaraz nazajutrz zawiedziono dalej o parę mil do miejsca zwanego Ascheken, gdzie pod pozorem kwarantanny przez dwa miesiące pod ścisłą strażą nas trzymano.

[7] Adam Sobolewski, filareta, lekarz, zmarł w Ascheken.

IV. Prusy — Niemcy

Ascheken jest miejsce niewesołe; płaszczyzna na wpół piaszczysta, sucha, oddalona od wsi i od granicy, o dwie czy trzy mile położona od Memla (Kłajpedy). Był to folwarczek, najęty zapewne przez rząd na kwarantannę dla nas, znaleźliśmy tu niewielki domek, dwie stodoły puste i jeszcze jakąś chatkę na ustroniu. Domek obróciliśmy na szpital, w stodołach spaliśmy na słomie pokotem, a kto się w nich nie zmieścił lub komu było za ciasno, nocował pod gołym niebem. Zaraz też jeden spekulant, kupiec z Memla, wystawił z descek barak i w nim założył karczemkę. W niej można było dostać win i napojów wszelkiego gatunku, chleba, mięsiwa, a nawet łakoci; tu zatem była pospolicie schadzka weselszych gadułów, mających cokolwiek grosza.

Co też to było za życie w tym Ascheken, jeżeli można nazwać życiem owo próżniacze koczownictwo gromady ze wszystkich stron od Dźwiny do Noteci zebranych wychodźców, otoczonej dniem i nocą kordonem straż nieprzyjacielskich, kiedy jeszcze armia narodowa wiodła bój zacięty bez przerwy, wytrwale. Choć wspólna klęska i niepowodzenia łączyć nas były powinny i łączyły braterską miłością, wkradły się niebawem i nieporozumienia, i fatalny prowincjonalizm; od żartów przychodziło do przymówek, od przymówek do uchybień w grzeczności, tak że nie uszło dwóch tygodni, a już potrzeba było obmyśleć środki dla zapobieżenia złemu.

Rzucono się do pojedynków na pałasze; odbywały się w rannych godzinach w stodole przy drzwiach zamkniętych. Pierwsze zwarcie się było między młodym Grabowskim[1] z Poznańskiego i Przeździeckim, Litwinem; służyliśmy im za sekundantów obu ich zarówno przyjaciele, ja i Kraszewski, zacny bardzo i uczony prawnik, Wielkopolanin. Ukazał się tego dnia z ręką na temblaku Przeździecki, a już na drugi dzień pałaszowali Mikulski Izydor z jednym koroniarzem[2]. Co trzy czy cztery

---

[1] Mowa zapewne o Adamie Grabowskim, poruczniku wojsk polskich, synu Józefa, właściciela Łukowa w Poznańskiem.

[2] koroniarz — nazwa dla Wielkopolan i Małopolan w odróżnieniu od Litwinów.

dni ponawiał się szczęk szabli to w jednej, to w drugiej stodole; łatwo poróżnieni godzili się i szli do Pusza karczmarza; przyszło też niebawem do widocznej poprawy, do ugrzecznienia w obchodzeniu się jednych z drugimi.

Drugie zło prędko się ukazało. Jakoby na zabicie nudy i czasu rzucono się do szulerstwa: całymi dniami grano w karty. Pieniądze, choć niezbyt wiele ich było, przechodziły z jednych rąk do drugich, a grzęzły w winiarni.

Jeden pobożny kapłan, nic nikomu nie mówiąc, przyłączył się do nas od Kurszan, uwożąc z sobą przyrządy kościelne i był on dla nas prawdziwą osłodą. Każdej niedzieli urządzaliśmy z rana pod drzewami ołtarz; na drzewie zawieszony dzwonek wszystkich zwoływał; ksiądz nasz miał mszę czytaną: słuchaliśmy jej klęcząc na ziemi, a po mszy śpiewaliśmy za księdzem: »Święty Boże« i »Bóg nasz ucieczką i mocą w uciskach, które znalazły[!] nas bardzo; przeto się bać nie będziemy, gdy się poruszy ziemia«. Trzeba było słyszeć, jak ochotnie i głośno wszyscy śpiewali, i widzieć, jak spokojnie rozchodzili się nieco zamyśleni.

Wieczorami śpiewano pieśni patriotyczne; między innymi: »Hej, kto Polak — na bagnety« Delaigne'a[3], »Już czas« z *La muette de Portici*[4], jako też »Jeszcze Polska nie zginęła«, »Nasz Skrzynecki«[5] itd.

Ułani nasi 1. pułku nie byli przy nas, lecz o czwerć mili od naszego obozu były ich leże przy generale Chłapowskim, dla którego zbudowano mały naprędce z descek domek.

Na domiar nieszczęścia wkrótce ukazała się cholera i poczęła porywać naszych towarzyszy; niejeden z niej umarł; w obawie zaś, żeby, dowiedziawszy się o tym, Prusacy nie przedłużali terminu kwarantanny, grzebaliśmy nocami umarłych w obozie. Spoufaleni już byliśmy z tą zarazą od początku wojny i nie robiła wielkiego wrażenia. Jednej nocy ocykam się i widzę opróżnione przy mnie miejsce, na którym był leżał moj przyjaciel z czasów wileńskich, doktor Sobolewski. Pytam kolegów, co się z nim stało, i mówią, że tylko co wyniesiono go chorego na cho-

---

[3] »Hej, kto Polak — na bagnety«, refren *Warszawianki*, pieśni patriotycznej, zaczynającej się od słów: »Oto dziś dzień krwi i chwały«, jej autorem jest Casimir Delavigne (1793—1843), liryk i dramaturg francuski, członek Komitetu Francusko-Polskiego. Pieśń, o której mowa, przetłumaczył na język polski Karol Sienkiewicz, a muzykę do niej skomponował Karol Kurpiński.

[4] *La muette de Portici* (*Niema z Portici*), opera w pięciu aktach, libretto Germain Delavigne'a, muzyka d'Aubera.

[5] Czy nie »Nasz Chłopicki wojak dzielny, śmiały...«, mazur wojenny, śpiewany po raz pierwszy w Teatrze Narodowym 28 grudnia 1830. *Zbiór pieśni i poezji powstania listopadowego*, jeśli chodzi o Skrzyneckiego, podaje tylko *Marsz Skrzyneckiego*: »Idzie zadumy szara godzina...« Zob. A. Bełcikowska, *Powstanie listopadowe. Zbiór pieśni i poezji*, Warszawa 1930, Bibl. Żołnierza Pol., t. XIII.

lerę. Takie było zobojętnienie, żeśmy rozmawiali o tym jak o bagateli, że po chwili znowu sen zmorzył i zasnęliśmy.

Gorsza jeszcze od cholery okazała się w naszym ciasnym szpitalu rannych tak nazwana gorączka szpitalowa, z której zgnilizny nikt się nie uleczył. Jedną z najboleśniejszych była dla nas, Litwinów, śmierć Polha[6], gorliwego patrioty, lubionego od szlachty oszmiańskiej promotora tam między nią powstania, którego naczelnikiem był z Przeździeckim ze Smorgoń[7], dawnym filaretą na Uniwersytecie Wileńskim. Pozwolono nam pochować go opodal od obozu na jakimś cmentarzyku, a towarzyszyła mu do grobu cała prawie nasza gromada.

Wlokły się dni nieznośnie. Przyjeżdżali dla widzenia nas niemieccy obywatele memelscy, damy i wystrojone Niemczyki, lornetowali nas z daleka i odjeżdżali; ukazał się częściej kupczyk jakiś z bagatelami, by wyfrymarczyć ostatek grosza, lub jaki powóz z niedobrej sławy kobietami.

Mieliśmy i gazety, dzienniczki berlińskie. Z nich czytamy jednego dnia, że Dembiński przeszedł przez całą Litwę, przerżnął się przez nieprzyjacielską armię i był tryumfalnie przyjęty w Warszawie, a prezes rządu Czartoryski w przemowie, jaką miał do niego, rzucił naganę na wojsko, które przeszło do Prus i tam broń złożyło, nie dopełniwszy obowiązku prawych synów ojczyzny; a było już wiadomo, że i cały korpus Rolanda przeszedł we cztery dni po nas tę samą pruską granicę.

Ta wiadomość przyniesiona z Warszawy przygnębiła okrutnie humor nasz w Ascheken. Gazetę, która ją przyniosła, czytał każdy po cichu, podawali ją jeden drugiemu w milczeniu, unikając sprzeczek i mowy o winie, do której każdy mniej więcej poczuwał się; składali ją gadatliwsi na Generała, a zapaleńsi pobiegli burzyć obozujących przy nim ułanów, gdyż w nocy po przyjściu owych wiadomości był napad groźny ułanów na barak Chłapowskiego i nazajutrz pozwolono Generałowi przenieść się do Memla.

Wkrótce potem odkryto między oficerami z jakiejś zaciężnej ruchawki wierutnego szpiega, mającego konszachty z policją memelską czy z Moskalami. Znaleziono przy nim podejrzane papiery. Osądzony przez komisję, złożoną z kilku naszych oficerów, za zdrajcę, był od fagasów odarty z munduru, wypchnięty z obozu; przez straż pruską znowu do obozu wrzucony i tak długo tam i sam targany, aż się nad nim komendant straży zlitował i odesłał nie wiadomo dokąd.

Przyznać jednak muszę, że w landwerach, jako też w żołnierzach i oficerach stałej służby, Prusakach, przeznaczonych do strzeżenia nas,

---

[6] Justyn Pohl (1801—1831), filareta, prawnik. W autogr.: Pola.

[7] Smorgonie, miasteczko w pow. oszmiańskim (znane ongiś z zakładu tresowania niedźwiedzi, zwanego „akademią smorgońską").

znaleźliśmy wiele przychylności i sympatii dla sprawy naszej i dla nas; przychodzili do nas co dzień prawie oficerowie, bratali się z nami, pili i śpiewali patriotyczne pieśni nasze, po polsku i po niemiecku. Niektóre z tych pieśni niemieckich poetów, jak owa na cześć „ostatnich czterech żołnierzy 4. pułku piechoty"[8], po trzykroć, jak wiadomo, idącego na bagnety w batalii grochowskiej, śpiewali z wielkim upodobaniem Prusacy i śpiewać nas nauczyli.

Był szczególnie w pułku utrzymującym straż obozową pruską jeden kapitan, który się z nami bardzo zaprzyjaźnił; nieco hulaka, wesoły, ruchliwy, usłużny, nie miał w sobie owej berlińskiej sztywności, którą koledzy jego odznaczali się; mówił nawet nieźle po francusku, a nasi uczyli go w baraku Pusza tańczyć mazura. Jednego dnia zamarzyło się mu nas ubawić jakąś dramatyczną krotochwilą i pod sekretem szepnął poufalszym, że wyprawi nazajutrz po południu pogrzeb tryumfalny Dybicza* z muzyką i całą okazałością. Z dziecinną ciekawością czekaliśmy na umówioną godzinę i w istocie spostrzegamy z daleka na memelskim trakcie posuwający się długi szereg niezwyczajnego kształtu figur. Na próżno warty silą się zatrzymać przestępujących kordon; sami nawet stojący na straży żołnierze śmieją się do rozpuku. Widzimy przeciągający koło nas orszak postrojonych niby to Turków czy Indian, wiodących przed sobą brzuchatego z oślimi uszami bałwana, na czele grała kocia muzyka z bębenków i krzykliwych trąb złożona. Bawiła ta maskarada, choć bez sensu ni wielkiego dowcipu wymyślona. Poznaliśmy w jej orszaku i kapitana nieco fantastycznie przebranego: witaliśmy go serdecznie na całe gardło. Wszystko szło jak najlepiej, kiedy z przeciwnej strony, z zagórza, pokazuje się na koniu stary komendant pruski Tidwitz z adiutantem — jakaż to natenczas była zmiana sceny! Pierwszy bałwan począł uciekać, za nim towarzysze w nogi, kapitan znikł, warty srożyły się na nas; my też niezbyt powoli wracaliśmy, rzucając okiem na rozgniewanego Tidwitza, salutując go z daleka. Łatwo domyślić się, że już odtąd nie wrócił do nas ów przyjaciel nasz kapitan.

Tym i temu podobnym sposobem przeszły nam o niemało dwa miesiące pruskiej kwarantanny, aż do nadejścia z Berlina wiadomości

---

* Dybicz w tym czasie umarł z cholery. [Iwan Dybicz (von Diebitsch), 1785—1831, Niemiec w służbie Rosji, uczestnik bojów przeciw Napoleonowi, w 1830 r. dowódca wojsk rosyjskich wysłanych na stłumienie powstania listopadowego].

[8] Mowa o pieśni *Pułk czwarty* (»Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę...«), słowa Juliusza Mosena (1803—1867), poety niemieckiego, tłum. na język polski Jan Nepomucen Kamiński (1777—1855), zasłużony pisarz i tłumacz. W cytacie Domeyki nieścisłość, mowa bowiem w tej pieśni nie o czterech żołnierzach, ale o dziesięciu: „My to ostatni dziesięciu, cały nasz pułk czwarty". Zob. Bełcikowska, *op. cit.*, s. 149—152.

o wzięciu przez Rosjan Warszawy[9]. Wnet zwolnione zostają przepisy straży; pozwalają nam Prusacy po trzydziestu czy czterdziestu na dzień jechać do Memla, z obowiązkiem wszakże wracania na noc do obozu; dostarczano nawet na te przejażdżki powozy. W kilka dni potem uwiadamia nas landrat czy komendant wojskowy memelski, że przywrócona będzie wolność każdemu z nas natychmiast, który podpisze zaręczenie, że nie będzie usiłował wracać do Polski i brać udział w toczącej się wojnie. Nikt nie podpisał tego warunku ani słyszeć o nim nie chciał.

Wtenczas to z trzema przyjaciółmi powziąłem myśl ratować się ucieczką z Memla do Francji na jakim okręcie i stamtąd przekradać się na powrót, póki jeszcze trwa wojna, do Polski. Pojechałem w tym zamiarze do Memla; odwiedziłem tam generała Chłapowskiego, który natenczas mieszkał w mieście, poznałem jego piękną żonę, siostrę księżnej łowickiej[10], i przyjęty od nich byłem uprzejmie; ale w porcie nie znalazłem ani jednego francuskiego statku, policja zaś miejscowa bardzo srogo pilnowała, żeby który z Polaków nie wymykał się z Memla na odchodzących okrętach.

Wróciłem więc z niczym do swoich. Wkrótce potem przychodzi rozkaz królewski, aby tych, co nie podpiszą owego zaręczenia, że aż do końca wojny nie będą do niej należeć, wysyłał rząd okręgowy memelski do najbliższej fortecy. Nie było czasu do namyślania się; pojechałem znowu z dwoma Mikulskimi[11] do Memla z postanowieniem pozostać tam potajemnie, póki nie zdarzy się sposobność do ucieczki. Przed wyjazdem pożegnałem mego Łukasza, który chciał koniecznie, abym go nie oddalał od siebie. Radziłem mu, żeby pozostał w Prusiech, ale za nic nie chciał mnie porzucać i tylko kiedym mu wytłumaczył, że myślę morzem uciekać do Anglii, że to i niebezpiecznie, i drogo kosztuje, powiedział mi ze łzami, że kiedy tak, to woli powracać do domu; uścisnąłem go po raz ostatni, dałem na drogę, co mogłem, i kartkę do mego stryja, aby go nagrodzono datkiem i wolnością za wierną służbę. Wrócił szczęśliwie i pierwszy wieść przyniósł do domu o mnie po moim wyjściu z Zapola. Wróćmy do swego.

Jadę tedy z mymi dwoma sąsiadami Mikulskimi i jednym jeszcze oficerem Kościelskim[12] do Memla, z postanowieniem zmykać jakim nie bądź sposobem i jaką nie bądź drogą. Dowiadujemy się, że z portu za trzy dni odpływa do Londynu mały statek angielski kupiecki. Nie czekając długo, popłynąłem do tego okrętu, aby go obaczyć i rozmówić się

---

[9] W nocy z 7 na 8 września.

[10] Antoninę Annę z Grudzińskich (1794—1857), zaślubioną w roku 1821.

[11] Izydorem i Józefem.

[12] Zapewne Ludwik Kościelski, major pierwszego p. strzelców pieszych. W autografie w tym miejscu Kościełowskim, poniżej Kościelskim.

z kapitanem, a tu nowy ambaras; kapitan, jak dobry Anglik, nie umie żadnego języka prócz swego. Ja, choć wiele czytałem, nawet Ossjana[13] i Gibbona[14] po angielsku, nigdym był nie otworzył gęby w tym języku. Przemówiłem do kapitana, nie zrozumiał; zagadał coś do mnie, ani słowa nie zrozumiałem; pokazałem dukaty i na migi, że chcę uciekać, może i zrozumiał, ale nie był pewien, czego chcę; aż przychodzi mi do głowy przemówić na piśmie do niego. Wyjmuję z zanadrza pugilares i układam frazes z pisownią, choć nie bardzo poprawną: czyta, dziwi się i odpisuje na tymże pugilaresie Anglik. W kwadrans porozumieliśmy się. Nazajutrz rano wypłynie z portu okręt, kapitan obowiązuje się czterech nieznajomych mu bez paszportów zawieźć do Londynu za... (zdaje mi się 50 duk[atów]), z tym jednak zastrzeżeniem, że ponieważ przy samym wyjściu z portu policja portowa przychodzi robić najściślejszą rewizję okrętu, aby wybadać, czy jakiego zbiega na nim nie uprowadza kapitan, o milę czy dwie mile od brzegu po wyjściu z portu będzie na nas czekał na okręcie, aż póki nie dopłyniemy do niego etc., etc. Zgodziłem się na wszystko.

Zaraz za powrotem do miasta znaleźliśmy właściciela dobrej szalupy, który się podjął dostawić nas do okrętu, choćby i daleko od brzegu, jak to był nazwyczajony robić z przemycaniem zbiegów i kontrabandy.

Przed wschodem tedy słońca, o pół mili na wschód od portu byliśmy już na brzegu, gdzie na nas czekał barczysty szalupnik z dwoma synami; silnie nam biło serce, kiedyśmy patrzyli, jak nasz okręt rozpinał żagle w porcie; już rusza się, już płynie — wychodzi z portu; za nim zwija się łódka portowego kapitana jak szpieg za dobrym człowiekiem i zawraca nazad; a okręt nasz, odpłynąwszy jakoby o milę dalej na morze, kieruje się na wschód i lawiruje przed owym brzegiem, przy którym szalupa nasza już miała rozpięty żagielek i w niej siedzimy bezpiecznie. Mały wietrzyk przy pomocy wioseł odbił nas daleko od rozbijającej się o ląd fali; już jesteśmy wolni; kiedy w tymże momencie, nie dalej jak sto metrów od ziemi, porywa nas wicher, rzuca do góry i na dół, pracują, jak mogą, trzej wioślarze, nas choroba morska ogarnia, osłabia; po dwakroć nawracamy bieg nasz ku okrętowi i okręt zdaje się kierować ku nam i znowu się oddalamy; fala pryska, rzuca wodę do szalupy; przemokli do nitki, po godzinnym ubijaniu się z coraz bardziej srożącą

---

[13] Mowa o *Pieśniach Osjana*, zbiorze utworów przypisywanych Osjanowi, mniemanemu bardowi celtyckiemu z III wieku, wydanych w języku angielskim przez Macphersona w roku 1765.

[14] Edward Gibbon (1737—1794), historyk i polityk angielski, autor znanego dzieła *History of the Decline and Fall of the Roman Empire*.

się burzą tracimy sprzed oczu okręt, a przezorny wioślarz ratuje nas i synów swoich, kierując szalupę do brzegu.

Wszyscyśmy się zarówno brali do wyrzucania wody z małego statku; wiatr wschodni pędził nas ku zachodowi, minęliśmy zatokę portową i daleko byliśmy od niej na pobrzeżu owego szlaku piaszczystego, który oddziela morze od Kurisch Haffu[15], kiedy się fale uspokajać poczęły. Nad wieczór wiatr ustał i powoli wiosłując przybiliśmy na miejsce, skąd nocą mogliśmy niespostrzeżeni od policji wrócić do miasta.

Tu długo popasywać nie było bezpiecznie; mogłaby policja uwięzić nas i wydać straży granicznej rosyjskiej. Nie było innej rady, jak wracać do swoich i podzielić z nimi los, jaki nas czeka.

Jedziemy więc do obozu naszego w Ascheken, ale tam już nie znajdujemy nikogo z naszych oficerów ni żołnierzy. Trzy czy cztery mogiły z ziemi i piasku usypane z zatkniętymi na nich krzyżami zostawili nasi na miejscach, gdzie były tajemnie pochowane ciała umarłych z cholery; jacyś ludzie plądrowali po stodołach i legowiskach, gdzieśmy od dwóch miesięcy obozowali. Od tych ludzi dowiadujemy się, że tegoż rana na dwie czy trzy godziny przed naszym przybyciem wywieziono na furmankach wszystkich naszych oficerów do małej mieściny leżącej na brzegu Kurisch Haffu, skąd na statku mają popłynąć nie wiadomo dokąd.

Cóż począć? Jak niepyszne pany, dwaj Mikulscy, Kościelski i ja, na tymże samym wózku, na którym byliśmy wyjechali z Memla, jedziemy do owej mieściny, której nazwania nie pamiętam. Przybywamy do niej w sam czas, kiedy wszystkich naszych kolegów, bo nikt nie podpisał wspomnianego wyżej zaręczenia, sadzano na dwa statki i nas do nich przyłączono. Na każdy statek wsiadło do pilnowania nas z pięćdziesiąt dragunów i popłynęliśmy.

Dopóki była pogoda, było jako tako. Nasi bratali się na pokładzie z Prusakami, śpiewali z nimi ich i nasze pieśni narodowe, przepijali do nich i bawili się. Ze zmrokiem nadchodzi deszcz ulewny i wicher; kupimy się wszyscy na dół pod pokład; szczelnie pozamykano wejścia u góry; na pokładzie tylko żołnierze pruscy zostali: gorąco, brak powietrza, swąd od sera i wędzonych łososi poczynają nas dusić; burza rzuca i potrząsa straszliwie naszymi lekkimi okrętami; gaśnie i światło; omackiem szukamy schodów i drzwi wiodących na pokład, a i te zamknięte. Draguni jednak do północy śpiewali jeszcze; jeden spadł do wody i utonął.

Długa to była noc zaiste; około piątej rozwidniało i dobijamy do małego miasteczka (Mulsen, jeżeli się nie mylę). Ledwośmy wylądować

---

[15] Zalew Kuroński, rozległa, płytka zatoka na pd. wsch. Bałtyku, oddzielona od morza Mierzeją Kurońską.

pośpieszyli, kiedy wybiega ku nam mnóstwo kobiet i dzieci przypatrywać się nam i przedawać nam chleb, ciasta, owoce, delegowany zaś od urzędu zaprasza nas do domu, w którym pan landrat czy komendant miejscowy czeka na nas i chce z nami rozmówić się. Idziemy więc za owym delegowanym i wchodzimy do obszernej sali, na której końcu widzimy duży stół, za stołem poważną osobę, jakiegoś przy krzyżach wysokiej rangi urzędnika, a na stole dwa worki z pieniędzmi leżały, papier, pióro i atrament. Przemówił do nas grzecznie dostojny Prusak; przypomina, o ile król ma na sercu los i smutne położenie nasze, i ofiaruje wsparcie nieodzowne. Podobało się to wszystkim, choć nie wszyscy zrozumieli; posunęła się tylko cała nasza gromada do stołu ochoczo.

Brał się już ów urzędnik jakby do płacenia sukursu, odwiązał pierwszy na podorędziu worek, dodając, że uważa za konieczne, abyśmy dla naszej własnej korzyści dali na tym arkuszu papieru własnoręczne podpisy.

Większa część tych, co nie rozumieli języka, sądziła, że chodziło o danie rewersów na to, co kto odbierze, i nie widziała w tym nic zdrożnego. Ale Kraszewski podjął ze stołu papier i zrozumiał, że była to deklaracja dana do podpisania, iż nie wrócimy i nie podniesiemy oręża na nieprzyjaciela w toczącej się wojnie, począł więc przekładać w przyzwoitych wyrazach, że król nie dotrzymał danego słowa[16], że rozbroiwszy zatrzymał nas pod pozorem kwarantanny na gołej ziemi przez dwa miesiące i teraz niesłusznie wymaga po nas tego, na co honor i miłość ojczyzny zgodzić się nie dozwalają; wracając do swego, przekładał Prusak, że to zaręczenie nie uwłacza honorowi walecznych żołnierzy, potem rozgniewał się na to wiernosłużbowy urzędnik, zawiązał worek, a nasi w śmiech; niejeden wychodząc za drzwi z polską brawerią nie wiedzieć co na Prusaków wymyślał.

Nie upłynęło może parę godzin, kiedy już czekał na nas dziesiątek długich, drabiniastych wozów, które chłopi do zwożenia siana do gumna używają, przeznaczonych na zawiezienie nas wszystkich do fortecy Piławy.

Konie, choć chłopskie, były wyborne; nuż nasi poić parobków i sami powozić. Po szerokim gościńcu biegło dziesięć drabiniastych wozów na wyścigi; jeden wywrócił się, drugiemu konie ustały. Wreszcie przybyliśmy do Fischhausen[17], gdzie nas zatrzymano z przyczyny, że nie były przygotowane dla tylu nas siedziby w Piławie.

Fischhausen, jak wiadomo, jest miejscem męczeństwa drogiego nam

---

[16] Oddziały wojska polskiego miały, według zapewnień władz pruskich, powrócić do kraju po odbyciu kwarantanny.

[17] Fischhausen, miasto powiatowe w pobliżu Królewca.

rzecznika Polski w niebie, św. Wojciecha, o którym Skarga mówi: „Oddał ofiarę swoją Bogu swemu, a męczeńskiej korony, której długo w rozlaniu krwie swojej dla Chrystusa, Boga swego, pragnął, uczestnikiem się stał" (*Żyw. św. Wojciecha*)[18].

O przyczynienie się tego świętego za narodem naszym w boju poszedłem modlić się na pobrzeże morza, na którym ten wielki bohater wiary, apostoł nasz, był znaleziony, przeszyty strzałami od dzikich pogan. Niepiękny to skraj ziemi, ma wejrzenie pustyni w jesiennej porze, igrzysko wiatrów północnych i szumiącej fali. Kilka ziarnek bursztynu znalazłem świeżo wyrzuconych, ofiarowałem je na kadzidło kościelne.

Niewielkie to i nieozdobne miasteczko Fischhausen wielce nam po długiej rezydencji naszej w Ascheken podobało się i znaleźliśmy tu mieszkańców dla nas przychylnych. Przebyliśmy noc spokojnie po gościnnych domach, prawie za darmo; nazajutrz zaś nad wieczór przewieziono nas na małych furmankach do Piławy i zamknięto w forteczce, której komendantem był stary generał ze służby jeszcze Wielkiego Fryca[19]. Jak wojskowi owego czasu pruscy, mówił nieźle po francusku, ale był to służbista, typ pod każdym względem Prusaka.

Zapakował nas do obszernych spichrzów na zboże, na których tu nie zbywa, jako na wielkiej przystani zbożowego handlu. Tu jak szczury wysiedzieliśmy dwutygodniową pokutę, aż do dnia, w którym komendant odebrał sztafetą wiadomość o wejściu naszego wojska do Prus i o końcu wojny.

Odemknięto drzwi od spichrzów i pozwolono nam przechadzać się bez straży. We dwa dni potem przewieziono wszystkich na dwóch statkach do Królewca, gdzie nie z jednym z kupców handlujących naszym zbożem i drzewem zapoznaliśmy się i byliśmy dobrze przyjęci. Odeszły już nasze wiciny. Mieszkańce królewieccy okazywali ku nam wielką przychylność; uczniowie uniwersyteccy wykonali dla nas nocną serenatę; na niczym nie zbywało.

Ale urząd wojskowy nie dozwolił tu nam używać długiego popasu. Na trzeci dzień po przybyciu z Piławy porozsyłano nas wszystkich podzielonych na małe oddziałki po siedmiu do dziesięciu do rozmaitych miasteczek. Mnie, Wrotnowskiemu, Kublickiemu[20] i dwóm innym dostało

---

[18] Zob. Piotr Skarga, *Żywoty świętych starego i nowego zakonu na każdy dzień przez cały rok*, wyd. 24, Kraków 1881, s. 271.

[19] Fryderyk II Wielki (1712—1786), król pruski.

[20] Adolf Kublicki, student Uniwersytetu Wileńskiego, znany z przygody z ks. Konstantym w Wilnie. Zob. I. Domeyko, *Filareci i filomaci*, Poznań 1872.

się jechać do Gerdauen[21], Mikulskich, Michała Wołłowicza i innych [powieziono] do Rastenburga[22], innych do Eylau[23], do Friedland[24] etc.

Przeżyliśmy w tych pruskich miasteczkach do końca grudnia (1831). Przez cały ten czas mieszkańce Prus Wschodnich [okazywali] w ogólności gościnność, dobre serce, zapraszali do siebie; możniejsi dawali dla nas wieczory, obiady; młodzież śpiewała z nami patriotyczne pieśni w swoich zebraniach, w resursach. Rząd płacił 30 talarów dla każdego oficera na miesiąc.

Zajmował się szczególnie losem naszych Litwinów Chłapowski; pisał listy zalecalne do obywateli poznańskich, mianowicie do księcia Sułkowskiego[25] i do możniejszych panów, dla tych, którzy by chcieli pozostać w Poznańskiem lub się przemykać do Francji. Zmuszony przez rząd do pozostania przez dłuższy czas w Fischhausen, pisał on do mnie w tym przedmiocie; na jego wezwanie pojechałem w grudniu do Fischhausen i przeze mnie przesłał Generał do rozdania między potrzebujących niemałą ilość pieniędzy.

W tymże czasie połączyliśmy się, odwiedzając jedni drugich w pruskich miasteczkach, z oficerami korpusu Rolanda; a w okolicach Gdańska tegoż losu, co my, doświadczali liczniejsi od nas wychodźcy z głównej naszej armii, którzy przeszli byli granicę pod naczelnictwem generałów i Rządu Narodowego wespół z posłami, senatorami i wielu wyższymi urzędnikami z Królestwa.

W Gerdauen i po innych miasteczkach była cholera straszniejsza, bardziej zabójcza niż ta, którą w kraju zostawiliśmy. Były dni, w których 50 i więcej umierało chorych na dzień. Lud spokojnie, na modlitwie, znosił to dopuszczenie Boże; słyszałem wieczorami do późnej nocy po domach śpiewy psalmów; a taka była uległość władzy i posłuszeństwo prawu, które nie pozwala chować umarłych aż na trzeci dzień po śmierci, że pomimo obawy, jaką przynosi szerzenie się zarazy, znoszono ciała umarłych do przeznaczonego na to budynku za miasteczkiem i żadnego trupa przed trzema dniami nie pochowano.

Wiele się też dobrych rzeczy mogliśmy byli nauczyć w tych Prusiech co do porządku publicznego, co do administracji, sądownictwa, szkół i oszczędnego życia. Ale nasi bawili się, smucili czy kłócili się jedni

---

[21] Gierdawy, miasto powiatowe w ówczesnych Prusach Wschodnich.

[22] Miasto pow. w ówczesnych Prusach Wschodnich, obecnie Kętrzyn.

[23] Tj. Iława Pruska, miasto pow. w ówczesnych Prusach Wschodnich, dziś m. Bagrationowsk.

[24] Friedland (Frydląd), miasto pow. w ówczesnych Prusach Wschodnich, pamiętne zwycięstwem Napoleona nad armią pruską i rosyjską w 1807 r.

[25] Antoni Paweł Sułkowski (1798—1836), generał, marszałek pierwszego sejmu poznańskiego, potem członek rady stanu.

z drugimi, zalecali się do Niemek i oczekiwali wojny od zachodu; rwali się niecierpliwie do Francji.

Tymczasem rozkaz po rozkazie odbiera rząd okręgowy królewiecki z Berlina, aby tych emigrantów oficerów, którzy nie chcą prosić o amnestię [i] wracać do kraju, jak najprędzej wyprawiał do Francji, tych zaś, którzy proszą o amnestię, można na czas zostawić, a król przyrzeka wstawić się za nimi do cesarza; o żołnierzach nie było wzmianki. Lękaliśmy się, aby ich Prusacy nie wydali Moskalom.

Do każdego z nas po osobno przysłał landrat zapytanie, czy się decyduje podpisać prośbę o amnestię, czy iść na wygnanie. Tu wielu znalazło się w trudnym położeniu; z jednej strony rodzice, krewni powoływali ich do kraju, ufając przyrzeczonej amnestii; z drugiej zaś zatrzymywało ich koleżeństwo, zaufanie w dobroć sprawy, nadzieja wojny; jakże dać podpis o amnestię, kiedy z wiadomości odbieranych z Paryża sądzono, że tysiące naszych idzie formować legiony, kiedy tam nad Renem, nad Sekwaną już skrzydła roztacza orzeł polski? W gorszym jeszcze położeniu znajdowali się oficerowie należący do pułków, których tysiące żołnierzy rozpołożonych w okolicy Gdańska rząd pruski zatrzymywał i miał gwałtem odesłać do Polski; nie byłożby sromotą oficerowi porzucić żołnierzy, z którymi odbył kampanią, zostawić ich bez opieki?

Nie chodziło o to Prusakom, czy to źle, czy dobrze. Poczęły władze miejscowe od 1 stycznia w czas mroźny wyprawiać na furmankach oddziałami po 20 czy 30 emigrantów na Frankfurt nad Odrą do Strasburga tych wszystkich, którzy nie chcieli podpisać rzeczonych próśb o amnestię; tym zaś, co swoim kosztem obowiązali się odbyć tę podróż, dawano paszporta do Francji i małą pieniężną pomoc na drogę.

Nie namyślając się długo, postanowiliśmy z Wrotnowskim jechać natychmiast do Drezna, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć wielu naszych przyjaciół. Kublicki został na żądanie ojca w Gerdauen.

V. Drezno

W Królewcu wzięliśmy z Wrotnowskim paszporta do Francji pierwszych dni (3—5) stycznia i ruszyliśmy w noc mroźną pocztowym dyliżansem do Frankfurtu nad Odrą.

(Gdybym był kilka dni zaczekał, nadjechałaby moja stryjenka, która już była w drodze i wiozła żądanie od mego stryja, Ignacego Domeyki, mego od śmierci ojca opiekuna i któregom jak ojca kochał, abym się starał powracać do kraju. Nie miałbym serca ni odwagi odmówić na prośbę stryjenki, czego sobie na starość zapragnął ten dobry opiekun, i od razu stałby się koniec mojej podróży, która się od tego dnia na pięćdziesiąt trzy lata przeciągnęła.)

O północy przejeżdżamy przez Frauenburg[1], gdzie nasz Kopernik, będąc kanonikiem, rozmyślał, zgłębiał mądrość Bożą w utworze planetarnego ruchu i pojął wirowanie ziemi naszej naokoło słońca. Niebo było czyste, gwiaździste, wyobrażałem sobie, jak ten nasz rodak, uczeń prastarej wszechnicy krakowskiej, patrząc na to niebo, śledząc na nim bieg pokrewnych naszego planety światów, podziwiał mądrość i moc Bożą.

Na drugi dzień w Malborku[a] oglądaliśmy wieżę i zamek, przywodząc sobie na pamięć przewrotność i niewiarę Krzyżaków i genialny utwór naszego poety o Wallenrodzie.

Dalej napotykamy po drodze oddziały naszych braci emigrantów, transportowanych do Francji; większa ich liczba miała na sobie mundury jeszcze, chociaż nadszarpane, lub płaszcze wojskowe; przeświecały na niektórych konfederatki czerwone; niektórzy biegli dla ogrzania się przy furmankach. Wszędzie na noclegach i popasach gościnnie ich rodziny Prusaków przyjmowały; po miasteczkach były komisje do obmyślenia środków do opatrzenia uboższych w odzież ciepłą i w to, czego potrzebowali nie uleczeni jeszcze z ran i chorzy.

Po wielu miejscach były zebrania dam i urządzone wieczory z tańcami. Dziarsko i grzecznie zwijali się nasi, choć zziębli, wychudli, zaledwo który skoczył z furmanki, nie wiedzieć, jak się podstroił, w rękawiczkach czy bez nich, jak kto mógł, wchodził do salonów ozdobionych na tę uroczystość w wieńce i girlandy.

---

[a] W autogr.: Malborgu.

[1] Frombork, miasto w pow. braniewskim.

Sławne było natenczas przyjęcie naszych we Frankfurcie nad Menem, gdzie wychodźcy nasi, trafiwszy na pożar, rzucili się do ugaszenia go z całą odwagą i poświęceniem się. Tam przyjmowano naszych z wielką okazałością, jako żołnierzy wojujących za wolność ludu.

We Frankfurcie nad Odrą ubiegła nam przyjemna godzina na zwiedzeniu przepysznej katedry, w towarzystwie jednej wysokiego tonu damy z rodziny niemieckiej, świadczącej wiele dobrego dla przechodzących emigrantów, wielkiej przyjaciółki naszego narodu. Nie pamiętam jej nazwiska.

Z Frankfurtu nad Odrą jedziemy z Wrotnowskim do Drezna i tam znajdujemy Mickiewicza, Odyńca, Garczyńskiego, Weyssenhoffa[2] i mnóstwo z bogatszych polskich rodzin Polaków. Wybornie tu nam przeszły zima i wiosna; i gdyby nie wymaganie konsula rosyjskiego, który tam żądał od rządu saskiego, aby nas zmuszał do podpisania prośby o amnestię lub wyganiał z kraju, tobym pozostał w Dreźnie i tym sposobem drugi raz już by się moja podróż skończyła.

Mieszkałem z Wrotnowskim i Weyssenhoffem niedaleko Starego placu. Mickiewicz, Odyniec, Garczyński, każdy po osobno, mieli swoje mieszkania jedni przy drugich w pobliżu Brülowskiego tarasu.

Był to czas, w którym Adam pisał czwartą[3] część *Dziadów*, Garczyński *Wacława* i sonety; Odyniec spodziewał się przybycia swojej narzeczonej[4], miał żenić się i co dzień prawie przynosił coś nowego ze swoich utworów. Co dzień z nim i Garczyńskim schodziliśmy się z rana i nad wieczór do Adama i u niego spędzaliśmy godziny przyjemne.

Adam pospolicie był smutny; widać było mianowicie na nim boleść i wzruszenie na widok przechodzących przez Drezno, ciągnących do Francji żołnierzy naszych i powstańców; smuciły go odwiedziny bardzo częste obywateli i ochotników z powstania, którzy pozostawiali żony i dzieci w kraju, jako też wielu bogatszych byłych dostojników z Królestwa, którzy się wahali, nie wiedzieli, co z sobą robić. Rozpogadzało mu się jednak czoło, kiedy sami we czterech zostawaliśmy na pogadance. Odyniec był wesoły i mnie nie opuszczał humor; rozweselaliśmy Adama i posępniejszego częstokroć od niego Stefana[5]. Adam niekiedy czy-

---

[2] Zapewne mowa o Lucjanie Weyssenhoffie, rodem z Wiłkomierskiego, który w czasie powstania listopadowego był adiutantem gen. Ramorino, zmarł w 1881 r. W autogr.: Weyssenhofa.

[3] Mowa tu faktycznie o trzeciej części *Dziadów*, która w pierwszym wydaniu wyszła w Paryżu w 1832 r. jako t. IV *Poezji*. Wydanie drugie, pt. *Dziadów część trzecia*, wyszło w r. 1833 w Paryżu.

[4] Zofii Mackiewiczówny, siostry Ignacego Chodźki (ożenił się z nią Odyniec 5 lipca 1832).

[5] Garczyńskiego.

tywał ustępy z tego, co pisał; czasem zanucił *Filona*[6] lub jaki ułamek z Mozarta[b], palił bezustannie fajkę, często zamyślał się. Chodziliśmy często na operę włoską i na przechadzki. W tym czasie pierwszy raz wykonywano na scenie opery Belliniego[7], w loży królewskiej pokazywała się nasza infantka, niepiękna, niemłoda, wysoka, której losem, jak wiadomo, było czekać i nie doczekać się przyrzeczonego jej tronu i męża, mającego stanowić początek dynastii dla naszego narodu[8].

Niemało też chwil przyjemnych przepędziliśmy razem w Galerii obrazów przed boską *Madonną* Rafaela[9], przy *Nocy* Correggia[10], przy *Chrystusie* Tycjana[11]. Nade wszystko główną pociechę i ożywienie, rozkosz wewnętrzną znajdowaliśmy na niedzielnych mszach w katedrze, uposażonej wyborną muzyką religijną.

Zwiedziłem w tym czasie na początku wiosny Freiberg[12], znajdujące się tam kopalnie srebra i starą akademię, w której niegdyś za Stanisława Augusta sposobił się na inżyniera górnictwa kosztem Rzeczypospolitej mój stryj, Józef Domeyko. Z wielkim zajęciem się i ciekawością przypatrywałem się robotom hutniczym, amalgamacji srebra i zbiorom minerałów, które po sobie Werner[13] zostawił; nie wiedziałem, że za rok poczne uczyć się i poświęcać tej gałęzi nauk i przemysłu.

Miałem szczęście poznać przebywającą natenczas w Dreźnie hr. Klaudynę Potocką[14], znaną i uwielbianą z poświęcenia się dla dobra kraju, z cnót i rozumu. Podczas wojny doglądała cholerycznych w szpitalach warszawskich; po wojnie cała zajęta wspieraniem przeciągających przez Drezno emigrantów, opatrywaniem ich w odzież, we wsparcie pieniężne. Sama już zubożała, poprzedawała brylanty swoje, szale i co miała z kosztowności, zbierała też składki i zachęcała drugich do ofiarności. Dziwnie przyjemna i wzbudzająca cześć dla niej jest jej osoba; wysoka, cien-

[b] W autogr.: Mocarta.

[6] Mowa o sielance Franciszka Karpińskiego (1741—1825) *Filon i Laura*, którą bardzo lubił A. Mickiewicz.

[7] Vincenzo Bellini (1801—1835), sławny włoski kompozytor operowy.

[8] Mowa o córce Fryderyka Augusta, Marii Auguście Nepomucenie, która miała odnowić polsko-saską unię personalną.

[9] Rafael, Raffaello Santi (1483—1520), artysta malarz i architekt włoski, jeden z wybitnych mistrzów renesansu. Dzieła jego zdobią galerie licznych miast, w Dreźnie znajduje się *Madonna Sykstyńska*.

[10] Antonio Allegri da Correggio (1494—1534), słynny malarz włoski, mistrz światłocienia, ceniony już przez współczesnych.

[11] Tycjan, Vecellio Tiziano (1477—1576), wybitny malarz włoski epoki renesansu; tu mowa o obrazie *Chrystus w Emaus*.

[12] Freiberg, miasto górnicze w Saksonii, z akademią założoną w 1765 r.

[13] Abraham Gottlob Werner (1749—1817), mineralog i geolog niemiecki, prof. Akademii Górniczej we Freibergu.

[14] Klaudyna Potocka (1802—1836), z domu Działyńska, żona Bernarda Potockiego. O jej ofiarnej pracy dla rodaków pisze Domeyko, zob. część druga, rozdz. II.

ka, twarzy nieco pociągławej o rysach regularnych, oznaczających wyższy charakter i ukształcenie, blada, warkocz ucięty, w oczach godność i siła moralna. Któż jej nie znał z dobroci i politowania nad losem nieszczęśliwych. Kiedym ją z Odyńcem odwiedził w skromnej izbie Saskiego Hotelu, kroiła płótno na koszule dla żołnierzy. Niemało ich w tym czasie przechodziło przez Drezno, już to z Prus czy z Galicji, skąd uchodzili w obawie, aby ich nie wydano Moskalom, już to przekradających się z kraju.

Na początku wiosny już lekarze spostrzegali w osłabionej pracą Klaudii Potockiej zaród piersiowej choroby; a jednak tegoż roku w jesieni towarzyszyła do Szwajcarii dogorywającemu z suchot Garczyńskiemu; doglądała chorego aż do jego śmierci.

Od niej w maju z listu pani Jurahowej z Kroszyna[15] doszła do mnie bolesna wiadomość o śmierci matki mojej. Był to najcięższy cios dla mnie od opuszczenia domu. Sądziłem, że go nie zniosę.

Przyjaciele moi dla rozerwania mnie i utulenia w żalu umyślili zniewolić mię do towarzyszenia im w podróży do Szwajcarii Saskiej. Zabrała nam ta podróż tydzień czasu; oprócz Adama[16], Odyńca i Garczyńskiego wzięło w niej udział trzech Litwinów i jeżeli się nie mylę, młody natenczas poeta galicyjski, Pol[17].

Pod koniec czerwca niepokoiła saska policja tych wszystkich emigrantów, którzy nie chcieli prosić o amnestię, chociaż nie żądali wsparcia od rządu i mieli sposoby do utrzymania się. Król i ministrowie byli dla nas życzliwi, ale oprzeć się wymaganiom Rosji nie mogli.

Pierwszych więc dni lipca jedenastu nam kazano wyjechać; do tej liczby należeli: Mickiewicz; Nakwaski[18], poseł sejmowy, syn kasztelana; Łagowski[19], dawny legionista, którego w. [ks.] Konstanty trzymał długo w więzieniu i chciał głodem zamorzyć; Aleksander Jełowicki[20], poseł, je-

[15] Kroszyn, miejscowość w Nowogródzkiem, w pobliżu Saczywek, majątku matki Domeyki.

[16] Mickiewicza.

[17] Wincenty Pol (1807—1872), oficer w powstaniu listopadowym, istotnie brał udział w tej podróży; trzej Litwini to: Antoni Gorecki (1787—1861), poeta, Ludwik Orpiszewski (1805—1875), literat i publicysta, i Janusz Czetwertyński (1805—1837), oficer powstania listopadowego (według relacji Odyńca; zob. Ludwik Dębicki, *Portrety i sylwetki*, t. II, Kraków 1906, s. 48, 53).

[18] Henryk Nakwaski (1800—1876), syn Franciszka i Anny Krajewskiej, autorki licznych powieści w j. polskim i francuskim. Na emigracji (w Szwajcarii, Niemczech i Francji) ruchliwy działacz, zwłaszcza w sprawach ekonomicznych. Jako członek komisji do opieki nad archiwum sejmowym wiele poświęcił mu starań i troski.

[19] Piotr Ludomir Łagowski (1774—1843), żołnierz napoleoński, w powstaniu listopadowym pułkownik, na emigracji czynny w licznych towarzystwach.

[20] Aleksander Jełowicki (1804—1877), syn Wacława (1778—1831), właściciel wsi

den z trzech synów marszałka, zamożnego obywatela na Wołyniu, który, wyszedłszy na powstanie z synami, sam został zabity, a synowie poszli na wygnanie; Sułczewski (może się mylę w nazwisku)[21], kapitan 4. pułku piechoty, sławnego z bohaterstwa, jakie okazał w batalii grochowskiej; jeden też poseł kaliski z synem 14-letnim; Żarczyński[22], poseł jednego z powiatów podolskich, i dwóch jeszcze zacnych obywateli miasta Warszawy.

Najęliśmy duży powóz, długi, trzęsący, w którym wszyscy mogliśmy się pomieścić; jechaliśmy powoli, zatrzymując się na noclegi i popasy, gdzie się nam podobało, i prócz gościnnych przyjęć, których doznawaliśmy od komitetów miejscowych niemieckich, a które po wszystkich miastach i większych miasteczkach znajdowaliśmy, ustanawianych przez rady miejskie na ugoszczenie emigrantów polskich, nie szczędziliśmy sobie wygód własnymi pieniędzmi, na których nam jeszcze nie brakło.

Jechaliśmy na Norymbergę, Bayreuth, Karlsruhe[23] do Strasburga, bo taka nam droga była przepisana na paszportach i na tej drodze znajdowały się komitety. W Norymberdze dwa dni przebyliśmy; byliśmy w niedzielę na mszy; potem zwiedziliśmy muzeum, w którym podziwialiśmy oryginalne obrazy Dürera[24], Holbeina[25], Kranacha[26] i obejrzeliśmy zamek; bawiła nas architektura, zachowana dotąd, domów i dobroduszność mieszkańców. Nie mogę sobie przypomnieć szczegółów podróży. Pamiętam tylko, że przez dzień jeden zatrzymaliśmy się w Bayreuth; dalej po drodze częstowano nas winem reńskim dobrego gatunku; w Karlsruhe sam nawet książę panujący[27] okazał łaskawsze względy,

---

Hubnik w pow. hajszyńskim, brat Edwarda (1803—1848) i Eustachego (1805—1869), członek Komitetu Ziem Ruskich i Rady Wojennej, na emigracji ruchliwy działacz, publicysta i wydawca. W 1835 roku wspólnie z E. Januszkiewiczem założył w Paryżu polską drukarnię i księgarnię. Uzyskawszy święcenia kapłańskie (1841), wybił się jako kaznodzieja, później wstąpił do zgromadzenia oo. zmartwychwstańców. Zmarł w Rzymie.

[21] Autor istotnie myli się: ma być Wincenty Słubicki (1799—1867), kapitan, potem major 4. p. piechoty, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, potem pułkownik 2. p. strzelców konnych dywizji polskiej, w wojnie krymskiej odznaczony orderem tureckim. O Słubickim mówi Domeyko w liście do ks. Jana Siemieńskiego z dnia 26 paźdz. 1880. Zob. *Dzieła* A. Mickiewicza, Paryż 1885, Korespondencja t. IV, s. 5—6.

[22] Amancjusz Bohdan Żarczyński (1802—1875), poseł powiatu winnickiego. Umarł w Norymberdze.

[23] Norymberga, Bayreuth, Karlsruhe, miasta w Bawarii.

[24] Albrecht Dürer (1471—1528), sławny artysta malarz niemieckiego renesansu.

[25] Hans Holbein (1497—1543), jeden z najznakomitszych malarzy niemieckich.

[26] Lucas Cranach (1472—1553), jeden z najwybitniejszych malarzy niemieckich. W autogr.: Kranasa.

[27] Leopold Karol Fryderyk (1709—1852), wielki książę badeński sprawujący rządy w latach 1830—1852.

przysłał bilety gościnne do swego teatru, przechądzaliśmy się swobodnie po jego parku, ogrodzie, pałacu; jedna szczególnie rodzina, głównego naczelnika poczt, matka i dwie prześliczne jej córki odznaczały się uprzejmością swoją dla nas i nieudanym uczuciem miłości dla naszej ojczyzny.

W naszym zaś podróżnym gronie przez całe dni w drodze i gdzieśmy się zatrzymywali, jakie to nieustanne toczyły się rozmowy, wzajemne zwierzania się.

Mickiewicz miał momenty wesołe, górował nad nami już to opowiadaniem rzeczy domowych, tegoczesnych czy historycznych, już żartami i pobudzaniem do gawędki, gdy się drudzy ustawać zdawali. Łagowski po wielokroć opowiadał i wracał do przypominania wypadków o legionach naszych pod Dąbrowskim, do których należał, o napoleonowskich wojnach, o więzieniu, które wycierpiał pod w. ks. Konstantym, kiedy już z głodu, z osłabienia głuchł, ciemniało mu w oczach, a włóczono, ciągnięto go na inkwizycje, na których już prawie nie rozumiał, o co pytano. Kapitan nasz szczegółowo, po mistrzowsku, bo nie wdając się w to, czego sam nie widział, opisywał batalię pod Grochowem, ile ucierpiał ranny i w niewoli, jakim sposobem potrafił za pomocą jednego poczciwego kozaka pokrzepić się na siłach i przez niego być uprowadzonym ze szpitala, dostać się do swoich. Największy udział w podróżnych rozmowach brali posłowie, oniemal składali sejm istotny; debaty były nieustanne i nigdy nie miały końca; Nakwaski trzymał się pospolicie prawicy skrajnej, był wymowny i przekonywający, a że z jakiejś słabości nerwowej miał nałóg kiwnienia raptownie na moment głową, gdy wręcz chciał komu odpowiedzieć, zdawało się, jak gdyby się zgadzał nawet na to, co mu kto zarzucał; Kaliszanin opierał się na opozycyjnej lewicy, interpelował ministrów, zarywał na trybuna; Jełowicki ujmował się za Litwinami i Wołyniakami; umiarkowany, poważny Żarczyński łagodził dyskusje; chodziło o reformy, poprawy konstytucji i sposoby strzeżenia jej; dotykano zasad wolności druku, handlu, stowarzyszeń i zgromadzeń publicznych; mianowicie równowagi władz: prawodawczej, sądowniczej i wykonawczej, pogodzenia ich z „neminem captivabimus"[28], na nic nie było zgody; trudne porozumienie się. Co do Polski, nie zostawało wiele do mówienia: już była odbudowana, Moskale za Dnieprem, za Dźwiną. Tymczasem przyjechaliśmy nad Ren; przed nami była — wieża sztrasburską.

(Pisałem w Zyburtowszczyźnie 4 maja 1886).

---

[28] „Nikogo nie uwięzimy". Przywilej szlachecki z r. 1425, nie dozwalający więzić szlachty bez sądu.

T O M P I E R W S Z Y

F R A N C J A — P A R Y Ż

EMIGRACYJNE ŻYCIE AŻ DO WYJAZDU OD 12 LIPCA 1832 AŻ DO 2 LUTEGO 1838

C Z Ę Ś Ć D R U G A

I. Strasburg

12 lipca 1832. Na granicy straż celna i wojskowa niemiecka po ludzku z nami się obeszła; grzecznie, a nawet z niejakimś przymileniem się. Celnik Szwab, co od podróżnych zapłatę odbiera, zrazu surowo domagał się od nas kilka grajcarów; ale skoro poznał, żeśmy Polacy, zdjął kapelusz, ukłonił się i odszedł.

Darmo przez most przejechaliśmy. Żołnierz na warcie francuskiej jednym spojrzeniem bratersko nas powitał; drudzy wykrzyknęli: „Vivent les Polonais!"[1] Duaniery[2] nie rewidują nas. Wjechaliśmy do Francji, jak gdyby po jakiej wielkiej wygranej, jak gdyby do swego kraju.

Zadrżałem z radości na widok francuskich żołnierzy; nie widziałem ich od 1812 roku, kiedy to cały korpus króla westfalskiego[3], Poniatowski i Dąbrowski ze swoimi legionami przeciągnęli przez Szczuczyn, gdzie byłem małym studentem natenczas w szkołach. Dziwne przypomnienie! momentalne jak błyskawica przeleciało przez duszę.

Po tylu latach napatrzenia się na rosyjskich, dobrze wymusztrowanych, wyprężonych żołnierzy i na pruskich, mało co różniących się od poprzednich, przyjemne wrażenie zrobił na mnie żołnierz francuski. Lekka, żywa, niewymuszona postawa, wygodny, nieciasny mundur, coś szlachetnego, dowcipnego w obejściu się, twarz wesoła, a przynajmniej nie smutna, nie ponura, nie zimna; — jednym słowem żołnierz-człowiek to, nie machina, znać, że każdy bez przymusu bić się może i wie za co. Owóż pierwsze wrażenie, jakiego doznałem za pierwszym stąpieniem na ziemi francuskiej.

Wieczór był pogodny; cała równina, która oddziela rzekę od miasta, porosła drzewami, miała wejrzenie pięknego ogrodu; rozsypane po niej żołnierstwo w żywych kolorach malowało charakter narodowy; przecha-

---

[1] „Niech żyją Polacy!"

[2] Urzędnicy komory celnej.

[3] Hieronima Bonaparte (1784—1860), najmłodszego brata Napoleona I, panującego w Westfalii, królestwie między Elbą a Renem, utworzonym przez Napoleona I na mocy pokoju w Tylży.

dzali się jedni z drugimi, machając rękami w żwawej gadaninie; miejscami widać było spokojniejsze grupy lub i zalecanki żołnierzy do dziewcząt; pod drzewami były tańce i śpiewy; spotkaliśmy też sześciu młodych ludzi jakby wracających z pojedynku; jeden z nich niósł ramię na temblaku, drugi miał pod pachą dwie szpady czy florety i trzech innych towarzyszyło im i weśli prosto do oberży.

Wjechaliśmy do miasta o zmroku. Nazajutrz poszliśmy do prefektury[4], gdzie cała służba od podźwiernego aż do prefekta zimnie i obojętnie nas przyjęła. Prefekt nie pozwolił nam zostać w Strasburgu ani nam dał paszporta do Metz[5], dokąd mieliśmy ochotę jechać i stamtąd do Paryża. Kazał nam jechać do z a k ł a d ó w, to jest do miast, gdzie po kilkaset naszych emigrantów utrzymuje rząd francuski na żołdzie[6], daje nawet odzienie, mundury, ale ich ma pod władzą prefektów. Kto nie chciał poddać się pod owe warunki, mógł jechać sam jeden, żyć, jak mu się podoba, o własnym koszcie, ale w mieście, które na mieszkanie dla niego przeznaczał prefekt. Już pogłoska (fałszywa) szerzyła się, że rząd francuski na wymaganie Mikołaja miał owe zakłady zbrojne wysyłać do Algieru.

Wyjąwszy to ostatnie, o czym jeszcze nie można było z pewnością sądzić, czy była to w istocie myśl rządowa, czy kłamstwo, w ogólności nie można było mieć za złe rządowi, że przedsiębrał środki potrzebne do utrzymania w porządku emigracji naszej. Ale się to nam wielce nie podobało i od początku poczynaliśmy się skarżyć na króla[7] i jego ministrów.

W istocie wielu naszych od przejścia za Ren poczęło źle się prowadzić. Wielu żyło w Strasburgu, nie chcąc ani do zakładów należeć, ani mając środków do utrzymania się. Widać było po ulicach nasze polskie mundury wyszargane, krzyże wojskowe, i niejeden, który je nosił, cięty jakby na kiermaszu, szukał, jak to mówią, okazji. Wielu też pokazało się oszustów, którzy pod tytułem oficerów polskich oszukiwali mieszkańców i nadużywali ich przychylności ku nam.

Zajmowała natenczas naszych i partię liberalną Francuzów w Strasburgu kłótnia emigracyjna z okazji ucieczki z Warszawy i przybycia do

[4] prefektura — jednostka administracyjna we Francji; prefekt — naczelnik, szef tej jednostki.

[5] Metz, miasto nad rzeką Mozelą w Lotaryngii.

[6] Rząd francuski dla odciążenia Paryża od emigrantów kierował uchodźców polskich do wyznaczonych miast prowincjonalnych, gdzie tworzyli oni tzw. w języku urzędowym „dépots" — zakłady.

[7] Ludwika Filipa I.

Francji generała Chrzanowskiego[8]. Pierwszy Korabiewicz[9] podał na niego artykuł do kuriera „du Bas Rhin"[10], mianując go zdrajcą, szpiegiem, pułkownikiem rosyjskim. Ujął się za Chrzanowskiego generał Dembiński i stanął w jego obronie, czym ściągnął na siebie nieprzyjaźni, co mówię, wiele zajadłości w naszych.

Te były pierwsze przysmaki, które na nas czekały w Strasburgu, a jeszcze nie mieliśmy czasu dowiedzieć się, co się działo po zakładach i w Paryżu. Postanowiliśmy z Adamem ruszyć do Châlons-sur-Marne[11], stroniąc od zwad sztrasburskich i przybliżając się nieznacznie do Paryża. Kilka dni tylko zatrzymaliśmy się dla widzenia miasta, katedry i wieży Münster.

Ta ostatnia słusznie policzona między arcydzieła sztuki, cała z kamienia, jakoby z kamiennej koruny utkana, panuje nad całym miastem i całą jego okolicą jak wielki świadek z czasów silnej wiary i rycerstwa, w których zamiast formowania licznych pułków, szwadronów i korpusów stawiano kościoły. Dziwiła mię śmiałość, z jaką budowniczy podniósł ją tak wysoko, w niebo, jako też harmonia wszystkich jej ogniw i przedniejszych części powiązanych w całość z taką dokładnością, że cała budowla pomimo swej olbrzymiej masy zachowuje charakter bezpiecznej równowagi i lekkości; dziwiła sumienność, z jaką wykonana i wykończona została cała myśl i plan budowniczego w najmniejszych nawet szczegółach; wszystkie ozdoby, choć z twardego piaskowca wyrobione, mają wejrzenie, jakby były z wosku czy jakiej miększej materii. Szczeblując po tej wieży, podziwialiśmy z Adamem wykończenie drobnych nawet szczegółów, jako to gzymsów, kapiteli i rozmaitych ozdób nawet, pochowanych w otworach i kątach, których zewnątrz nie widać. W jednym z nich, wpatrując się, dostrzegliśmy wysmukłą wąską kolumnę, opartą na głowie aniołka z tegoż samego kamienia wyżłobionej. W twarzy aniołka dziwna spokojność i cierpliwość, a że ciężar pilastry[12] przyciskać zdawał się zanadto mu głowę, podłożył rączkę swoją pod

---

[8] Wojciech Chrzanowski (1793—1861), generał, uczestnik walk napoleońskich, w powstaniu listopadowym szef sztabu, gubernator Warszawy, na emigracji autor wielu dzieł z dziedziny wojskowości. Sylwetkę jego maluje Domeyko w części drugiej, rozdz. II.

[9] Edmund Korabiewicz (1804—1875), słuchacz Uniwersytetu Wileńskiego, lekarz, uczestnik powstania listopadowego w korpusie Giełguda, na emigracji w Paryżu, jakiś czas przebywał w Strasburgu, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. W autogr.: Korabuwicz.

[10] Według Gadona artykuł Korabiewicza ukazał się w gazecie „Le Courrier de Strasbourg" z dnia 24 czerwca 1832. Zob. L. Gadon, *Emigracja polska*, t. II, Kraków 1902, s. 180.

[11] Châlons-sur-Marne, miasto w departamencie Marne.

[12] pilaster (franc.) — w architekturze filar.

podnóże tej pilastry. Kapitele też zamiast akantowych liści[13] i korynckich zwojów ustrojone tu są w liście winogradu, to jest krajowej ozdoby, nie pożyczane z greckiej architektury. Jakaś głęboka pobożność maluje się w tej gotyckiej ozdobie. Zdaje się, że architekt budował przede wszystkim dla własnej duszy, na chwałę Bożą, nie dbając na efekt, na wrażenie zewnętrzne i oklaski. Nie śpieszył się z wykończeniem, zostawiał dzieło swoje drugim, młodszym, przestając na tym, co mu Bóg dozwolił wykonać, a owe świetne katedry dłużej budowały się niż dzisiejsze wielkie w Zjednoczonych Stanach miasta i stolice; toteż przetrwają wiele miast i narodów.

Po pięciu dniach pobytu w Strasburgu kazano mnie i Adamowi jechać do Châlonu nad Marną i czekać tam odpowiedzi na nasze prośby z Paryża; albowiem oświadczyliśmy, że nie potrzebujemy zasiłków od rządu, byleby nam wolno było mieszkać w stolicy.

Kiedym był w policji dla wzięcia paszportu, dwóch młodych wieśniaków Alzacjanów z młodszą od nich dziewczyną przyszło po paszporta do Ameryki. Byli to emigranci, co na zawsze opuszczali kraj, wioskę, rodziców i krewnych swoich dla szukania lepszej dla siebie ojczyzny i lepszego bytu. Spokojni byli i weseli; wesoło rozmawiali ze starszymi, którzy im towarzyszyli, ani znać było, że czekał na nich statek, który za parę godzin miał ich na zawsze rozłączyć.

Miły Boże — pomyślałem sobie — tym ludziom tak łatwo opuszczać na zawsze kraj swój; ufają w siłę, w zdrowie i w pług, którym potrafią przyswoić dla siebie nie tkniętą jeszcze od stworzenia świata rolę. Jakaż tajemnicza siła, wola Boża, Opatrzność prowadzi ich w strony, gdzie może nowy, lepszy stan i porządek rzeczy przygotowuje się dla ludzkości.

Mnie inne cele i widoki zajmują; które, gdy zawiodą, jak sobie zaradzę? Nie żołnierz, nie uczony, nie rolnik ni rzemieślnik nawykły do spokojnego życia.

„Czego się tak zamyślasz — rzekł Adam — już czas iść do dyliżansu".

17 lipca. Droga do Châlonu. Dwie noce i prawie dwa dni jechaliśmy do Châlonu wielkim dyliżansem, na którego wierzchu dwadzieścia nowych rekrutów konskrypcjonistów[14] bębniło nam nad uchem. Śpiewali, wrzeszczeli, śmieli się i kłócili się nieustannie, chociaż to pierwszy raz w życiu swoim opuszczali domy rodziców swoich i rodzinne strzechy. Gotowali się na wojnę, bo zanosiło się na wojnę z Holandią.

[13] Liście rośliny *Acanthus*, występującej głównie na obszarze śródziemnomorskim, duże, ząbkowane, ozdobne, które posłużyły jako motyw ornamentacyjny w architekturze.

[14] Powołanych do odbycia służby wojskowej.

Po drodze z Alzacji wiele żebractwa, tak jak u nas, a miejscami, gdzie nas poznali biedni ludzie, mianowicie dzieci, biegli za dyliżansem i wołali: „Vivent les Polonais! Vive la liberté! A bas les Russes!"[15] — i nadstawiali ręce. U nas żebracy na Boga zaklinają, tu na wolność! Niemały to jeszcze ostatek wolności, gdy wolno prosić o dobrowolną jałmużnę, prosić publicznie bez uniżenia się. Tę wolność nie wszędzie mają biedni ludzie, w krajach nawet bardzo wolnych i bogatych; kraj ten jest żyzny, piękny, bogaty; nie masz wielkich majątków, włościanie są wolni i właścicielami ziemi. Własność rozdzielona, rozdrobniona; ludność jest niezmiernie liczna, większa niż gdzie indziej, tak że ziemia nie ma czym jej wyżywić.

Ale rzecz, która bardziej zwróciła na siebie moją uwagę w Strasburgu i w krótkiej podróży przez Alzację, to charakter czysto niemiecki tutejszego ludu, charakter w języku, stroju, obejściu, a nawet w wierze, całkowicie zachowany, pomimo tak długiego oderwania się od Niemiec i należenia do Francji. Język (plattdeutsch[16]) pozostał, jak był przed wiekami, choć po drugiej stronie Renu we środku Niemiec odmienił się po wielu prowincjach; frak niemiecki, kamizelki długie, z dużymi guzikami, trzyrożny kapelusz, ubiór kobiecy jak naszych Żydówek, wszystko jak na obrazach Dürera, Holbeina i szkoły flamandzkiej[17]. Lud wiejski nie rozumie francuszczyzny, tylko wyższa klasa i urzędnicy jej uczą się, a nawet średnia i rzemieślnicza klasa po domach przekłada język niemiecki i źle mówi [lub] nie mówi po francusku. Wyznania nawet religijne, katolicyzm i reforma, zostały, jeśli się nie mylę, jak były przed oderwaniem się od Niemiec. Katolicy bardzo gorliwi, wierni Kościołowi swemu, protestanci uparci przy swoim.

Tylko na drugiej stronie Wogezów, ledwo przestąpisz linię rozdziału wód na tym niskim łańcuchu gór, obaczysz żywość, lekkość, wesołość, dowcip, strój, układ, obejście się francuskie.

Jakże to wytłumaczyć? Alzacja zawsze była wierną Francji nawet za czasów koalicji dworów niemieckich przeciw Rzeczypospolitej. Narodowość francuska jest wszakże nieznośną dla Niemców! Rząd wprawdzie tu lepszy teraz niż po wielu niemieckich księstwach zareńskich; ale też od pół wieku było tu wiele rozmaitych, dobrych i złych, i niegodziwych rządów i rządców, a cierpliwość alzacka przemogła wszystko — i któż wie, czego się kiedyś doczeka.

[15] „Niech żyją Polacy! Niech żyje wolność! Precz z Rosjanami!"

[16] plattdeutsch albo niederdeutsch — język dolnoniemiecki, gwara północnych Niemiec (język literacki ogólnoniemiecki nosi nazwę hochdeutsch).

[17] Szkoła flamandzka, słynna szkoła malarstwa historyczno-religijnego w Niderlandach, celująca w dokładnym odtwarzaniu szczegółów; założył ją Peter Paul Rubens (1577—1640), jeden z najwybitniejszych malarzy baroku.

Zdaje się, że w rozpołożeniu geograficznym narodowości i rozmaitych charakterów narodowych, z których każdy ma sobie dane od Boga jakieś posłannictwo, cel i przeznaczenie, rzeki i ich naturalny bieg łączą ludzi, zbliżają jednych do drugich, wiążą; rzeki nie są naturalnymi granicami narodowości. Przeciwnie, łańcuchy gór wysokich czy niskich, linie rozdziału wód były i są granicami między rozmaitymi szczepami ludzkości; a na rozległych płaszczyznach miejsca, gdzie się poczynają źródła wielu rzek płynących w rozmaite strony, są jakoby kopce na granicach, gdzie się od wieków ścierają i bojują z sobą narody różnych wyznań, celów i dążeń. Jednym z owych kopców jest wyniosłość, na której biorą swoje źrzódła Dniepr, Dźwina i rzeki płynące na wschód, do Wołgi. Łatwiej jest milion miast zburzyć niż rozrzucić ten kopiec, na którym się już tyle krwi przelało.

W nocy z 17 na 18 czerwca dziwnie przyjemną miałem podróż, na wpół we śnie, na wpół na jawie. Noc była pogodna, księżyc jasny, ciepło umiarkowane, konie biegły ochoczo i nasi młodzi ochotnicy usnęli byli po całodziennej swawoli.

Co chwilę zasypiałem i ccykałem się; zaledwo zmrużyłem powieki, stawiło mi się Zapole, gospodarka, dom, rodzina tak żywo, tak jasno i wyraźnie, że nigdy może w rzeczywistości, na jawie nie widziałem ich jaśniej i wyraźniej; a gdy się budziłem, przesuwało mi się przed oczyma jakoby w panoramie jakie miasto, wieś czy miasteczko ze swoimi białymi domami, tak właśnie, jak je wyobrażałem sobie we snach młodości mojej, kiedy mi się tak chciało wojażować, widzieć zagraniczne kraje. W istocie, kto zna Litwę naszą, jej drewniane wsi i słomiane strzechy, jej miasteczka nieschludne, karczmy i stodoły i kto wie, co to jest w młodości chęć do wojażowania po obcych krajach, chęć zapalona czytaniem podróży, obrazami, pejzażami i opowiadaniem wojażerów; kto nadto przypomni sobie, że za moich czasów rząd nie dawał paszportów za granicę albo ich danie utrudzał, zaostrzając tym bardziej żądzę w zapalonej głowie do widzenia obcych krajów, ten pojmie, jak się to za młodu malowały we snach moich domowych miasta francuskie, włoskie, niemieckie i góry szwajcarskie. W takich właśnie kolorach przy świetle księżyca przeciągały teraz na jawie przed oczyma moimi rozmaite miasteczka: Bénaménil, Luneville, Dombasle, St. Nicolas[18]. Tylko że dusza moja była tak daleko ode mnie, od moich zmysłów, że do niej nie dochodziły wrażenia, jakie od nich odbierałem. To, co mi było obecne, tak blade było w słabych, bladych odcieniach, a to, co widziałem we snach, tak było żywe, porywające za serce, gorące, drażliwe, że owe sny nieporównanie rzeczywistsze dla mnie były od

---

[18] Bénaménil, Luneville, Dombasle (w autogr.: Domballe), Saint Nicolas, miasta w departamencie Meurthe-et-Moselle.

samej rzeczywistości; i tak dalece mieszały mi się sny z przedmiotami na jawie, że rozróżnić nie mogłem jednych od drugich; i w danym momencie nie wiedziałem, co było we śnie, co było na jawie, gdzie byłem i czy jeszcze żyję w domu, czy też na zawsze go opuściłem.

Trudno opisać ów stan, w którym się czuje dobrze dwa oddzielne istnienia, choć powiązane z sobą łańcuchem, który się rozciąga, ale nie pęka: to jest ciało ze zmysłami na jednym miejscu, a dusza daleko zajęta innym światem i inną rzeczywistością. Ciało słabe, zmęczone, zmysły obudzone, a dusza wolna, nieuwięzła, jak błyskawica, wylatująca w swoje ulubione strony i wracająca na zawołanie drażliwych zmysłów jak owa matka, co zostawiwszy chore, słabowite dziecko, nie może długo zostać na modlitwie, do której ją unosi wyższa miłość, i wraca za każdym odezwaniem się dziecka, aby je ułagodzić, pocieszyć, opatrzyć.

18 lipca. O wschodzie słońca przyjechaliśmy do Nancy[19], dawnej stolicy i rezydencji naszego króla, chrześcijańskiego filozofa Leszczyńskiego. Tu już drugiego naszego króla statuę spotykamy w krótkiej naszej wędrówce: Augusta w Dreźnie, tu Stanisława, obu wybranych przez wolny nasz naród w upadającej Polsce; trzeciego Walezjusza, choć za lepszych czasów wybranego, i prochów nie znajdziemy w Paryżu.

Jakże różnego losu doznali dwaj pierwsi: August Sas, z muszkularnej siły swojej sławny (der Starke[20]), panował długo, nic dobrego nie sprawił, posunął Polskę do upadku, umarł królem, choć nie w swoim państwie, nikt o nim nie wspomina nawet w stolicy, po której plądrują Moskale. Stanisław Piast, z pobożności, wiary, dobrego serca, rozumu i dobrych obyczajów znany, pisarz znamienity, nie miał czasu i kilku dni panować, wygnany od tych, co potem rozszarpali Polskę; uniósł z sobą tylko tytuł króla i miłość kraju; a mając sobie dany rząd nad Lotaryngią i Barem, panował po ojcowsku w tym kraju, urządził go, ubogacił i wspominają go tutejsi mieszkańcy jak dobroczyńcę swego; umarł daleko od Polski, którą kochał. Cóż po tym, że mu zostawiono tytuł króla, kiedy umarł daleko od Polski, na królewskim wygnaniu[21].

Posąg mu wystawili przez wdzięczność dobrzy Lotaryńczycy, których stolica od czasu śmierci króla znacznie podupadła i zubożała. Posąg ten kolosalny nie ma wyrazu szlachetnego duszy polskiej. Znać, że jej nie znał sztukmistrz. Tylko karabela sejmikowa przy boku króla daje znać, skąd był i jakiego hartu. Dotąd na ratuszu pozostały polskie orły i pogonie, choć z pałacu, gdzie mieszkał, już je zdarto i zdarto lilię i czapkę frygijską, które ich miejsce były zastąpiły, i zdarto potem cesarskie

[19] Nancy, stolica Lotaryngii.
[20] August II Mocny.
[21] W Luneville w 1766 roku.

orły i zrestaurowane lilie, a na gruzach tylu rządów i tylu przysiąg zerwanych powiewa wielka chorągiew trzykolorowa orleańskiego szczepu — nie na długo może.

Jedźmy dalej.

19 lipca. Châlons-sur-Marne. Przyjechaliśmy do stolicy Szampanii[22]: któż jej nie zna ze sławnego wina, którym się upija świat wielki, zepsuty! Z daleka od niej rzekłbyś, że tu ziemia cała winnicami musi być pokryta, niebo i natura piękne. Przeciwnie, kraj smutny, równiny wapienną ziemią pociągnięte, suche, mało drzew, mało wzgórz, rzeka mętna, nie widać winnic ni ogrodów.

W mieście znaleźliśmy cholerę, mieszkańce przestraszeni. Prefekt, jakiś karlista[23], nie bardzo nam przychylny.

Że dalej nie wolno było jechać, napisałem do ministra Montalivet[24] prośbę w te słowa:

V. Excellence!

Arrivé en France dans le but de poursuivre mes études et n'ayant pas besoin de demander des secours au Gouvernement Français j'ose prier V. Exc. de vouloir bien me permettre d'aller à Paris[25] etc.

Czekamy na odpowiedź!

20 lipca. Przybyli tu Wojtkiewicz[26] i Malinowski[27], powstańce nasi, jadący z Belgii do Besançonu[28] dla namawiania naszych do służby belgijskiej. Król bowiem Leopold, gotując się do wojny przeciw Holandii i jej sprzymierzeńcom, głaszcze Polaków i przyjmuje do swojego wojska oficerów naszych w stopniach, jakie posiadali w kraju. Dobrze się im potem odpłacił po wojnie na żądanie Rosji[29].

Tegoż dnia przyjechało trzech innych zapaleńców naszych z Frank-

---

[22] Szampania, fr. Champagne, kraina we Francji położona między rzeką Aisne a dolnym biegiem rzeki Yonne.

[23] Tj. zwolennik Karola X, obalonego przez rewolucję lipcową.

[24] Marthe Camille Bachasson Montalivet hr. (1801—1885), w latach 1830—1839 kilkakrotnie minister spraw wewnętrznych, założyciel muzeum w Wersalu.

[25] „W. Ekscelencjo! Przybywszy do Francji celem kontynuowania moich studiów i nie mając potrzeby zwracania się o pomoc do rządu francuskiego, proszę W. Ekscelencję o pozwolenie udania się do Paryża".

[26] Zapewne Paweł Wojtkiewicz, późniejszy uczestnik wyprawy Zaliwskiego, pochwycony i rozstrzelany w Lipnie 17 listopada 1833 r.

[27] Może Tomasz Malinowski (ur. w r. 1802), członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, w latach 1837—1843 emisariusz w Poznańskie i Lubelskie.

[28] Besançon w departamencie Doups, jedno z miast wyznaczonych przez rząd francuski dla polskich emigrantów.

[29] Mowa tu o tajnym traktacie między Rosją a Belgią, a co za tym idzie, o usunięciu przez Leopolda I wszystkich oficerów polskich z armii belgijskiej.

furtu i z liberalnych kongresów w Hambach[30], w Würtzburgu etc. Ci jechali do zakładów polskich werbować naszych, aby się mieli na pogotowiu do służby niemieckiej, skoro usłyszą o rewolucji w Frankfurcie.

Sądziłby kto, że emigracja nasza od początku była armią rewolucyjną, u której szukały związku i sojuszu wszystkie konspiracje; a jednak my nie pragnęliśmy czego innego, jak ojczyzny, naszej własnej ziemi: Moskwa była rewolucją u nas. Te jednak podbudzania liberalistów wielu naszym głowy zawróciło, że prawie zapomnieli o Polsce.

25 lipca. Umarł tu z cholery jeden z naszych rodaków, oficer z dawnej służby. Odbył całą kampanię zdrów i bez szwanku, znajdując się po tysiąc razy między cholerycznymi, doglądając, opatrując umierających z cholery. Przeżył też czas niejaki w Prusiech, gdzie cholera grasowała, i przejechał przez całe Niemcy, nie dotknięty zarazą, bez obawy. Czekała go tu cholera, gdzie się jej nie spodziewał. Widzieliśmy go na parę godzin przedtem; wesoły, młody i piękny wiarus, z zapałem opowiadał czyny swoje z ostatniej wojny, batalie, na jakich się znajdował. Jednym razem stracił przytomność. Kiedyśmy pobiegli z lekarzem widzieć go w hotelu, tak już był zmieniony, że żadnym sposobem nie mogliśmy uwierzyć, że był ten sam, którego znaliśmy. Twarz jego była sina, żółtawa i tak okropna, że jaki nie bądź trup wydałby się żywym przy niej.

W kilka godzin skonał. Ta śmierć tak przeraziła Adama i tak go zasmuciła, że się lękałem, żeby nie zachorował. Nigdy go dotąd nie widziałem był w podobnym stanie. Do późnej nocy nie myślił, nie mówił o czym innym, jak o umarłym, i aż do świtu nie zmrużył oka; budził mię co chwila i dziwił się, gniewał się, że mnie sen morzył. Nazajutrz też był bardzo smutny, nie jadł i mało rozmawiał. Ta przebrzydła cholera jest gorsza niż wszystkie choroby, powtarzał i nie taił się, że się jej lęka, jak gdyby jakie straszne przeczucie go dręczyło*.

Pochowaliśmy naszego oficera na miejskim cmentarzu; Adam napisał dla niego nagrobek po łacinie[31] i złożono składkę na wystawienie pomnika.

Tak był smutny i nudny pobyt nasz w Châlonie, że dla rozerwania Adama umyśliliśmy zwiedzić okolice Szampanii.

---

* W dwadzieścia lat potem umarł Mickiewicz z cholery w Konstantynopolu. [Nieściśle, Mickiewicz umarł w 1855, a więc w 23 lata od wypadku, jaki opisuje Domeyko.]

[30] Głośny zjazd republikanów w bawarskim miasteczku Hambach, obradujący nad zjednoczeniem Niemiec, odbył się 27 maja 1832 r. Z ramienia Komitetu Narodowego Lelewela uczestniczył w owym „Hambacher Fest" Jan Czyński, z ramienia Towarzystwa Demokratycznego Polskiego Tadeusz Krępowiecki.

[31] Nie znane jest dotąd ani nazwisko zmarłego oficera, ani tekst napisu nagrobkowego pióra A. Mickiewicza.

Pojechaliśmy naprzód o 5 godzin stąd do sławnych okopów, które uchodzą pod nazwaniem camp d'Attila. Jest podanie, że w tym właśnie miejscu Attyla[32] był pobity przez Aecjusza[33], a przynajmniej stąd począł cofać się ów straszny wróg, milion razy straszniejszy od cholery. Nic godnego uwagi nie znaleźliśmy w owych okopach: jest to duży szaniec wysypany w kwadrat, porosły murawą; trzy otwory ze trzech stron, z czwartej zaś rzeka płynie. W jednym rogu nad rzeką reduta okrągła góruje nad całym okopem.

Od okopu Attyli pojechaliśmy do parafialnego kościółka w Epinay[34], gdzie cudowny ołtarz Najświętszej Panny ściąga na odpust dwa razy do roku tysiące ludu. Kościółek architektury gotyckiej, dobrze zachowany, ma w swoich ozdobach powyrzynane z kamienia jakieś płazy i gadziny. Obraz z dawnych czasów łaską bożą ocalony po tylu rewolucjach jest dziwnie podobny do obrazu N. Panny Żurowickiej; i co dziwniejsza, to że wypytując się o podaniach i o historii tego obrazu, dowiedzieliśmy się, że tu jak w Żurowicach[35] obraz ukazał się był naprzód w krzaku gorejącym, oświecony jasnością jakąś nieznaną; spostrzegli go pasterze i na tym miejscu zbudowano kościół, do którego lud ze wszystkich stron Francji schodził się na nabożeństwo, chorzy szukali uzdrowienia, nieszczęśliwi pociechy.

Tego tu zabytku dawnej wiary i pobożności nie zdołały obalić demagogia i jakobinizm, kiedy tymczasem syzma sprofanowała nasz kościół żurowicki, wprowadziwszy do niego popów i niewiernego Siemaszkę[36].

Proboszcz, Francuz, grzeczny, dowcipny, wesoły, przyjął nas uprzejmie. Wielką jednak różnicę dostrzegliśmy między nim a prostotą naszych księży, którzy z taką wiarą i niewymuszoną pobożnością mówią o cudach, że i najzaciętszego niedowiarka potrafią rozbroić. Tutejszy curé[37] nie chciał się zrazu wdawać z nami w religijną rozmowę; ale poznawszy, że choć nas za rewolucjonistów miano, jesteśmy katolikami, począł opowiadać, jak w czasach zamieszek po kilkakroć jakobini francuscy usiłowali obalić kościół i zniszczyć obraz, jak się temu potrafił oprzeć proboszcz ze swoim ludem wiernym i jak niedawno jedna ślepa dziewczyna, modląc się do tego ołtarza, wzrok otrzymała.

Na rozstaniu się dał nam dobry proboszcz szampańskiego czerwonego

---

[32] Attyla (w autogr. Attila), sławny w latach 433—453 wódz Hunów, przez współczesnych pisarzy rzymskich zwany „biczem bożym".

[33] Aecjusz Flawiusz, wódz rzymski. W autogr. pomyłkowo: Eliusza.

[34] Epinay, miasto w departamencie Seine. W autogr.: Epine.

[35] Żurowice (Żurowicze), miasteczko w pow. słonimskim.

[36] Józef Siemaszko (1798—1868), biskup litewski i wileński, potem apostata, tzw. Józef metropolita schizmatycki, ział nienawiścią do katolicyzmu i polskości.

[37] curé (fr.) — proboszcz, ksiądz.

wina nonmoussé[38], od kilku lat, jak nas zapewniał, zachowanego w sklepie, i mogę zapewnić, że nigdy tak dobrego szampana nie piłem.

To ostatnie dało nam powód zwiedzić nazajutrz przesławny sklep wina szampańskiego Jacksona w Châlonie. Wyobrazić sobie proszę ogromne kurytarze, wykute w wapiennej skale pod ziemią. Kurytarze te, a raczej sale, na sto i więcej łokci długie, podobne do podziemnych katakumb rzymskich. U wejścia do każdego z nich nad drzwiami napisane jest imię jakiej wielkiej stolicy: tu Berlin, Frankfurt, Wiedeń, tam Londyn, Petersburg. Ośmkroć sto tysięcy butelek było w tym czasie na pogotowiu, a był to czas, w którym przyprawiano wino młode z ostatniego winobrania. W tym miesiącu wino zaszpuntowane wchodzi w nową fermentację, burzy się. Ludzie, których znaleźliśmy w jednej sali, byli zajęci odszpuntowywaniem butelek. Z każdej butelki w momencie, kiedy wyjmą korek, wychodzi od dna samego osad z szumem i pianą; skoro wyjdzie szum, natychmiast dolewają wina i znowu szpuntują butelki.

Ileż to wielkich kongresów, rad dyplomatycznych, klubów, konspiracji i aliansów leży zaszpuntowanych w tym sklepie!

Najdłuższa ze wszystkich sal jest petersburska; stąd posyłają wino nie tylko do picia, ale — jak wiadomo — w tym winie, jak u nas w wodzie, gotują rybę w Moskwie i Petersburgu na wielkie obiady.

Nadchodziła uroczystość rocznicy rewolucji lipcowej: wielkie święto polityczne dla tych, co narzekają na wielość świąt kościelnych. Od wielu dni nie mówili o czym innym Francuzi, jak o swoich „glorieuses"[39].

Ale dwa lata już upływało od wypędzenia starszej linii Bourbonów[40], król-obywatel[41] miał czas ochłonąć z rewolucyjnego szału, nie pokazywał się już na ulicy z paraplujem[42] i brudnymi rękawicami jak z początku; poczynał doprawdy zakrawać na króla. Partia, co go na tron wyniosła, też nabierała ochoty i odwagi do arystokratycznego tonu; Lafayette[43] usunął się z Tuileries[44], Laffitte[45] był na wyjezdnym. Ruch rewolucyjny

---

[38] Niemusującego.

[39] Tzw. „Les Trois Glorieuses", trzy dni chwały (27, 28, 29 lipca 1830).

[40] W osobie Karola X.

[41] Ludwik Filip.

[42] Tj. parasolem.

[43] Jean Paul Marie Lafayette (1757—1834), francuski generał i mąż stanu, w 1830 r. wódz gwardii narodowej, popierał usilnie wybór Ludwika Filipa na króla, przewodniczący Komitetu Francusko-Polskiego, przyjaciel Polski.

[44] Tuileries, pałac królewski w Paryżu zbudowany w XVI w. przez Katarzynę Medici, od czasów Ludwika XVI rezydencja panujących we Francji monarchów.

[45] Jacques Laffitte (1767—1844), bankier i polityk francuski, przyczynił się do powołania na tron Ludwika Filipa, w latach 1830—1831 premier i minister skarbu, później przeszedł do opozycji.

coraz bardziej się rozwijał w niższej klasie; lękano się po większych miastach zaburzenia z okazji „glorieuses".

Chwycono się więc pozoru, jakoby cholera nie pozwalała licznych zebrań ludu po miastach, i tylko po miasteczkach gotowano się do obchodu rocznicy.

W istocie po miasteczkach lepiej się maluje charakter narodowy ludu i jego masy niż po miastach, gdzie druk, gazety, napływ cudzoziemców, dwór i duma urzędników mieszają się do wszystkiego, głuszą wszelki dźwięk narodowości.

Pojechaliśmy tedy z Adamem dla widzenia patriotycznych uniesień o 4 mile z Châlonu do małego miasteczka Suippes[46], dokąd zaproszeni byliśmy przez dowódcę tamecznej gwardii narodowej, pana Bourgeois. Przyjęci uprzejmie w jego domu, znaleźliśmy w nim gościnność francuską średniej klasy, gościnność, która jeśli nie jest tak serdeczną, huczną, liberalną, wesołą, nieograniczoną, jak u naszej szlachty, jest dosyć otwartą, niewymuszoną, ujętą w niejakie karby, do których łatwo nawyknąć, niekosztowną, a jednak dobrze urządzoną i przyjemną.

Pan Bourgeois, istny b o u r g e o i s[47] lipcowego rządu, przemyślny, czynny, popularny między swoimi, przeciwnik szlachty, choć rad by jej miejsce zastąpić; liberalny, nie dowierzający księżom ani Kościołowi, trochę filozof, trochę ekonomista; całą gębą zabity stronnik konstytucji, miłośnik elekcji i rad municypalnych. Zresztą rozsądny człowiek, uprzejmy aż do poufałości, choć w pewnych obrębach, za które niełatwo go było wyprowadzić. Jednym słowem był to człowiek nowej szkoły francuskiej. Uwięziony i prześladowany za restauracji, doczekał się z radością rewolucji; niemało wyłożył ze swojej kieszeni na umundurowanie gwardii narodowej w swoim powiecie, zakupił instrumenta do muzyki, został mianowany dowódcą tejże gwardii i przy pomocy przyjaciół swoich kierował według własnej woli elekcjami na oficerów.

Miano tedy obchodzić hucznie i wystawnie liberalną rocznicę. P. Bourgeois uformował program, obejmujący musztrę, paradę wojskową, bębny, chorągwie, »Te Deum«, mat de cocagne[48], tańce, ochotne ognie i iluminacją wieczorem; o niczym nie zapomniano.

Na nieszczęście tuż czyhała na owe przybory niespodziewana niezgoda. Wszczęła się kwestia z okazji pierwszeństwa na paradzie; były tu cztery kompanie, które składały gwardię: jedna pionierów, płatna od rządu, a zatem przymuszona i nawykła do porządku i dyscypliny; druga

---

[46] Suippes, miasto we Francji w departamencie Marne. W autogr.: Suib.

[47] bourgeois (fr.) — mieszczanin.

[48] mat de cocagne (fr.) — dosłownie: słup szczęścia; zabawa polegająca na tym, że na szczycie wysokiego gładkiego słupa umieszczona jest nagroda dla tego, kto pierwszy wdrapie się po nim.

grenadierów, wyborowa, odznaczała się postawą, urodą i jakąś wyższością tonu; dwie inne woltyżerów składały się z rzemieślników, rolników i proletariuszów. Chodziło o to, kto miał iść na przedzie, zaraz za muzyką: czy pompiery[49], jako żołnierze będący na żołdzie, czy grenadierzy? P. Bourgeois znalazł w reglamencie jakimś starym, że należało dać pierwszeństwo pompierom, ale grenadiery stanowili wybór, kwiat obywatelstwa!

Całe się wojsko na dwie partie rozdzieliło i całe miasteczko było w konsternacji. Przychodziły deputacje od grenadierów do p. Bourgeois i pani Bourgeois odbierała liczne wizyty od dam, które za honor swoich mężów ujmowały się. Dowódca stanął nieugięty, głuchy na pogróżki, rady i pochlebstwa.

Kiedyśmy wyszli na rynek, kompania grenadierów wypowiedziała posłuszeństwo. Żołnierze wprawdzie chodzili w mundurach i zalecali się do dziewcząt, ale bez broni, bo oficerowie nie wyszli z domów swoich i nie było komu komenderować.

Nadchodzi fatalna godzina; trzy czwarte gwardii stanęło pod bronią; uderzono w bębny, zagrzmiała muzyka i cała komitywa, magistrat i dowódca, wziąwszy nas dwóch między siebie, pociągnęła wolnym, tryumfalnym marszem do kościoła, gdzie się odprawił krótki nieszpor i »Te Deum«.

Mówię krótki, bo nie był to czas do nabożeństwa. Nasi dobosze od początku tak się zabębnili, że ani słychać było śpiewania dwóch księży, którzy zwyczajem liturgii francuskiej w kapach po chórze chodzili.

Zaledwo ucichły bębny, zagrano *Marseillaise*[50], co tak zapaliło publiczność, że zapomniano o Panu Bogu. Żołnierze prezentowali broń, oficerowie komenderowali, kościół pełen bagnetów jakoby na wojnie.

Dziwnie odbijało to chaos rewolucyjne od twarzy starego, osiwiałego zakrystiana, który zza drzwi zakrystii wyglądał spokojny i zdawał się dziwić, nie pojmował, co się stało z ludem i kościołem francuskim.

Po nabożeństwie defilowała gwardia przed panem Bourgeois i merem[51], a rozpierzchnieni po rynku grenadiery naśmiewali się z nich i zaraz potem przychodziło do kłótni, przygryzek. Nie wiem nawet, na czym by się skończyło, gdyby pierwej nim zmrok zapadł, nie dały się słyszeć kontradanse po rozmaitych domach na to przygotowanych.

---

[49] Tj. strażacy.

[50] *Marsylianka,* hymn francuski, dawna pieśń rewolucyjna, skomponowana w r. 1792 przez poetę-oficera Claude Joseph Rouget de l'Isle (1760—1836). Po raz pierwszy śpiewał ją batalion z Marsylii przy wkraczaniu do Paryża, stąd nazwa. W autogr.: marseillese.

[51] mer — naczelnik okręgu we Francji, burmistrz.

Znikły sprzed oczu rynsztunki, chorągwie, bagnety; w kwadrans całe miasteczko skakało w zgodzie, wesołości i w najlepszej harmonii.

Tu na tańcach występuje Francuz w swojej właściwej figurze, jaką mu dał Pan Bóg, tu się mu dobrze przypatrzyć można. Tu prawdziwa równość, wolność, niepodległość panują, choć nikt o nich nie mówi, nie pisze. Choć skrzypak niemiłosiernie rżnie i piszczy, tak że nasi karczemni muzykanci wydaliby się Mozartami, choć silnie wybija takt nogą niezgodnie, owszem, w zwadzie ze swoim graniem, wszyscy radzi, weseli, tańczą, jak kto umie. Pan obok sługi, majster obok czeladnika, pani obok służącej; pan Bourgeois tańczył z ogrodniczką swoją, ogrodnik z panią Bellą, damą wyższego tonu z Châlonu, oficerowie z kucharkami. Tu może czerpie swój żywioł duch niepodległy i liberalny Francuzów widoczniej niż w dziennikach i piśmiennictwie paryskim.

Mogę pochwalić się, że przyjemnie przepędziliśmy z Adamem trzy dni wypoczynku na wsi, choć ta wieś szampańska w ogólności bardzo różni się od obrazu, jaki sobie w cudzych krajach amatorowie wina i podróży zazwyczaj tworzą. Szampania jest może najmniej malowniczą ze wszystkich części Francji; mianowicie Châlons i jego okolice niewesołe, płaskie, wapienne. Tu nie masz folwarków naszych, dworów ni ogrodów, bo nie masz bogatszych właścicieli. Wszyscy w miasteczkach żyją; nawet chłopi nie mają takich wsi jak nasze; ani po polach widać trzód, bo wszystkie bydło na uwięzi. Nie widać też winnic, które na zachodnim tylko krańcu Szampanii około Aisne i Epernay mały obszar zajmują. Około Suippes piękne łany pszenicy widziałem na otwartej płaszczyźnie i kraj z wejrzenia podobny jest do grodzieńskiego powiatu; choć nie tak może żyzny ni wesoły.

Za powrotem do Châlonu znaleźliśmy odpowiedź ministra, w której każe prefektowi „prendre de renseignements sur nos personnes et notre conduite"[52]. Doprawdy nudzić już nas poczynał pobyt w Châlonie. Radziliśmy się jednego urzędnika królewskiego, jakim sposobem, nie obrażając wcale króla ni konstytucji, można by się dostać do Paryża za paszportem, w którym wyraźnie zastrzeżono: „Défense de se rendre à Paris sous quelque pretexte que ce soît"[53]. „Il n'y a qu'un moyen pour cela"[54] — odpowiedział. Byliśmy pewni, że nam ułatwi w sekrecie podróż. „Quel est donc ce moyen?"[55] — pytał go Adam. „Partir par la malle-poste"[56] — odpowiedział. Jak to? Kurierem? Pocztą? Powozem rządowym? Ni mniej, ni więcej. „A któż nas wpuści do miasta? I skoro zobaczą

[52] „Ażeby zebrał informacje co do naszych osób i naszego zachowania".
[53] „Zabrania się wyjazdu do Paryża pod jakimkolwiek byłoby to pretekstem".
[54] „Jest tylko jeden na to sposób".
[55] „Jakiż jest więc ten sposób?"
[56] „Pojechać karetką pocztową".

paszporta, zaaresztują!" „Nikt się nie odważy zatrzymać kuriera na drodze ani na wjeździe do miasta".

Na to ostatnie zaręczenie tejże samej godziny wsiedliśmy do malleposte i ruszyliśmy do Paryża.

1 sierpnia 1832 [r.] o trzeciej godzinie rano swąd paryski, swąd węglowego gazu, jakby ze wszystkimi swędami całego świata zmieszany, obudził mię ze snu; i może to pierwsze wrażenie przykre i niespodziewane wpłynęło na jakieś złe przeczucie, które w tym momencie mię ogarnęło, że w tym mieście, do którego od najrańszej młodości mojej tak tęskniłem, nic dobrego się nie przydarzy i może stąd nigdy żyw nie wyjdę.

II. P a r y ż

NOTATKI MOJE PARYSKIE

Jestem w Paryżu: w mieście, do którego z najrańszych, a mianowicie z uniwersyteckich moich czasów tak gorąco rwałem się, rojąc sobie, że tu jest ognisko wolności, śrzodek i stolica wyższej cywilizacji, przez to samo, że z niego tyle wybuchło rewolucji i tyle wielkości ludzkich, tyle żywiołów dla dumy i namiętności ludzkiej urosło.

Tak sobie wyobrażałem Paryż, kiedy nasza malle-poste zatrzymała się przy ulicy du Mail, hotelu du Metz. Wysiedliśmy; cicho było jeszcze i czas do spoczynku. Ale zaledwo zdrzemałem się, zbudził mię uliczny hałas i turkot pojazdów i przyszedł mi na myśl jakiś wiersz francuski:

Paris, ville de bruit...[1]

Rzecz naturalna, że mając Paryż przed oczyma, zapomniałem przez kilka dni, iż byłem emigrantem i że w tym mieście była natenczas stolica emigranckiej Polski, główna kwatera emigracji naszej.

Pobiegliśmy naprzód widzieć Tuileries, które wyobrażałem sobie z opowiadania wojażerów i z rysunków, że musi to być pałac nadzwyczajnej wspaniałości i uroku; patrzyłem nań i nie wierzyłem sobie; wydał mi się podobnym do koszarów; na dziedzińcu przeciągał pułk piechoty, a za kratami lud czepiał się i przypatrywał się musztrom z ciekawością i upodobaniem. Ów wielki łuk, Arc de Triomphe[2], na którym piękne brązowe konie przypominają owe arcydzieło, które szczęśliwy kapral był zrabował i tu przywiózł, a potem oddać musiał[3], nie zrobił na mnie wrażenia, jakiego spodziewałem się; za niski, za szeroki względ-

---

[1] „Paryż, miasto hałasu".

[2] Łuk Tryumfalny.

[3] Mowa o słynnej grupie czterech koni ze złoconego brązu znad portalu kościoła Św. Marka w Wenecji, którą wymógł Napoleon Bonaparte („szczęśliwy kapral") wraz z innymi dziełami sztuki i okrętami wojennymi jako kontrybucję, za której cenę zgodził się na zawarcie pokoju z Republiką Wenecką (1797). W drugim pokoju paryskim (1815) Francja musiała dzieło to zwrócić. Zastąpiono go na szczycie łuku posągiem koni artysty Bosio.

nie do otaczających je gmachów, wydał mi się tak, jak gdyby przed czasem zapadał do ziemi.

Ów wielki Ogród Tuileryjski, o którym cuda opowiadają wojażerowie nasi, nie zaspokoił też ciekawości mojej. Drzewa pyłem i kurzawą pokryte; kwiaty żelaznymi kratami ogrodzone; posągi poczerniałe; z tych ostatnich jeden nowszy, biały, z pięknego marmuru zatrzymał mię na moment; był to Spartacus zrywający więzy, pasujący się jeszcze i niespokojny, jak gdyby lękał się, żeby mu ich na nowo nie włożono. Był to posąg niedawno postawiony na pamiątkę lipcowej rewolucji. Opodal od niego widać było ów starożytny posąg niewolnika czy szermierza, co ostrzy nóż. Na krużganku pałacowym powiewała trzykolorowa rewolucyjna chorągiew.

Z tego ogrodu idąc ku Elizejskim Polom spostrzegłem sławną kolumnę Vendôme[4], która wielkością swoją, prostotą i pięknością form przeniosła myśl moją do epoki podobnych dzisiejszym złudzeń naszych. Nie było jeszcze na jej wierzchołku posągu Napoleona, który zrzucili za wejściem do Paryża sprzymierzeńcy[5], choć się nie odważyli obnażyć jej ze spiżu, który do nich był należał, bo z ich harmat był wylany, z harmat wziętych w jednej batalii[6].

Nieco dalej, tuż za ogrodem, wyszliśmy na obszerny plac, bez wątpienia najpiękniejszą część Paryża — plac otwarty, rozległy, z którego widać przedniejsze monumenta: zamek królewski, wieże katedralne, pałac reprezentacji narodowej, Arc de l'Etoile i kościół Świętej Magdaleny. Na środku tego placu ścięto ostatniego z Kapetów[7], a może ostatniego z katolickich królów, bo wszyscy późniejsi nie byli już królami z łaski Bożej, byli konspiratorami, szukali łaski ludu[8], obcych książąt i żołnierza. Trzykroć już zmieniono imię tego placu i trzykroć zmieniono pomnik, który budowano i odbudo[wy]wano na nim; był to plac R e w o l u c j i, plac Ludwika XVI, plac Z g o d y; i komuż wiadomo, jak go za sto lat nazwą? Tymczasem, aby pogodzić umarłych [i] żywych z tymi, co za sto lat tu panować będą, umyślił Filip postawić tu wielki obelisk egipski, dany mu od egipskiego wicekróla w upominku, L u-

---

[4] Kolumna wzniesiona w 1810 r. na cześć Napoleona, tu aluzja do naszych wówczas nadziei. W autogr.: Vandonme.

[5] Armie austriackie, rosyjskie i pruskie wkraczające do Paryża w marcu 1814 r. Wówczas to pomnik Napoleona przetopiony został na statuę Henryka IV, którą umieszczono na Pont-Neuf.

[6] W sławnej bitwie „trzech cesarzów" pod Austerlitz 2 grudnia 1805 r.

[7] Ludwika XVI (21 stycznia 1793).

[8] Aluzja do Ludwika Filipa, który objął tron jako „król Francuzów z łaski Bożej i z woli narodu".

x o r[9]. W istocie, możeż to obudzić zazdrość lub obawę w jakim nowym królu, cesarzu czy trybunie francuskim, że na tym historycznym miejscu, najświetniejszym w stolicy, zamiast uwieczniać sławę którego z dawnych czy nowych bohaterów francuskich, postawią pomnik jakiemuś nieznajomemu Cyganowi, co przed czterdziestu wiekami panował za morzem?

Z tego placu piękny most kolosalnymi osadzony posągami przywiódł mię do pałacu, który też koleją lat, choć nowy jeszcze, nowej daty, wielekroć musiał zmienić nazwisko. Był to pałac Bourbonów, dziś Izba Deputowanych Ludwika Filipa, jutro może konwencja; most też nazywał się był mostem Rewolucyjnym, teraz go urzędowo zowią mostem Posągów, a i te ostatnie może nie na długo popasują na swoim miejscu, bo większa ich część jest obrazem dawnej arystokracji, dawnej świetności królestwa chrześcijańskiego.

Zamiast tedy przypatrywać się tej nie zapisanej jeszcze, szkicowanej karcie Paryża, pociągnęliśmy szybkim krokiem przez Elizejskie Pola do silniejszego i — jak się zdaje — lepiej umocowanego pomnika napoleońskich wojen, sławnego Arc de l'Etoile, świetnej mogiły więcej niż miliona żołnierzy poległych na komendę jednego, a między którymi i naszych sto tysięcy spoczywa, nie licząc w to z zarazy poległych w San Domingo[10]. Między najcelniejszymi tam wodzami i bohaterami widzieliśmy bluszczem otoczone imiona Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Kniaziewicza: smutne wspomnienie z czasu najświetniejszych nadziei naszych, które też przyświeciły ostatnim usiłowaniom narodu, krótszym, choć może świetniejszym dla Polski, bo całkowicie z niej wysnutym bez pomocy obcej!

Niedługo na ten raz patrzyłem na ten tryumfalny pomnik nowożytnego cezara, a za powrotem zatrzymałem się przy nie skończonym jeszcze kościele Św. Magdaleny, który paryżanie zowią po prostu Magdaleną. Duży to gmach greckiej, pogańskiej architektury bez wieżyc i bez krzyża, jeszcze o trójkątnym frontonie, opartym na koryncких kolumnach, z kształtu bardziej do giełdy czy muzeum niż do kościoła podobny. Był czas, kiedy chełpliwi z lekkiego charakteru paryżanie sądzili, że będzie to świątynia sławy czy zwycięstwa dla uwiecznienia

---

[9] Obelisk, o którym mowa (22,88 m wysoki, z jednej bryły granitu), to jedna z kolumn sławnego ongiś podwórza kolumnowego zbudowanego przez Ramzesa II przed świątynią Amona w miejscowości Luksor nad górnym Nilem. Obelisk ofiarował Francji Mehmet-Ali (1761—1849), basza Egiptu (od 1806 r.), któremu Francja dopomagała w przeprowadzaniu reform w Egipcie i którego popierała w wojnie z sułtanem tureckim.

[10] Santo Domingo, zwane często San Domingo, dzis. Haiti, druga co do wielkości wyspa w grupie Wielkich Antyli, znana ze złego klimatu, który spowodował, że wyginęli tu prawie wszyscy Polacy z legionu wysłanego przez Francję do tłumienia powstania.

wielkości narodowej. Pobożniejsi Bourbonowie śpieszyli z fabryką, żeby czym prędzej poświęcić ten budynek chwale Pańskiej. Ludwik Filip majaczy[11], nie śpieszy się, nie decyduje się jeszcze ogłosić, że będzie to ni mniej, ni więcej kościół, bo się lęka, żeby go o pobożność nie posądzono. Czas nie do budowania kościołów, jak świadczą temu gruzy pałacu arcybiskupa[12] i opustoszały kościół St. Germain l'Auxerrois[13]. Pracują jednak wewnątrz tego gmachu rzemieślnicy, artyści; całe jego ściany okładają marmurami — Bogu niech będzie chwała, że pomimo oślepienia ludu jest jeszcze w tym narodzie wyższa siła do budowania kościoła; i jakiegoż kościoła? na cześć św. Magdaleny grzesznicy! Oby za jej przyczynieniem się Bóg miłosierny wyrzucił z tej wielkiej stolicy zgorszenia nie dwanaście, ale legiony czartów, które ją szarpią, gryzą i pokoju nie dają.

Na tym skończyła się pierwszego dnia wycieczka po ulicach Paryża, która bynajmniej wrażeniem, jakie na mnie sprawiła, nie dorównała wyobrażeniom, jakie z młodych lat moich utworzyłem był sobie z opowiadania i czytania wojażów.

Drugi dzień poświęciliśmy z Adamem na zwiedzenie przedmieścia St. Germain, Hotelu Inwalidów i Panteonu.

Możeż być co godniejszego widzenia w tym czasie w Paryżu jak Hotel Inwalidów, gdzie żyją jeszcze żołnierze z najwojenniejszej epoki wojennego narodu!

Na pięknej, rozległej równinie, nieco na ustroniu od zgiełku Paryża stoi wspaniały gmach, bardziej prostotą i ogromem niżby wyszukaną jaką wykwintnością architektury odznaczający się; nad nim wznosi się złocona kopuła z krzyżem; przed nim ogród i rozstawione działa w niezliczonych bataliach po całej Europie zebrane. Czas był pogodny, niegorący, gromady starców, a wielu z nich bez nóg, bez rąk, do połowy skurczonych, szukały cienia pod drzewami. Jedni spokojnie na ławach siedzieli, drudzy ruchawsi przechadzali się, rozmawiając z sobą o całej przeszłości wojen i zaborów. Och! nigdy się im nie przebierze rzecz do rozmowy. Tu widzisz jeszcze zgrzybiałych rzecz[y]pospolitej żołnierzy, co naprzód ludowi, potem konwencji, a potem szczęśliwemu kapralowi[14] służyli. Tleją w ich oczach ostatki jeszcze rycerskiego ognia; ich wdzię-

[11] Tu w znaczeniu lawiruje, kołuje.

[12] Arcybiskup de Quélen Hyacinthe Louis (1778—1839), wrogo ustosunkowany do rewolucji lipcowej, ukrywał się, a jego pałac został dwukrotnie zrabowany i zniszczony (w 1830 i 1831 r.).

[13] Kościół ten pochodzi z XII wieku, z jego wieży dzwoniono w noc św. Bartłomieja (z 24 na 25 sierpnia 1572), sygnalizując rzeź hugonotów. W autogr.: Louxorois.

[14] Napoleonowi Bonaparte.

kiem są blizny i zmarszczki na pooranych wiekiem twarzach, a czarująca zaleta, żywość francuska, grzeczność, dowcip, spokój i pewna surowość przy ociężałej latami powadze — trudno, niepodobna opisać owej żyjącej historii olbrzymiego wysilenia narodu. Tu mi ukazywano zdobywców Bastylii[15], tu niejeden żyje z tych, co widzieli początek rewolucji, upadek królestwa, ścięcie Ludwika; niejeden z tych, co zaprawieni na koalicyjnych i na domowych wojnach nieśli postrach na libijskie piaski pod czterdziestowiekowe spiekłe piramidy; niejeden z nich, co tak dziś powoli idzie poza kratą, ocalał tam z zarazy i [od] mameluków ataganu[16] i przechodząc koleją przez szeregi niezliczonych bitew i tryumfów, zaszedł aż pod biegunowe lody i zamiecie, wszędzie z wesołym sercem, z wiarą w przeznaczenie Francji i z miłością ojczyzny.

U bramy spotkaliśmy dwóch inwalidów, których widok zatrzymał nas pomimowolnie i godny był pędzla największych malarzy. Choć było dwóch, jedna tylko była noga; za to każdy miał po krzyżu i bliznę na twarzy; ten, co powyżej kostek miał poucinane nogi, żywszy był, zręcznie uwijał się o kiju i jednym kosturze, żwawo coś opowiadał drugiemu, który spokojnie, nieporuszony, ze spuszczoną głową, zwieszonymi na dół wąsami i ze skrzywioną na bok fajką w gębie słuchał pilnie i zamyślał się, jakby co sobie przywodził w pamięci z przeszłości.

Byli tam i młodsi pokaleczeni, zdawało się, jak gdyby od wczora[j] przybyli, a o których jeden wąsal, co się przybliżył był do nas, powiadał z niejakimś uśmiechem, że byli to „combattants de juillet, de juin et des émeutes de Grenoble, de Lyon etc."[17]

Oprowadził nas potem jeden z inwalidów po całym domie: wielki porządek, ochędóstwo i ład we wszystkim. Zatrzymaliśmy się w jadalnej sali, na której ścianach malowanych f r e s c o widać czyny Kondeusza[18], Tureniusza[19], wyprawy z wieku Ludwika XIV; kredens był

---

[15] Bastylia, dawny zamek paryski, później więzienie polityczne, zburzona jako symbol tyranii 14 lipca 1789 r.

[16] mamelucy (z arab. mamluk — kupiony niewolnik) — pierwotnie straż przyboczna władców wschodnich, złożona przeważnie z białych niewolników, później faktyczni władcy kraju. Tu mowa o egipskiej kampanii Napoleona w roku 1798, w której mamelucy ponieśli klęskę. Atagan, właśc. jatagan (tur.), pałasz obosieczny, główna broń janczarów.

[17] „Bojownicy lipca, czerwca, rozruchów w Grenoble, w Lyonie etc." Grenoble, twierdza w departamencie Isère; Lyon, twierdza w departamencie Rhône.

[18] Kondeusz, Condé, gałąź królewskiej rodziny Bourbonów; zapewne mowa o Ludwiku II de Bourbon (1621—1686), księciu, znakomitym wodzu armii francuskiej, zwanym Wielkim Kondeuszem.

[19] Tureniusz, Turenne, Henryk de Latour d'Auvergne (1611—1675), jeden z najznakomitszych wodzów francuskich, marszałek pochowany z polecenia Ludwika XIV w grobach królewskich w St.-Denis.

bogato [za]opatrzony w stołowe srebra sporządzone i darowane dla oficerów przez Marię Ludwikę[20]. Zwiedziliśmy też bibliotekę, czytelnię, mieszkania wygodne; a na koniec zstąpiliśmy do kaplicy, a raczej wielkiego kościoła, co panuje nad całą budową.

Z Hotelu Inwalidów pociągnęliśmy przez całe tak nazwane przedmieście St. Germain, stolicę dawnej arystokracji i świetności Francji, ku Sorbonie i kościołowi Św. Genowefy, patronki Paryża.

Smutne to dziś to przedmieście. Jej dostojni mieszkańcy, potomkowie Beaumontów, Montmorencych, Rohanów[a], chroniąc się od gilotyny, tułali się po obcych krajach; wróciwszy z królem, dopomnieli się o wynagrodzenie i nie potrafili obronić praw tronu. Teraz ich domy, starożytne hotele, zamknięte, dziedzińce mchem porosły, a oni daleko po ocalałych, na wpół porujnowanych zamkach żyją, stroniąc od dworu, lub knują spiski szuańskie[21] pod naczelnictwem słabej księżnej Berry i jej małego syna[22].

Krętymi, ciemnymi i ciasnymi ulicami łacińskiego kwartału, gdzie zamiast ozdobnych pałaców, sklepów i zbytkowych magazynów książki tylko, lancety, kościotrupy, kódeksa i mapy szkolne zza brudnych okien wyglądają, przyszliśmy do Panteonu.

Wielki gmach! Z przodu jakoby świątynia grecka z czasów pogańskich wspaniałej architektury; z tyłu wielka kopuła jak w kościołach. Na froncie dumny napis:

Aux grands hommes
la France reconnaissante[23]

jakby dowodził, że nie Bogu, ale ludziom Francja ocalenie swoje wdzięczna. Jednakże cała budowa, w kształcie krzyża wystawiona, świadczy, że jej przeznaczenie było kiedyś świętsze. Miliony wydano na jej odnowienie, na przyozdobienie jej w posągi i malowidła, a dotąd nie wiadomo, na jaki cel, na jaką cześć, co robić z tymi wielkimi ludźmi, dla których dumna Francja dedykowała ów pomnik.

Wielka to jednak pokusa dla człowieka, chociażby najpokorniejszego

---

[a] W autogr.: Bomontów, Montmoransych.

[20] Maria Ludwika (1791—1847), córka cesarza austriackiego Franciszka I, druga żona Napoleona I, cesarzowa Francji w latach 1810—1814; po upadku Napoleona wróciła do Austrii.

[21] Szuan, zwolennik Bourbonów podczas wielkiej rewolucji francuskiej.

[22] Karolina Ferdynanda Ludwika Berry (1798—1870), księżna, wdowa po Karolu Berry (zamordowanym w 1820 r.), synu hrabiego d'Artois, późniejszym królu Karolu X. Usiłowała ona na rzecz syna swojego Henryka, późniejszego hr. de Chambord (1820—1883), wywołać powstanie w Wandei, gdzie ogłosiła się regentką (1832).

[23] „Wielkim ludziom wdzięczna Francja".

ducha, widzieć wielkich ludzi i przybytek ich po śmierci. Ta pokusa obudziła w nas ciekawość obaczyć, jacy są to wielcy ludzie, których Francja osądziła być pierwszymi czy godniejszymi do przemienienia tego gmachu, poświęconego Bogu, na świątynię dla ludzi[24].

Wchodzimy. Cały gmach pusty, głuchy; pobielane ściany, świeże jakieś malowidło w górze; echo rozlega się jak w pustej stodole. Na czterech tylko rogach pod kopułą widać było tablice z napisami i imionami wielkich ludzi. Czytamy je i nie rozumiemy: o żadnym z nich nigdy nie słyszałem; pytam się u przewodnika, choć nieuczonego, o tych bohaterów, a on mi dał do poznania, że były to imiona „des combattants de juillet! de la glorieuse!"[25]

Obszedłem wszystkie kąty i cały obszar budynku, nie spotkawszy w nim nic wielkiego w słowie ni wizerunku.

„Gdzież są wasi wielcy ludzie" — zapytał Adam. „Tu pod ziemią" — rzekł Francuz, „dans les caves"[26], stuknął kijem, a echo odpowiedziało. „Pokażę ich wam, ale nie mam czasu" — i ruszył dłonią, dając do poznania, że czas jest jego majątkiem. „Z ochotą, z ochotą" — odpowiedzieliśmy.

Zeszliśmy tedy do podziemnego sklepu. Z małą latarką poprzedzał nas szwajcar, a dreszcz przechodził po nas od zimna. Zatrzymaliśmy się przy pierwszych grobowcach, które przewodnik nam pokazał; czytaliśmy napisy; na próżno poprawiał on i przybliżał do złotych liter latarkę, ani jednego ze znajomych nam historycznych imion nie wyczytaliśmy. Były tam zwłoki senatorów i innych panów z ostatnich czasów restauracji. Nudziły nas tytuły i honory, które z przesadą nasz Francuz powtarzał. „Patience messieurs, patience!"[27] — rzecze i prowadzi nas do sąsiedniego miejsca, gdzie była trumna marszałka Lannesa[28], a nieco dalej do osobnej a ciemnej izby, gdzie leży Wolter, przedniejszy dziś mieszkaniec tego Panteonu. Duża drewniana truna, nieco nadpleśniała,

---

[24] Panteon paryski kilkakrotnie zmieniał swoją służbę: budowę jego rozpoczęto (1764) jako budowę kościoła pod wezwaniem patronki Paryża, św. Genowefy, następnie (1794) przeznaczono go na mauzoleum zasłużonych mężów i nadano mu nazwę Panthéon-Français, za Napoleona usunięto ozdoby i napisy rewolucyjne i oddano gmach duchowieństwu katolickiemu; rewolucja lipcowa (1830) ponownie zamieniła kościół na miejsce spoczynku ludzi zasłużonych, wprowadzając swoje napisy i ornamenty, w 1851 r. znowu Panteon stał się kościołem, a w roku 1855 ponownie grobowcem wielkich mężów Francji.

[25] „Bojownicy lipca! z dni chwały!"

[26] „W podziemiach".

[27] „Cierpliwości, panowie, cierpliwości!"

[28] Jean Lannes (1769—1809), jeden z najdzielniejszych marszałków napoleońskich, pogromca wojsk austriackich pod Montebello. Zmarł w Wiedniu. W autogr.: Lana.

z formy raczej do skrzyni jakiej niż do zwyczajnych trun podobna; owóż cała wielkość Rozumu! Tuż blisko, ale za grubą przegrodą, jakby przez ostrożność, żeby spokojniej spoczywali, leży Rousseau w nie lepszej ani ozdobniejszej skrzyni. Napisy na nich poczerniałe, zatarte i nie bez przyczyny znaku krzyża na nich nie widać, na czym by nie zbywało najuboższemu i najprostszemu z kmieci naszej.

Niedługo nam pozwolił dumać i namyślać się gadatliwy, a pełen pretensji do dowcipu Francuz. „Allons, allons, je veux vous montrer une chose, qui va vous surprendre!"[29] Poszedł w kąt, gdzie zapada sklepienie, a nas w drugim kącie postawił i począł hukać, a natychmiast całe to podziemne mieszkanie poczęło rozlegać się tak wyraźnym i dobitnym echem, że takiego echa tylko na pustyni i w tej pustej świątyni wielkich ludzi posłyszysz.

„I już po wszystkim? Nie masz czego widzieć?"

„C'est tout, c'est fini, plus des grands hommes"[30] — odpowiedział przewodnik i chciał przekładać, dowodzić, jak trudno jest być przyjętym do tego Panteonu, że nawet najwięksi ludzie z tych czasów nie ośmielają się rościć pretensji do tego zaszczytu. Nie daliśmy mu dokończyć, bo nas zimno wielce dojmowało, a ciemność nudziła i czym prędzej wyszedłszy na światło poczęliśmy szczeblować po schodach na galerię, która się nad kopułą wznosi. Z niej po pierwszy raz obejrzeliśmy cały Paryż dokoła i rzuciliśmy okiem na jego okolice. Na odejściu raz jeszcze obeszliśmy próżną i pustą tę świątynię wielkości, a raczej maleństwa i próżności ludzkiej. Wolter i Rousseau, zająwszy w niej pierwsze miejsce, odstraszyli od niej czujących się być ludźmi, a może już i wszystkich; czas we Francji przeszedł na wielkich ludzi, skoro im kościół zbudowano. Dosyć, że dotąd nie wiadomo, na jaki cel przeznaczony jest ten budynek, jaka jego przyszłość; czy będzie poświęcony Bogu, czy szatanom, wierze czy próżności ludzkiej.

W miesiąc potem przeniosłem się na ulicę Monsieur le Prince; Adam sobie najął osobne mieszkanie i wkrótce straciłem zupełnie ochotę opisywać Paryż; poszedłem chodzić na kursa do Sorbony i do Collège de France, a notowałem tylko szczególniejsze zdarzenia.

Przypadła uroczystość w Akademii Francuskiej z okazji przyjęcia do niej p. Dupin[31] starszego, zawołanego adwokata, sofisty, doktrynera, który na grobie matki swojej kazał napisać: „Ci gît la mère des trois Du-

---

[29] „Chodźmy, chodźmy, chcę wam pokazać coś, co was zadziwi!"

[30] „To wszystko już skończyło się, już nie ma więcej wielkich ludzi".

[31] André Marie Jean Jacques Dupin (1783—1865), francuski prawnik i mąż stanu; członek l'Académie des Sciences.

pins"[32]. Rzecz tedy naturalna, że chęć mnie wzięła widzieć zebranie wszystkich sław literackich i naukowych francuskich, które swoją wielkością napełniają cały świat wyższej oświaty.

Wszedłem na wysoką galerię, z której mogłem obejrzeć całą świetność Akademii, a wszedłem z całym urokiem moich lat uniwersyteckich, z uszanowaniem do uczonych, z których ni jednego jeszcze w życiu nie widziałem był od dzieciństwa.

Ze wzruszeniem tedy patrzyłem, jak wchodzili Gay-Lussac[33], Arago[34], Biot[35], Poisson[36], Geoffroy St. Hilaire[37], Ampère[38]; i ilekroć razy pokazano mi którego z tych kolosów, jakoby iskra elektryczna przebiegała przez żyły moje; wlepiałem wzrok w ich twarze, w ich oczy, w ich poruszenia i figury.

Przyznam się jednak, że pomimo całego uroku sławy, jaka ich poprzedzała, dalecy byli od sprawienia na mnie tak silnego wrażenia, jakiego w młodości mojej doznałem na widok senatu akademickiego w Wilnie, na którym zasiadali uczeni nasi, choć żaden z nowych odkryć i wynalazków nie był znany, nasi Śniadeccy[39], Niemczewski[40], Bojanus[41], przybrani w pąsowe togi aksamitne, złotem haftowane mucety[42] i w birety. Z jakąż cichością i uszanowaniem patrzyła na nich publiczność, młodzież, nawet dzieci!

Możeż być co niestosowniejszego do charakteru akademików francuskich, jak ich ubiór kusy, oficerski, mundury zielonym jedwabiem haftowane, kapelusze policjanckie, krzyżyki i szpadki etc. Dziwna to mania naszego wieku wszystko na żołnierski kopyt [!] szyć: wszystko pod mi-

---

[32] „Tu leży matka trzech Dupins".

[33] Louis Joseph Gay-Lussac (1778—1850), prof. fizyki i chemii, odkrywca, wydawał z D. Arago „Annales de Chimie et de Physique".

[34] Dominique François Jean Arago (1786—1853), fizyk, matematyk i astronom, członek Akademii Nauk, dyrektor Obserwatorium, po roku 1830 poseł, gorący republikanin.

[35] Jean Baptiste Biot (1774—1862), prof. fizyki w Collège de France, wspólnie z Gay-Lussakiem odbył pierwszą podróż naukową balonem.

[36] Siméon Denis Poisson (1781—1840), matematyk, profesor mechaniki teoretycznej w Sorbonie.

[37] Saint-Hilaire Etienne Geoffroy (1772—1844), przyrodnik, prof. zoologii w Ogrodzie Botanicznym, autor wielu rozpraw, niektóre dzieła opracował wspólnie z Cuvierem.

[38] André Marie Ampère (1775—1836), fizyk i matematyk, prof. analizy i mechaniki w École Politechnique w Paryżu, później w Collège de France. Ogłosił wiele prac, najważniejsze odnoszą się do zjawisk magnetycznych i elektrycznych.

[39] Jan Śniadecki (1756—1830), prof. matematyki i astronomii. Jędrzej Śniadecki (1768—1838), prof. chemii.

[40] Zachariasz Niemczewski (1766—1820), prof. matematyki.

[41] Ludwik Henryk Bojanus (1776—1827), prof. weterynarii.

[42] mucet (śrł.) — mała czapeczka bez daszka.

litarną barwą ukrywać. Trzeba było w istocie wielkiej, o dużych i wydatnych rysach twarzy p. Arago, rozumnej i dziwnie poważnej pana Biot, żeby tą niestosowność nie była śmieszną i uderzającą; Gay-Lussac w swoim mundurze już wyglądał na człowieka bardzo pospolitego; Thénard[43] na jakiegoś kamerhera[44], a skrzywiony, złego humoru Ampère śmieszność obudzał.

Rozczarowany jednak bardziej byłem, kiedy pp. Jouy[45] i Viennet[46] zasiedli prezydenckie krzesła i zwrócili oczy ku panu Dupin, głównemu przedmiotowi uroczystości. Jouy, od dawnego czasu zapomniany prawie, dziś nieznany na literackim świecie; Viennet, mierny poeta, wystawiany pospolicie w karykaturach z oślimi uszami (z okazji jakiejś jego miernej bajki o mułach), a najmierniejszy z wejrzenia, suchej, zimnej, niepocieszenj twarzy był Dupin. Ci trzej zwracali na siebie główną uwagę publiczności Akademii, a skoro p. Jouy wyrzekł: „Monsieur!"[47] powstały śmiechy i przygryzki na galeriach: młodzież powtarzała po cichu „monsieur, monsieur" etc.

Sprawiały mianowicie śmieszność niektóre ustępy z perory pana Jouy, które oklaskami były przyjęte na dole, a drwinkami po galeriach, zwłaszcza kiedy pan Jouy w napuszonych słowach wysilał się na pochlebstwa dla Dupina i króla i zacytował, że nowy akademik napisał był dla młodych książąt prawidła improwizacji, z których, powiadał, „książę Orleanu szczęśliwie korzystał w ostatniej swojej podróży po Francji"[48].

Poważniejszą daleko i mniej próżną była replika p. Dupin, mająca na celu żywot i zawód uczony Cuviera[49], na którego miejsce był wybranym. P. Dupin, jak wiadomo, nie był naturalistą, badaczem natury, tylko dworakiem i rzecznikiem, i nędznie wyglądały w tej pochwale Cuviera pochlebstwa dla króla i rodziny królewskiej, jakich nie szczędził ten badacz, procureur du roi[50], a które oburzały liberalną publiczność na górze, i do sykania, ledwo nie do gwizdania przyszło.

---

[43] Louis Jacques Thénard (1774—1857), prof. chemii, odkrywca, członek l'Académie des Sciences, w roku 1833 par Francji.

[44] Urzędnika dworskiego.

[45] Victor Joseph Etienne Jouy (1764—1846), pisarz francuski występujący przeciw Bourbonom, autor tekstów operowych, tragedii, komedii, wodewilów itp., członek l'Académie des Sciences. W autogr.: Joui.

[46] Jean Pons Guillaume Viennet (1777—1868), polityk i literat franc., od r. 1830 członek l'Académie des Sciences.

[47] „Panie!"

[48] Książę Orleański zginął w wypadku drogowym w roku 1842.

[49] George Cuvier (1769—1832), wybitny zoolog i paleontolog, twórca anatomii porównawczej, odznaczony przez Napoleona, Ludwika XVIII i Ludwika Filipa, par Francji za Ludwika Filipa, dozgonny sekretarz Akademii Nauk.

[50] procureur du roi (fr.) — pełnomocnik króla.

Jednego dnia poszedłem na przedmieście Św. Antoniego aż do bariery. Wielce się zawiedzie, kto z nabitą głową rewolucyjnym szałem pójdzie dziś do tego steku gminnych instynktów i namiętności szukać dziś żywiołu do przyszłej rewolucji; z powierzchowności przynajmniej na pierwsze wejrzenie rzekłbyś, że tu lud jak mleko. Tam gdzie była Bastylia, cicho, spokojnie, jeszcze nierówno ziemia zasypana; pośrodku stoi ogromny słoń, jak straszydło jakie; nie wiadomo, na jaki cel i co ono ma wspólnego z Bastylią. Powiadał mi jakiś próżniak, co zagapiony patrzył na owego żwierza, że miał on z trąby wyrzucać wodę na miasto i tworzyć olbrzymią fontannę. „C'est énorme, c'est magnifique"[51] — powtarzał. Trąba jednak była sucha; dokoła brudy, płoty jakieś i rusztowania. Filip Orleański zamyśla już na tym miejscu zbudować wielki pomnik dla swojej rewolucji, która go królem zrobiła. Któż wie, czy na długo?

Miło spojrzeć, jak ten lud, co za lada cacką liberalną [!] poburza się i szaleje i gotów tańczyć karmaniolę[52] po trupach, pracuje tu spokojnie w dzień powszedni, kiedy ma co zarobić, i pracuje z inteligencją, nie jak prosty parobek. Ogromne magazyny towarów i wielkie warsztaty napełniają dziś całą tę ulicę, sławną z rewolucyjnych wstrząśnień, jako też ulicę Św. Antoniego, przedmieścia i bulwary Św. Marcina, i ciasne, kręte uliczki, które się do nich schodzą. Lud w ogólności zgrabnej postawy, zwinny, nieźle ubrany; nie widać żebraków; gdzieniegdzie czerwona frygijska czapka[53], błękitna bluza przebija w ruchawym pospólstwie, a nad wieczór wśród krzykaczy usłyszysz sztrofy z *Marseillaisy* »Ça ira! ça ira!«[54]

Nie radzę jednak nikomu wejść do domów na piąte czy na szóste piętro, na poddasza, mansardy. Tam swąd, duma i nędza, brud i zepsucie panują; kobiety mianowicie i dzieci godne są politowania. Wszędzie znajdziesz szynki, kawiarnie, czytelnie gazet odymione; poczerniałe izby, z głębi których wyzierają oczy głodnych, bez zarobku rzemieślników.

Utworzone już były w tym czasie publiczne lekcje historii rewolucji francuskiej, na których starano się odżywić pamiątkę tryumfów gminu i jego okrutnego panowania. Nowe towarzystwo des Droits de l'Homme[55] ogłosiło sławne listy do proletariuszów, w których wmawiano pospólstwu,

---

[51] „To olbrzymie, to wspaniałe".

[52] karmaniola — taniec rewolucyjny, nazwa pochodzi od twierdzy Carmagnole we Włoszech północnych.

[53] Czapka noszona w czasie wielkiej rewolucji francuskiej jako symbol wolności; urzędowo zatwierdzone nakrycie głowy jakobinów.

[54] »Ca ira! ca ira!« (»Powiedzie się! powiedzie się!«), pieśń rewolucji francuskiej. Autorem tekstu jest de Ladré (albo de Poirier), melodii — de Bécourt.

[55] La Société des Droits de l'Homme, Stowarzyszenie Praw Człowieka, tajna organizacja republikańska, pozostająca pod wpływem wolnomularstwa.

że czas przyszedł wybić się z despotyzmu bogatych: „Ich bogactwo i co mają, do was należy; wy jesteście lud silny, wszechwładny, dosyć jest chcieć, żeby wziąć [b] vive la République!”[56]

Ale któż zdoła zajrzeć do dna tego społeczeństwa, tego na pozór spokojnego i wesołego ludu; jest to strumień, który dopóki w swoim korycie sączy się powoli, czysty jest, łagodny, lecz gdy go co zamąci lub wstrzyma zaporą, wre, pieni się, bieży po rozpadlinach, obrywa brzegi i niszczy spokojne siedziby.

Jest jednak czym się zabawić, kiedy nie wchodząc w przeszłość ni przyszłość, zatrzymamy się na ulicy jak przed obrazem jakim malowanym. Co za ruch, co za rozmaitość scen; jakaż gra dowcipów i słabości ludzkich, charakterów i ich namiętności, egoizmu, ciekawości, roztargnienia i pustych żartów; a razem przemysłu i pracowitości.

Wśrzód owego mrowiska i nieustannego przesuwania się figur w dwóch przeciwnych kierunkach zatrzymuje się jeden, dwóch, trzech, patrzą ciekawie w jedną stronę na dach czy na wieżę jaką, z ciekawością, nie wiedzieć dlaczego; kupi się do nich gawiedź, przybliża się żandarm, policjant; powoli pytają jeden drugiego, co za przyczyna, co za przedmiot ciekawości? Bywa, że lada bagatela lub nic nowego nie zatrzymało było pierwszych, za pozwoleniem czytelnika, gawronów; poczynają się żarty, przycinki, filuterie i rozchodzą się.

Lada kupiec, fabrykant, przekupnik wystawia w oknie rysunki, karykatury, żeby choć na moment zwabić, zatrzymać choć trzech na sto przechodzących, a nuż z nich jeden nie pokusi się na kupienie jakiej choć niepotrzebnej rzeczy. Zdarzyło się, że przechodząc obaczyłem na Pont Royal[57] jakiego by czarnoksiężnika, który miał przy sobie na słońcu napuszoną sowę, a przy niej żywego węża, którym wykręcał w ręku i gadał do nich, jak gdyby w nich badał coś ważnego: zatrzymują się przy nim ciekawsi, przypatrują się nie tylko z gminu ludzie, ale też eleganci, literaci, ustrojone panie; bo jakże nie wiedzieć, co to znaczy. Gdy się zebrało dosyć gawiedzi, obraca się do niej ów kuglarz i peroruje o tajemnicach natury, o obowiązkach dzieci ku rodzicom etc.; i kiedy coraz bardziej zaostrza ciekawość, czuję, że ktoś z tyłu czy z boku czyści

---

[b] Wyraz w autografie nieczytelny, ok. 7—8-literowy; w druku hiszpańskim tego tomiku pamiętników czytamy w tym miejscu wyraz „de todo”, tzn. wszystko, „para apoderaros de todo”, „żeby zawładnąć (wziąć) wszystko”. Zob. Ignacio Domeyko, *Memorias*, Prens. de la Univ. de Chile 1946, s. 105.

[56] „Niech żyje rzeczpospolita!” Źródła cytatu nie odszukano, ukazanie się takich listów jest całkiem możliwe, zgodnie z ideologią tego stowarzyszenia. Zob. G. Weill, *Histoire du parti républicain en France de 1814 à 1870*, Paris 1900, rozdz. IV, s. 98—142.

[57] Nazwa jednego z mostów na Sekwanie.

i szczotką szoruje surdut mój, naciera go mydłem i wodką, widzę, że w tym momencie były już wyjęte plamy, a ktoś z tyłu ofiaruje mi do kupienia mydło, balsam, maście do wyjmowania plam; spostrzegam, że cała ta komedia ma na celu zatrzymać choć na chwilę falę pospólstwa i przedawać mydło; któż w istocie odchodząc nie zaśmieje się i nie kupi z ochotą za dziesięć sous[58] rzeczy użytecznej.

Tam opodal spostrzegasz stojącego na eleganckim cabriolet[59], wysokim i błyszczącym, jakiegoś niby generała z rozczochranymi, ogromnymi włosami, machającego rękami, jakby zachęcał do buntu. Dwóch czerwonych huzarów stoi przy nim, jeden bębni, drugi trąbi, a dwaj na dole przygrywają na skrzypcach; ciśnie się lud, obstępują pojazd i ledwo się zgromadziła ciżba, tak że trudno było przystąpić do wozu, ucichła muzyka, a górujący nad wszystkimi herszt poczyna dość wymownie opowiadać batalie, wyprawy Napoleona i jednym razem ucichłszy, pozwala sobie targać za czuprynę, dla pokazania, że odkrył, wynalazł sekret nieoszacowany dla ludzkości, dla postępu — pogromcę starości, zbawiciela głowy; a w końcu wyjmuje na przedaż maść do zachowania włosów jako najskuteczniejszą dla młodych i dla starych, zaręczając, że odtąd nie będzie łysych na świecie. Poznają, że to kupiec, co przedaje maście na włosy: jedni się śmieją, nie wierzą, a drudzy kupują.

Nie wolno tu żebrować; za to mnóstwo artystów po tych ulicach i bulwarach stara się bawić przechodzących pod rozmaitymi pretekstami, aby wyłudzić jałmużnę nie w imię miłości chrześcijańskiej, ale zręcznością lub natrętnością. Tu starzec jakiś, zapewne ślepy, piszczy na klarynecie, a prowadzi go uwiązany na sznurku pudel; dalej nieco dzwonią, skaczą i gwiżdżą na turlecikach małe chłopcy, zapewne sieroty; wywracają kulki, przedrzeźniają uboższych, a biedna kobieta, stara ich towarzyszka, zbiera dla nich jałmużnę i choć kto nie da, to dziękuje.

Po szerokim przedmieściu Św. Antoniego, po obu stronach ulicy cisnęła się gawiedź i przeciągała jak dwa prądy za dwiema podstarzałymi krzykaczkami. Jednym trotuarem szła baba z gazetami, wołając: „le bon sens, le bon sens, à un sous!”[60] Krzykliwa, jakiej ani na jarmarkach i targach naszych nie usłyszysz, przedawała dziennik umiarkowany filipowski, konstytucyjny niby[61]; z przeciwnego chodnika podbiegała do niej i starała się ją przekrzyczeć kulawa, ale barczysta przekupka, czerwona, jaskrawych oczu, w ogromnym czepku, a przedawała „P i l o r i”, dziennik republikański. Na pierwszym numerze tego dziennika był p. Pas-

[58] sous — miedziana moneta francuska, równająca się 5 centimom (1/20 franka).
[59] cabriolet (fr.) — jednokonny powozik.
[60] „Rozumu, rozumu za grosz”.
[61] Zapewne „Le Courrier Français”, organ partii liberałów.

quier[62], prezes parów pod rusztowaniem. Trudno było zdecydować, która z dwóch głośniej i przeraźliwiej wrzeszczała; kupowano u jednej i u drugiej; ale po chwili przyszło do przegryzków między nimi. Chłopcy ich podżegali, szczuli, jedna harangowała[63] w imię porządku i postępu, druga w imię wolności i praw ludu. Zatrzymuje się zgraja, kupi się lud i już przychodziło do czubów, kiedy się pokazali żandarmy.

Ale któż opisze to wszystko, co przybywającemu do Paryża w pierwszych dniach jego przechadzek po ulicach wpadnie w oko. Nie byłożby to stratą czasu pisać o tym i nizać w jeden sznurek szczegóły, które chociażby najliczniejsze i najtrafniej schwycone, nie dadzą nic nowego do odkrycia, do pokazania, prócz obrazu człowieka, który choć we wszystkich częściach świata jest ten sam, tu zdaje się być wolniejszym do wynurzenia, kim jest we wszystkich swoich słabościach i głupotach.

Są niektóre charakterystyczne rysy, które na ulicach paryskich malują Francuza, a tymi są: żywość i lekkość, chociaż w pracowitości, inteligencji i przemyśle nie ustępują Niemcom ni Anglikom. Wielka też na pozór ukazuje się w nich niepodległość charakteru; każdy zdaje się jakby o nikogo nie dbał, a tylko o sobie myślał; pomimo to porządek i uległość panują, jeżeli i dopóki kto nad ludem panować umie i ma siłę. Płochość też wrodzoną być się zdaje; ledwo błyskotka, koncept, brzękanie, huk, to się unoszą, zachwycają; „c'est beau, c'est charmant, c'est magnifique!"[64] — choć na krótko, na chwilę, póki coś wyższego ich nie zajmie. W porównaniu z Niemcami, ci zdają się być stworzeni do namyślania się, lud zaś francuski, paryski, do ruchu, do praktycznej próby. Wrażliwsi są od Niemców na wszystko, co piękne, szlachetne; zapalają się, choć przemijająco, i wracają do swego; długo na nich gniewać się nie można, choć obrażą, a łatwiej przyjść do porozumienia się niż z Niemcem; zarówno skorzy do tańca, jak do bagnetu, nie lękają się wojny, a lubią zabawy, fajerwerki, sztuki konne, ewolucje żołnierskie, teatra. Sam król stara się dziś bawić lud swój, żeby go odwieść od poburzeń. Dodać też winienem, że bojaźń śmieszności powstrzymuje ich częstokroć w karbach roztropności surowiej niż innego szczepu ludzi. Śmieszność dla nich w sprzeczności jest ze zdrowym rozsądkiem, z dobrym gustem, a gust i „le bon sens"[65] wielką władzę mają nad paryżanami, niezależnie od uczciwości; słowa: h o n o r, d o b r e i m i ę, wywierają despotyczną siłę nawet na pospólstwo i gmin tutejszy; nie widać tu pijanych, częstych

---

[62] Etienne Denis Pasquier (1767—1862), francuski mąż stanu, przez cały czas panowania Ludwika Filipa prezes Izby Parów.

[63] harangowała — przemawiała.

[64] „To piękne, to urocze, to wspaniałe!"

[65] „Zdrowy rozsądek".

zwad, bitew, ani też uścisków na ulicy. Jednym konceptem, co mówię, spojrzeniem nieco szyderczym od przechodzących wytrzeźwia się podchmielony sankiulota[66] i tłoczy po cichu do domu lub spokojnie daje się wieść do kozy. Daleki jednak jestem od sądzenia o Francuzach z pierwszych powierzchownych objawów, jakie wpadały mi w oko.

Od pierwszych dni mojego przybycia do Paryża czułem potrzebę uczenia się ich charakteru pod względem religijnych i socjalnych dążeń. Stąd przede wszystkim zwróciły moją uwagę kościoły paryskie. Tu zaraz od pierwszej niedzieli pobytu mego w stolicy począłem spostrzegać się, że nader mylne były wyobrażenia moje, powzięte z uniwersyteckich moich czasów, o Paryżu i że brałem świat pisany za świat rzeczywisty, pstre malowidła, w jakich prędzej od innych po świecie rozbiegające się książki i gazety francuskie przedstawiają z daleka naród tak gadatliwy, jak Francja, za istotę jego duszy i charakteru.

Pierwsze wrażenie, jakie sprawia na Polakach kościół paryski, nie jest przyjemne. Nazwyczajeni do naszych ławek, do uszykowania się tam ludzi według stanu i klas, a odosobnienia uboższego ludu; do śpiewania pieśni naszych w narodowym języku po parafialnych kościołach, do spokojniejszego, a mniej wystawnego obrządku i do naszych suplikacji niedzielnych, i księży naszych pospolicie mających więcej prostoty w obejściu się, niedbałych o powierzchowność, uderza nas ów zwyczaj francuski kupowania krzeseł, szwendania się po kościele kobiet, wybierających sous, już to za jedno, już za dwa krzesła od każdego, i to według uroczystości; uderza nas nadęty, wyprostowany szwajcar przechadzający się po kościele z laską, ubrany światowo, i uderza często powtarzana kwesta, którą wśrzód mszy, w obawie, żeby się nie rozeszła publiczność, wybiera wystrojona pani w towarzystwie jakiego kawalera; wydaje się też nam z początku zanadto ceremonialnym, jakby teatralnym, obrządek na większych uroczystościach, sztuczne wyrzucanie w górę kadzielnicą, śpiew gregoriański, do którego nie jesteśmy nazwyczajeni, dęte instrumenta, do których trzeba nawyknąć, jako też gesta i rzucania się na kazalnicy zbyteczne niektórych kaznodziejów.

Ale to wszystko z pozoru, na pierwsze wejrzenie jakoby niestosowne, daje się prędko wytłumaczyć, okazuje się poważnym i tak się prędko nawyka, że trzeciej czy czwartej niedzieli już ciągnie do tego kościoła serce polskiego katolika jak do ojczystego i w nim się rozkoszuje, jak gdyby żyło w Polsce.

Co tu jest dobrego, lepiej niż u nas, to że kto tu chodzi do kościoła,

---

[66] sankiulota (z franc. sans-culotte, dosł.: bez krótkich spodni) — początkowo pogardliwa nazwa z czasów pierwszej rewolucji francuskiej dla proletariatu (noszącego wówczas dla odróżnienia się długie spodnie), później przyjęli ją dla siebie rewolucjoniści.

to nie z ciekawości, z nałogu, przymusu czy hipokryzji, tylko z wewnętrznego pociągu. Nie widać tu paniczów ani pań elegancko ubranych, idących do kościoła, by świecić strojami i w pierwszej ławce zasiąść; ni lokajów niosących za nimi książki do nabożeństwa. Nie widać ubogiego chłopstwa i grubej siermięgi.

Odarty z dawnych bogactw i stałych dochodów, kościół utrzymuje się dziś z dobrowolnych osobistych ofiar, nie zaś ze stałej renty i z podatku; nie wystarcza na to szczupły budżet wotowany przez Izby. Stąd też może większej usilności i nieustannej pracy dokładają proboszcze, żeby ich nie opuścili parafianie. Nie uniewinniam rządów, które zagrabiły własność kościelną i ukróciły niepodległość księdza, bo ten uczynek nowego cezaryzmu jest niegodziwy i raczej za karę i na poprawienie złego niż na usprawiedliwienie tegoczesnych rządów Bóg dopuścił.

Sądząc bez uprzedzenia o duchowieństwie i kościele we Francji, przyznać muszę, że tu powaga, porządek i świetność obrządków kościelnych służyć powinny do przykładu dla naszego duchowieństwa; kościół we Francji wyrzekł się już dziś wolności gallikańskich[67] i przyjął rytuał rzymski, a w pognębieniu, w jakim zostaje od liberalnych, bezwyznaniowych rządów, ksiądz paryski musi dziś mieć na pieczy bardziej niż kiedykolwiek dobro ludu i oświeceńszej klasy; oprócz duchownej gorliwości i kościelnych nauk musi posiadać światową naukę, być uczonym, wymownym, literatem nawet i używać światowej nawet broni do rozbrojenia przeciwników. Na to wielkie są tu szkoły duchowne; seminarium Św. Sulpicjusza wydało znamienitych kaznodziei, którzy się stali chlubą i ozdobą katolicyzmu. Obrządek święty w kościele Św. Sulpicjusza jest w istocie porywający dla tych nawet, co tylko ze zwyczaju i nałogu przyjdą na nabożeństwo.

Zwróćmy tylko uwagę na nacisk ludu, który napełnia kościoły paryskie w dni świąteczne od 5 z rana i wieczorami, nocą, do późnej godziny: na uroczystości familijne, ponawiające się przy pierwszej komunii dzieci; na pobożność przy grobie św. Genowefy, na spowiedzi i posty, których nie zaniedbuje w Paryżu żaden dobry katolik, a przekonamy się, ile to mieliby do nauczenia się nasi liberaliści, którym się zdaje, że wszyscy Francuzi są jak nasze modne guwernery czy guwernantki, co przyjeżdżają z Paryża, autorowie romansów, gazeciarze i studenci!

Pierwej jednak nim czas i przedłużony mój pobyt we Francji pozwolą mi zgłębić pod tym względem stan Francji i jej stolicy, postanowiłem rzucić okiem na nowatorów paryskich, na reformatorów, którzy tu, jak wszędzie, nie wszyscy są bezsumienni, nie wszyscy zupełnie nieświadomi prawa i nauki Kościoła; niejeden z nich szuka prawdy, choć na

---

[67] Uniezależnienia od władzy papieskiej.

zmylonej drodze i nie w pokorze, nie usilnie, i skoro mu się uda uchwycić dorywczo za jaką cząsteczkę, za ułamek prawdy, sądzi, że już ją w zupełności posiada, powstaje na to, czego nie zna i nie rozumie, staje się przeciwnikiem surowym, nieprzyjacielem tych, co nie odstąpili od wiary lub jej z duszy szukają.

Był natenczas sławny z nowości swojej na przedmieściu Św. Marcina tak nazwany kościół francuski, który to kościół ludzie postępu mieli zamiar urządzić według nowego planu reformatorów rewolucji lipcowej. Czas zdawał się być wyborny do tego; król i nowe izby pozwalali nie bez przyczyny na próbowanie reform.

Poszedłem tedy w niedzielę po mszy do tego francuskiego kościoła na przedmieście Św. Marcina o 10 rano i niełatwo bym go znalazł, gdyby nie afisze na ulicy, zapowiadające wielki fest tego dnia w owym kościele. W istocie niemało ludzi szło do jednego domu, na którym zamiast krzyża i wieżyc był po prostu napis: „tu kościół francuski". Na dziedzińcu tego domu była duża, naprędce zbudowana jakoby szopa, a u wejścia do niej mnóstwo afiszów, doniesienia księgarskie, programy muzyk, kościelnych obrzędów, mszy, kazań nowych i katechizmów; były i plakaty oznajmujące „professions de foi, sermons contre les anathèmes"[68] etc. Na dużym arkuszu na drzwiach były wypisane następujące powody, skłaniające założyciela tego kościoła, p. Châtel[69], do reformy, jako to: bezinteresowność, miłość bliźniego i wszystkie łaski kościelne tanie, za darmo; „église à bon marché"[70], msza po francusku etc. Krzykacze uliczni podchodzili aż do drzwi, przedając pamfleta liberalne, pomady, allumettes[71] etc.

Wewnątrz ściany pobielane, cała szopa krzesłami zastawiona, ołtarz jak w formie zwyczajnych ołtarzów, nowo pomalowany, ze świecami; po prawej stronie fortepian, po lewej ambona i jakieś wyniesienie dla kogoś starszego. Była jednak sala na trzy przedziały przegrodzona; u wejścia dla biedniejszych krzesła tańsze; w połowie budynku dla klasy śrzedniej, a dalej przy ołtarzu i ambonie places reservées[72], gdzie siedziało wiele wystrojonych dam, które jak w salonie rozmawiały między sobą. Grzeczna jakaś kobieta zaprosiła mnie, abym tuż obok niej na pierwszym miejscu usiadł. Po chwili ukazali się śpiewacy i zapalono świece; potem weszło dwóch posługaczy w komżach i sam l'abbé Châtel, głowa tego

---

[68] „Wyznania wiary, kazania przeciw klątwom".

[69] Ferdinand François Châtel (1795—1857), ksiądz, po rewolucji 1830 r. założył „Eglise catholique française" (kościół katolicki francuski) z językiem francuskim w liturgii, bez spowiedzi i celibatu. Kazał się wyświęcić na biskupa i obwołać prymasem Galii. W roku 1842 policja zamknęła jego kościół, później miał proces o obrazę moralności i wiary, w końcu założył sklep korzenny.

[70] église à bon marché (fr.) — kościół tani.

[71] allumettes (fr.) — zapałki.

[72] places reservées (fr.) — miejsca zarezerwowane.

republikańskiego kościoła. Był ubrany jak biskup, w fioletowej sukni z peleryną zgrabnie wykrojoną, karmazynową materią podszytą, w eleganckich trzewikach, z głową pięknie utrefioną i podniesionymi do góry oczami. Wyszedł na koniec ksiądz w ornacie ze mszą, śpiewacy poczęli śpiewać ułamki z oper włoskich i francuskich; chłopcy posługujący nie klęczeli, ale siedzieli przy ołtarzu; nikt nie miał książki w ręku, a kiedy ksiądz zaintonował »Gloria!« po francusku, poczęły damy i mężczyźni szeptać między sobą: „Ah! que c'est beau! c'est charmant — à la bonheur on comprend, ce que dit le prêtre, c'est en français"[73]. Pomimo tego, że ksiądz czytał bardzo dobitnie mszę i czytał po francusku, żeby wszyscy rozumieli, imość, co siedziała przy mnie, nie była kontenta i rzekła do siedzącego obok Francuza: „Que le... m'emporte si j'y comprends un mot". „Ayez patience, ayez patience"[74] — odpowiedział Francuz, który nadstawiał ucha i zdawał się być au courant de la messe[75].

Ledwo przyszło do »Sanctus«, grzeczna kobieta, która mię była zaprosiła na wyższe miejsca, przyszła wybierać zapłatę za krzesła; od nas wymagała trzy sous od osoby, od tych, co siedzieli za nami, dwa sous, a od siedzących przy drzwiach po jednym sous. Po mszy wyszedł młody kaznodzieja i przeżegnał go ze swojego miejsca l'abbé Châtel. Kazanie było niedługie przeciw klątwom, a jednak skończyło się na miotaniu przeklęctw na katolickich księży i całą hierarchię kościelną. Gdy skończył i zstąpił z ambony, wszedł na nią sam biskup, który się mianował metropolitą, p. Châtel, z dziwnie teatralną figurą; w prawej ręce miał „Constitutionnela", w lewej „Messagera"[76]. Pięknie się ukłonił, podniósł oczy do góry, znowu spuścił i patetycznym, wymownym głosem mniej więcej w te słowa przemówił: „Bracia moi — rzekł — potrzeba, abyśmy się lepiej z sobą poznali; potrzeba, abyście z gruntu poznali waszego pasterza, i dlatego przynoszę wam numer wczorajszego »Messagera«, w którym jest biografia moja"; i począł czytać artykuł: Mr. l'abbé Châtel urodził się za czasów restauracji, był tym a tym, cierpiał prześladowania, wziął czynny udział w lipcowej rewolucji, a teraz nowy kościół założył, wolny od wszelkich nadużyć i błędów, kościół „primitif" etc. Po przeczytaniu artykułu dodał, że przedniejsi dziennikarze paryscy oświadczyli mu, iż czwartą część kolumn mają na jego rozkazy i nimi do woli rozrządzić może. Potem przeszedł do poważniejszej materii, rozwodząc się nad potrzebą religii i miłości bliźniego, a postrzegłszy między

[73] „Ach! jakie to piękne! jakie urocze — na szczęście rozumiemy, co mówi ksiądz, bo mówi po francusku".

[74] „Obchodziłoby mnie to, gdybym rozumiała choćby jedno słowo". „Proszę mieć cierpliwość, proszę mieć cierpliwość".

[75] być au courant de la messe — dokładnie znać mszę.

[76] „Le Constitutionnel", „Messager", dzienniki paryskie.

publicznością kilku Polaków, zwrócił mowę ku nam, dając nas za przykład „cette héroique Pologne!"[77], co dokazali cudów waleczności i nie upadają na sercu dlatego, że mają religię w poszanowaniu i nikt u nich nie jest bez religii. Ten ostatni ustęp i zręczne do niego przejście podobały się publiczności i przyszłoby zapewne do oklasków, gdyby natychmast, bez oddechu, nie począł czytać ślubów i zapowiedzi. Długa była lista małżeństw z wymienieniem profesji państwa młodych; byli to chifoniery[78], ouvriery[79], szewcy, femmes de chambres[80], garçons de boutiques[81], kilku literatów i prostych citoyens[82].

Pytałem u mojej sąsiadki, która z rozmowy, jaką miała z siedzącym za nią studentem, zakrawała na literatkę i autorkę romansów, co za przyczyna, że tu więcej ślubów niż w jakim nie bądź parafialnym kościele.' „Que voulez vous[83], tu śluby bardzo tanie i l'abbé Châtel nie wymaga żadnych formalności ni dyspens, rzeczy tak nudnych, że biedny lud nie może im się poddać. Du reste[84] — dodała — jest to interes dobrze zrozumiany, albowiem o ile ks. Châtel stracił na zniżeniu ceny za śluby, to we dwoje zyskał na liczbie małżeństw i wiele małżeństw, które dotąd bez ślubów żyły, a cierpiały szkrupuły niepotrzebne, to teraz nie mają czego lękać się. Ksiądz Châtel żeni wszystkich". „Jeżeli to nie pomoże" — przerwał młody Francuz za krzesłem — „to nie zaszkodzi — dodała literatka — car avant tout le bon sens et la religion"[85].

Powiodło się tak dobrze na interesach panu Châtel, że we trzy miesiące już miał o czym założyć kościół na ulicy St. Honoré. Ale na ten raz antrepryza[86] wzięła charakter bardziej przemysłowy; utworzyła się kompania par action[87]: urządzono mszy i święta stosownie do gustu i upodobania osób, które na nie uczęszczały; na przykład uroczystość na cześć Moliera; i podwyższano, i zniżano cenę krzeseł stosownie do okoliczności i ceny akcji. Jednego dnia, będąc [!] u pewnej damy francuskiej, wszedł też do niej z wizytą jakiś Francuz podstarzały, grzeczny, ale nieco ponury. Dama zapytała go: „Comment vont les affaires?"[88]

---

[77] „Tę bohaterską Polskę!"
[78] chiffoniery (fr. chiffoniers) — gałganiarze.
[79] ouvriery (fr. ouvriers) — robotnicy.
[80] femmes de chambres (fr.) — pokojowe.
[81] garçons de boutiques (fr.) — subiekci.
[82] citoyens (fr.) — obywatele.
[83] „Czego chcecie".
[84] „Zresztą".
[85] „Przede wszystkim zdrowy rozsądek i religia".
[86] antrepryza — przedsiębiorstwo, przedsięwzięcie.
[87] kompania par action — towarzystwo akcyjne.
[88] „Jak idą sprawy?"

„Mal — très mal, les actions baissent"[89], i bardzo się zasmuciła imość. Dowiedziałem się potem, że straciła znaczną część funduszu swego na tej antrepryzie, która według niej miała cel filantropiczny: „Mettre en rapport la religion avec l'industrie, réconciliation des intêrets matériels et religieux etc."[90]

Krótszy był byt kościoła konstytucyjnego tuż przy Sorbonie, na placu Sorbońskim, pod opieką księdza Roch[91], który, jak powiadano, chciał „réconcilier la religion avec la politique"[92]. Pierwszej i drugiej niedzieli była msza po francusku, kazanie liberalne, chóry z wodewilu. Trzeciej niedzieli dano brawo na »Dominus vobiscum« i hura! na »Agnus Dei«; przy kazaniu weszli niektórzy parafianie w rozprawę z kaznodzieją i na mocy „de la liberté de discussion"[93] przekrzyczeli księdza; czwartej czy piątej niedzieli poczęto rzucać jabłkami, kartoflami, weszła policja i rozpędziła kościół.

Tegoż samego dnia, com widział obrządek kościelny księdza Châtel, poszedłem wieczorem na wodewil dla widzenia sławnej natenczas sztuki: *Auberge des Adrets*[94], danej na korzyść biednego „K o r s a r z a"[95], dziennika świeżo skazanego na kilka tysięcy franków za potwarze i grubiańskie koncepta.

Kto nigdy nie widział wodewilu w Paryżu, nie zrozumie dobrze paryżanów ni Francuzów.

Nacisk był wielki. Co też za męka Polakowi czekać à la queue[96] z godzinę przynajmniej, żeby wejść na parter za ogonem jakichś ouvrierów, szwaczek, studentów etc. Gdyby to było w kraju, a za młodu, to może bym odepchnął niejednego sankiulota, kucharkę, brukarza. Ale tu czekamy cierpliwie ujęci między dwie ciasne kratki, które oddzielają jednych od drugich, tak że gdyby nawet przyszło do czubów, to tylko z najbliższym sąsiadem można by bić się, bez udziału w tym drugich. Ale też co za przyczyna niecierpliwić się i nudzić się; jedni tymczasem czy-

---

[89] Źle, bardzo źle, akcje zniżkują".

[90] „Skontaktowanie religii z przemysłem, pogodzenie interesów materialnych i religijnych etc."

[91] Roch, dawny ksiądz z diecezji Bourges, nazywał siebie „patriarche de l'Eglise constitutionnelle de France", jego kaplicę zamknęła policja w 1832 r.

[92] „Pogodzić religię z polityką".

[93] „Wolności dyskusji".

[94] *L'Auberge des Adrets* (*Oberża Adretów*), melodramat w trzech aktach, którego autorami są: Antoine Louis Lemaître (1800—1876), Beniamin Antier (1787—1870) i Jean Saint Amand (1797—1885) — wszyscy pisarze dramatyczni, a Lemaître przy tym aktor, który zasłynął w roli Roberta Macaîre'a, bohatera tej sztuki.

[95] „Le Corsaire", dziennik republikański „widowisk, literatur, mód".

[96] à la queue — w ogonku.

tają „T r y b u n ę”[97], drudzy romanse, inni w politycznych i socjalnych dyskusjach powstają na króla, na izby, sieją propagandę etc.

A cóż gdy się otworzy biuro! tu już więcej wolności; wchodzą, wbiegają, depcą po nogach, przez głowy, „pardon monsieur, pardon citoyen”[98]. Siedzieli w lożach Laffitte, Marrast[99], Cavaignac[100] etc. Zaledwo podjęto kurtynę, hałas; wołają: *Marseillaise, Marseillaise!* Muzyka ociąga się, publiczność nalega; wyszturchano policjantów, a nie doczekawszy się orkiestry, cała publiczność poczęła hurmem śpiewać *Marseillaisę,* że uszy bolały.

Było to echo wielkiej rewolucji, przytłumionej, przyduszonej tryumfami Napoleona, błyskotkami sławy, zaborami; ale ta pieśń grała mi w duszy od dzieciństwa. Z najrańszych lat guwerner mój, Francuz, republikanin, przyśpiewywał mi „allons enfants de la patrie”[101] z takim ogniem, że teraz, gdy pierwszy raz to słyszę w Paryżu, mimowolnie śpiewać zacząłem i zdało mi się, że widziałem legiony w marszu spiesznym, porywające za sobą ludzkość całą. A gdy przyszło do „liberté, liberté chérie![102] to już szaleństwu miary nie było.

Na nieszczęście była ta „liberté” na wodewilu. Po chwili wszyscy się uciszyli i poczęła się komedia, farsa, która nie mniej jak *Marseillaise* całe one obywatelstwo zabawiła i zaspokoiła, jak gdyby już od dawna nie było w Tuileriach ni króla, ni królewiczów.

Ależ bo to wodewil, prawdziwie narodowa cacka [!], lekki śpiew, lekki dowcip, skoczność jakaś językowa, śmieszność i ruchawość; a jednak na dnie, na tle bawiącego obrazu jest nieraz coś surowszego, coś bardzo prawdziwego, w czym się przebija duch narodowy; zło i dobro, wady czasowe, a i zalety. Smutno tylko, że w ogólności charakter francuskiego wodewilu, w tej epoce przynajmniej, jest materialny, sceptyczny, naśmiewający się ze wszystkiego i uniewinniający wszystko. Nie masz tu dosyć ani cnoty dosyć czystej, żeby jej wyśmiać nie udało się, ani zbrodni dosyć krwawej, żeby jej nie uniewinniono, a przynajmniej, żeby zrzucając odpowiedzialność za nią na całą społeczność, nie zyskał na przychylności, na sympatii zbrodzień; biada sędziom i strażnikom prawa.

---

[97] „La Tribune”, pismo założone w roku 1829, za czasów Ludwika Filipa bojowy organ republikański.

[98] „Przepraszam pana, przepraszam obywatela”.

[99] Armand Marrast (1801—1852), publicysta i dziennikarz francuski, gorący republikanin, od r. 1831 naczelny redaktor „La Tribune”, później dziennika „Le National”.

[100] Louis Godefroy Cavaignac (1801—1845), polityk, przywódca republikanów, uczestnik rewolucji lipcowej, później założyciel „Société de Droits de l'Homme et du Citoyen” i dziennika „La Réforme”.

[101] „Naprzód, dzieci ojczyzny” (pierwsze słowa *Marsylianki*).

[102] „Wolność. wolność ukochana!” (trzeci wiersz ostatniej zwrotki *Marsylianki*).

Rzecz sztuki owego wieczora była, ile sobie przypomnieć mogę, zręczność dwóch zbrodniarzy zbiegłych z lugduńskiego[103] więzienia: jeden przebiegły, uczony, fanfaron, wymowny i dowcipny, zna wszystkie sprężyny nowożytnego postępu i cywilizacji francuskiej, liberalny, socjalista, gadacz skory do wszelkiej antrepryzy finansowej, handlowej, przemysłowej, gazeciarskiej, nawet filantrop — nie pogardza zabawami i rozkoszami światowymi. Zalotnik i spekulant, progresista, o ile to do wygody i zbogacenia się mu sprzyja, szuka awantur; wysoki, silny, dobrze sformowany, łatwo i biegle szermuje językiem, tak że mógłby być agentem dyplomatycznym, agentem handlowym, redaktorem gazety, a w razie potrzeby sekciarzem. Czynny i zuchwały.

Drugi bohater tejże samej sztuki, towarzysz nieodstępny poprzedniego, jest bojaźliwy, zły, przez niewiadomość i ciemnotę raczej niż przez zepsucie serca; sługa i poddany pierwszego, patrzy mu w oczy i wykonywa wszystko w oczekiwaniu, czy mu się uda obłowić jaką korzyść ze wspólnych oszukaństw. Przystaje na wszystko, upatrując wszakże pory, żeby okraść swojego mistrza: chudy, blady, tchórz, złodziej pospolity.

W tych dwóch rolach Vernet i Lepantre do szaleństwa bawili publiczność, a frenetyczne jej oklaski zdawały się dowodzić, że pod postacią tych dwóch oszustów ukrywała się jakaś głębsza prawda i zło narodowe tej epoki. Rzekłbyś, że Robert Macaîre[c], cywilizowany filut, był typem oszustwa, które we wszystkich strefach paryskiego towarzystwa rozwijało się pod pozorem postępu, demokracji, filantropii i filozoficznych dążeń.

Potężną była w tym czasie karykatura francuska i prawdziwie niebezpiecznym dla rządu i rządowej partii wielki w tym rodzaju artysta Philippon[104]. Na godzinę przed wystawieniem za oknami kramu i księgarni nowych karykatur czekało już pospólstwo i próżniaki uliczne z wielką ciekawością. Ledwo się pokazał rysunek, oklaski, złośliwe komentarze i dowcipne przygryzki rozlegały się i każdy tłumaczył, jak mógł, znaczenie karykatury.

Między utworami najpopularniejszymi nie wiedzieć jakim sposobem wymyśloną została i powtarzała się figura alegoryczna p. Mayeux. Garbaty, ale wyprostowany, niski, karłowaty, ale elegant, jaskrawych oczu i dużej gęby, w kapeluszu z dużą trójkolorową kokardą: owoż p. Mayeux, pod którego figurą zdawało się, że chciano szkicować rewolucję

---

[c] W autogr.: Robert Mackert.

[103] Tj. lyońskiego.

[104] Charles Philippon (1800—1862), karykaturzysta i dziennikarz, wydawca tygodnika satyrycznego „La Caricature", „Le Charivari" i innych dzienników humorystycznych.

lipcową[105]. On to ubrany jak gwardiak narodowy wymawia panu Lafayette, że oszukał Francję, rekomendując jej na króla Ludwika Filipa; on też w figurze krawca bierze miarę na surdut Filipowi i ubolewa nad tym, „qu'il n'est pas grand"[106] etc.

Siedział już w więzieniu za swoje karykatury p. Philippon. Pozwany przez sąd przysięgłych o to, [że] rysując króla wystawiał go na śmieszność i ohydę narodu, dowodził, że nigdy nie rysował króla, a jeżeli kiedy na karykaturze ukazała się jaka twarz podobna do królewskiej, to był przypadek i od niechcenia, jednym rzutem ołówka może rysownik sprawić to podobieństwo. Na dowód tego wyjął ołówek z kieszeni i szmat papieru, a jednym pociągiem odrysował gruszkę i pokazał rysunek sędziom. „Widzicie tę gruszkę? — rzekł — nikt nie może zaprzeczyć, że to gruszka". Dodał do niej prędko dwa liście po bokach i jeden u góry i wykrzyknął: „Widzicie, panowie! taż sama gruszka; któż może upatrywać w niej jaką aluzję czy podobieństwo? A jednak był to portret króla, istna figura jego głowy, liście u spodu były faworyty, liść u góry tupetem[107], cała gruszka istny portret Ludwika Filipa; cała publiczność śmiać się poczęła i okrzyczała, że to król.

Od tego dnia wszystkie mury paryskie po rogach, po kątach, po wieżach pokryte były gruszkami malowanymi.

Już wtenczas król zmienił swoje postępowanie; nie wychodził z parasolem i nie dawał „poignées de main"[108] paryżanom, jak to zwykł był czynić na początku panowania. Sebastiani[109] wyrzekł owe słowa pamiętne w izbie poselskiej, kiedy nadeszła wiadomość o wzięciu Warszawy: „L'ordre règne à Varsovie"[110]. Dupin (starszy) wygłosił z trybuny: „chacun chez soi, chacun son droit"[111], a przypisują mu, że powiedział: „chacun pour soi"[112], a sofista

---

[105] Twórcą postaci Mayeux jest Charles Joseph Traviès de Villers (1804—1859), karykaturzysta, jeden z założycieli pism satyrycznych, znany też jako ilustrator dzieł Balzaka.

[106] „Że on nie jest wielki".

[107] tupet — czupryna, peruczka.

[108] „Nie ściskał dłoni paryżanom".

[109] Horace François Sebastiani (1775—1851), minister marynarki od r. 1830, następnie minister spraw zagranicznych, ambasador w Neapolu i Londynie.

[110] „Porządek panuje w Warszawie", wypowiedź Sebastianiego na zebraniu w Izbie Deputowanych w dniu 16 września 1831 w brzmieniu podanym przez niektóre dzienniki paryskie, stenogram z tegoż zebrania notuje nieco odmiennie. Zob. J. Dutkiewicz, *Francja a Polska w 1831 roku*, Łódź 1950, s. 139.

[111] „Każdy u siebie, każdy ma swoje prawo". Słynne to powiedzenie A. Dupina miało miejsce w mowie wygłoszonej przeciw interwencji Francji w sprawie Belgii, na zebraniu Izby Deputowanych w dniu 6 grudnia 1830 r.

[112] „Każdy dla siebie".

Thiers[113], on, który w nic nie wierzył, przybrał z podobnegoż powodu, kiedy chodziło o Polskę, rolę natchnionego i powiedział w jednej ze swoich sztucznych improwizacji w Izbie: „La Pologne est destinée à périre"[114].

Pod taką tedy wróżbą i wśród nieprzyjemnych wrażeń spędziłem pierwsze dni i tygodnie mojego pobytu w Paryżu. Codziennie trzy, cztery, a nieraz sześć i siedem gazet rozmaitego koloru czytałem, szukając weselszych, przyjaźniejszych dla nas nowin.

Żyłem w Paryżu bez pozwolenia policji. Trzeba było w końcu zmienić moje to położenie i zajęcie się. Poszedłem szukać emigrantów; poznałem się ze wszystkimi i za wdaniem się naszej starszyzny otrzymałem od rządu nie tylko permis de séjour[115], ale nawet żołd emigrancki, który z razu wynosił na[!] 60 do 70 franków miesięcznie, a potem zeszedł do połowy.

---

[113] Adolphe Thiers (1797—1877), polityk, dziennikarz i historyk. W r. 1830 współzałożyciel dziennika „Le National", od r. 1832 minister spraw wewnętrznych, potem handlu i robót publ., w r. 1834 ponownie spraw wewnętrznych, następnie dwukrotnie premier rządu (1836, 1840). Do spraw Polski bardzo źle był ustosunkowany. Kierował walką z Komuną Paryską.

[114] „Polska jest przeznaczona na zagładę".

[115] permis de séjour (fr.) — pozwolenie na pobyt.

III. Emigracja i emigranci w Paryżu

Jednym z zajmujących i najbardziej godnych przypomnienia wrażeń z owego czasu było to, jakiegom doznał, kiedym pierwszy raz zameldował się w prefekturze paryskiej jako emigrant. Wprowadzono mię do ogromnej sali, przeznaczonej wyłącznie dla emigrantów, czyli emigracji rozmaitych narodów.

Były dokoła przy ścianach wysokie szafy z napisami: „émigration polonaise", „émigration espagnole", „émigration portugaise", „émigration italienne", „émigrés allemands"[1]. Rzuciwszy okiem na te napisy zdawało się, że tu do Francji cała Europa emigrowała.

Jakoż w tej chwili znajdowała się w Paryżu i pobliskich miastach liczna emigracja hiszpańska, członkowie ostatnich liberalnych kortezów[2] i mnóstwo liberalistów, co potem ufundowali tron Krystyny, jej córki i nową konstytucję[3].

Byli też zebrani w tymże czasie we Francji emigranci portugalscy ze swoim królem Don Pedro, z młodą królową Don[na] Maria da Gloria, Saldanha[4] etc.

Liczniejsi może od tych ostatnich byli emigranci włoscy, między

---

[1] „Emigracja polska", „emigracja hiszpańska", „emigracja portugalska", „emigracja włoska", „wychodźcy niemieccy".

[2] Kortezy (hiszp.), nazwa hiszpańskiego i portugalskiego zgromadzenia stanów narodowych.

[3] Maria Krystyna (1806—1878), żona króla hiszpańskiego Ferdynanda VII, po jego śmierci (1833) regentka Hiszpanii. W walce z Don Karlosem, bratem króla Ferdynanda VII, oparła się na stronnictwie liberałów, nadała krajowi konstytucję, *Estatuto-Real*, co wywołało powstanie, a ona szukała schronienia we Francji. Powróciła do Hiszpanii, gdy córka Izabela doszła do pełnoletności i objęła tron po regencie gen. Esparteso.

[4] Don Pedro d'Alcantara (1798—1834), cesarz brazylijski, i jego córka Maria II da Gloria (1819—1853), królowa Portugalii, pragnęli pozyskać pomoc Francji w walce z Don Miguelem, który (w r. 1826) nieprawnie objął tron portugalski, a popierany był przez państwa wschodnie. W 1834 r. Miguel skapitulował, Maria da Gloria objęła władzę.

którymi znajdowało się wielu uczonych, Libri[5], Matteuci[6] i przemawiano już o Mazzinim[7] i Nowej Italii.

Najliczniejszą jednak ze wszystkich była nasza polska emigracja z prezesem i członkami Narodowego Rządu; cały prawie sejm, izba poselska i senatorowie; generałowie nasi, główny sztab, pułkownicy, oficerowie wszelkich rang, wiele podoficerów i bez rangi powstańców; 5000 wychodźców.

Wszystkie te emigracje znalazły we Francji zasiłek, bezpieczeństwo, spokój, a co największa, nadzieję, że każdej z nich narodowi kiedyś, kiedyś z orężem przyjdzie w pomoc naród francuski.

W tym czasie umocowała na tronie belgijskim nowego króla[8] Francja i gotowała się w pomoc mu do wyprawy antwerpskiej. Ustalona też była za przyczynieniem się Francji niepodległość grecka. A jednak taż sama Francja zaledwo sama przychodziła do siebie po silnym wstrząśnieniu: zadłużona, zagrożona wojną domową od karlistów i od republikanów, zbyt mało liniowego wojska i lepiej wyćwiczonego żołnierza liczyła.

Do owych trzech czy czterech milionów, które taż Francja wydawała na wsparcie tylu emigrantów, dodajmy nieporozumienia, na jakie z tej przyczyny ze wszystkimi państwami europejskimi narażoną była; i nieporządek, którego się mogła lękać z dania przytułku tylu rozbitkom fortuny, tylu zawichrzonym zapaleńcom, malkontentom rozmaitej barwy: rewolucjonistom.

Wielka to istotnie chwała i łaska Boża spływa na Francję z tej hojności i nieustraszonej siły, z jaką bierze pod swoją opiekę wszystkie sprawy niefortunne ludów, jako też z gościnności i bezpieczeństwa, jakie im zapewnia. Nie było może w historii państwa, które by tak szlachetne powołanie miało wobec narodów; i to nie ma schodzić z uwagi, że to państwo, samo będąc katolickim, tym szczególnie narodom dobre serce i przytułek daje, które u siebie wiarę katolicką zachowały.

---

[5] Carruci della Sommalia Gugliemo Brutus Libri (1803—1869), matematyk i bibliograf włoski, prof. w Pizie, w 1830 jako uchodźca przybył do Francji, był profesorem matematyki w Sorbonie, a następnie inspektorem wychowania publicznego i bibliotek państwowych. Oskarżony o kradzież książek z bibliotek (w 1847 r.), uszedł z Francji, a zaocznie został skazany na dziesięć lat więzienia.

[6] Carlo Matteuci (1811—1868), włoski fizyk i działacz polityczny, prof. w Bolonii, potem Rawennie i Pizie. W autogr.: Matteuchi.

[7] Giuseppe Mazzini (1805—1872), włoski bojownik rewolucyjny, skazany zaocznie na karę śmierci za wystąpienie przeciw królowi Karolowi Albertowi, działał na emigracji. W r. 1831 zorganizował rewolucyjne stowarzyszenie Młoda Italia, w 1834 z kół różnych narodowości, jak Młoda Polska, Młode Niemcy i in., nową tajną organizację, tzw. Młodą Europę, w latach późniejszych ciągle był jednym z przywódców walki norodowowyzwoleńczej. W autogr.: Massynim.

[8] Leopolda, księcia sasko-koburskiego.

O jakże niższą i mniej szlachetną ukazuje się dziś samolubna Anglia! Dla dobra samychże emigrantów i własnego bezpieczeństwa wymagał od nas rząd francuski zachowania się spokojnie i poddania się pod pewne reguły policyjne, nie przesadzone żadną niepotrzębną surowością. Co miesiąc obowiązany był każdy z nas stawić się u szefa kwartału[9], gdzie mieszkał, z dwoma osiadłymi Francuzami jako świadkami i odnawiać permis de séjour; ale też co miesiąc płacono nam regularnie żołd, jak gdybyśmy byli w służbie francuskiej. Że zaś nas było wiele i nie wszyscy w jednym momencie mogli odebrać pieniądze, porządkowano nas przy kasie tak, że kto pierwszy przyszedł, pierwszy odebrał. To naszych nieraz niecierpliwiło, gniewało i kiedy płatnik Francuz nieprędko sprawował się, to mu choć w polskim języku wymyślano.

Pamiętam, że stałem dnia jednego przy kasie niedaleko oficera, który się dąsał, że od godziny musiał czekać na żołd (tak nasi nazywali pomoc francuską). Widząc to nasz zacny Gorecki Antoni[10], dawny oficer i poeta, rzekł po cichu do niego: „Uspokój się, bracie, tam na Syberii niejeden z naszych kolegów dłużej może czeka i cierpliwiej na kolej, która nań przypada do odebrania pałek czy przejścia przez strój"[11].

Skoro ubezpieczyłem się, że pozostać mogę w Paryżu, pierwszą moją rzeczą było poznać znamienitszych Polaków, którzy składali emigrację, a dla których od dzieciństwa miałem wielką cześć i szacunek. Wkrótce do tego dało mi sposobność zawiązanie się Towarzystwa Naukowej Pomocy i Towarzystwa Literackiego, do których grona byłem powołany; i to mnie zbliżyło do księcia Adama, do Niemcewicza, Kniaziewicza, Platera Ludwika[12], Niemojowskiego[13], gen[era]ła Dembińskiego etc. W jednymże czasie wszedłem w stosunki z Lelewelem, Dwernickim, Małachowskim, z gen[era]łem Bemem i z twórcami rewolucji listopadowej i naszych powstań.

Mała ta garstka patriotów, świetnych imion i zasług, zdawała się być przeznaczoną przez Opatrzność to spojenia historycznym węzłem starej Polski z młodą, aby się przypatrzyły raz jeszcze sobie na żywo w po-

---

[9] Tj. dzielnicy miasta.

[10] Antoni Gorecki (1787—1861), student Uniwersytetu Wileńskiego, oficer napoleoński, piewca powstania listopadowego, głośny autor bajek politycznych, na emigracji czynny działacz, towiańczyk.

[11] przejście przez strój — krwawa tortura rosyjska, polegająca na pędzeniu ofiary wśród dwu rzędów żołnierzy opatrzonych w pałki czy rózgi.

[12] Ludwik Plater (1774—1846), geograf i zasłużony leśnik, senator, kasztelan, w roku 1831 razem z gen. Kniaziewiczem delegat rządu powstańczego do Paryża, potem czołowy działacz stronnictwa Czartoryskiego.

[13] Bonawentura Niemojowski (1787—1835), polityk, poseł, członek opozycji, tzw. kaliszan. W roku 1831 minister spraw wewnętrznych Rządu Narodowego, potem ostatni jego prezes. W autogr. stale: Niemojewski.

wszechnym tułactwie przed niedaleką śmiercią. Książę Adam był dla nas przedstawicielem panów i senatorów polskich, co rej wodzili na sejmach, z rodzin swoich wybierali królów i byli protektorami szlachty. Niemcewicz był żywym świadkiem i działaczem Sejmu Czteroletniego, kościuszkowskiego powstania i maciejowickiej klęski; dziewięćdziesiątletni Małachowski sięgał wiekiem i duchem konfederacji barskiej; dowódca legionów stawiał nam przed oczy ich czyny, poświęcenie się; był i żywym świadkiem ich pomoru w San Domingo[14] i niewdzięczności Bonapartego. Szczęśliwszy od niego legionista Kniaziewicz przypominał świetność oręża naszego w pierwszych napoleońskich tryumfach, kiedy z Kapitolu niósł zdobyte chorągwie do stolicy dumnej Rzeczypospolitej[15]. Cóż powiem o Dembińskim, Dwernickim, Bemie i tylu innych, których zawód, poczęty w napoleońskich wojnach, odżył tak świetnie na polach Stoczka, Ostrołęki i Grochowa. Niemojowski, Ostrowski[16], Nakwaski i wielu innych posłów z czasów Księstwa, Kongresówki i ostatniego sejmu przypominali imionami swymi zasługi poniesione na polu parlamentarnego życia. A ostatni potomkowie z rodu Paców i Pociejów, jako też liczni przedstawiciele starożytnych naszych rodzin, podzielający z nami tułactwo, potomkowie Sapiehów, Zamojskich, Ogińskich, Potockich, Sołtyków, Małachowskich, Sołtanów, Platerów, Sobańskich i tylu innych nie mniej świetnych rodzin imionami i zasługami swoimi uobecniali nam żyjącą historię narodu; większość emigracji czciła ich i szanowała, lecz obok tych imion, poczynając od Lelewela, był szereg ludzi nowotnym zarażonych duchem, którzy w zawrocie głowy, jeżeli nie serca, mając na względzie błędy tylko nasze, które zgubiły Polskę, potępiać zdawali się całą przeszłość narodową naszą, zapuszczając się w niepewną reformacyjną przyszłość. Tu się szamotały w zapaleńczym ruchu dziwne figury: Mochnackich, Gurowskich, Worcellów, Mierosławskich, Czyńskich i mnóstwa nieznajomych imion, między którymi nazbyt nieprzyjemnie uderzał w oczy ksiądz Pułaski[17], grożący wszystkim l u d e m i s z u b i e n i c ą.

[14] Por. przyp. 10 w rozdz. II (część druga).

[15] Wiosną 1799 roku, po zwycięstwie Kniaziewicza pod Magliano i zdobyciu wraz z gen. Dąbrowskim Gaety, naczelny wódz armii francuskiej, gen. Championnet, wysłał Kniaziewicza do Paryża, aby przekazał Dyrektoriatowi 60 zdobytych chorągwi. Kniaziewicz entujastycznie przyjmowany otrzymał wówczas honorową szpadę z napisem: „Dyrektoriat w nagrodę zasług".

[16] Antoni Jan Ostrowski (1782—1845), mąż stanu, naczelny dowódca warszawskiej gwardii narodowej w powstaniu listopadowym, założyciel osady przemysłowej Tomaszów. Na emigracji wydał kilka prac z dziejów Polski i Polaków.

[17] Kazimierz Aleksander Pułaski (1794—1838), eks-pijar, w czasie powstania czołowy działacz lewicowy i wiceprezes warszawskiego Towarzystwa Patriotycznego, na emigracji członek loży paryskiej, jeden z założycieli Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, członek Zemsty Ludu, później w Londynie współzałożyciel „Gminy" zwalczającej „Ogół" londyński.

Wielu młodych ludzi, najczystszych uczuć i energicznych chęci, mając obecne przed sobą ostatnie wysilenie kraju, jego wielkie zasoby po większej części zmarnowane, kupiło się około tego burzliwego ogniska, a szukało nauki i stosunków u zapaleńców francuskich, nowych demagogów, a nawet u masonów i konspiratorów włoskich i paryskich. Wielu z młodych emigrantów szukało całą duszą zbawienia dla kraju w liberalnym ruchu kosmopolitycznym, a byli i tacy, co okazywali gotowość do wyrzeczenia się całej tradycji polskiej i dobrego imienia naszych najpopularniejszych patriotów, jeżeliby tego potrzeba było do poruszenia mas nowymi, jak nazywali, ideami wolności, równości i mniemanego braterstwa.

Na straż, że tak powiem, narodowości naszej, na pogodzenie sprzecznych żywiołów zdawali się być przeznaczeni najlepsi poeci nasi, znajdujący się prawie wszyscy w emigracji, i nieliczni księża nasi. Z poetów niektórzy, jak Słowacki, a nieco później Gorecki, przerzucili się na demagogię i niedowiarstwo. Ale prawdziwą potęgą polskiego ducha był Mickiewicz; a nie mniej użyteczni i silnego wpływu byli Zaleski Bohdan i Witwicki[18]. Zza emigracji też przywiewał zbawiennie duch wieszczy Krasińskiego.

Owóż co w krótkich wyrazach powiedzieć mogę na oddanie pierwszego zarysu formującej się emigracji, a źródła dyskusji i poróżnień, stronnictw emigracyjnych i rozprężenia.

Pierwej nim wrócę do tego, nakreślę kilka szkiców z tego społeczeństwa.

Książę Adam Czartoryski miał już natenczas 60 z górą lat; przyjemny, bardzo szlachetnej twarzy, choć brakowało mu owego typu polskiego naszych polskich magnatów, owej dobroduszności przy pierwszym spotkaniu, wesołości niewymuszonej i ognia, jak nam malują jego ojca, byłego generała wojsk podolskich. Książę Adam miał raczej fizjonomię nieco cudzoziemczą, oczy czarne, wejrzenie nieco posępne, a przynajmniej przymglone jakąś smutną powłoką, choć w rozmowie prywatnej nie brakło serdeczności i ułagodzenia w tonie i wyrazach, tak właściwego Polakom. Ton jego mowy był wdzięczny i umiarkowany; język bardzo poprawny, czysty, naturalny; mówił powoli, z namysłem, z powagą, ale nigdy zimno lub obojętnie. Przy wielkiej znajomości ludzi i świata przebijał się zawsze w nim duch narodowy, moralna siła i spokój umysłu, tak że nigdy nie unosił się ani przesadzał, ani dostrzec było najmniejszej w nim afektacji w rozmowie. Nigdy nie mówił o nieprzy-

---

[18] Stefan Witwicki (1802—1847), poeta, rodem z Podola, na emigracji przebywał w Paryżu, członek Towarzystwa Literackiego, współzałożyciel Związku Braci Zjednoczonych. Zmarł w Rzymie.

jaciołach swoich emigracyjnych; był wolnym od osobistych uraz i zemsty. Kiedy razu jednego, przy rozporządzaniu pomocy dla emigrantów poświęcających się naukom i rzemiosłom, chodziło o danie zasiłku jednemu z zapaleńców, który publicznie najsrożej ubliżał księciu, a był znany z zasad najradykalniejszych, obecny na posiedzeniu Towarzystwa Pomocy Naukowej jeden z dyrektorów zrobił uwagę, że nie warto by marnować pieniędzy na ludzi znanych z zawziętości swojej i przesadzonych zasad. Na to książę spokojnie odpowiedział, że owszem, starać się należy zachęceniem i pomocą materialną wspomagać tych, co się uczą, bez względu na opinię, aby obronić ich od cudzoziemczego wpływu i sposobić na ludzi pożytecznych dla kraju. Mogę zaświadczyć, że będąc użyty w rzeczonym Towarzystwie Pomocy Naukowej do rozdawania i rozsyłania posiłków uczącym się po rozmaitych zakładach, nigdy nie dostrzegłem w księciu najmniejszej niechęci w dopomaganiu swym największym nieprzyjaciołom i przeciwnikom. Nikt też go nie przewyższył w nadziejach i w wierze w odbudowanie Polski; była to dla niego rzecz tak jasna i dowiedziona, że nigdy o niej nie wątpił. Kiedym na pożegnanie poszedł do niego przy wyjeździe do Ameryki, przyjął mnie uprzejmie, ale z niejakąś jakoby urazą. „Dziwię się — rzekł — że p. Domeyko ma odwagę puszczać się na tak daleką i na tak długą podróż do Chile, kiedy my tu jesteśmy zajęci sprawą naszą żywotną dla Polski". Na to odpowiedziałem: „Upewniam księcia, że najpierwsza wiadomość czy pogłoska, która mię doleci o pożądanym wypadku, znajdzie mnie gotowego do niezwłocznego powrotu". „Och! mylisz się pan — odrzekł książę — pierwej niż dobra wiadomość dojdzie do pana Domeyki, znajdziemy się już na pół drogi do Polski". (Było to w [r.] 1838 w styczniu i nie było statków parowych między Europą i Ameryką.)

Inny wcale z zewnętrznego charakteru i powierzchowności, z wad i z zalet, z zakroju i humoru był Niemcewicz. Starszy wiekiem od ks. Adama, był daleko młodszy, żywszy w rozmowie i obejściu się towarzyskim; żartobliwy, zmiennego humoru, często smutny, rozgniewany, częściej wesoły, dowcipny, otwarty był jak większa część naszej uprzejmej i gościnnej szlachty. W poufalszym towarzystwie używać zwykł nawet swawolnych wyrażeń i ostrych uszczypliwych przycinków. W naszych politycznych dyskusjach i rozprawach między swoimi zakrawał bardziej na gazeciarza, na kronikarza, na posła sejmowego niż na poetę. Nie znałem w życiu doskonalszego Polaka i lepszego patrioty; żył w historycznych czasach i o nich rad był mówić ciągle, schodząc do ostatniego upadku i ujarzmienia. Gniewał się bardzo na demokratów, na nie szanujących imienia polskiego, a nienawidził do najwyższego stopnia złych Polaków. Był szanowany od króla Ludwika, który go znał w Ame-

ryce. Dawny znajomy ks. Pradta[19] za czasu Księstwa Warszawskiego, poszedł go odwiedzić. Zaraz po przywitaniu weszła rozmowa o Polsce, a gdy stary dyplomata począł mówić o łaskach cesarza Aleksandra i niewdzięczności Polaków, tak się oburzył Niemcewicz, że wstał i rzekł: „Księdzu i kobiecie wszystko wolno, nie warto i gniewać się za brednie". Tupnął nogą i wyszedł. Z Lubeckim[20] spotkał się u wyjścia z Opery. Kiedy książę podał mu rękę i powiedział: „voilà le barde! je ne m'attendais pas à vous rencontrer"[21], Niemcewicz odrzekł: et moi je ne m'étonne pas de vous voir envoyé par la Russie"[22]; był w istocie Lubecki wysłany od cesarza do rozrachunków z rządem francuskim. Lubił odwiedzać familie francuskie i angielskie przychylne Polsce; rozmowa jego była dziwnie zajmująca, wesoła. Ostatni raz, już na wyjezdnym do Chile, grałem z nim u ks. Adama w wista; do partii należała też ks. Wirtemberska[23] i p. Błotnicki[24]. Przez cały wieczór bawił Niemcewicz i rozweselał wszystkich.

Jak Niemcewicz przedstawiał obraz literata i wysoko ukształconego Polaka z czasów Sejmu Konstytucyjnego, tak Kniaziewicz był typem generała polskiego z dawnych czasów. Bardzo wysoki, pleczysty, dobrze sformowany, był piękny jeszcze w starości swojej, a jakże piękny musiał być za młodu! Twarz prawdziwie polska: wysokie czoło, duży, nieco zakrzywiony nos, wesołe oczy, lekki uśmiech na koralowych ustach. Był Kniaziewicz podobny z twarzy do Washingtona, wnosząc z tego, jak zwykle tego wielkiego Amerykanina na portretach malują. Mówił głośno i częstokroć tonem, jak u nas witają gościa pożądanego w domu, a dziwnym sposobem łączył powagę polską i niejakąś surowość marsową z grzecznością i ujęciem prawdziwie szlachetnym. Dostrzegać było jed-

---

[19] Dominik Dufour Pradt (1759—1837), arcybiskup francuski, polityk i dyplomata, w r. 1812 ambasador Napoleona w Księstwie Warszawskim. O działalności swojej na tej placówce napisał dzieło pt. *Histoire de l'ambassade dans le Grand-Duché de Varsovie en 1812.*

[20] Franciszek Ksawery Lubecki (1779—1846), minister skarbu Królestwa Kongresowego, organizator przemysłu i handlu, założyciel Banku Polskiego. W odniesieniu do Rosji prowadził politykę ugodową, stąd źle widziany przez koła niepodległościowe.

[21] „Oto bard! Nie spodziewałem się pana spotkać".

[22] „A ja się nie dziwię, że widzę pana posłańcem Rosji".

[23] Maria Anna z Czartoryskich Wirtemberska (1768—1854), siostra księcia Adama, w latach 1810—1831 oddana pracy w warszawskich szkołach żeńskich, potem na emigracji w Paryżu. Autorka głośnej w swoim czasie powieści sentymentalnej *Malwina, czyli domyślność serca.*

[24] Hipolit Błotnicki (1795—1886), pedagog i pisarz, pierwszy nauczyciel domowy J. Słowackiego, porucznik legii litewsko-ruskiej w powstaniu listopadowym, na emigracji sekretarz w Hotelu Lambert, członek Wydz. Hist. Towarzystwa Literackiego.

nak łatwo w całej jego wesołości smutniejszą nutę z zawiedzionych nadziei; podobnie jak pospolicie w motywach narodowej naszej muzyki, w naszych pieśniach ulubionych przebijają w weselszej strunie smutniejsze nuty melancholijne, drgnienia, porywające nas za serce i nie pozwalające unosić się zbyt radością.

Kiedy ostatni raz widziałem go na pożegnaniu, nie mówił mi, jak ks. Adam, o niedalekim marszu do Polski; zdawał się oczekiwać bliskiego odpocznienia i jedyną uwagą, jaką mi zrobił, była, że „wielu z naszych dobrze by zrobiło, gdyby korzystając z czasu, nim co pomyślnego zabłyśnie dla Polski, szukało być użytecznymi w dalekich krajach dla zjednania wszędzie miłości i przychylności dla naszej sprawy; lepiej by to było jak prowadzić niepotrzebne spory i waśnić się wobec cudzoziemców".

Odmiennego wcale charakteru i hartu od Kniaziewicza, który wkrótce potem umarł, był Niemojowski, dawny poseł, minister, a nawet jeden z prezesów rządu przy końcu wojny naszej. Równie wysoki i silnej budowy jak Kniaziewicz, ale młodszy od niego i w kwiecie wieku jeszcze; był to obywatel surowej, posępnej twarzy i mało mówiący; przynajmniej był on takim w smutnej epoce, kiedy go poznałem. Jeżeli kiedy wszedł w jaką rozmowę, to tylko o ostatnich wypadkach w Polsce, o smutnym końcu naszej wojny. Bezustannie zdawał się naradzać nad obroną kraju; obrachowywał jego siły i zasoby, namyślał się nad środkami do dźwignienia sprawy. Coraz bardziej zasępiał się; unikał rozmowy i przyjaciół. Niedługo to trwało. Począł wpadać w momentalne obłąkanie; zdawało mu się, że posiadał miliony i tylko chodziło o zaciągi wojska, o rozpoczęcie wojny; dąsał się, gdy go chciano reflektować i uspokajać. W rok potem dostał pomieszania. Przeniesiono go do osobnego zakładu w Paryżu, gdzie według nowej metody leczenia pozwalają wariatom używać wygód i rozrywek w pięknym ogrodzie i w towarzystwie ludzi łagodzić obłąkany umysł. Nic nie pomogło; zajęty zawsze owymi milionami, organizacją wojska, pospolitym ruszeniem i wojną, wpadł w malignę i umarł, aż do ostatniego momentu nieprzytomny.

Swobodnej zawsze myśli, silnej nadziei, dziarski, gaduła, istny Polak był gen[era]ł Dembiński. Choć już mu szósty krzyżyk był na plecach, nie widać było tego z twarzy, która porządnie ospą, a nieco wiekiem poorana, nigdy nie była smutną ani zasępioną. Ogniste oczy, nos orli i duże spadające wąsy, a do tego głos gruby, żołnierski i cała budowa silna, ruch żywy, energiczny; posiadał, że tak powiem, wszystkie dary i przymioty na wodza czy naczelnika nie tylko porządnego żołnierza, ale i byle jakiej ruchawki między szlachtą. Posiadał też niemało nauki i ochoty do przemysłu i materialnych ulepszeń; był dobrym gospodarzem i zamożnym obywatelem. Nie myślał, chyba tylko z bronią wracać

do swej majętności, a nieznośnym było dla niego bezczynne na emigracji życie. Stąd gdy zanosiło się na wojnę między Moskalami a baszą egipskim, podążył do Aleksandrii na usługi baszy; był generałem Ibrahima[25]: wdział turban i z adiutantem swoim Szemiothem[26] (marszałkiem żmujdzkim) przewodził Arabom, dopóki była nadzieja wojny. W lat potem niewiele, kiedy powstały Węgry, poleciał bić się przeciw Austriakom i wiadomo, jak się dzielnie odznaczył w owej nieszczęsnej kampanii[27], gdzie bardziej chodziło mu o Polskę niż o Węgry. Krótko to trwało; wdała się do tej wojny Rosja, poddali się Węgrzy, a stary Dembiński wrócił ze swoją wiarą nienaruszoną i silną nadzieją do emigracji, przygotowany zawsze czekać na coś lepszego. Nie mieszał się do zwad i spo[ró]w; był surowym dla siebie, pobłażającym dla drugich i tylko lubił karcić niesfornych potwarców i przechwałków. Jego wszakże najpiękniejszym czynem w życiu, w naszej [18]31 roku wojnie, był odwrót i uprowadzenie spod Kurszan części litewskiego powstania przez całą Żmujdź i Litwę przez niezliczone siły armii moskiewskiej do Warszawy.

Jakże odmiennego charakteru z postaci, z układu (a może i z zasad) był gen[era]ł Bem. Uczeńszy może od Dembińskiego w sztuce wojennej, równie bitny, odważny, młodszy wiekiem, miał powierzchowność bardziej cudzoziemską, angielską czy niemiecką, niż polską. Nie miał owej szczerości ni otwartości co Dembiński i rad był sobie tworzyć kółko w emigracji nieprzystępne dla drugich. Z początku zaraz za przybyciem do Francji, widząc, że się na długo zanosi i że nieczynność może być szkodliwą dla naszych wiarusów, podjął się zaciągać ich do armii portugalskiej na rzecz króla Don Pedro. Nie podobało się to emigracji, która łudząc się nadzieją interwencji Francuzów w sprawie naszej, lękała się, żeby nie rozprzężono marnie korpusu naszego, przeznaczonego, jak sądziliśmy, na zawiązanie legionów polskich. Znalazł się zapaleniec, który uznawszy Bema za zdrajcę, strzelił do niego o dwa kroki[28], kula uwięzła w zegarek; generał przebaczył zbrodniarzowi, ale wrócił do Paryża zniechęcony. Nie należał do żadnych towarzystw ni komitetów; dawał prywatne lekcje, zawiązał był nawet osobne towarzystwo politechniczne, które zaledwo kilku członków i kilka posiedzeń miało; słowem, mało on lgnął do fali i fala do niego. Przeczekał do wojny węgierskiej, w której

---

[25] Ibrahim basza (1789—1848), syn baszy Egiptu Mehmeta-Ali, pogromca Turków m. in. w bitwie pod Koniah (1832).

[26] Franciszek Szemioth (ur. w 1803), filareta, major w powstaniu listopadowym, ochotnik w służbie belgijskiej.

[27] Pod Temeszwerem, 9 sierpnia 1849 r.

[28] Zamachu dokonał podporucznik Platon Pasierbski z Zakładu w Bourges, członek TDP, w dniu 14 lipca 1833 r. Zajście to opisuje Bem w liście do wydawcy *Pamiętnika Emigracji*. Zob. *Pamiętnik Emigracji*, zeszyt „Zygmunt August Jagiellończyk", Paryż 16 sierpnia 1833.

wziął czynny udział i zasłużył na wziętość u Madziarów[29], chociaż nie bez zarzutu, jaki mu czynią, że był zawsze w nieporozumieniu z Dembińskim. Po tej wojnie przerzucił się, jak wiadomo, na bisurmanina, zawsze w nadziei, że przyjdzie do nowej wojny między Turcją a Moskalami. Niedługo się tą nadzieją pocieszał; umarł baszą, a jeśli prawda, że jak Czajkowski[30] dla ujęcia Turków przeszedł na muzułmanina, to niech Bóg nad nim zlituje się za to jego obałamucenie przez wzgląd, że był dobrym Polakiem i bił się dzielnie pod Ostrołęką.

Znałem też Chrzanowskiego w emigracji. Był nadzwyczaj małego wzrostu i niepoczesnej figury; blady, dosyć pospolitego wejrzenia i na pierwszy rzut oka bardziej na profesora czy jakiego szkolarza niż na generała wyglądał. Przymarła zdawała się być na jego twarzy jakaś gorycz wewnętrzna i tylko ci, co go bliżej znali, mówią, że gdy traktował jaką sprawę wojenną czy polityczną, widać było, że był to niepospolity człowiek i że w tym małym ciele było wiele duszy. Wpłynął on może więcej niż kto inny na dyrekcję ogólną obrotów wojennych w Polsce, co też mu wielkie imię u taktyków zjednało. Gdy w [r.] 1849 przyszło do walnej rozprawy we Włoszech, król piemoncki po odwrocie ze swojej kampanii[31] mianował go naczelnym wodzem. Pobity w Nowarze, powrócił znów do emigracji, ale mu w tej włoskiej wojnie powiodła się [!] z Ramorinem niedobra sprawa, którą warto w pamięci zachować. Wiadomo, że klęska nasza po wzięciu Warszawy była po części skutkiem nieposłuszeństwa Ramorina, który zamiast usłuchać rozkazów szefa sztabu rzucił się z dywizją swoją ku galicyjskiej granicy, a przekroczywszy ją, złożył broń i uszedł bezkarnie. Zdarzyło się tedy, że w 18 lat potem znalazł się ten sam Ramorino w bitwie pod Nowarą w armii piemonckiej pod rozkazami Chrzanowskiego. W tej batalii znowu przekracza Ramorino rozkaz swojego wodza naczelnego, idzie za swoją wolą, a nieposłuszeństwem przyczynia się do przegranej. Pobite zostało wojsko włoskie; ale tą razą nie uszedł bezkarnie Ramorino: wzięty był przez swoich rodaków, osądzony, rozstrzelany w Turynie.

---

[29] Przedtem byl we Lwowie, organizował gwardię narodową, później wyruszył do Wiednia i jako „Bürgergeneral" walczył na barykadach austriackiej stolicy, a dopiero potem podążył na Węgry.

[30] Michał Czajkowski (1804—1886), powieściopisarz, w powstaniu listopadowym porucznik pułku jazdy wołyńskiej, na emigracji działacz polityczny w obozie Czartoryskiego. W roku 1841 w misji dyplomatycznej wyjechał do Konstantynopola, później jako Mehmed Sadyk wstąpił do wojska tureckiego.

[31] Karol Albert (1798—1849), król Sardynii, Piemontu i Sabaudii w latach 1831—1849. W r. 1848 prowadził wojnę z Austrią, zakończoną rozejmem po klęsce pod Custozą (w lipcu 1848). Przygotowując się do nowej kampanii oddał Chrzanowskiemu (w lutym 1849) naczelne dowództwo. W marcu 1849 wojska Piemontu zostały pobite, a król abdykował.

Chrzanowski był może najniepopularniejszym z naszych generałów i najmniej lubionym w emigracji; przeciwnie Dwernicki, zwycięzca pod Stoczkiem, był mianowicie od całej młodszej, demokratyczniejszej emigracji szukany i nadskakiwany [!] Zapraszano go do komitetów, na zgromadzeniach posługiwano się częstokroć jego imieniem. Był to jednak Polak, który się nie ubiegał za względami nawet tych, co się do niego kupili. Mało co wyższy od Chrzanowskiego, ale gruby i bardzo otyły, miał twarz okrągłą, rumianą, błękitne duże oczy, wąs zawiesisty, osiwiały, krótkiej szyi, barczysty i ociężały, był, jak wiadomo, tęgim kawalerzystą. Zawsze wesoły, spokojny, uprzejmy dla swoich, miał opinię najwaleczniejszego z generałów, choć mu nie zapomniano, że był pierwszym, co przeszedł granicę w powrocie ze swojej na Wołyń wyprawy, a któż wie, o ile to przejście granicy złym przykładem i zmarnowaniem sił wołyńskiego powstania przyczyniło się do upadku sprawy. Ale tryumf pod Stoczkiem pokrywał późniejszą słabość generała; przyznam się też, że tak mu mile wyglądała z twarzy, z żołnierskiego obejścia się jakaś prostota, szczerość, polskość, serdeczność, że w jego towarzystwie zapominało się o klęskach i niepowodzeniach, tylko o Polsce myślano i o straconych tryumfach. Dwernicki był wolny od wszelkich pretensji, dumy i zarozumiałości i zachował rubaszność ułana naszego. Zakochał się w młodej Francuzce, która posiadała, jeżeli się nie mylę, niepospolity talent malarski. Ożenił się z nią i był szczęśliwy[32]. Ostatni raz widziałem go już z żoną i dzieckiem w Londynie, a był zawsze jednostajnie gotowy do szabli i do konia; pełen wiary w odbudowanie Polski.

Całkiem odmienny, choć równie miły i przyjemny obraz zostawił mi w pamięci Pac. Piękny, urodziwy, pięknej, pociągławej twarzy, miał wejrzenie, powagę i ujęcie magnatów, naszych panów i senatorów zasłużonych krajowi. Pięćdziesiąt lat zapewne nie miał, kiedy go poznałem; pełen życia i zapału łączył w obejściu się towarzyskim tak ze swoim, jak z cudzoziemcami dworskość polską, nabytą na wysokim świecie, z polorem francuskim; a nie widać było w nim przesady ani lekkości charakteru. Był on przy sztabie Napoleona aż do jego upadku i oddychał, że tak powiem, jeszcze duchem owego cesarstwa, do którego czasów jakże mu było ciężko sięgać pamięcią z owej lodowni doktrynerskiej, jak nazywał dzisiejsze panowanie Ludwika Filipa i jego ministrów, od których wyszło pamiętne „l'ordre règne à Varsovie". Przedstawiano w tym czasie w cyrku Olimpijskim w Paryżu sztuki z wojen napoleońskich, a w nich odegrywał rolę Napoleona jeden Francuz, bardzo do niego podobny z twarzy, postawy i ze wzrostu. Gdy wychodził na scenę ubrany w szarą kapotę i kapelusz Napoleona, rzekłbyś, że sam cesarz wstał z grobu

[32] Była to druga żona Dwernickiego, z domu Brock; pierwsza żona zmarła w roku 1831.

i przechadza się. Owóż byłem po kilkakrotnie z Pacem na owej reprezentacji, a ilekroć ukazał się ów Francuz, to w moim generale widać było wzruszenie, jakoby konwulsyjne, rozczulał się do łez i drżał z radości. Nie mogąc znieść nieczynności w emigracji, pojechał dla zwiedzenia Syrii i Grecji. Listy jego pisane do ks. Adama były nader zajmujące. Umarł z gorączki w Smyrnie[33], zostawiwszy jedynaczkę córkę na opiece siostry swojej[34].

Powiem jednak szczerze, że górowała dla mnie nad wszystkimi ojcami ojczyzny w emigracji osoba generała Małachowskiego, jako legionisty najstarszego wiekiem i zasługą w wojsku. Bardzo wysoki, nieco schylony, ale silnej i kształtnej budowy, miał twarz bladawą, pogodną, czoło wysokie i mało marszczek. Widać było jeszcze, jak silny i dobrego zdrowia musiał być za młodu, kiedy uszedł od zarazy i zajadłości murzyńskiej w San Domingo, gdzie cały jego legion, którym dowodził, wyginął. Cichego charakteru, mało mówiący, stronił od wszelkich kłótni, zgromadzeń i posiedzeń emigranckich. Patrząc na niego rzekłbyś, że żyje pod bronią w obozie i nadstawia ucha, czy nie usłyszy ognia na posterunku. Był nauką żywą, pociechą i napomnieniem dla wszystkich, jak znosić niedolę, wierzyć w przyszłość. Był to cień żywy maciejowickiego żołnierza, idącego w marszu za Dąbrowskim, legionisty i ostatniego z naszych zwycięstw drogo okupionych dowódcy. Gdy młodsi smucili się, tęsknili, miotali się niecierpliwością, rozpaczą, jedni na drugich winę zwalali, odgrażali się i we frenetycznym ruchu szukali sztucznego, jałowego życia, Małachowski, spokojny, zdawał się dziwić ich niecierpliwości i milczeniem swoim zapowiadał długi jeszcze szereg nieszczęść i długie tułactwo. Towarzyszyła mu na wygnaniu i osłodziła ostatnie dni generała żona jego[35], o trzydzieści najmniej lat młodsza od męża zacna bardzo Polka, poważna i przyjemna.

Jakże odmienne wrażenie od osoby tego starego generała robił na każdym z nas Lelewel, od którego w emigracji poczynał się niby szereg tak nazwanych patriotów młodej Polski, rewolucyjnej, demokratycznej, liczącej na gwałtowne zewsząd poruszenie ludów i rewolucję. Nie był jednak młody Lelewel, liczył 46 lat wieku, ale wyglądał na starszego, na zmęczonego niepowodzeniem. Był on twarzy bardzo łagodnej i przyjemnej, kiedym go znał na Uniwersytecie Wileńskim; powszechnie natenczas lubiony, zdawał się posiadać charakter umiarkowany i pojed-

[33] Smyrna (Izmir), miasto w zach. Turcji nad Morzem Egejskim. W autogr.: Smirnie.

[34] Córka — Ludwika Pacówna (1819—1895), później (od r. 1840) żona Franciszka Ksawerego Sapiehy; siostra — Zofia Niesiołowska, generałowa, 1-voto Feliksowa Potocka.

[35] Benigna z Wojczyków.

nawczy. Pamiętam, kiedy opowiadał jaki czyn historyczny ważny na lekcjach, iskrzyły mu się oczy i cały był ożywiony wiekiem, do którego ów czyn należał. Pamiętam dobrze, że na odczytach uniwersyteckich miał wzrok nieco zwrócony na bok, ku ziemi wlepiony, jak gdyby co w niej widział, i tylko od czasu do czasu rzucał oczyma na obecnych i wtenczas zwykł uśmiechać się uśmiechem nienaturalnym, niekiedy zakrawającym na szyderczy, kiedy rzecz temu odpowiadała.

Ten zwyczaj dochował aż do spotkania się naszego w emigracji (nie patrzył prosto w oczy); twarz jego była wychudła i pospolicie pryszczami osypana, oczy miał nieco zapadłe, a w postawie swojej częstokroć był to ku lewej, to ku prawej stronie pochylony. Mówił łatwo, nieco w nos, poprawniej i jaśniej, niż kiedy pisał, a był zawsze ubogo ubrany, ubogo mieszkał i ubogo żył; od nikogo najmniejszej ofiary nigdy nie przyjął, ani od rządu, ani od swoich, ani od cudzych. Zimową nawet porą chodził we fraku czarnym i nieraz się przeziębił.

Zaraz od przybycia do Paryża postawił się w opozycji ze wszystkimi członkami Narodowego Rządu, z senatorami i generałami naszymi. Nie lubił tych wszystkich, co nosili jakie pańskie imię lub byli kiedyś panami. Obwiniał ich wszystkich o upadek sprawy, o dumę, egoizm, nawet o zdradę. Dawał przystęp do siebie tylko podrzędnym ze służby, malkontentom, otwartym republikanom i demokratom. Dosyć było okazać się nieprzyjacielem Czartoryskiego, Skrzyneckiego i jego stronników, powstawać na panów, na księży, na dawnych ministrów, wodzów etc., ażeby być poufalej z Lelewelem. Nie był on jednak demokratą ani członkiem Towarzystwa Demokratycznego[36], nie wiązał się z republikanami francuskimi, choć do każdego z emigrantów mówił „obywatelu". Nie potakiwał też otwarcie zwadliwym, burzliwym, szerzącym nienawiść między swoimi, tylko uśmiechał się, nie karcił. Pracował nawet i był czynnym w skojarzeniu Ogółu emigracji; pośrzedniczył w zakładaniu komitetów na prowincji i Centralnego Komitetu, do którego należał, dopóki rząd francuski nie kazał mu wyjechać z Paryża, posądzając go o znoszenie się z republikantami paryskimi. Chodziło mu o to mianowicie, żeby się emigracja nasza nie rozchwiała i nie osłabiła się pojedynczymi werbunkami i wyprawami; żeby się o ile możności demokraciła i była zupełnie niezależną od wpływu tych, co należeli kiedyś do Rządu Narodowego, jako też generałów, senatorów etc. Nie był też przeciwnym zbieraniu się sejmu — i osobiście zachęcał wszystkich do skromnego i pracowitego życia, do rzemiosł, do wyzwolenia się od subsydiów i opieki Ludwika Filipa.

[36] Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, założonego w Paryżu (17 marca 1832) przez Ignacego Płużańskiego, Kazimierza Aleksandra Pułaskiego, Jana Nepomucena Janowskiego, Adama Gurowskiego i Tadeusza Krępowieckiego.

Co nade wszystko znamionowało charakter Lelewela, to miłość kraju i poczciwość, szlachetność uczuć, posunięte może do fanatyzmu, nieraz do dziwaczności. Sprawy emigracyjne, nawet najdrobniejsze, między zakładami a komitetem paryskim utrzymywały go ciągle czynnym i w stanie prawie gorączkowym. Krótkie zaś momenta wolne spędzał na numizmatyce, na pieniążkach, jak gdyby był zupełnie spokojny i żył w kraju, w stanie normalnym.

Lelewel nie był głową ni naczelnikiem żadnej szczegółowej partii w emigracji. Oblekać zwykł wyrazy swoje w zagadkową jakby jakąś tajemnicę; ucinał i nie dokończał frazesów; nigdy nie dochodził jasno do wniosku; ale zanadto był uczciwym i Polakiem, żeby się miał zniżyć do sekciarstwa czy intrygi jakiej antynarodowej między emigrantami.

Nie będę opisywał tak nazwanych demokratów, którzy od początku naszej emigracji wichrzyć poczęli i szerzyć niezgodę. Z przewódców, z naczelników między nimi najzdolniejszy może i najzacniejszy był Mochnacki[37], który wkrótce umarł. Mówił i pisał z największą łatwością i ogniem; tylko znać było, że oddychał jakąś niepohamowaną nienawiścią do wielu. Miał piersiową chorobę i stan jego zdrowia może się przyczyniał w nim do owej niepolskiej surowości i ostrego charakteru, z jaką pospolicie traktował swoich towarzyszy.

Gurowski[38], starszy z trzech braci, był prawdziwie potworą w emigracji. Miał światowe wychowanie, światowe, grzeczne ujęcie i twarz dosyć szlachetną, choć zimną i choć był jednooki. Z wielką łatwością mówił kilku językami i okazywał niepospolite zdolności w wysłowieniu się; umiał ująć, obałamucić i zdradzić, kogo chciał. W salonach był na wielką skalę arystokratą, w klubach, czym chcesz: radykalnym, komunistą i terrorystą. Zalecał równość, wolność i braterstwo; kiedy jednego dnia zoczono go na wsiadaniu do dyliżansu w mesażerii[39] Lafita, „Gurowski! — rzekł do niego jeden z dawnych jego znajomych — prawdażli, że podałeś się do amnestii i jedziesz do Moskali?" Na to on: „Alboż ja głupi jeść sztukę mięsa na emigracji, mając swój majątek". „A cóż się stało z twoją demokracją i z Towarzystwem Demokratycznym, które założyłeś?" Na to Gurowski: „Narobiłem błota, niech się kąpią". Wiadomo, że na jednej musztrze niekontent z obrotów jednej roty piechoty w. książę Konstanty zakomenderował „na lewo", gdzie było błoto, a gdy webrnęli

---

[37] Maurycy Mochnacki (1804—1834), wybitny krytyk literacki i publicysta, podporucznik z oddziału Skrzyneckiego, na emigracji działacz polityczny i pisarz, główne jego dzieło: *Powstanie narodu polskiego w r. 1830—1831.*

[38] Adam Gurowski (1805—1866), publicysta, dziennikarz piszący po polsku, francusku, angielsku i niemiecku, współzałożyciel TDP, po opuszczeniu jego szeregów przyjął carską amnestię.

[39] mesażeria (z fr. messageries) — przedsiębiorstwo przewozowe.

po kolana żołnierze i dalej iść nie mogli, rzekł: „zdieś swiniam ostatsa"[40], i odjechał. Tąk i Gurowski postąpił z tymi, co mu byli zawierzyli.

Gurowski był pierwszym z emigracji, co prosił o amnestię u cesarza, a nie miano u nas natenczas [nic] za większe przeniewierzenie się, jak prosić o nią. Otrzymał ją, potem służył rządowi, potem pisał przeciw sprawie polskiej, siał propagandę panslawistyczną[41].

Innego wcale modelu był Ostrowski[42], tak nazwany J.B.O., bo się tymi literami podpisywał na dzienniczku, który wydawał, rzucając zawiść, nienawiść i szkalowania na wszystkich; nader pospolitego wejrzenia, spode łba patrzący, na pozór łagodny, cichy i spokojny, był zarzewiem w pierwszym roku naszego tułactwa, dopóki się na nim nie poznano i nie oddalił się z Paryża z rozkazu rządu.

Było w owym kole demokratycznym dwóch, jak powiadano, przekstów i niemało ludzi podejrzanych. Wiedzieć jednak należy, że do niego było też wiele wciągniętych ludzi energicznych i bardzo dobrych Polaków, co na słowa: równość, wolność, braterstwo, pod hasłem potępiania wszystkich naszych wad narodowych, których wszakże nikt nie uniewinniał, miotając skargi na naczelników Rządu Tymczasowego i bogatszych panów, którym przypisywali upadek Polski, cisnęli się do klubów, będących pod wpływem sekretnych towarzystw polskich i francuskich.

Kilka słów teraz o naszych Polkach. Któż z naszej emigracji nie znał, nie wielbił Klaudii Potockiej, z domu Działyńskiej? Urodziwa, kształtna, bladej, podłużnej, o szlachetnych rysach twarzy; włos miała krótko ucięty i nader skromne ubranie; w obejściu się z równąż prostotą i miłością bliźniego ujmowała książąt, hrabiów i najpierwsze osoby wysokiego tonu, co żołnierzy i najuboższych tułaczów. Wiadomo, że w powstaniu bywała na placu boju dla doglądania rannych i umierających; potem chodziła do szpitalów warszawskich i opatrywała w nich cholerycznych. Na emigracji zbierała składki, wydała cały swój majątek na wspomożenie uboższych. Widziałem ją w Dreźnie krojącą i szyjącą bieliznę dla

[40] „Niech świnie tu zostaną" (dosł.: „tu świniom zostać").

[41] Prośbę swą o amnestię i oświadczenie, że przestaje być Polakiem, ogłosił Gurowski w niemieckiej „Gazecie Augsburskiej" w 1834 r. W tymże samym roku wydał broszurę pt. *La vérité sur la Russie et sur la révolte des provinces polonaises* (*Prawda o Rosji i buncie prowincji polskich*), w której sławił carat, wykreślając Polskę raz na zawsze z karty Europy.

[42] Józefat Bolesław Ostrowski (1805—1871), publicysta, dziennikarz zwany Ibuś, w czasie powstania działacz radykalny, członek Towarzystwa Patriotycznego, współredaktor „Nowej Polski", pisma polemicznego, które wskrzesił potem i na emigracji. Publikacjami swymi, oczerniającymi wybitnych przywódców emigracji (Worcella, Krępowieckiego, A. Mickiewicza i innych), zasłużył na imię paszkwilanta i oportunisty.

żołnierzy; nie było ofiary, do której by nie była gotową ta Polka. Miała jednak w wejrzeniu więcej wyrazu smutnego i surowego spokoju niż zewnętrznej serdeczności naszych pobożnych i miłosiernych pań na Litwie. Potocka nie była piękną, miała natenczas może 30 lat wieku, a w wejrzeniu, układzie i w całej powierzchności uosabiała miłość chrześcijańską i przejmowała nią każdego, co miał szczęście być jej znajomym. Była to osoba zupełnie wolna od wszelkiej przesady i porywczej, nienaturalnej egzaltacji. Umiała najłagodniej zniżyć się do najniższej klasy ubóstwa, wyższa nad wszelkie uprzedzenia światowe; miłowała tylko cnotę i miłość bliźniego.

Miałem też szczęście poznać w domu ks[ię]cia Adama jego szanowną siostrę, księżnę Wirtemberską. Jakaż to zacna pani, jakież szlachetne i miłe jej obejście się. Nie widziałem twarzy w tak podeszłym wieku, która by tak była nadobną i poważną. Jej rozmowa była zawsze o Polsce, a mówiła pięknym, czystym polskim językiem, nie mieszając francuszczyzny. Był to dla mnie obraz dawnych naszych pań z ostatnich czasów bytu narodowego; protektorka literatury i sztuk pięknych w Polsce, powszechnie kochana i szanowana w narodzie.

Nie dosyć też dotąd był oceniony charakter księżnej Czartoryskiej[43], żony ks[ię]cia Adama. Nie była piękna i nie ubiegała się o to, aby ją wychwalano lub bardzo poważano. Bardzo skromna, naturalna, mało mówiąca, zajmowała się wyłącznie dobroczynnością i wspomaganiem biednych familii emigranckich; w tym celu zawiązało się Towarzystwo Dobroczynności Dam Polskich, któremu przewodniczyła i które wiele dobrego przyniosło emigracji. Miałem z tego powodu zręczność poznania dobrego serca tej pani, będąc wezwany na pomocnika do tego Towarzystwa i użyty do rozdawania miesięcznych pomocy po 15 franków na każde emigranckie dziecko, skąd też poszło, że nazywano mię w Towarzystwie „przyjacielem dzieci". Starałem się w istocie ułatwiać tym cnotliwym damom stosunki z najuboższą częścią emigracji, uwiadamiając je o niejednej prawdziwie biednej, bez sposobu do życia rodzinie. Wiele też było nieszczęśliwych w naszej emigracji, obarczonych dziećmi matek, w ostatniej potrzebie znajdujących się, które by bez mojego pośrednictwa nie przyjęły wsparcia prosto z rąk prezydującej księżnej. Mogę zapewnić, że nigdy to Towarzystwo nie odmówiło pomocy demokratom i przeciwnikom księcia, ilekroć istotnie jej potrzebowali.

Sekretarka tego Towarzystwa, z Tańskich Hoffmanowa[44], autorka *Pamiętników po dobrej matce, Rozrywek dla dzieci* i tylu innych pism

[43] Anna Czartoryska (1799—1864), z domu Sapieżanka.

[44] Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798—1845), córka Ignacego i Marianny z Czempińskich, od r. 1829 żona Karola, wizytatorka szkół żeńskich w Warszawie, pisarka i publicystka, od r. 1831 na stałe zamieszkała w Paryżu.

moralnych dla wychowania dzieci, była nieodstępną domu Czartoryskich, na których dworze była wychowaną; nie była już wtenczas młodą, a jej powierzchowność nie pochlebiała jej wcale. Bardzo niska, ułomna, nieco schylona, żadnych nie miała zewnętrznych powabów swojej płci, wyjąwszy wyrazu szczególnej dobroci, prostoty i pokory, który się malował na jej twarzy i który się przebija w jej pismach. Cała jej wartość i zaleta były wewnętrzne; było to zamiłowanie cnoty, miłości familijnej i skromności. W rozmowie nawet potocznej wystrzegała się błędów gramatykalnych i znać było, że była dobrą autorką.

Należały też do tego koła: hr. Platerowa[45], księżna Ogińska[46], dwie córki księżnej Giedrojciowej (z których jedna była damą dworu cesarzowej Józefiny, a druga autorką, wdową po gen[era]le Rautenstrauch[47]), pani Wołowska[48], żona mecenasa, i pani Mickiewiczowa; wszystkie zacne, cnotliwe Polki, które zaszczyt robiły naszemu krajowi.

A ileż to było równie zacnych i cnotliwych żon, które za swoimi mężami przybyły do emigracji i spokojnie, ochotnie podzielały z nimi tułactwo, unosząc dzieci od moskiewskiego gwałtu. Nie ubliża to i tym, które pozostały w kraju przy dzieciach, osłaniając majątek i zajmując się wychowaniem synów i córek swoich, od których na przyszłość zależał los i przyszłość Polski.

PODZIAŁ EMIGRACJI NA PARTIE. KOMITETY, TOWARZYSTWA, SEJM

Emigracja, która po wielkim wstrząśnieniu narodowym przenosi się do kraju wolnego, przynosi z sobą wszystkie nasiona złego i dobrego, które posiadała przed owym wstrząśnieniem, a do których się przyłączyła gorycz z niepowodzenia, z nią niespokojny umysł i rozmarzone serce, z którym nie wie, gdzie się podzieć i czym ochłodzić siebie, jak gdyby we śnie rozmarzona. To zło i boleści rozwijałyby się w ludziach i na własnej ziemi, tylko że tu chwast i kąkol szkodliwszy był dobremu ziarnu pod wpływem znudzenia, niecierpliwości i bezczynnego oczekiwania na to, co się stać nie mogło.

Stąd powstały niezgoda i rozpłatanie się wychodź[s]twa naszego na stronnictwa. Było ich wiele w naszej emigracji i byłoby niepożytecznie

---

[45] Maria Platerowa z domu Brzostowska, żona Idziego Hilzenowa, potem żona Ludwika Platera.

[46] Kunegunda Ogińska, z domu Platerówna, żona Gabriela.

[47] Karolina Giedrojciowa, z domu Burzymowska, żona księcia Romualda, jej córki — Kunegunda, żona Jerzego Białopiotrowicza, i Łucja Rautenstrauchowa, autorka sentymentalnej powieści *Emmelina i Arnolf* i opisów podróży po Francji i Szwajcarii.

[48] Tekla Wołowska (1786—1871), z domu także Wołowska, żona Franciszka, adwokata warszawskiego, emigranta.

przypominać je wszystkie. Niepodobna by nawet zrozumieć ich z niezliczonych broszur i gazet emigranckich owego czasu.

Można jednak w krótkich słowach powiedzieć, jak się rzecz miała.

1°. Większość liczebna emigracji trzymała się głównej idei, którą była narodowa jedność, i aby ją zachować, szukała sposobu do uorganizowania dla siebie jakiej władzy wybieralnej. Ta władza w istocie gdyby się mogła urzeczywistnić i być poważaną, posłużyłaby do utrzymania emigracji w porządku, przeszkodziłaby rozprzęganiu się jej na niewczesne wyprawy do Algieru, do Hiszpanii, do Portugalii, do Ameryki, przygotowałaby ją do uorganizowania się na wypadek wojny, a wojna była nieustannie na myśli emigranta. Podzieleni [byli] z rozporządzenia rządowego wychodźcy nasi na tak nazwane zakłady w Bourges, w Chateauroux, w Tours, Angers, w Besançon etc.; wybierał każdy zakład dla siebie osobny komitet, a większa liczba emigrantów paryskich wybierała dla ogółu Komitet Centralny[49]. Ten ostatni utrzymywał korespondencję z komitetami po prowincjach i zdawał sprawę na zebraniach i posiedzeniach, na które przychodził, kto chciał, a odbywały się na ulicy Taran[ne] 12 (ulica ta już nie egzystuje).

Po kilkakrotnie zmieniał się ten Komitet; zrazu był zawiązany pod prezydencją Niemojowskiego; potem się przeistoczył w bardziej demokratyczny pod przewodnictwem Lelewela, a na koniec w 1832 [r.] wyborami po zakładach i w Paryżu powołani zostali do Komitetu: Dwernicki (prezes), Umiński[50], Sierawski[51], Morawski[52], Ledóchowski[53], Hube[54],

---

[49] Tzw. Komitet Narodowy Emigracji Polskiej.

[50] Jan Nepomucen Umiński (1780—1851), gen. dywizji w. p., uczestnik walk napoleońskich, powstania listopadowego, obrońca Warszawy, pamiętny „jenerał" z *Reduty Ordona* A. Mickiewicza; na emigracji przebywał we Francji, później w Niemczech, umarł w Wiesbaden.

[51] Julian Sierawski (1777—1849), gen. w. p.; student Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczestnik powstania Kościuszki, kapitan w legionach Dąbrowskiego, generał brygady w bitwie pod Lipskiem, w czasie powstania listopadowego dowódca w korpusie gen. Dwernickiego, potem gen. Ramorino. Zmarł w Paryżu.

[52] Teodor Morawski (1797—1879), prawnik, publicysta, historyk i działacz polityczny; poseł kaliski w Sejmie Królestwa, minister spraw zagranicznych w ostatnim okresie Rządu Narodowego, na emigracji czynny w obozie Czartoryskiego, autor licznych broszur w języku polskim i francuskim, pod koniec życia ogłosił m. in. *Rys dziejów porozbiorowych 1736—1834* i sześciotomową pracę *Dzieje narodu polskiego*.

[53] Jan Ledóchowski (1791—1864), działacz polityczny, oficer w kampaniach napoleońskich i powstaniu listopadowym, twórca pierwszego pułku krakusów i dziesiątego piechoty, poseł na sejm powstańczy; na emigracji współpracownik Komitetu Dwernickiego, członek TDP i ostatni jego prezes. Przez pewien czas przebywał w Londynie. W autogr.: Leduchowski.

[54] Michał Hube (1779—1840), prawnik, referendarz Królestwa Polskiego, na emigracji zbieracz materiałów do dziejów Polski.

Zwierkowski[55], Lelewel, Worcell[56], Jełowicki etc. Ten ostatni Komitet trwał długo[57], uchwalił podatek emigracyjny, mianował komisję funduszów emigracyjnych, do której należeli: gen. Sznajde[58], poseł Tomaszewski[59] i Bohdan Zaleski, i jak mógł, utrzymywał całość i zgodę między swoimi, a wspierał uboższych i nieszczęśliwszych.

Ale pierwej nim przyszło do obioru tego Komitetu, było wiele wrzawy na posiedzeniach w Taranie[60], na które Lelewel zapraszał, a obrady poczynały się od obioru marszałka na każde posiedzenie z osobna. Na[d] czym się tam naradzano, prawdziwie nie pamiętam, chociaż dyskusje były zawsze żwawe, a jednego razu prezydującemu gene[ra]łowi Sierawskiemu nie dano i gęby otworzyć, tak się cisnęli nasi jedni przed drugimi do zabierania głosu. Prezydowałem też na jednym posiedzeniu i wiem, jak trudno było utrzymać porządek.

Od czasu wyboru Komitetu Dwernickiego mniej już było owych posiedzeń Ogółu i nieco mniej dyskusji, albowiem się poczęło odłączać od niego, a wiązać z demokratami coraz więcej naszych tak w Paryżu, jak po zakładach; a wielka część emigrantów uczyła się już i brała się do rzemioseł, do fabryk, do handlu, aby zabezpieczyć dla siebie byt stały i niepodległy. Przekonano się mianowicie, że nie było nad czym dyskutować i sprawa narodowa sama z siebie była prostszą, jaśniejszą i dostępniejszą dla wszystkich niż jej oznaczenie i kwestie socjalne.

W ogólności ta część emigracji, która się trzymała Komitetu Centralnego, płaciła podatek i na zawołanie prezesa schodziła się na Taran i na obchody rocznicy rewolucji i uważała siebie za czysto polską i wyłącznie polską, bez żadnych naleciałości cudzoziemczych; na każdy raz gotową do służby krajowej, do poświęcenia się i do pracy na własne utrzyma-

---

[55] Walenty Zwierkowski (1786—1859), publicysta, oficer napoleoński, członek Towarzystwa Patriotycznego, poseł na sejm powstańczy, na emigracji czynny działacz TDP. W autogr.: Zwierchowski.

[56] Stanisław Gabriel Worcell (1799—1857), partyzant wołyński w powstaniu listopadowym, członek Towarzystwa Patriotycznego, poseł na sejm 1831 r., na emigracji działacz polityczny i pisarz, założyciel organizacji Lud Polski, członek Centralizacji TDP i Komitetu Centralnego Demokracji Europejskiej, redaktor czasopisma „Demokrata Polski".

[57] Do maja 1834 r.

[58] Franciszek Sznajde (1792—1850), uczestnik wojen napoleońskich, w powstaniu listopadowym dowódca ułanów, następnie generał brygady, na emigracji pisarz i wykładowca na kursach wojskowych, członek Towarzystwa Literackiego. W autogr.: Sznayde i Sznaide.

[59] Józef Bończa Tomaszewski, oficer napoleoński, poseł lipowiecki na sejm 1831 r., na emigracji orędownik sprawy wznowienia tegoż sejmu, nie podpisał deklaracji przeciw Czartoryskiemu.

[60] W sali posiedzeń Ogółu paryskiego przy ulicy Taranne; zebrania Ogółu też nazywano Taranem.

nie się i pragnącą przede wszystkim zgody. Były w niej bardzo różnorodne elementa, ale przemagał narodowy duch, ten sam, z jakim wyszliśmy z kraju: był to tak nazwany Ogół.

2°. Odłączało się od niego i coraz się bardziej powiększało wyżej wspomniane Towarzystwo Demokratyczne, które od początku swego zawiązania było już pod wpływem towarzystw sekretnych. W nim należy odróżnić dwie klasy ludzi: jedni, zajęci przeważnie piórem, dziennikarstwem, mówili o prawach człowieka, o wolności nieograniczonej, równości i braterstwie. W imię tych zasad ogłosili zdrajcami: Czartoryskiego, panów naszych i szlachtę i na nich zrzucali upadek kraju. Zapowiadali przyjęcie nowych prawd i zasad ultraliberalnych, na których opierali przyszłe odbudowanie Polski. Przebijał się w ich propagandzie liberalizm antykatolicki, kosmopolityczny, a przypisywali sobie siłę poruszania mas i moc odbudowania Polski bez pomocy szlachty i panów.

Drudzy, których liczba od czasu wystąpienia Gurowskiego z Towarzystwa powiększać się poczęła, składała się z ludzi mniej może niepraktycznych, chciwych, jak powiadali, ruchu i działania, wojskowych i takich, którzy nie mogli się wziąć ani do rzemiosła, ani do powołania jakiego; sądzili, że w tym zarzewiu demokratyzmu była nadzieja prędszego wzięcia się do czynu i że potrzeba dobrze już wyrobione zasady mieć na pogotowiu, aby z nimi wejść do Polski.

Z pięciu założycieli urosła w lat sześć liczba członków Towarzystwa do 1200 i rozgałęziając się coraz bardziej i bardziej po prowincjach, każdego z chwiejących się w skrajnej zasadzie wykasowało samo Towarzystwo za najmniejsze podejrzenie wdawania się z arystokratami; niejednego z Francji wyganiała policja, a znaczna część zapaleńszych, po długim spieraniu się z centralnym swoim Komitetem paryskim, przeniosła naczelnictwo Towarzystwa do Poitiers[61]. Przyjęli je na siebie: Heltman[62], Malinowski, Jakubowski[63], Breański[64] i Darasz[65]. Odtąd poczęła rządzić demokratami tak nazwana sekcja Poitiers. Mieli oni osobne fundusze, zbierali między sobą podatki, ogłosili bardzo radykalny manifest

[61] O przeniesieniu siedziby Sekcji Centralnej z Paryża do Poitiers zadecydowało głosowanie Ogółu 25 listopada 1834 r.

[62] Wiktor Heltman (1796—1874), słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, na emigracji jeden z najczynniejszych członków TDP, wieloletni kierownik Centralizacji, pisarz i publicysta.

[63] Henryk Jakubowski (1804—1854), słuchacz Uniw. Warszawskiego, na emigracji w Paryżu czynny działacz TDP.

[64] Walerian Tyburcjusz Breański (1805—1866), działacz TDP, członek związku Młoda Polska; brał udział w wyprawie frankfurckiej, następnie sabaudzkiej.

[65] Wojciech Darasz (1808—1852), słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, w powstaniu listopadowym w szeregach gwardii honorowej, potem w 20. pułku piechoty, na emigracji węglarz, członek związku Młodej Polski, potem TDP, Centralizacji, po wydaleniu z Francji członek Centralizacji Londyńskiej, ruchliwy działacz i pisarz.

do ludów i wiele złego narobili, rozszerzając między nieumiejętną, dobroduszną klasą naszych wychodźców zasady radykalne, socjalne, kosmopolityczne; płatali na dwoje emigrację.

Sądzę, że też niemało przyczynili się do ocalenia emigracji od wypraw nie mających bezpośredniego związku ze sprawą naszą narodową, od służby wojskowej zaciężnej, najemniczej. Wielu z zawerbowanych do demokracji zachowało w niej charakter powstańczy, nie rozumiejąc nawet, o co chodzi w tej demokracji, zapominając o sobie, o zabezpieczeniu dla siebie kawałka chleba na starość. Jednym z nie najmniejszych urojeń i obłędów naszych demokratów, przewodniczących w Towarzystwie, były zawierane związki z demokracją francuską i włoską w nadziei wybuchu powszechnej wojny rewolucyjnej; zdawało się im, że Polska w opłakanym swoim stanie potrzebowała wejść w stosunki ze wszystkimi strefami ludzkości, chociażby najburzliwszej, obojętnej dla nas i wiary.

Nie wtajemniczony w stosunki, jakie mieli ci, co rej wodzili między demokracją polską, z mazzinistami[a] i demagogią francuską, nie mogę sądzić, o ile ta zaraza cudzoziemcza mogła się przelać w krew naszą, bezbożność, materializm, pogardę wszelkiej prawej władzy, uznanie siebie za jedynego Boga. Któż może przewidzieć, czy wyuczeni w tej szkole nie przynieśli kiedy na ziemię naszą nasion brudnego chwastu z włoskiej, węglarskiej roli[66] — morderstwa i politycznego fanatyzmu.

3°. Trzeci na koniec oddział naszej emigracji, mniej liczny, nienawistny demokratom, na ustroniu od tej najliczniejszej części emigracji, która, jak powiedziałem, wiązała się do tak nazwanego Ogółu i stroniła od wszystkich niewczesnych porywów, ruchów i manifestacji, stanowili członkowie bogatszych familii naszych, dawni magnaci, panowie, mający wpływ u rządu Ludwika Filipa, ludzie poważni, nie chcący należeć do stronnictw, nazywani arystokratami przez to, że nie powstawali na Czartoryskiego i jego przyjaciół.

Podczas kiedy raczej Ogół ze swym Komitetem, licząc w swoim gronie wielu posłów i dowódców wojskowych, zajmował się głównie uorganizowaniem i utrzymaniem w karbach, w jedności emigracji naszej, naradzał się na zebraniach nad przyszłym odrodzeniem się kraju, niekiedy o protestacjach przed Europą w imię ujarzmionej ojczyzny; a demokraci, rzekłbyś, na samym dnie zachodniej Europy, w jej nawet zepsuciu i kon-

---

[a] W autogr.: Masynistami.

[66] We Włoszech (na początku XIX w.) powstały tajne związki rewolucyjno-demokratyczne, tzw. węglarzy (karbonarów, z włoskiego carbonari — węglarze). W roku 1820 po upadku rewolucji rzesze węglarzy wyemigrowały do Francji, gdzie stworzono międzynarodową tajną organizację węglarską, tzw. Karbonaryzm Demokratyczny Powszechny. Wchodzili doń także polscy emigranci, którzy na początku 1833 r. założyli własny Namiot Narodowy. Wyprawa J. Zaliwskiego do Polski dała początek związkom węglarskim w Galicji.

spiracyjnych masach szukali środków i sojuszu; jednocześnie tak nazwana arystokracja nasza, potomki dawnej świetności i potęgi narodowej, nie przestawali skarbić względów dla sprawy naszej u dworu, u dyplomacji i w wierzchniej strefie upatrywali, co dla nas mogło zapowiadać lepszą przyszłość i uszanowanie praw pognębionego narodu.

Pod tym względem każdy pełnił służbę emigracyjną według swojego słowa i usposobienia, częstokroć bliższych stosunków przyjaźni i zażyłości, które jednych z drugimi łączyły, Czartoryskiego okrzyczano najniesłuszniej. Niesłuszne były skargi i potwarze rzucane na Czartoryskiego i tych, co nazywano arystokratami; nie występowali oni nigdy przeciw Ogółowi ni Komitetowi Emigracji. Jeżeli nie brali w nich udziału, jeżeli się nie cisnęli do nich i nie narzucali się ze swoją pomocą, to [czynili to] po części i dlatego, że było wielu należących do Ogółu i tych, co zasiadali w Komitecie, którzy im nie dowierzali i wynieśli byli z ostatniej wojny osobiste ku nim niechęci, nawet nienawiść. Ci pomawiani o arystokratyczną dumę panowie nie zaprzeczali nigdy drugim ich zasług, nie odmawiali pomocy; wspólnie ze wszystkimi szli do kościoła w rocznicę powstania narodowego (29 listop[ada]); należeli do składek i mieli niejednego między swoimi, co też i do Ogółu należał. Mieli obawę nadto stronnicy Czartoryskiego, Platerów i Niemcewicza i innych, aby przystępując do Komitetu, do Ogółu, nie osłabić go, dając powód demokratom do oskarżania Komitetu, że się brata z arystokratami, a właśnie chodziło o to demagogom, aby odciągać naszych od Ogółu, od głównego, iż tak nazwę, korpusu emigracji.

I tego zamilczeć nie mogę, że rozmaitymi sposobami ci, których obwiniano o arystokrację, starali się wpływać na emigrację i być jej użytecznymi. W tym celu założyli naprzód i utrzymywali Towarzystwo Pomocy Naukowej i szukali na to funduszów, aby ułatwić młodzieży naszej przystęp do zakładów naukowych i przemysłowych francuskich i wspierać uczących się choć małą jaką zapomogą, dopóki nie nabędą własnego sposobu do utrzymania się. Zawiązali Towarzystwo Literackie Polskie, na którym czytano i mówiono po francusku, aby na jego posiedzenia można było zapraszać nie tylko uczeńszych i pracowitszych panów naszych, ale też znakomitszych uczonych i ludzi stanu, Francuzów i Anglików, mających wpływ na rząd, na dwór, na reprezentacje narodowe. Na tych posiedzeniach znajdowali się często: Walewski[67], Odilon

[67] Aleksander Florian Józef Walewski (1810—1868), francuski mąż stanu, syn Napoleona I i hr. Marii z Łączyńskich Walewskiej; w powstaniu listopadowym adiutant naczelnego wodza, czynny bardzo na emigracji, w roku 1832 otrzymał obywatelstwo francuskie i oddał się służbie dla Francji, za drugiego cesarstwa pełnił kolejno liczne poselstwa, był ministrem spraw zagranicznych, prezesem Izby Prawodawczej.

Barrot[68], lord Stuart[69], Montalembert[70] etc. Staraniem owego Towarzystwa założono bibliotekę emigracyjną polską, szkołę polską, naprzód w Orleanie, potem w Paryżu, szkołę dla dziewcząt pod opieką księżnej Czartoryskiej. Na Wielkanoc zapraszał Czartoryski do siebie na święcone nie tylko bliższych siebie, ale i tych wszystkich rodaków, co się nie zrażali jego arystokratycznym imieniem i szukali powszechnej zgody; a na tych zebraniach w obecności wielkich dygnitarzy francuskich i angielskich widziano obok Sapiehów, Potockich, Mostowskich, Zamoyskich, Platerów wielu naszych w wytartej nieco, a przynajmniej nieeleganckiej odzieży, a wszystkich z równą uprzejmością i gościnnością przyjmowano.

Najważniejszą jednak czynnością i służbą naszych panów, co otaczali Czartoryskiego i tych, co z nimi w bliższych stosunkach znajdowali się, było utrzymanie związku z ludźmi stanu tak we Francji, jak [w] Anglii. Z każdym otwarciem parlamentów ubiegano się o to, aby nową protestacją zachodnich państw przeciw Rosji przypominać Europie prawa Polski i utrzymywać duch[a] w kraju; przy każdej dyskusji przedłużyć nadal pomoce, wsparcia i opiekę rządową; i cóż w tym dziwnego, że kiedy część emigracji skarbiła sobie tajne stosunki w widokach narodowych z Mazzinim, Ledru-Rollin[71], Marrastem, Le Blanc[72] etc. i z motłochem z przedmieściów, druga część w tych samych celach w wyższej strefie starała się pozyskiwać względy Palmerstonów[73], Stuartów, ministrów i deputowanych francuskich, i Ludwika Filipa, a ogół emigracji przemawiał do wszystkich, do całego kraju i krajów, gdzie tylko noga tułacza stąpiła.

Nie przeczę, że też [nie] uniknęli błędów i słabości w postępowaniu swoim niektórzy i z tej części emigracji, która z osobistych stosunków

---

68 Odilon Kamil Barrot (1791—1873), adwokat i polityk francuski, w czasie monarchii lipcowej przywódca opozycji, członek parlamentu popierający sprawę Polski.

69 Dudley Stuart (1803—1854), angielski mąż stanu, członek, później (1834) prezes Literary Association of the Friends of Poland (Tow. Literackiego Przyjaciół Polski), założonego w Londynie w 1832 r., obrońca sprawy polskiej w parlamencie angielskim.

70 Charles Montalembert (1810—1870), francuski mąż stanu, historyk i publicysta, współpracownik „L'Avenir", w parlamencie przywódca katolików liberalnych, orędownik sprawy polskiej.

71 Alexandre Auguste Ledru-Rollin (1808—1874), adwokat, polityk radykalny, obrońca w procesach politycznych za monarchii lipcowej, późniejszy minister spraw wewnętrznych.

72 Louis Blanc (1811—1882), socjalistyczny publicysta, historyk i polityk, współpracownik dziennika „Le National", „Revue républicaine", autor m. in. dzieła *Histoire de dix ans 1830—1840.*

73 Henry John Temple Palmerston (1784—1865), angielski mąż stanu, wielokrotny minister spraw zagranicznych w latach 1830—1851, później premier (1859—1865).

powołaną była do działania w wyższych sferach i rządowych, i dyplomatycznych; przyczynił się z nich może niejeden do bezpotrzebnych werbunków w Algierze i w Hiszpanii, podobnie jak demokraci przyczynili się do bezrozumnej wyprawy sabaudzkiej i do smutnego stanu, w jakim się znaleźli potem nasi emigranci w Szwajcarii[74]; nierozmyślnie też postąpili i niepraktycznie ci, co bez potrzeby, bez powodu, choć wolni od wszelkich osobistych widoków, ogłosili królem Czartoryskiego; kiedy na przekór, niemniej nierozmyślnie uczynili demokraci, ogłaszając rzeczpospolitą za jedyną formę rządu dla Polski. Mniej słuszne były skargi i szkalowania miotane na posłów naszych, członków sejmu ostatniego, podzielających z nami wygnanie; powiedzmy parę słów o nich.

W tym wewnętrznym usposobieniu i ruchu emigracji, w owych trzech odcieniach, które wykazaliśmy, jakież miejsce zajmował, jakąż rolę odegrywał sejm nasz, prawna reprezentacja narodowa, z której grona przeszło na tułactwo i znajdowało się z nami 8 senatorów i 44 deputowanych tak z Kongresówki, jako też z Litwy i ziem ruskich?

Nie masz wątpliwości, że gdyby była jedność i uszanowanie władzy w emigracji, a wielka energia w sejmie, mógłby [on] zapobiec wielu sporom i rozprężeniu się, mianując w imię narodu i najwyższej władzy, już to z siebie, już spośród samych emigrantów, komitet; znalazłby większość za sobą. Członkowie sejmu byli dobrzy patrioci; ich osoby były powszechnie szanowane, nie brakowało im na odwadze i zapale.

W istocie myśl zebrania się sejmu objawiła się od początku naszego przybycia do Francji. Trzydziestu członków znalazło się w Paryżu w miesiącu styczniu 1832. Potrzeba było 33, żeby sejm był ważny. Odroczono otwarcie sejmu do czerwca, do listopada, czekając na przybycie trzech czy czterech, którzy się ociągali z przybyciem; i ledwo się zebrał komplet na początku 1833; ale natychmiast jedenastu członków zaniosło protestacją i zerwało na zawsze obrady.

Krzyczano, żalono się na tę obojętność i niezgodę posłów naszych: obwiniano arystokrację; mnie samemu wydawał się bardzo godnym nagany opór i opieszałość posłów do zawiązania się w radę nieustającą.

Ale uważmy naprzód, że jeśli chodziło o ustanowienie silnej i prawej władzy emigracji, to potrzeba było o tym myśleć zaraz za przybyciem do Francji. Stracono rok jeden na zbieraniu się członków sejmu, emigranci wybrali komitet jeden i potem drugi i nie oglądano się na sejm. Nie przyjęłaby już potem władzy nakazanej przez sejm emigracja, protestowałaby, a demokraci krzyczeliby na całą gębę, że się im wol-

---

[74] Mowa o nieudałej wyprawie do Sabaudii zorganizowanej w r. 1834 przez Młode Włochy walczące z królem Karolem Albertem, w której wzięli udział Polacy znajdujący się na terytorium Szwajcarii. Później szwajcarskie władze wezwały Polaków do opuszczenia kraju.

ność odbiera. Już i tak oskarżali oni posłów o duch arystokratyczny, królewski, posądzali o widoki osobiste, o przywłaszczenie władzy etc.

Cóż przy tym za potrzeba była zebrania sejmu, jakież interesa miały być w nim przełożone? Chodziłożby o manifest do ludu, o protestacje? Jakąż doniosłość praktyczną miałaby ta protestacja? Jeżeli powstanie, wojna 10-miesięczna, wyjście z kraju 5 tysięcy obywateli nie stanowiły ipso facto[75] owej protestacji; jeżeli cała czynność tego sejmu, dopóki obradował w kraju, odebranie korony Romanowom i potem opuszczenie kraju przez posłów, ich tułactwo nie były dostateczną manifestacją na rzecz kraju przed oczami Europy, to bezsilne wcale pokazałyby się spory i obrady tegoż sejmu za krajem w emigracji. Mówiono o pożyczce, o układach z dworami etc. Wszystko to była fanfaronada. Są instytucje i wyrazy, z którymi nie można igrać jak z piłką. Sejm to słowo, co przejmuje wielkim uszanowaniem Polaka; w sejmach polskich zawiera się świetność historii naszej od tylu wieków! Potężna ta instytucja więcej uroku miała zawsze dla naszego narodu niż parlament i izby dla Anglików i Francuzów. Poruszyłyby się w grobach ciała tylu wielkich marszałków koronnych i litewskich, gdyby ostatnia izba senatorska i izba poselska miały obradować na bruku paryskim, pod okiem policjanta, narażone na to, by za pierwszą reklamacją moskiewską, pruską czy austriacką pierwszy lepszy sergent de ville[76] przyszedł rozwiązać je, a może naigrawać się z sejmu.

Sejm był wyższy nad całą emigracją; był Polską. Bogu chwała, że go nie splamiono żadną płochością, żadnym postępkiem niegodnym.

USPOSOBIENIE RELIGIJNE W EMIGRACJI

Z tylu dobrych i prawych Polaków, którzy składali naszą emigracją, mogę powiedzieć, że za przyjściem do Francji nie znałem jednego, który by się odznaczał z pobożności swojej i dawał z siebie przykład drugim; nie sarkano wprawdzie na Kościół, nie szydzono z księży, nie bluźniono, ale bardzo mało mówiono o Panu Bogu, więcej o rewolucji, o bataliach, o błędach dowódców i Rządu Narodowego, którym nade wszystko przypisywano upadek sprawy; mało księży polskich przyszło z nami, a i ci, zimniejszego charakteru, przyłączyli się zaraz do parafialnych kościołów francuskich i przy nich służbę pełnili.

Schodzili się wprawdzie wszyscy prawie bez wyjątku, i tak nazwani arystokraci, i tak nazwani demokraci, i ci, którzy byli wolni od owych nazwań, na rocznicę naszego powstania (29 listop[ada]) na mszę do grobu króla Jana Kazimierza w kościele St. Germain des Près i słuchali mszy

---

[75] ipso facto (łac.) — tym samym.
[76] sergent de ville (fr.) — policjant.

z uwagą, przystojnie i smutno; przyklękali na podniesienie i przeżegnał się każdy wchodząc i wychodząc z kościoła; ale żaden nie przyniósł z sobą książki do nabożeństwa; ktoś obaczywszy, że Mickiewicz ruszał wargami, rzekł z zadziwieniem do drugiego: „patrz, wszak doprawdy Mickiewicz mówi pacierze" — i nie chciano wierzyć.

Co gorsza, demokracja nasza poczęła wiązać się z saint-simonistami, fouryerystami[77], socjalistami, masonami i całą bezbożną gawiedzią paryską i dawał się przebijać w mowach, dyskusjach, dzienniczkach emigranckich ów liberalizm nieschludny, co powstaje na wszelką wiarę, a bardziej na wiernych i wierzących.

Tak było pierwszego roku emigracji. Ale przy końcu roku i na początku drugiego poczęła się za łaską Bożą objawiać w niektórych, młodszych mianowicie, wychodźcach jakaś nowa dążność i nowe usposobienie.

Zbierali się dosyć licznie nasi Litwini i niektórzy z innych dzielnic, Wołynia i Podola, u Mickiewicza, a w jego rozmowie przebijał się duch katolicki i umiał on nas przenosić żywo i gorąco do domowych stron, do szlacheckiego, domowego życia, do naszych kościółków, odpustów, świąt i procesji. Lubiliśmy go słuchać i powoli pobożność stawała się wybitniejszą cechą i przedmiotem rozmowy między nami, mianowicie tymi, co do naszego koła należeli. W tymże czasie wyszła czwarta[78] część *Dziadów* Mickiewicza i *Księgi narodu polskiego.*

Na drugim punkcie, znany ze słodyczy i umiarkowania charakteru swego Stefan Witwicki, pociągający ku sobie każdą szlachetną duszę, wywierał wpływ podobny, moralny, katolicki między tymi, co go otaczali, między tymi, co uczęszczali do domu Ludwika Platera, którego cała familia znana była z pobożności. Wydał on natenczas mało, a potem daleko więcej czytaną książkę moralną *Wieczory pielgrzyma* i później *Ołtarzyk*, książkę do nabożeństwa, która się prędko rozeszła i upowszechniła między emigrantami.

Nie bez wpływu na drugich okazali się: wychowany w domu swej pobożnej matki, z Lubeckich Platerowej, Cezary Platér i wahający się jeszcze natenczas między światem a ołtarzem Aleksander Jełowicki, który potem został księdzem i wyszedł na wielkiego kaznodzieję.

W tymże czasie przejęty katolickim duchem Bohdan Zaleski ogrzewał bracią naszę swoimi nieśmiertelnymi hymnami i nie bez pożytku dla naszej emigracji, nie bez wrażenia na nią było ukazanie się pięknej małej książeczki *Poselstwo z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu*

---

[77] Zwolennikami socjalizmu utopijnego, który propagowali Claude Henri Saint-Simon (1760—1825) i Charles Fourier (1772—1838). W autogr.: saintsimonianami, furyestami.

[78] Por. przyp. 3 na s. 96.

(Brodzińskiego?[79]). W pożyciu z wykształceńszą młodzieżą naszego wychodźstwa zbawienny wpływ na jej religijne zasady mieli p. Montalembert, młody par[80] Francji, tudzież jego nauczyciel, autor dzieła *Du dogme générateur...*, l'abbé Gerbert[81]; niechaj im Bóg nagrodzi za wielką usługę, jaką przez to oddali Polsce.

Około tegoż czasu między zapaleńcami, którzy się już do najradykalniejszej demokracji byli przyłączyli i popisywali się z niedorzecznymi mowami na zebraniach emigranckich, miotając skargi na kraj, księży i na szlachtę, znaleźli się, choć nieliczni, którym prędzej dał Bóg upamiętanie i pokorę. Ci, aby uniknąć przykrości od swoich, najęli sobie mały domek ubogi niedaleko od Luksemburga i przenieśli się doń na życie jakby klasztorne i przyjęli dla siebie regułę dosyć ścisłą i surową. Zarabiał z nich każdy, jak mógł, ten uczeniem, ów pisaniem czy przepisywaniem, a własność była wspólna. Służyli jedni drugim, żyli najubożej, a przede wszystkim nie wolno było zajmować się tym, co się w emigracji działo. Modlili się, pościli, spowiadali się, przystępowali do stołu świętego i uczęszczali na kazania. Był to nowicjat, wypróbowanie siebie samych.

Najpierwszymi promotorami i pierwszymi członkami tego pobożnego zgromadzenia byli: Kajsiewicz[82], młody 20-letni oficer z dużą blizną od szabli pod okiem, dziwnie łagodnej i szlachetnej twarzy; Semenenko[83], syn Rosjanina, z matki Polki, który przedtem niedawno bardzo uszczypliwą i nader radykalną był powiedział mowę, a na nią demokraci tyle mu sypnęli oklasków, że z tych oklasków wziął miarę o głupstwie i nie-

---

[79] *Poselstwo z ziemi ucisku...* to ostatnia praca Kazimierza Brodzińskiego napisana w Dreźnie w 1835 r. Wydał ją z rękopisu i tytułem opatrzył Stefan Witwicki z udziałem Mickiewicza w roku 1837, w dwa lata po śmierci jej autora.

[80] par (fr. pair) — tytuł członka izby wyższej parlamentu francuskiego.

[81] Olympe Philippe Gerbert (1798—1864), biskup francuski, pisarz religijny, założyciel nowej szkoły apologetyki. Pełny tytuł dzieła, o którym tu mowa, brzmi: *Considération sur le dogme générateur de la piété catholique (Rozważanie nad dogmatem jako źródłem pobożności katolickiej).*

[82] Hieronim Kajsiewicz (1812—1873), ksiądz, słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, uczestnik powstania listopadowego, autor sonetów i utworów religijnych, współzałożyciel i przełożony zgromadzenia zmartwychwstańców.

[83] Piotr Semenenko (1814—1886), urodzony na Białorusi, student Uniwersytetu Wileńskiego, młodociany powstaniec 1831 r., na emigracji początkowo działacz demokratyczny, członek węglarstwa, później doktor teologii, kapłan, generał zgromadzenia zmartwychwstańców w Rzymie, kaznodzieja i pisarz religijny. W r. 1885 towarzyszył Domeyce w podróży do Ziemi Świętej (por. t. V, cz. 2). Mowę, o której wspomina Domeyko, wygłosił Semenenko w języku francuskim na obchodzie rocznicy powstania listopadowego.

dorzeczności, jaką był popełnił; Duński[84], Hube[85], syn referendarza, Jański[86], były saintsimonista[b] i kilku innych.

Niektórzy po wyjściu wrócili znowu do światowego życia, nie poczuwszy się na siłach do samotności i rozpamiętywania. Dom ten jednak nie mógł się długo utrzymać. Kajsiewicz, Semenenko, Duński, Hube, uczuwszy w sobie powołanie do duchownego stanu, przywdzieli sotannę. Dwaj pierwsi weszli do małego seminarium, które jest przy kolegium Stanislas, a potem przenieśli się do Rzymu na wyuczenie się teologii i nauk kościelnych. Do nich się tam przyłączył Aleksander Jełowicki i wszyscy niebawem wyświęcili się na kapłanów. Około roku 1841 czy [18]42, jeżeli się nie mylę, Kajsiewicz, Semenenko i Hube otrzymali od O[jca] św. Grzegorza XVI[87] pozwolenie na fundację Ojców Zmartwychwstania i od czasu do czasu przyjeżdżali do emigracji dla podźwignienia w niej wiary i katolickiego ducha.

Potem poczęli przybywać do emigracji z kraju niektórzy księża i kaznodzieje znamienici, co niedzielę schodzili się emigranci na mszę do kościoła Assomption; słuchali kazań polskich, spowiadali się, a w Wielki Tydzień przystępowali do komunii. Dom Czartoryskich wszedł w ściślejsze stosunki z Rzymem i arcybiskupem paryskim.

Te ostatnie skutki religijnego postępu nastąpiły po moim odjeździe do Ameryki, zatem nie będę o nich dłużej się rozwodził.

---

[b] W autogr.: sensymonista.

[84] Edward Duński (1810—1856), słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, powstaniec 1831 r., na emigracji członek TDP, uczestnik wyprawy Zaliwskiego (pod przybranym nazwiskiem: Karski), później, po studiach teologicznych w Paryżu i Rzymie, zmartwychwstaniec, od r. 1847 towiańczyk.

[85] Józef Hube (1805—1891), wychowanek Uniwersytetu Warszawskiego i jego profesor na wydziale prawa, na emigracji autor wielu odezw Komitetu Lelewela, później kapłan, zmartwychwstaniec.

[86] Bohdan Jański (1806—1840), słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, od r. 1827 przebywał na studiach w Paryżu, początkowo był zwolennikiem szkoły saintsimonistów, potem zwrócił się ku katolicyzmowi i apostołował wśród polskich emigrantów. Umarł w Rzymie.

[87] Mauro Cappellari (1765—1846), kameduła, w latach 1831—1846 papież Grzegorz XVI. Zgromadzenie zmartwychwstańców zostało zatwierdzone w roku 1842.

IV. Dalsze wyjątki z mojego dziennika w Paryżu

Tak były nieporządne, niekompletne, przerywane moje notatki w dzienniku, który dla niezapomnienia po polsku i własnej rozrywki utrzymywałem w Paryżu, że z nich wyjątki tylko przytoczę dla odszkicowania czasu, w którym żyłem.

W 1832. — OTWARCIE IZB

Dziś król Ludwik Filip miał osobiście zagaić Izby. Nigdy w życiu nie widziałem mocarzy świata, nic więc dziwnego, że poszedłem obaczyć króla. O południu już wszystkie ulice i nadbrzeża między pałacem Tuileryjskim a pałacem Bourbonów i wielki most królewski były przepełnione ludem i ledwo środkiem utrzymywała policja miejsce wolne dla przechodzących. Dwa rzędy żołnierzy, jeden liniowych, drugi gwardii narodowej, uszykowały się pod bronią na całej drodze z pałacu do Izby.

Udało mi się przesunąć przez tłum i stanąć na trotuarze między szeregiem żołnierzy i parapetem mostowym, na pochyłości mostu królewskiego od strony, gdzie się ten most spuszcza na przedmieście St. Germain. Miejsce to było jak nabite motłochem paryskim.

O godzinie 2 uderzono z dział w Hotelu Inwalidów: bębny, trąby, muzyka, komenda oficerów i gwar między gadatliwym ludem zagłuszyły wszystkich. „Le roi! Le roi!”[1]

Na przedzie szedł oddział piechoty liniowej, za nim grenadierzy gwardii narodowej, za nimi gwardia konna municypalna. Potem szła służba królewska w pąsowej liberii, wielki koniuszy. W karetach jechała królowa, jej córki[2] i damy jaśniejące od brylantów, potem przerwa i na kilkadziesiąt kroków dalej ukazał się król na pięknym koniu w orszaku ministrów, marszałków Francji i licznych generałów. Między nimi był

---

[1] „Król! Król!”

[2] Żona Ludwika Filipa Maria Amalia, córka Ferdynanda IV, króla Obojga Sycylii, jej córki: Ludwika ks. Orleanu (ur. w 1812 r.), żona Leopolda I, króla Belgii, ks. Krystyna (ur. w 1813 r.) i ks. Klementyna (ur. w 1817 r.).

Soult[3], Gérard[4], Lobau[5], Pajol[6] i wielu innych sławnych wojaków z czasu Napoleona. Raziły oczy odbite promienie słońca od owej masy piór, haftów, orderów i wstęg, jakimi jaśniały ich bogate mundury.

Górował nad wszystkimi we środku król-obywatel, za którego rok ledwo upłynął, jak się lała krew po ulicach paryskich; król-dziecko kochane rewolucji, dla którego obalono tron Kapetów i stare królestwo. Na niego wskazał Lafayette jako na najlepszą z rzeczypospolitych. Syn Filipa Egalité[7] nie chciał jechać poza Ogrodem Tuileryjskim przez plac de la Concorde (plac, na którym ścięto Ludwika XVI) i przez wspaniały most Posągów (pont des Statues), choć tamtędy wjazd byłby wspanialszy.

Twarz króla była spokojna. Wysokiego wzrostu i dobrze zbudowany, odznaczał się figurą swoją kolosalną i co chwila podnosił kapelusz napuszony trzykolorowymi piórami i witał nim pospólstwo, choć okrzyki nie były bardzo liczne i wychodziły raczej z szeregów gwardii narodowej niż z gminu. Robiła też z daleka niedobre wrażenie głowa jego trójgraniasta. Szerokie faworyty i podniesiony tupet nad czołem dawały jej w istocie figurę gruszki, a może się do tego wrażenia przyczyniła karykatura Philippona. Za zbliżeniem się jednak widać było dosyć szlachetne rysy na tej twarzy; oczy błękitne bourbońskie, nos podłużny, czoło wyniosłe i w ogólności twarz uczciwego człowieka, dobrego ojca, dobrego męża, dobrego gospodarza, choć nieco filuta.

Orszak postępował z wolna. Okrzyki ponawiały się, ustawały i znowu wzmagały; jeszcze raz zajaśniał na najbardziej wyniosłym środku mostu i schodził spokojnie ku ulicy du Bac, kiedy nagle o parę kroków ode mnie z tegoż samego trotuaru, na którym stałem, a ponad głową żołnierzy wystrzelono i kłąb dymu uleciał nad królem. Zawrzało jak w kotle w królewskim orszaku; skręcił się na miejscu biały koń Filipa i wkoło niego pocisnęli się marszałkowie, ministrowie i mniejsze figury,

---

[3] Nicolas Jean Soult (1769—1851), marszałek i par Francji, w latach 1830—1834 minister wojny, później minister spraw zagranicznych i prezes rady ministrów.

[4] Maurice Etienne Gérard (1773—1852), marszałek, w czasie rewolucji lipcowej przywódca ludu, po rewolucji minister wojny.

[5] Georges hr. de Lobau Mouton (1770—1838), marszałek, uczestnik wojen Napoleona, jego adiutant, towarzysz w odwrocie z Rosji; po rewolucji lipcowej mianowany parem, dowódcą gwardii narodowej (po zrzeczeniu się Lafayette'a) i marszałkiem. W autogr.: Laubau.

[6] Claude Pierre Pajol (1772—1844), generał, członek parlamentu, w latach 1830—1842 gubernator Paryża.

[7] Philippe Egalité (1747—1793), książę francuski z domu Orleańskiego, członek Konwentu, w czasie wielkiej rewolucji głosował za skazaniem na śmierć Ludwika XVI; zginął pod gilotyną.

tak że się zupełnie zmieszał porządek i nie można było rozróżnić człowieka od człowieka, munduru od munduru; nastąpił moment ciszy i jakby strasznego oczekiwania.

Jednym razem wysuwa się naprzód spod dymu król z podniesionym kapeluszem w ręku i ogromny wrzask „vive le roi"[8] obił się o mury Paryża.

W tymże momencie pocisnęła się ciżba we wszystkie strony, każdy uciekał i krzyczał „vive le roi!" Gwardia rzuciła się w stronę, skąd był wystrzał; przyciśnięty byłem do mostowego parapetu tak silnie, że ledwo nie wrzucono mię do Sekwany. We dwa przeciwne prądy cisnął się za szeregami żołnierzy motłoch, jeden na dół w stronę, ku której umykał zabójca, drugi ku Ogrodowi Tuilerowskiemu.

Trudno sobie wyobrazić, jaki to był popłoch i zamieszanie, jaki nacisk uciekających, co się spotykali z liczniejszym jeszcze tłumem ciekawych, cisnących się i pytających, co się stało. Wywinąłem się szczęśliwie, a z ogrodowego terasu widziałem jeszcze, jak poza Quai d'Orsay[9] postępował powoli królewski orszak, a król kłaniał się na wszystkie strony, aż szczęśliwie dojechał do Izby.

Nie uszła godzina, a już po całym mieście nie mówiono, jak o „horrible attentat contre le roi"[10]. Złowiono wprawdzie sprawcę, Bergerona[11] i pannę Bourry, która miała w tym jakiś udział. Wytoczono sprawę przed sąd przysięgłych; Thiers był czynnym i cała policja paryska dała dowody zręczności swojej w wyśledzeniu winowajców.

Cóż potem? Gdyby ów haniebny zamach był wymierzony na jakiego rzemieślnika, toby nie poszła płazem oskarżonemu ta niegodziwość. Czas i opinia publiczna były tak nieprzyjazne królowi, że pomimo wszystkich dowodów, na jakie tylko mógł się zdobyć adwokat rządowy, sąd nie uznał winnym Bergerona. Dzienniki ogłosiły, że była to farsa wymyślona z namowy Thiersa, aby mieć powód do ścieśnienia wolności druku. „Karykatura" i „Charivari" śmiały się z króla i z ministrów. Wystawiano poświęcenie się Bergerona i panny Bourry; przedawano i darmo rozdawano po ulicy ich portrety.

Postanowiłem odtąd nigdy nie wychodzić z domu na widzenie królów, chociażby nie wiedzieć jak popularnych i wyniesionych na tron wolą ludu.

---

[8] „Niech żyje król".

[9] Nazwa ulicy wzdłuż Sekwany.

[10] „Strasznym zamachu przeciw królowi".

[11] Louis Bergeron (ur. 1811, zm. po r. 1867), dziennikarz piszący pod pseudonimem Emile Pagès, później redaktor „Le Siècle".

OBCHÓD PIERWSZEJ ROCZNICY NARODOWEGO POWSTANIA
29 LISTOP[ADA] (1832)

Gdyby Polak emigrant, rzucając kraj, mógł był zostawić w domu złe skłonności i osobiste wady swoje, a nie miał nic innego do zwalczenia, jak zwyczajne niesmaki i gorycze, których na pielgrzymce, na cudzej ziemi, od swoich i od obcych ludzi koniecznie doznawać musi; gdyby też opuszczając kochaną ziemię począł był od skruchy i od obmycia łzami własnej winy, do jakiej każdy mniej więcej poczuwać się był powinien w chwili zwątpienia i upadku sprawy; och! jakże spokojniej byłoby mu cierpieć bez gniewu, bez zawziętości na swoich.

Największe zło, jakie miała do zgryzienia emigracja, było zło, które przynieśliśmy z sobą, zło domowe, nie zagraniczne; zło, które nigdy nas nie opuszczało, a szczególnie odnawiało się w zbolałym sercu w rocznicę naszego powstania. Już od rana, co mówię, od wielu dni niektórzy z naszych gotowali się na zasmucenie braci swojej uszczypliwymi i ostrymi wyrzutami, niby tu ujmując się za sprawą polską, zdradzoną i straconą przez arystokratów.

Poczęliśmy jednak z Bogiem. O 11 z rana zebraliśmy się do kościoła St. Germain de Près i tam przy grobie śp. króla naszego Jana Kazimierza, co po 40-letnim panowaniu umarł pobożnie na obcej ziemi, ksiądz Skórzyński[12], emigrant, odprawił mszę świętą, na której znajdowali się dwaj prezesowie rządu, senat, izba poselska, byli ministrowie, generałowie i z pięciuset emigrantów bawiących w Paryżu.

Słuchano mszy przykładnie; wszyscy stali jak wryci, przyklęknęli na podniesienie, przeżegnali się po mszy, lecz jeszcze ksiądz nie doszedł był do zakrystii, kiedy już poczęli dzielić się na osobne grupy czy gromady, z których każda miała wyobrażać jakieś stronnictwo narodowe.

Wieczorem przy tymże kościele w dawnym mieszkaniu Jana Kazimierza odbyła się uroczystość rocznicy. Sala była w polskie i trzykolorowe francuskie chorągwie przybrana. Dwa wielkie sztandary, przysłane od obywateli Stanów Zjednoczonych dla naszego wojska, rozpięte były nad krzesłem przeznaczonym dla prezesa Komitetu, a dokoła wisiały portrety Kościuszki, Dąbrowskiego, Sobieskiego etc., jako też malowane orły nasze i pogonie.

Prezydował Komitetowi zięć Lafayette'a, pan Lasteyrie[13], a obok

---

[12] Szymon Skórzyński, rodem z Zamościa, kapitan legii litewsko-wołyńskiej w powstaniu listopadowym, na emigracji w Paryżu pełnił służbę przy kościele Saint Louis d'Antin.

[13] Charles du Saillant Lasteyrie (1759—1849), publicysta, agronom, współzałożyciel wielu towarzystw filantropijnych, przemysłowych i rolniczych. W autogr.: Lasterie.

niego zasiedli wojewoda Ostrowski, pułkownik Zaliwski[14] i Dwernicki gen[era]ł. Czekano na Lelewela i zostało miejsce jego próżne.

O szóstej godzinie uciszyło się zgromadzenie i poczęło od polskich przemówień, które choć ostre były i obraźliwe dla wodzów i naczelników rewolucji naszej, poszły na wiatr jako niezrozumiałe od cudzoziemców. Kosooki przeksta Czyński[15] z niewypowiedzianą pogardą i dumą ujmował sławie i dobremu imieniowi wszystkich naszych patriotów, co kierowali ostatnią wojną naszą i rządem. Nikomu nie przebaczył, a za każdy złośliwy przycinek odbierał oklaski. Głupi, szyderczy uśmiech przechodził od ławy do ławy; bawiono się własnym nieszczęściem. W ogólności osoby, do których były wymierzone owe szkalowania, nie były obecne.

Przed rozpoczęciem posiedzenia zapadła była zgoda na to, aby dla uniknienia burd Komitet miał prawo rozdawać głosy. Nie wszystkim się ta zgoda podobała. Wchodzi rozdąsany jak do szynku jeden z demokratów, nazwiskiem Saniewski[16], i oskarża wojewodę, że mu głosu odmówił; potrząsa ręką i grozi. Pozwalają mu czym prędzej mówić, słuchają, aż tu same oszczerstwa, brudy, skargi na szlachtę, na generałów, na oficerów, na panów, że kraj zgubili, że zdrajcy, że egoiści, tyrany etc.

Po nim chciwy oklasków i próżny Grzymała[17] wypalił długą perorę przeciw szlachcie polskiej, ale że nie był ani tak śmiały, ani tak uszczypliwy jak dwaj pierwsi, nie zrobił efektu.

Niewiele też wrażenia na słuchaczach zrobiły mowy Zaliwskiego i wojewody Ostrowskiego; pierwsza demokratyczna, druga ni to, ni owo.

O godzinie ósmej przerwano mowy polskie i wśrzód okrzyków wszedł Lafayette. Zajął krzesło prezesa. Poważny starzec, wielkie imię, bo wielką była jego cnota! Jego oczami patrzyło na nas więcej niż 60 lat wojen o wolność i krwawych rewolucji, w których on odegrał przeważną rolę i zasłużył na imię obywatela dwóch światów. Jego widok powinien był nas pogodzić, powiązać, zjednoczyć, gdybyśmy nauczeni nie-

---

[14] Józef Zaliwski (1797—1855), uczestnik powstania listopadowego, członek warszawskiego Towarzystwa Patriotycznego, na emigracji węglarstwa francuskiego, przywódca tragicznej wyprawy do Polski w r. 1833.

[15] Jan Czyński (1801—1867), publicysta, ruchliwy działacz TDP, współredaktor czasopisma „Postęp", współpracownik wielu pism francuskich, szereg prac poświęcił kwestii żydowskiej. Pochodził z rodziny, która od trzech pokoleń była katolicka. Zob. „Rocznik Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu za r. 1867", s. 377—378.

[16] Feliks Saniewski, nauczyciel, w czasie powstania wydawca dziennika „Polak Sumienny", na emigracji w Paryżu, potem w Mayenne, autor prac historycznych i geograficznych.

[17] Franciszek Grzymała (1790—1871), publicysta, krytyk literacki i poeta, w latach dwudziestych wydawca pism literackich, po roku 1831 wyemigrował do Paryża.

szczęściami, pamiętni na to, co kraj nasz ucierpiał i cierpi, sposobni już byli do zgody, jedności i wzajemnego szacunku.

Miał Lafayette na sobie mundur gwardii narodowej warszawskiej, jako kiedyś mianowany pierwszym grenadierem tej gwardii. Zabrał głos, a jego wymowa słodka, prosta, ujmująca, ukraszoną była dawną dworskością i elegancją francuską. Nazwał wojewodę Ostrowskiego naczelnikiem swoim (jako byłego naczelnika gwardii warszawskiej) i kolegą, a Polaków bracią najbliższą jego sercu.

Im szczersze, umiarkowańsze i bardziej urocze były słowa Lafayette'a, tym srodzej ubodły nas nierozważne, dzikie i rażące od żółci, jaką przesiąkłe były mowy francuskie naszych deklamatorów, co zaraz po nim głos zabierali. Odznaczył się między nimi niejakiś Krępowiecki[18], wierutny Żydek z twarzy: czarniawy, przymilających się oczu, choć patrzący spode łba i zjadliwy jak żmija.

Miałem ja od dzieciństwa, nie taję się, chętkę do demagogicznych uniesień, nie lubiłem niemieckich baronów i dyplomacji, wzdychałem do równości w obliczu prawa i do polepszenia bytu chłopów; a jednak, gdy wobec tysiąca cudzoziemców słyszałem Polaka w czarnych kolorach malującego kraj nasz dla miłości niby chłopów, których mieszczanin Krępowiecki ledwo kiedy widział, a nigdy nie żył z nimi; kiedym usłyszał, jak ten dumny i zuchwały przeksta malował Polskę naszą ciemiężącą lud i jak oskarżał rewolucje nasze o despotyzm, okrucieństwa i egoizm, wszystko to niby dla zdemokratyzowania Polski; kiedym obaczył, jak na te wszystkie niedorzeczności i zuchwałe szkalowania poklaskiwali nasi jakby na piekielnej uczcie, krew ścinała się we mnie, zimny pot wystąpił na lica, kryłem oczy, a wielu naszych uciekło.

Przez wiele nocy potem nie spałem i byłem jednym z tych, co nazajutrz podpisali adres do Lafayette'a, protestując przeciw zasadom i opinii Krępowieckiego.

Pożegnał nas zasmucony Lafayette, a w krótkiej, uprzejmej przemowie wyraził życzenie, abyśmy następną patriotyczną rocznicę naszej rewolucji obchodzili w Warszawie.

OGRÓD TUILERIES. WYPRAWA NA POLSKĘ

1833. 10 stycz[nia]. Byłem na posiedzeniu Towarzystwa Litewskiego, które to towarzystwo, złożone po większej części z samych Litwinów

---

[18] Krępowiecki (1798—1847), do powstania listopadowego Szymon, w powstaniu przyjął imię Tadeusz, oficer w korpusie Dwernickiego, później adiutant gen. Krukowieckiego; na emigracji ruchliwy karbonariusz współzałożyciel TDP, po wydaleniu z Francji, Belgii osiadł w Anglii, gdzie zorganizował — przy współudziale innych — stowarzyszenie Lud Polski, W autogr.: Krempowiecki.

i Wołyniaków, nie miało stałego celu i wkrótce się potem rozwiązało[19]. Znudzony próżnymi sporami i gadatliwością kolegów, co pod rozmaitymi pozorami szerzyli niezgodę i rozterki, wyszedłem, a za mną wyszedł Lelewel i zatrzymał mnie w przedpokoju. (Było to, jeżeli się nie mylę, w mieszkaniu Platerów przy ulicy Rivoli.)

Tonem poważnym, dobitnym, a z właściwym sobie tajemniczym wejrzeniem zapytał mnie Lelewel, czy się widziałem z Zaliwskim? „Mało go znam" — odpowiedziałem. „To źle — rzekł — trzeba się do niego zbliżyć: czy nie masz kogo w kraju do ścisłych, bezpośrednich stosunków?" „Od dawna nie mam listów z Litwy". „To źle, czas upływa, działania stygną, kraj w ciężkiej potrzebie".

Długo mi w ten sposób gadał w ogólnych wyrazach, jak gdyby szło o jaki nowy ruch rewolucyjny. Nie zrozumiałem go i rozeszliśmy się. Na schodach przyłączył się do mnie Michał Wołłowicz, dawny mój przyjaciel i jeden z najenergiczniejszych i najszlachetniejszych powstańców litewskich.

Choć mroźno było i szronem był pokryty Ogród Tuileryjski, poprowadził mię do ogrodu Wołłowicz, mówiąc, że ma do mnie rzecz wielkiej wagi, ważniejszą od całej naszej przeszłości. Widziałem niezwyczajny w jego oczach zapał i jakieś przedsięwzięcie już ukartowane. Poszliśmy w stronę, gdzie nie było przechadzających się, i tam zatrzymawszy się, rzekł:

„Idę do Polski; na wiosnę w całej Europie rewolucja, mamy komunikację z Moskwą i tam powstanie, każdy tymczasem powinien być na miejscu; 19 marca termin na Litwie, za kilka dni opuszczam Paryż — jedź ze mną".

„Co też się tobie roi, Michale — odpowiedziałem — czy nie widzisz, jak Paryż dalekim jest od rewolucji i jak mało na Francję teraz rachować możemy, cóż dopiero na Moskwę, na"

„Na siebie — przerwał — na lud nasz, na siebie samych tylko rachować możemy i powinniśmy; nie na panach, nie na dyplomacji, nie na obcych; a zresztą, cóż nas tu czeka? jakaż przyszłość? próżniactwo, zwada, nieczynność; tymczasem naszych w kraju męczą, katują, wywożą na Sybir, wybierają rekruta. Rozdrażnione rekrutczyzną chłopstwo nasze, czegoż nie dokaże, jeżeli mu damy wolność i własność ziemną, gdy je

---

[19] Towarzystwo Litewskie zawiązało się w Paryżu już 10 grudnia 1831 r. pod przewodnictwem Cezarego Platera, od marca 1832 r., przyjmując do swego grona także rodaków z Wołynia, Podola i Ukrainy, zmieniło nazwę na Towarzystwo Litewskie i Ziem Ruskich. Domeyko przygotował dlań obszerny plan pracy naukowej, który został przyjęty, ale był słabo realizowany wobec szeregu trudności. One też położyły kres istnieniu tego Towarzystwa. Zob. L. G a d o n, *Emigracja polska*, t. III, Kraków 1902, s. 37—41.

zrównamy ze szlachtą, co zaś do panów, to... ale co tam rachować na zimno: dosyć, że co tylko dzielnego w emigracji, w kim jest dusza, to pójdzie, daliśmy sobie słowo i rzecz skończona. Zaliwski wodzem".

Umilkł. Znałem dobrze Michała, że mu łatwiej wykonać najśmielszy czyn, niż komu o jakim śmiałym czynie pomyśleć, i że się rzuci na ogień choćby bez najmniejszej nadziei skutku. Żal mi go było; znaliśmy się z nim od dzieciństwa. Począłem mu więc otwarcie i wręcz przekładać, na jakie nieszczęścia narażają kraj swoją przedwczesną wyprawą; przedstawiłem mu lekkość i brak zdolności w Zaliwskim; jego szkodliwe przeciw szlachcie uprzedzenie i mylną rachubę na chłopach. Jeżeli w os[ie]mdziesiąt tysięcy wojska musieliśmy broń złożyć i nikt nam nie pomógł, któż się dziś za nas ujmie, jakie państwo odważy się dziś iść nam na ratunek, po zniesieniu wszystkich naszych korpusów pozbawionym broni, amunicji i wszelkich wojennych zasobów.

Długo mię słuchał Wołłowicz uważnie i zimno; potem zimniej jeszcze rozbieraliśmy następstwa i trudności wyprawy, stan wysilenia kraju, przecięte komunikacje etc.

„Ledwo kilkunastu was dojdzie i odniesie chwalebną śmierć, a dacie powód Moskwie do większego jeszcze udręczenia niż to, jakiego się dziś dopuszcza".

„Prawda — rzekł — być może kilkunastu dojdzie i zginie, ale każdy choć po jednym zabije Moskalu i pokaże, że nie przez bojaźń śmierci złożyliśmy broń w Prusiech i Galicji, ale przez niedołęstwo wodzów. Zresztą damy poznać naszym, że Polska powstaniem tylko ludu, bez broni i amunicji odrodzi się. Choćbym też sam jeden miał dostać się do Polski, do Litwy, to dojdę, powieszą mię, a moją śmiercią zagrzeję duch stygnący w narodzie".

Milczeliśmy potem, przechadzając się pod odartymi z liści drzewami. Po chwili znowu Michał: „A cóż, proszę, za korzyść dla Polski z waszego tu pobytu? Naigrawać się z was będą, osadzą wami fabryki swoje i rękodzieła, wymawiać wam będą, że jesteście ciężarem; pisma wasze i druki zbutwieją, a wy po szpitalach umierać będziecie; gdy tymczasem widzisz, jak to miło za kraj umrzeć, na swojej własnej ziemi, na Litwie. Ach! Ignacy, nie bądź głupim, chodź ze mną, potem będzie za późno — pozazdrościsz szubienicy mojej".

Ścisnął mię za rękę i jeszcze raz spojrzał tak ostro, że duszę jak nożem przebódł. „Do jutra — rzekł — do jutra".

W parę dni potem, gdyśmy się zeszli i z tąż samą zimną rozwagą rozbierali trudności i niebezpieczeństwa wyprawy, rzekł w wylaniu się przyjacielskim: „Jednej się rzeczy wstydzę, wierz mi, oto biorę truciznę z sobą i nóż, który może kiedyś na siebie obrócę; bo któż może być pewien sił swoich, że tortury wytrzyma; iluż to ojców familii i ich synów

los na mnie spoczywać będzie. Gdy mnie złowią, gdy na męczarnie pociągną, zgroza pomyśleć, że przy osłabieniu mógłby wróg z jakiej bolącej żyły wycisnąć słowo jakie nieostrożne albo łzę w męczarni".

Kiedym go zapytał o Przecławskiego, który czasu wojny towarzyszył mu w misji na Litwę i zdawał się być pochopnym do śmiałych i patriotycznych wypraw, powiedział mi, że tą razą Przecławski nie dotrzymałby mu kroku; wróciłby z drogi, a w drugich oziębiłby ducha.

Miał Wołłowicz na Litwie swoją narzeczoną, piękną jak anioł; kiedym mu o niej wspomniał, zasmucił się głęboko. „Ty się z nią gdzieś na puszczy obaczysz — rzekłem — a może ci w jakim żubrowym ostępie obchodzić będą wesele". Na to zaledwo skinął głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że się i to dla niego skończyło. „Nieprędko ją obaczę — rzekł — zapewne nigdy", i począł udawać, że go nigdy bardzo nie zajmowały kobiety. (Wiadomo, że schwycony w majątku swego krewnego w grodzieńskiej guberni, cierpliwie wytrzymał męczarnie, nie uciekając się do noża ni trucizny, nikogo nie skompromitował i spokojnie poszedł w Grodnie pod szubienicę, którą był sobie wyprorokował.)

W kilka dni po naszym widzeniu się znikł Wołłowicz z Paryża, nie pożegnawszy się z nikim. Jednocześnie dwudziestu kilku takich jak on zapaleńców różnymi drogami, każdy pod obcym imieniem i za fałszywym paszportem, ruszyło przez Niemcy do Galicji. Ostatni też pociągnął za nimi Zaliwski z młodym Dmochowskim[20], zostawiwszy w Paryżu młodą żonę i dwoje małych dzieci, nad którymi powierzoną miałem opiekę i której głównym protektorem oświadczył się być gen[era]ł Lafayette. Pietkiewicz[21] i ktoś drugi wyjechali też za nimi do Drezna, gdzie powierzony mieli sobie obowiązek utrzymywania komunikacji między wspomnianymi emisariuszami i emigracją.

Przez długi czas nic nie było można usłyszeć o nich. Ledwo połowa ich przedarła się do kraju, a tegoż samego roku Zawisza[22] znalazł śmierć w Warszawie, Wołłowicz w Grodnie.

---

[20] Henryk Dmochowski (1810—1863), prawnik, artysta rzeźbiarz; słuchacz Uniwersytetu Wileńskiego, partyzant w 1831 r., na emigracji karbonariusz, uczestnik wyprawy do Polski pod nazwiskiem Sanders. Po wyjściu z twierdzy w Kufsteinie przebywał we Francji, Anglii i Ameryce, wrócił do kraju około 1860 r., poległ w powstaniu styczniowym.

[21] Walerian Pietkiewicz (1805—1843), słuchacz, później profesor Uniwersytetu Wileńskiego, dowódca oddziału akademików w powstaniu listopadowym (przedarł się do Warszawy), poseł na sejm z pow. słuckiego, na emigracji sekretarz Komitetu Lelewela, nauczyciel w Tours.

[22] Artur Zawisza (1809—1833), porucznik jazdy płockiej w powstaniu listopadowym, współredaktor „Kuriera Polskiego", na emigracji członek wolnomularstwa, działacz TDP.

Zaliwski pozostał w Galicji; krył się po wsiach, czekając jakoby na organizacją powstania, któremu powinien był sam przewodniczyć. Kompromitował tymczasem i narażał na prześladowania rządowe wielu obywateli, u których ukrywał się, a na których nie przestawał skarżyć się w swoich tajnych korespondencjach, oskarżając o bezczynność panów naszych, szlachtę i arystokracją. Co gorsza on i — jak się zdaje — niektórzy z tych, co się z nim bez wyraźnego celu kryli, nie wstrzymywali się od propagandy chłopskiej przeciw panom, i Bogu tylko wiadomo, o ile się przyczynili, w pomoc Metternichowi, do rzezi galicyjskiej.

W korespondencji, którą w tym czasie utrzymywałem z Pietkiewiczem, są szczegóły, które w istocie niewiele sławy przynoszą wodzowi, gotującemu się zawczasu na dyktatora Polski.

Po kilkomiesięcznym wałęsaniu się i chowaniu się po rozmaitych folwarkach w Galicji przyszło w końcu do tego, co łatwo było przewidzieć, że wyszpiegowany od policji austriackiej i wzięty do fortecy odpokutował Zaliwski długoletnim więzieniem swoją nierozmyślność[23].

Odtąd lękano się w kraju emisariuszów jak złego ducha, nie dowierzano im, a ostygła w naszych wychodźcach chętka do nierozmyślnych wypraw.

IZBA DEPUTOWANYCH FRANCUSKA

Gdyby szczęście narodu zależało od krasomówstwa w obradach reprezentacji izbowej, żaden naród nie powinien by być szczęśliwszym od Francji za Ludwika Filipa. Zaraz bowiem po wyniesieniu go na tron wyszli na popis w obu Izbach prawodawczych i w ministerium mowcy i uczeni tak znakomici i tylu ich od razu, że trudno będzie kiedykolwiek innym państwom zdobyć się na coś obfitszego w tym rodzaju.

Tu albowiem zajaśnieli współcześnie na trybunie: Guizot[24], Thiers, Dupin (ainé)[25], Argout[26], Molé[27], Lafitte (z doktrynerów); Berrier[28],

---

[23] Skazany on został najpierw na karę śmierci, ale wyrok zmieniono na 20 lat twierdzy w Kufsteinie. Uwolniła go stąd rewolucja wiedeńska w 1848 r.

[24] François Pierre Guizot (1787—1874), polityk i historyk francuski, w latach 1832—1837 minister oświaty.

[25] Tj. Dupin starszy (André).

[26] Antoine Maurice d'Argout (1782—1858), minister wielu resortów, w r. 1833 minister spraw wewnętrznych, wrogo ustosunkowany do emigrantów polskich.

[27] Louis Mathieu Molé (1781—1855), francuski mąż stanu, za Ludwika Filipa dwukrotnie minister spraw zagranicznych, w 1836—1839 premier gabinetu. W autogr.: Molet.

[28] Pierre Antoine Berrier (1790—1868), wybitny adwokat i mówca francuski, od r. 1829 członek Izby Deputowanych, jeden z najgorliwszych obrońców legitymizmu.

Fitz-James[29] i inni (z legitymistów); Montalembert, Falloux[30] (z katolickiej szkoły) i niemało liberalnych: Carrel[31], Garnier-Pagès[32], Marrast, Cavaignac, a przy lewicy zaś umiarkowańszej zabierali głos: Lamartine[33] i stary przedstawiciel zasad 1789 r. Lafayette.

Nic więc dziwnego, że z wielką ciekawością poszedłem dnia jednego zwiedzić Izbę deputowanych dla widzenia tych wielkich oratorów, którym powierzony był los nie tylko Francji, mającej wpływ przeważny na politykę europejską, ale i los, jak się zdawało, pognębionych a szukających jej protekcji ludów.

Sala ogromna w kształt półkola; siedzenia deputowanych jak w uniwersyteckich aulach czy w Olimpijskim Cyrku, podnoszące się w kształt amfiteatru; u góry loże dla spektatorów, u dołu miejsca ministrów; we śrzodku na podniesionym tronie prezes, a przed nim, nieco niżej, z twarzą obróconą do deputowanych i publiczności, mówca.

Wielkie z początku wrażenie zrobił na mnie ten widok reprezentacji narodowej, która przypisywała sobie prawdziwą potęgę „de la souveraineté du peuple"[34]. Sesja była liczna, interesująca, prawie wszyscy więksi oratorowie głos zabierali.

Ale po chwili rozczarował mię widok starszego Dupina, prezesa; twarz i wejrzenie tak suche, głowa jakoby przypłaszczona, w ruchu i w przemówieniu coś szyderczego, obraźliwego. Natychmiast przyszło mi na myśl, co powiedział, gdy chodziło o działanie na zewnątrz Francji i jej wyższe cele: „chacun chez soi, chacun pour soi" (mówią, że właściwie jego słowa były: „chacun son droit[35]").

Wszedł na mównicę Thiers: istny kuglarz, mały, z zadartą głową, gęba duża, małe za okularami oczy, nos jak koma, ręce i ramiona jak skrzydła u wiatraka, głos chrapliwy, donośny, nieco cienki; słowa jak

---

[29] Eduard Fitz-James (1776—1838), pułkownik gwardii narodowej, par Francji, stronnik Ludwika Filipa (złożył mu przysięgę). W autogr.: Fitzjames.

[30] Alfred Frédéric Pierre Falloux (1811—1866), mąż stanu i publicysta francuski, współzałożyciel katolickich organizacji charytatywnych za Ludwika Filipa, później minister oświaty i wyznań religijnych.

[31] Armand Carrel (1800—1836), publicysta i historyk francuski, współzałożyciel dziennika „Le National", po roku 1830 jego redaktor; gorący obrońca sprawy polskiej. Zginął w pojedynku z redaktorem dziennika reakcyjnego „La Presse" Emilem Girardin.

[32] Etienne Joseph Louis Garnier Pagès (1801—1841), polityk franc., od r. 1831 przywódca lewicy republikańskiej w Izbie Deputowanych, obrońca emigrantów polskich w parlamencie.

[33] Alphonce Marie Louis Prat de Lamartine (1790—1869), poeta, historyk i mąż stanu, od r. 1829 członek Akademii Francuskiej.

[34] „Władzy ludu".

[35] Zob. przyp. 111, 112 na s. 140.

kartacze posypały się i była cichość nawet na lewej stronie; tak umiał opanować uwagę niesfornej publiczności.

Po nim ukazał się na trybunie Berrier: twarz szlachetniejsza, poważna, rysy wydatne, spojrzenie razem bijące do serca i do umysłu; wysoki, nieco rubaszny, miał głos donośny, jędrny; zakrawał jakby na jakiego z naszych trybunałów mecenasa.

Niezbyt pochlebnie odbijał od niego Garnier-Pagès, odwołujący się do czysto liberalnych zasad, nudny, bez wielkiego uniesienia i jak gdyby sam nie bardzo wierzył w to, co mówił. Po nim przemówił Odilon Barrot, umiarkowańszy w zasadach i w wyrazach, znany przyjaciel nasz i obrońca. Oba wielcy adwokaci mówili jakby przed sądową kratą, a byle frazes mniej przychylny rządowi głuszyli ich bijąc po ławkach drewnianymi nożami i wołając: „allons donc! allons donc!"[36] deputowani ze środka, stronnicy rządowi.

Uciszył Izbę krótkim przemówieniem Guizot, którego twarz bardziej niemiecka niż francuska, wysokie czoło, ton mowy umiarkowany, język poprawny, frazesa dobrze ułożone, a nade wszystko wielka logiczność i nieprzesada przedstawiały obraz człowieka myślącego, filozofa bardziej niż polityka.

Chodziło nie pamiętam dobrze o co, ale wiem, że w owej długiej dyskusji zadraśnięto nas, emigrantów. Posunął się tedy do trybuny stary Lafayette i gorącymi, serdecznymi słowami ujął się za sławą naszą, dowodząc, że Polacy nie są wychodźcami szukającymi bezpieczeństwa i chleba we Francji, ale prawdziwymi sprzymierzeńcami Francji (nos alliés), którzy obronili Francję od wojny i bronili praw swoich i praw ludzkości, że zatem Francja obowiązana jest wspierać emigrację nie przez miłosierdzie (pas par charité), ale z politycznych widoków i z wywiązania się za usługi, których doznała od Polski.

Nie dano mu dokończyć. Nie tylko śrzodek Izby (le ventre), ale i część prawej strony zagłuszyła poważnego weterana swoimi „allons donc" i biciem po papierach drewnianymi nożami. Zeszedł Lafayette, opierając się na synie swoim Grzegorzu[37] i na zięciu, panu Lasteyrie.

Nie wróciłem odtąd do Izby, o której sklepienia obiły się bez wielkiego oburzenia owe pamiętne słowa Sebastianiego: „L'ordre règne à Varsovie" i gorsze po tysiąckroć koncepta Thiersa: „On ne ressucite pas les morts. La Pologne est destinée à périre"[38].

---

[36] „Dalej więc! dalej więc!"

[37] Georges Washington Lafayette (1779—1849), polityk, uczestnik wojen napoleońskich, od r. 1815 deputowany partii lewicowej. Domeyko mylnie tłumaczy imię Georges (Jerzy) na Grzegorz.

[38] „Nie wskrzesza się zmarłych. Polska jest przeznaczona, aby zginąć".

Była to wielka szkoła gadatliwości i dumy ta Izba; jednak wiele w niej do nauczenia się mieć będą Polacy, jeżeli Bóg dozwoli odzyskać nam sejmy nasze i narodowość.

BAL REPUBLIKAŃSKI (19 MARCA)

W tym roku tak się już było zaludniło więzienie Ste-Pélagie republikanami pod rządem króla bourgeois, że nim do czego lepszego nie przyjdzie, postanowiono dać bal na wspomożenie przytrzymanych w tym więzieniu. Rozumie się, że bal był republikański, na którym miały odnowić się pamiątki, stroje i obejście się z czasów terroryzmu robespierrowskiego. Bilet kosztował tylko 20 sous i każdemu wolno było wejść na bal, wyjąwszy służących partykularnych i lokajów. Przeciwnie, służący z hotelów, garsoni z kawiarni, nawet szyfoniery byli zaproszeni, jak gdyby służyć publicznie wszystkim było mniejszą służbą niż służyć jednemu na osobności; jak gdyby despotyzm wielu był znośniejszy i mniej poniżający niż despotyzm jednego.

Miejsce na bal wybrano w sali Vauxhall[39] na przedmieściu Św. Antoniego; prawie cała nasza Polonia posypała się na to widowisko. U wejścia mnóstwo zapaleńców w pąsowych i białych rogatych à la Marat[40] kamizelkach z trzykolorowymi kokardami przyjmowało gości, a co słowo to: „citoyen", „citoyenne!"[41]

W dolnych salonach były grupy brudniejszych sankiulotów, którzy przy kuflu traktowali się wzajemnie tymiż tytułami „citoyen", „citoyenne", jak gdyby tymi słowami z czasów terroryzmu gminnego usiłowali wywoływać duchy owych potwór obryzganych krwią i bezbożnych. Była tam na dole sama demokratyczniejsza demokracja, mniej zaś demokratyczna tańczyła na górze.

U wejścia do górnych salonów przyjmowali wchodzących ludzie okrzesańsi; nieco łagodniejszym tonem i ciszej powtarzali „citoyen" i „citoyenne", a w ich stroju było więcej kokieterii republikańskiej i więcej elegancji. Galerie były zajęte przez klasę nie mniej liberalną, ale stanowiącą jakoby coś lepszego, dającą ton dla tych, co się nie chcieli mieszać do ogółu i woleli być tylko widziani, a i tam łatwo było upatrzyć koterie i odcienia naśmiewających się.

---

[39] Vauxhall, nazwa słynnego ogrodu nad Tamizą (Vauxhall Garden), w którym odbywały się różne zabawy. Nazwę przyjęły inne miasta europejskie dla swoich miejsc zabaw. W autogr.: Vokhal.

[40] Jean Paul Marat (1743—1793), lekarz, publicysta, jeden z przywódców wielkiej rewolucji francuskiej, współsprawca masowych traceń, rewolucyjnego terroru, naczelnik „Góry" w Konwencie.

[41] citoyen, citoyenne (fr.) — obywatel, obywatelka.

W tańcu zawsze ci sami Francuzi: skoczni, zalotni, weseli, sposobni biec od kontredansa do burdy, dowcipkujący tak z siebie, jak z drugich, kobiety, po większej części szwaczki, praczki, pokojówki, były przybrane w pąsowe czapeczki frygijskie, pąsowymi szarfami przepasane i nie szczędziły tytułów: „citoyen" i „citoyenne" w rozmowie.

Na słupach czytano: „Kto by nierozważnym słowem chciał wywołać rozruch lub obrazić rząd, uważany będzie za nieprzyjaciela wolności".

Cavaignac, redaktor „Trybuny", był głównym gospodarzem balu i strzegł porządku, aby nie dać najmniejszego powodu policji do wmieszania się do zabawy.

Nie była to jednak zabawka niewinna: między okrzesańszą, jaskrawą, w białe i czerwone kolory przybraną publicznością snuły się mniej grzeczne postacie istnych sankiulotów w pąsowych długich, grubych czapkach, które im do pasa w tył spadały, czerwonymi zakończone kutasami, a kokardy na ich czapkach nie były trzykolorowe, ale okrągłe, czarne z białym: godło krwawych momentów. Niedobrze im z oczu wyglądało, choć bardziej milczący byli od drugich i przechadzali się nie szkodząc nikomu.

Przechadzali się też po sali saintsimoniści w swoich artystycznych czerwonych strojach, jak aktorowie na teatrze; a jak się tu oni znaleźli w styczności z wielbicielami Marata, Dantona[42], Robespierre'a, tego niełatwo wytłumaczyć.

Muzyka wciąż grała skoczne i zalotne tańce: bawiono się, jak za dobrych czasów; a jednak było tu rendez-vous[43] tajnych towarzystw i konspiracji, klubów i szpiegów, pochlebców ludu i ambitnych trybunów. Zabezpieczonym być sądzili doktrynerzy tron Ludwika Filipa, dopóki przeważna większość w Izbach, sztucznie, choć legalnie uzbieranych, zabezpieczała jemu i jego dynastii panowanie. Tymczasesm na dnie narodu poczynało wrzeć nieukontentowanie, a świeże tradycje rewolucyjnego szału ośmielały i niepokoiły lud, zawsze skory iść na usługi ambitnych, jeżeli go nie zagrzeje wyższy jaki cel: miłość ojczyzny i sława.

Ronty[44] nieustannie przeciągały po ulicy: żandarmeria była czujną, obywatelstwo balowe coraz gwarliwsze i weselsze. Zaledwo północ wybiła, zabrzmiała *Marseillaisa* i zaraz poczęliśmy się rozchodzić, my, Polacy, bo nas policja miała szczególnie na oku.

---

[42] Georges Jacques Danton (1759—1794), adwokat, jeden z przywódców wielkiej rewolucji francuskiej, po upadku monarchii minister sprawiedliwości, inspirator terroru.

[43] rendez-vous (fr.) — schadzka.

[44] ronty — patrole nocne.

TARAN I VOBAN

Z tytułu wniesie niejeden z czytelników, że będę mówił o Francuzach; bynajmniej: Taran i Voban były to dwa obozy emigranckie, które przez czas niejaki poróżniły emigracją i ją kłóciły niemiłosiernie. Już wyżej wspomniałem, że Lelewel i jego Komitet zwoływał emigrację polską na narady do sali położonej pod nr 12 przy ulicy Taran[ne]. Mała to była uliczka, krótka i przy niej stał niewielki dom, w którym dość obszerna sala była miejscem zbierania się wielu bardzo towarzystw sekciarskich, posiedzeń, odczytów publicznych i prywatnych. Zawiadował ową salą i miał ją do rozporządzenia według swojej woli jakiś p. Cassin[45], przyjaciel nasz, ale też przyjaciel wszystkich reform i nowości politycznych, religijnych, socjalnych i naukowych. Był to człowiek dziwnie potulny, łagodny, grzeczny, cichy, zdawało się, jakby najspokojniejszy z ludzi, a był może za wszelkim wzburzeniem, niepokojem na tym świecie. Podobny był pod tym względem do p. Jullien de Paris, którego znałem w Paryżu, a który był za czasów najkrwawszego terroryzmu rewolucyjnego sekretarzem prywatnym Robespierre'a. Był p. Jullien tak łagodny z pozoru, tak tkliwego serca w obejściu się, że rzekłbyś, iż nie miałby odwagi pchły na nieprzyjacielu zabić; któż jednak obliczy, ilekroć razy gilotyna na jego skinienie grała i ile śmierci spod jego pióra zionęło. P. Jullien, niskiej urody, głowa bielutka od starości, nieco schylony i nudny, napisał dzieło: *De l'emploi du temps*[46], którego nikt nie czyta, bo bardzo nudne.

Owoż wracając do swego, rozgościł się był jak na swoim zagonie nasz Komitet lelewelowski i co kilka dni szły inwitacje[47] od Lelewela na posiedzenia tak nazwanego Ogółu, na których uchwalono odezwy do ludów, nawet do Moskali, manifesta i organizacje, zdawano sprawę z komunikacji dość licznych z zakładami po prowincjach i miano się naradzać nad kwestiami bardzo ważnymi dla przyszłej Polski. W ogólności zaś rzadko przyszło do rezultatu, tak byli kłótliwi i skorzy do dyskusji nasi.

Jednego wieczora, kiedy było ze dwieście naszych na Taranie pod

[45] Eugène Cassin (1796—1844), socjolog francuski, członek i współzałożyciel wielu towarzystw dobroczynności, sekretarz Komitetu Francusko-Polskiego, ofiarną dłonią i sercem służący polskim emigrantom. W autogr.: Casim.

[46] Marc Anton Jullien, zwany Jullien de Paris (1775—1848), publicysta, wydawca „Revue Encyclopédique", członek korespondent Towarzystwa Literackiego, od r. 1828 członek Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, po upadku powstania listopadowego obrońca sprawy polskiej, autor kilku broszur o powstaniu polskim, przyjaciel Kościuszki i autor jego życiorysu. Tytuł wspomnianej przez Domeykę pracy w brzmieniu polskim: *O użyciu czasu.*

[47] inwitacje — zaproszenia, wezwania.

prezydencją gen[era]ła Sierawskiego, weszli na sesją Kamiński[48], Mochnacki, I. B. Ostrowski i wielu innych demokratów i zarzucali Ogółowi, że obraduje nieprawnie, że jest pod wpływem arystokracji, że nie ma misji legalnej etc. Wyłajano Mochnackiego i Ostrowskiego; sesja była burzliwa i trwała do późna. Odtąd wielka część naszych przeniosła się na obrady do hotelu Vauban przy ulicy Saint Honoré i tam partyzanci Umińskiego i Mochnackiego, vaubanistami przezwani, wezwali delegowanych z zakładów do obioru nowego komitetu. Nie tracąc czasu, nowy urządzono Komitet pod prezydencją Dwernickiego i nową Radę paryską pod przewodnictwem Łagowskiego.

Nie przeszkadzało to jednak taranistom do rozbierania nowych zasad, urządzeń, ustaw i praw nie tylko dla emigracji, ale i dla przyszłej Polski. Zrazu dyskusja szła żywiej, lecz wkrótce słabnieć zaczęła. Zdrowszy rozum i praca, którą każdy, kto mógł, zajął się dla zabezpieczenia bytu, upamiętały większość emigracji. Jeszcze w lutym 1834 r.[a] schodzili się, choć w małej liczbie, niektórzy z naszych do Taranu. Vaubaniści prędzej zamknęli swoje narady. Wygnanie z Paryża Lelewela, Hłuszniewicza[49], Konst. Zaleskiego i innych dobiło do ostatka spory emigracyjne; Komitet Dwernickiego trwał dłużej.

GRIGNON[50]. WYŚCIGI ORACZÓW 7 LIPCA

Nadeszło lato. Odżyła w litewskim sercu tęsknota do naszych żniw i sianokosów, do owych pieśni żniwiarek naszych, którym nic nie dorówna w uroku na naszych rozległych polach, tak urozmaiconych w płody i zmieniających barwy swoje z każdą porą roku. Tu mury paryskie i zgiełk zawsze te same, ta sama zawsze próżność, ambicja i duma ludzka albo próżniactwo i roztargnienie.

Jednego dnia, kiedy patrząc na bawiące się w Luksemburskim Ogrodzie dzieci myślałem o kraju, słyszałem Francuzów rozmawiających o mających nastąpić nazajutrz w Grignon (o 7 lieues[51] od Paryża) uroczystościach rolniczych. Miały to być, jak zapowiedziano, p o p i s y, czyli w y ś c i g i (concours) oraczów. Wyścigi oraczów! Wyścigi na płu-

---

[a] W autogr. pomyłkowo: 1854 r.

[48] Może Ludwik Kamiński (1786—1867), pułkownik, w czasie powstania listopadowego gubernator Warszawy, znany w literaturze jako tłumacz Tassa, Byrona i in.

[49] Antoni Hłuszniewicz (1793—1861), lekarz; student Uniwersytetu Wileńskiego, powstaniec i poseł borysowski na sejm 1831 r., na emigracji członek tajnego komitetu Zemsta Ludu, później (1833) Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu; ofiarny społecznik, Szkole Batignolskiej, skupiającej polską dziatwę, przekazał w testamencie swoją bibliotekę. W autogr.: Hłuśniewicz.

[50] Grignon, osada rolnicza w depart. Seine-Oise.

[51] lieue (fr.) — mila francuska, około 4500 m.

gi! Co też to za fest? Od wyjazdu z Zapola prawie nie widziałem oraczów przy robocie, a jeżeli widziałem, to z roztargnienia nie zwróciłem ku nich uwagi.

O świcie więc nazajutrz wyszedłem z Carrefour de l'Observatoire[52] i o południu przyszedłem do Grignon, zatrzymawszy się tylko na moment w Wersalu dla posilenia się.

Ja sobie wyobrażałem, że obaczę coś podobnego do naszych morgów, naszych soch i oraczy, siermiężnych chłopów naszych pracowitych, a może i wójta, i ekonoma; aż tu widzę pół Paryża: prezes Izby Deputowanych, minister, gwardia narodowa, mnóstwo panów, hrabiów, książąt etc. Huk, bębny, muzyka. Na roli, gdzie miano ubiegać się o pierwszeństwo, było kilkanaście przepysznych par wołów i tyleż rozmaitej formy pługów. Przypatrywali się im z ciekawością paryżanie, a byli też na ustroniu ludzie, którzy ze stroju i z układu zdawali się należeć do klasy rolniczej.

Mer, rada municypalna i wielu znawców należało do wyboru sądu przysięgłych (jury), których obowiązkiem było dać sąd i oznaczyć warunki, pod którymi miały się odbyć owe popisy.

O trzeciej dano znak i ustawiono na zagonach pługi, każdy pod numerem i nazwaniem właściciela i wsi, z której pochodził. Uderzono w bęben: wystąpili we frakach oracze dobrze i pięknie ubrani; zrzucili fraki i każdy stanął przy swoim lemieszu. Raz jeszcze uderzono w bębny i puściły się w zawód, porząc czarnoziem aż miło, dobrze kierowane pługi. Chodziło o to, kto prędzej i lepiej wyorze naznaczoną mu rolę i czyje woły będą mniej zmęczone.

O zachodzie słońca stanął na polu sąd przysięgłych i obejrzawszy dobrze robotę, woły i zoraną rolę, mając na względzie czas, w którym każdy z oraczów stanął u kresu, ogłosił wyrok i dał pierwszeństwo pługowi p. Grange z Nancy. Pług kosztował 160 franków, sam ciągnął się prawie bez żadnej trudności i wysilenia się oracza, tylko na zawrotach potrzeba było go podnosić. Miano też na względzie głębokość skiby i równość w wyoraniu etc.

Tu się pocisnęli paryżanie; znowu muzyka, wrzask paryski. Późno wieczorem wróciłem z concours do Paryża, nie bardzo zadowolony z owej fety rolniczej, która bardziej do jakiego widowiska na bulwarach i do komedii była podobna niż do naszych cichych, gospodarskich robót; nie mogłem jednak nie uznać zasługi, jaką oddają ludzie wysoko położeni w kraju swoim opiekowaniem się nad rolnictwem i udziałem, jaki biorą w jego postępie i udoskonaleniach.

---

[52] Nazwa dzielnicy Paryża.

LAGRANGE[53]. W GOŚCINIE U GEN. LAFAYETTE'A (PIERWSZYCH DNI WRZEŚNIA)

Było to z powodu zajęcia się składką dla żony i dzieci Zaliwskiego, że gen. Lafayette, chcąc o tym pomówić ze mną i przynieść jaką dla nich ofiarę, zaprosił mnie do siebie na wieś do swego majątku Lagrange, znanego z gościnności i gospodarki.

Pojechałem do niego z p. Józefem Zaleskim[54], bratem stryjecznym Bohdana, i przybyliśmy do Lagrange wcześnie przed zachodem słońca. Jesienny kolor pól i gajów, świeżo zebrane żniwa i przygotowana rola do usiewu obudziły w obu nas gospodarzach miłe i smutne wspomnienie. Zapominaliśmy, że jedziemy do człowieka sławnego w dziejach rewolucji amerykańskiej i francuskiej, ostatniego z promotorów i wielkich świadków wstrząśnienia [17]89 r., pierwszego i ostatniego naczelnika gwardii narodowej francuskiej, obywatela dwu światów.

Lagrange niepodobne jest do naszych dworów i majątków. Zajechał nasz powóz i stanął przed zameczkiem (château), który z wejrzenia raczej był podobny do rezydencji jakiego barona czy markiza niż nowego liberalisty. Wejście do zamku nieco smutne, nieokazałe, nie widać było dworzan ni lokajów.

U wejścia na dziedzińcu stały dwie harmatki, które miasto Paryż darowało generałowi pierwszych dni rewolucji lipcowej. Po chwili wyszedł stary służący i zaprosił nas do pokoju. Przechodząc przez salę jadalną i inne dwa salony, widzieliśmy zawieszone na ścianach adresa Stanów Zjednoczonych z czasu ostatniej podróży Lafayette'a do Ameryki i z epoki wojny o niepodległość, portreta Washingtona, Franklina, Kościuszki, pamiątki ze wszystkich prawie rewolucji, które od pół wieku świat niepokoją.

W ostatnim pokoju, dosyć przestronnym i bogato przybranym, przyjął nas generał ze szlachetnym ujęciem, które łączyło w sobie dawną arystokratyczną okrasę i powagę z prostotą, z uprzejmością gospodarza domu i nie udaną, serdeczną grzecznością.

Siedziały na sofie dwie wielkiego tonu panie, córki generała, margrabinie Latour-Maubourg i Lasteyrie, te same które, jeśli się nie mylę, podzielały z ojcem swoim austriacką niewolę[55]. Przy Lafayetcie siedział

---

[53] Lagrange, miejscowość w depart. Seine-et-Marne.

[54] Józef Zaleski (1789—1864), uczestnik kampanii napoleońskich, powstania listopadowego w korpusie Dwernickiego, spiskowiec w Galicji, biorący udział w wyprawie Zaliwskiego, od r. 1833 przebywał w Paryżu. Nie był on bratem Bohdana Zaleskiego, tylko jego imiennikiem i nieodstępnym towarzyszem, stąd powszechnie uchodzili za braci. Zob. Z. Miłkowski, *Sylwety emigracyjne*, Lwów 1904, s. 212 n.

[55] W Ołomuńcu, w latach 1792—1797.

syn jego Grzegorz, istny szlachcic sejmikowy polski, łysy, gruby, zawołany gospodarz, republikanin i wielki nasz przyjaciel. Opodal stał młody Lasteyrie[56], wnuk Lafayette'a, niedawno co przybyły z wyprawy portugalskiej, na której towarzyszył królowi Don Pedro i młodej Marii da Gloria. Był ranny, blady, milczący i nie brał udziału w rozmowie. Na śrzodku pokoju bawiło się na ziemi dwoje małych dzieci, dziwnie pięknych i zabawnych: córeczki Grzegorza.

Po chwili weszła księżna Belgiojoso[57], młoda, bogata, sławna z rozumu, dowcipu i piękności, żona emigranta, bardzo liberalna, chociaż z powierzchowności bardziej na sentymentalną, romansową i dworską damę niż na rewolucyjną heroinę wygląda. Stary generał przyjmował ją, jak przystało na markiza z dworu Ludwika XVI i jak przystało na obrońcę i protektora wszystkich narodowości i spraw popularnych. Generał był ubrany, jak godzina wieczornego przyjęcia wymagała, w czarnym fraku i białym krawacie, a całe towarzystwo stosowało się do tejże etykiety. Rozmowa toczyła się dosyć żywo i przyjemnie; z równą łatwością przechodzono od dworu Ludwika Filipa do klubów, od literatury romansowej do historycznych faktów, co do Izb do Ste-Pélagie[58], od stolicy do wiejskich zabaw, od Polski do Stanów Zjednoczonych, od Lombardii do Syberii.

Przyjemna to nader owa salonowa konwersacja ogólna, która bawi i nie trudzi umysłu, nie obraża osobistości, nie uchybia nikomu, nie potrąca o żadną strunę zbyt brzęczącą. Taką też była ta rozmowa wieczorna, ale wśród niej miałem tylko na uwadze, co mówił, i na oku przedstawiciela, świadka i wspólnika dwóch największych rewolucyjnych wstrząśnień na dwóch połowach ziemi.

Około dziesiątej odeszły damy i wkrótce zaprowadzono nas dwóch do gościnnego pokoju, gdzie służba[?] była jak u nas.

Sen nie przychodził na zawołanie. Myśl, że nocuję w gościnie u Lafayette'a obudzała tysiące wspomnień rewolucyjnych: walący się tron Kapeta[59], konwencją i jednoczesny zabór Polski; człowieka, co w młodości był markizem na dworze Ludwika, a przeżył rzeczpospolitą, cesarstwo, restauracją i sili się na starość podpierać konstytucyjny porządek w opozycji z nowym królem i samolubnym jego ministrem i doktryną. Gdyby nie owe zmiany i wstrząśnienia, byłby ten cichy, skromny za-

---

[56] Adrien Jules du Saillant Lasteyrie (1810—1883), polityk i publicysta, członek Izby Deputowanych, senator.

[57] Krystyna de Belgiojoso (1808—1871), księżna z domu Trivulzio, żona Emilio Barbiano, publicystka włoska, biorąca żywy udział w ruchach wolnościowych. W autogr.: Belgiosi.

[58] Sainte-Pélagie, dawny klasztor, podówczas więzienie polityczne.

[59] Ludwika XVI.

meczek rezydencją magnata opływającego w dostatki i dygnitarstwa. Złączony z domem Noaillów[60], margrabia byłby otoczony tłumem pochlebców, głaskany od króla i jego dworaków. Dziś ledwo kto zajrzy do jego komnaty; syn przeszedł na gospodarza, a dostojne córki, też jak on rozbitki fortuny, są ostatnią dla sędziwego ojca pociechą.

Nazajutrz rano była msza w zamkowej kaplicy; potem około dziesiątej śniadanie, na którym damy były w rannym stroju, generał dosyć elegancko w czarnej tużurce[!] zabawiał księżnę Belgiojoso; rozmowa była dosyć zajmująca, choć niewesoła. Po śniadaniu Lafayette poprowadził młodą a piękną księżnę do ogrodu i towarzyszył jej z całą dworskością francuską i szlachetną bez przesady grzecznością; tylko od czasu do czasu widać było w nim chód niepewny, nieco chwiejący się. Księżna zaproponowała wrócić do pokoju z przyczyny gorąca.

Poszliśmy oglądać gospodarstwo w Lagrange i piękną mleczarnię, gdzie stoły i ławy marmurowe, naczynie z białego fajansu i wielka czystość, jakoby w salonie, dawały poznać, że stary generał sam miał upodobanie w tej robocie, która zbyt różniła się od naszych folwarcznych mleczarni. Widzieliśmy też piękne krowy, drób i niewielkie tłuste wieprze amerykańskie; wszystko dobrze i starannie utrzymane.

Na pożegnanie przyjął nas generał w swojej bibliotece. Mówiąc o pani Zaliwskiej i jej dzieciach, wyraził się z wielką otwartością, że ich los zajmuje go bardzo i że żałuje bardzo, że nie jest w stanie być im pomocą, jak by sobie życzył; ale — dodał — w kilka dni pojadę do Paryża i spodziewam się, będę mógł przesłać pani Zaliwskiej „une centaine de francs"[61]. W istocie wkrótce uiścił się ze swego przyrzeczenia, a szczegół ten daje do poznania, jak szczupły w ostatnim czasie był majątek generała i jak dobre było jego serce.

Tegoż samego dnia wróciliśmy do Paryża oczarowani szlachetnością, szczerością i przyjacielskim ujęciem generała.

---

[60] Poprzez żonę z domu Noailles, Marie Adrienne, córkę bogatego księcia d'Ayen.
[61] „Sto franków".

V. Cokolwiek o uczonych, na których kursa uczęszczałem w Paryżu 1832—[18]33

Zaledwo byłem ochłonął z rewolucyjnej zawieruchy i z emigracyjnej ruchawości, poczęła mi się odnawiać i z całą gorączką recydywy odświeżać chęć połykania nauki, nie już z tekstów czy jak dawniej od profesorów, którzy tylko ze sławy i z imienia znali Gay-Lussaców, Thénardów[a] etc., a sami z ich książek czerpali naukę, ale z pierwszej ręki, z ust i oczu samychże uczonych, których od młodości nawykły byłem czcić jako wynalazców i twórców nowożytnej nauki. Pożegnawszy się więc na długi czas z polityką, począłem chodzić na kursa do Sorbony, do Collège de France, do Ogrodu Botanicznego i do Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł.

Nie jest to lada rzecz słyszeć samego wynalazcę, mówiącego o wynalazku swoim, mianowicie kiedy do jego imienia przywiązany jest urok sławy i nieśmiertelnego życia. Przyznam się, że wchodząc na Sorbonę zdawało mi się, że z kilku słów usłyszanych z ust owych sławnych pierwszego rzędu uczonych więcej się nauczę niż z wielu lekcji na naszych uniwersytetach. Omyliłem się.

Pierwszy z owych uczonych, którego posłyszałem na katedrze, był Hachette[1]; ostatni to był rok jego wykładu geometrii rysunkowej. On to z Monge'em[2] byli pierwszymi twórcami tej nauki; choć dawno przed nimi znane były u architektów, mianowicie między rzemieślnikami, co obrabiają kamienie na budowle, do sklepień, do kolumn etc., liczne wykreślenia (épures) praktyczne, prawidła stanowiące główną część owej geometrii. Hachette już był bardzo podeszłego wieku, niskiej urody, przyjemnego wejrzenia, suchej twarzy, nie oznaczającej bynajmniej wyższego geniuszu.

---

[a] W autogr.: Tenarów.

[1] Jean Nicolas Pierre Hachette (1769—1834), matematyk francuski, członek Akademii Nauk.

[2] Gaspard Monge (1746—1818), matematyk, współzałożyciel dwóch wyższych szkół w Paryżu, w latach 1792—1793 minister marynarki.

Zdziwiłem się, że choć kurs jego na Sorbonie był bezpłatny, zaledwo ośmiu uczniów liczył; i kiedym zapytał jednego z nich o przyczynę, powiedział mi, że w ogólności młodzież, co się kształci na architektów i inżynierów w Paryżu, woli płacić drogo za lekcje prywatnym i wcale nie znajomym z imienia profesorom niż chodzić na lekcje publiczne Hachette'a, z których mało co można skorzystać. W istocie we dwa miesiące potem płaciłem dosyć drogo, jak na moją kieszeń, młodemu profesorowi p. Adhemar[3] za lekcje prywatne geometrii rysunkowej i przekonałem się, że można być wielkim geometrą jak Hachette, być sławnym, twórcą nawet nauki, i być niezdatnym do uczenia.

Nie więcej miał uczniów p. Francoeur[4], profesor rachunku różniczkowego i integralnego na Sorbonie. Półwieczny, ale chorowity, przypominał mi żywo z wykładu swego i z metody pana Polińskiego[5], którego niegdyś kursu słuchałem w Wilnie. Z tekstu Francoeura więcej się można było nauczyć niż z jego kursu.

Baron Poisson, najgłębszy może z matematyków tegoczesnych, wykładał mechanikę racjonalną na Sorbonie. Poważny, skromny, prosty w obejściu się, miał w istocie coś niepospolitego w swoich rysach, oznaczającego wyższy rozum. Z trudnością tłumaczył się; ciemniej, niż pisał; zacinał się dosyć często w rachunkach i był dosyć suchy w wykładzie. Na jego lekcje z obowiązku uczęszczali uczniowie Szkoły Normalnej, a oprócz nich czterech tylko miał uczniów, co z własnej ochoty słuchali jego kursu.

Innego wcale ujęcia, wejrzenia i charakteru był baron Thénard. Istny baron, dworak, gaduła: miał do trzechset uczniów na Sorbonie i mało co mniej w Collège de France. Lubił oklaski i nie szczędzono ich mu przy wejściu do sali i przy końcu każdej lekcji. Wysoki, okrągłej twarzy, nieco ospowaty, dosyć pospolitej twarzy, ale żywy w ruchach i giestach i nie ukrywający bynajmniej pretensji do podobania się słuchaczom. Miał dobrego preparatora na Sorbonie p. Barruel[6], który znał jego kaprysy i nigdy nie chybiał z doświadczeniem w momencie, kiedy go potrzebował Thénard. Lekcje były bawiące, dosyć jasne, nieco teatralne, tak że mimowolnie przywodził na myśl ową karykaturę paryską, na

---

[3] Alfonse Joseph Adhémar (1797—1862), matematyk francuski, pierwszy projektodawca kolei obwodowej w Paryżu. W autogr.: Ademar.

[4] Louis Benjamin Francoeur (1773—1849), matematyk francuski, autor licznych prac z zakresu astronomii, mechaniki, członek L'Académie des Sciences.

[5] Michał Pełka Poliński (1784—1848), bibliograf, profesor i dziekan wydziału nauk fizycznych Uniwersytetu Wileńskiego.

[6] Tenże preparator miał swoją sławę, opowiadano np., że „Pan Barruel chemik wyciąga żelazo z krwi ludzkiej, ma się rozumieć po osobach umarłych, i kuje z niego medale w wielkości złotego pieniądza 40 franków". Zob. K. Hoffmanowa, *Pamiętniki*, t. II, Berlin 1849, s. 114.

której Gay-Lussac pracuje w laboratorium i robi odkrycia, a Thénard przez okno peroruje z podniesionymi rękami. Thénard był, jakem powiedział, dworak; Napoleon niewielką przysługę zrobił nauce, mianując uczonych baronami. Powiadają, że będąc profesorem w szkole politechnicznej, gdy jednego dnia przyszedł na jego lekcję książę Angoulême[7], a była mowa o wodorodzie, rzekł Thénard, obracając się z wielkim uniżeniem do księcia: „Oto jest kwasoród, oto wodoród, dwa gazy, które będą miały honor kombinować się wobec Waszej Altessy"[8].

Z tym wszystkim lekcje były bardzo zajmujące, łatwe do pojęcia, nie utrudzające; jednak gdy kto chciał nauczyć się chemii, wołał płacić Barruelowi sześćset franków za kurs manipulacji niż bezpłatnie słuchać Thénarda.

Wkrótce zastąpił Thénarda tak w Sorbonie, jako też w Collège de France Dumas, który natenczas górował nad młodymi chemikami i znany już był z wynalazków i swego rozległego dzieła[9]. Improwizował z równąż łatwością co Thénard, ale z większą powagą, poprawniejszy w wysłowieniu, bez przesady, wymowny, ściśle trzymający się przedmiotu. Widać było, że nie uganiał się za oklaskami, że się przygotowywał do lekcji i z większym porządkiem i starannością je wykładał. Jego mianowicie kurs w Collège de France zaszczepił we mnie ochotę i gust do chemii analitycznej.

Dwóch uczonych w tymże roku wykładało fizykę na Sorbonie, Dulong[10] i Pouillet[11]. Obu słuchałem z wielką uwagą i żadnej lekcji nie opuściłem. Dulong był dla mnie prawdziwym typem mędrca. Przypominał mi z fizjonomii i surowej, nieco suchej powagi Jędrzeja Śniadeckiego. Był chorowity; jego głos był przytłumiony, ale przyjemny. Mówił z taką ścisłością i dokładnością matematyczną, że nie było w jego wykładzie jednego słowa zanadto i jednego słowa nie brakło do jasnego pojęcia rzeczy. Ale go audytorium paryskie nie lubiło; sala była próżna, uczniowie tylko Szkoły Normalnej z obowiązku uczęszczali na lekcje.

---

[7] Louis Antoine de Bourbon książę Angoulême (1775—1844), ostatni delfin Francji, syn hrabiego d'Artois, późniejszego Karola X.

[8] Waszej Altessy — Waszej Wysokości. W autogr.: Atesy.

[9] Jean Baptiste André Dumas (1800—1884), wybitny chemik francuski, odznaczony złotym medalem przez Tow. Chemiczne Londyńskie, przez krótki okres minister rolnictwa i handlu, senator. Dzieło, o którym tu mowa, nosi tytuł: *Traité de chimie appliquée aux arts* (*Chemią stosowana do sztuki*), sześć tomów.

[10] Pierre Louis Dulong (1785—1838), wybitny chemik i fizyk francuski, wynalazca, członek Akademii Nauk (stracił jedno oko i dwa palce przy odkryciu chlorku azotu).

[11] Claude Servais Mathias Pouillet (1791—1868), fizyk francuski, autor wielu podręczników fizyki i meteorologii, członek Akademii Nauk.

Przeciwnie Pouillet, improwizował swój kurs jakoby na zamku królewskim, dokąd uczęszczał, jakby na trybunie poselskiej. Młody jeszcze, elegant, przyjemnej twarzy, z wielką żywością i gadatliwością francuską bardzo jasno i w zajmujący sposób tłumaczył się, a zręczny preparator wtórował mu doświadczeniami. Unikał, że tak powiem, rzeczy trudnych, stronił od formuł i rachunków, a całą fizykę wystawiał jako rzecz bardzo łatwą do pojęcia wszystkich, zabawną i dowcipną.

Przewyższał go w tej sztuce popularyzowania nauki Arago w swoich lekcjach publicznych astronomii, którą wykładał w obserwatorium. Dosyć powiedzieć, że jeden Anglik, co ze mną mieszkał na Carrefour de l'Observatoire, człowiek wcale nie uczony i mało umiejący po francusku, rozpływał się z radości i aż do łez rozczulał się, kiedym go zaprowadził na kurs pana Arago. W istocie było się czemu dziwić. Pięknej i rozumnej twarzy, strzelał, że tak powiem, swymi wielkimi, czarnymi oczami, wbijał naukę w pojęcie swoich słuchaczów, porywał, czarował; a do tego niemało się przyczyniał jego donośny, brzęczący i wybitny głos i jego wysłowienie tak płynne, poprawne, że było wzorem najpiękniejszej francuszczyzny. Jednakże kiedy po kilku lekcjach, ochłonąwszy z pierwszego przyjemnego wrażenia, jakie na mnie sprawił, począłem wpatrywać się głębiej w jego wykład i analizować każdą rzecz, jak ją przedstawiał, zoczyłem, że wielka sztuka, którą posiadał, na tym się zasadzała, że unikał wszelkiej materii trudniejszej, o której był pewien, że nie była dostępną ogółowi słuchaczów, nie dotykał szczegółów, do których pojęcia potrzeba było być spoufalonym z matematyką, a opierał się na faktach, które obrazowo, malowniczo mógł przedstawić. Nie chodziło mu bynajmniej o wyczerpanie materii, o dokładne zaokrąglenie przedmiotu, lecz chodziło mu o to, aby był zrozumianym i aby przedmioty, które z wielkim talentem i łatwością obrazowo przedstawiał, były jasne, nie utrudzające, przeźroczyste.

Innego wcale rodzaju były lekcje Gay-Lussaca, na które przez jedną wiosnę uczęszczałem, w laboratorium Ogrodu Botanicznego. Gay-Lussac miał fizjonomię człowieka skromnego, praktycznego, pracowitego, bez wielkich pretensji. Nie zapuszczał się w teorie ani w wysokie pomysły nauki. Jego opowiadanie było nieco suche, monotonne, ale jasne, dobitne. A skoro wziął za retortę i urządzał jaki aparat do doświadczenia, wtenczas widać było, co to jest mistrz, który zbadał naturę, któremu chemia winna tyle ważnych odkryć i który przeżyje w historii postępu wiele królów i cesarzy, wiele narodów zaborczych. To, co się okiem wyczyta z ust i z oczu takiego człowieka, kiedy go widzimy zajętego praktycznym wykazaniem tego, co sam odkrył, to trudno wyczytać z książek i tego się nigdy nie zapomni.

Podobnegoż charakteru w wykładzie nauk byli: Duméril[12], Brongniart (ojciec)[13], Blainville[14] i młody Jussieu[15], na których kursa uczęszczałem wiosenną porą w tymże Ogrodzie Botanicznym.

Była to epoka, w której najmłodsza z nauk, geologia, niedawno osierocona od mistrza swego Cuviera, zawracała głowy turystom i w ogólności dyletantom nauki. Zajmujące były dla licznej publiczności lekcje Prévosta[16] na Sorbonie, który z wielką łatwością i jasnością wykładał nowsze pojęcia o tworzeniu się gór i wulkanów; a jego audytorium składało się ze zwolenników pewnej szkoły, co wszystkie postrzeżenia i fakta geologiczne chciała podciągać pod prawa i przyczyny dotąd istniejące. Świeżo wróciwszy z wyprawy swojej na wysepkę Julią, wymownie opisywał jej wulkaniczny wybuch, jej wyjście z morza; obszernie rozszerzał się nad tym, z jakim pośpiechem opanował dla Francji ten świeży szmat ziemi, ze dna morskiego podniesiony, na którym zatknął trójkolorową chorągiew i nazwał wyspę Julią na pamiątkę juliuszowej rewolucji; potem, dodał, przybyli angielscy geologowie, wyrzucili chorągiew, nadali wyspie inne imię, aż w końcu cała ta wyspa zapadła do morza i zatopiła się z roszczeniami do jej posiadania obu mocarstw. Powstawał szczególnie Prévost na teorię kraterów centralnych (de soulevements) i w ogólności na teorię podnoszeń się skorupy ziemnej etc.

Bardziej surowy, głęboki i oględny na przyszłość tej nowej nauki był pan Cordier[17] w swoim wykładzie geologii w Ogrodzie Botanicznym. Z wielką przyjemnością go słuchałem. Pamiętam jednak, że wcale nie byłem rad z jego ostatniej lekcji, na której, streszczając cały swój kurs, wywodził główne zmiany i przeobrażenia, przez jakie przeszła kula ziemska od stworzenia; — a kiedy po tym przeglądzie całej kolei geologicznych epok przyszedł pomimo woli do wniosku o nieuniknionym końcu i zniszczeniu, jakie spotka koniecznie naszego planety, nie umiał się z tej fatalnej konsekwencji inaczej wywinąć, jak zapowiadając, że

---

[12] André Marie Constant Duméril (1774—1860), lekarz i przyrodnik francuski, członek, później prezes Akademii Nauk; wykładał anatomię, patologię i zoologię.

[13] Alexandre Brongniart (1770—1847), mineralog i geolog francuski; naczelny inżynier górnictwa, prof. mineralogii w Ogrodzie Botanicznym, członek Akademii Nauk. W autogr.: Brognard.

[14] Henri Marie Ducrotay de Blainville (1777—1850), doktor medycyny, profesor anatomii i zoologii, następca Cuviera.

[15] Adrien Laurent de Jussieu (1797—1853), profesor botaniki, syn Antoine'a, też profesora botaniki, autor wielu monografii i podręcznika botaniki, który przetłumaczył na język polski T. Chałubiński (1849). W autogr.: Jussier.

[16] Louis Constant Prévost (1787—1856), geolog francuski, twórca teorii dynamicznej równowagi temperatur; członek Akademii Nauk.

[17] Pierre Louis Antoine Cordier (1777—1861), geolog francuski, twórca teorii o wulkanach w związku ze spłaszczeniem ziemi, członek Izby Parów.

to nie może nastąpić, chyba za wiele, wiele wieków, i nie warto o tym myśleć.

Wyznać muszę, że w całym tym niezliczonym szeregu kursów, o których wspomniałem i do których winienem dodać kursa Beudanta[18] na Sorbonie, Clément Desormesa[19] (krewnego Montgolfiera[20]) w Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł, młodego Brongniarta[21] w Ogrodzie Botanicznym, Becquerela (ojca)[22] na Sorbonie i wiele innych, nie usłyszałem wymówionego ani razu, choćby przypadkiem, choćby od niechcenia, słowa Bóg, Stwórca, choć we wszystkich tych kursach, wykładanych przez najsławniejszych uczonych tego wieku, cóż było przedmiotem nauki, przedmiotem badań? To, co było i jest dziełem nieśmiertelnego Boga i spraw Jego.

Proszęż teraz wyobrazić: przez dwa lata bez odpoczynku, oprócz udziału, jaki nie przestawałem brać w ruchach emigracyjnych, chodziłem najregularniej z lekcji na lekcję tych wymienionych fizyków, chemików, przyrodników i matematyków, aż mi w końcu przykrzyć zaczynało to obżarstwo chciwego wiedzy umysłu, i przesycony, że tak powiem, Sorboną i francuskim Kolegium chciałem wejść do jakiej fabryki i przystać do ouvrierów. Poczciwy p. Cassin z Taranu dał mi list do Payena[23] z rekomendacją, aby mię przyjął do swojej fabryki kwasu siarczanego, która natenczas uchodziła za najlepszą w Paryżu, a była niedostępną dla cudzoziemców, ba, nawet dla Francuzów. Oddałem list Payenowi, który tak mile na mnie spojrzał, że nie było po co czekać ni czego się spodziewać.

Wróciłem do Collège de France dla posłuchania jeszcze kursu pana Élie de Beaumont[24], który w tym czasie był mianowany profesorem geologii na miejsce Cuviera.

Ze wszystkich profesorów, o których już wspomniałem, ze wszyst-

---

[18] François Sulpice Beudant (1787—1850), profesor mineralogii, od r. 1824 członek Akademii Nauk. W autogr.: Beudana.

[19] Nicolas Clément Desormes (1779—1842), fizyk i chemik, autor wielu prac z tej dziedziny. W autogr.: Desorma.

[20] Joseph Michel Montgolfier (1740—1810), fabrykant papieru, wynalazca (1783) razem z bratem swoim, Jacques Etienne, balonu wznoszącego się za pomocą ogrzanego powietrza. W autogr.: Mongolfier.

[21] Adolphe Théodore Brongniart (1801—1876), słynny botanik francuski, poświęcił się paleontologii roślin i uważany jest za twórcę tej gałęzi wiedzy. W autogr.: Broniard.

[22] Antoine César Becquerel (1788—1878), znakomity fizyk francuski, za swą pracę naukową odznaczony wielkim medalem Royal Society.

[23] Może Anselme Payen (1795—1871), chemik francuski, od roku 1836 profesor chemii przemysłowej w paryskiej Szkole Rzemiosł.

[24] Élie de Beaumont (1798—1874), profesor geologii, inspektor generalny górnictwa, członek, potem sekretarz dozgonny Akademii Nauk.

kich profesorów paryskich nikt może (jeżeli wyłączę Becquerela) nie miał mniej zdolności do uczenia jak Beaumont. Mówił głosem tak cichym, przytłumionym, językiem tak ciemnym, nieokraszonym, że trzeba było siedzieć tuż przy nim w pierwszej ławce, żeby co z jego słów uchwycić. Schylony na bok, oczy w ziemię wbite, przerywał co chwilę słowa chrząkaniem i połykał ostatnie sylaby. Gubił się w szczegółach, co chwilę zaglądał do swoich notat; a przy tym chudy, łysy, słabych piersi — nie liczył i dziesięciu uczniów.

Z tym wszystkim po dwóch czy trzech pierwszych lekcjach straconych począłem notować częściowe fakta i pojmować główne punkta, z których poglądał na historię kuli ziemskiej; a choć z trudem i wielkim natężeniem uwagi, polotem schwycone idee zaostrzały bardziej moją ciekawość niż eleganckie i jaśniejsze wykłady Prévosta i Cordiera, które jednak, przyznać winienem, przygotowały mię do słuchania Beaumonta i bez których byłbym go nie zrozumiał.

Jednego dnia po skończonej lekcji powiedział, że zamyśla zrobić wycieczkę geologiczną do Alençon[25] i jego okolic dla widzenia pokładów tamecznych powtórnych i tranzycyjnych i że z ochotą przyjmie do swego towarzystwa słuchaczów swoich, którzy się z nim połączyć zechcą. Na umówiony dzień i godzinę ruszyłem do Alençon, choć już kuso było w kieszeni i ledwo wystarczało na utrzymanie się. To mię zbliżyło do pana de Beaumont. Pierwszego dnia od trzeciej rano aż do dziesiątej w nocy dziewięć mil ubiegaliśmy piechotą i przyniósł każdy z nas, nie wyjmując wodza, spory worek kamieni, skał, fosyliów[26] etc.

Trzeciego, czwartego dnia ledwo kto mógł dotrzymać Beaumontowi. Ja zawsze byłem nieodstępnym od niego i we cztery dni więcej nauczyłem się niż na długich sorbońskich kursach.

Jednego dnia na odpoczynku Beaumont, wielki przyjaciel Polaków, spostrzegłszy we mnie upodobanie do geologii, rzecze: „Czemu pan nie pomyśli oddać się naukom górniczym, do czego by mu posłużyć mogło zapisanie się do Szkoły Górniczej, gdzie mógłbyś nabyć wiadomości praktycznych". Podziękowałem mu za radę. Wkrótce potem powrócił Beaumont z kilku turystami do Paryża, a ja poszedłem dalej na wędrówkę z jednym z towarzyszy, któremu mnie polecił Beaumont i z którym w dziesięć dni obiegliśmy część Bretanii, Touraine[27], Maine[28], zwiedziłem piechotą Tours-le-Mans, Bourges etc. Na tej wycieczce nabyłem rzetelnej ochoty do geologii, mineralogii i górnictwa.

---

[25] Alençon, miejscowość w depart. Orne. W autogr.: Alançon.
[26] fosylia — ciała kopalne, skamienieliny.
[27] Touraine, depart. nad rzeką Loarą. W autogr.: Tureny.
[28] Maine (Mayenne), depart. w dolnym biegu Loary. W autogr.: Manu.

W kilka miesięcy, za wdaniem się pana de Beaumont, przyjęty zostałem do Szkoły Górniczej i na lat trzy zasiadłem na ławie z młodymi uczniami Szkoły Politechniczej, między którymi zabrałem koleżeńskie stosunki z pp. Ebelmen[29], Pernolet, Daubrée[30], Delaunaye[31], St. Claire Deville[32], Pétit[33] i jednym młodym Turkiem Edhem[34]. Szkoła ta wytknęła mi drogę do — Ameryki.

Od wejścia do Szkoły Górniczej pożegnałem się z Sorboną i Collège de France, tylko nie mogłem od razu porzucić w tym ostatnim kolegium kursu mechaniki niebieskiej, której nauczyciel, p. Binet[35], znany mi był ze swoich wyższych religijnych uczuć. Było nas tylko trzech uczniów na tym kursie: jeden Belgijczyk, jeden Francuz, o którym dowiedziałem się potem, że był jezuitą ubrany po świecku, i ja. Po lekcji nieraz zostawał na niejaki czas Binet z nami i rozmawialiśmy o rzeczach odrębnych i potocznych.

Razu jednego pytałem się u niego, jak to wytłumaczyć, że w nauce tak wzniosłej, jak astronomia, znaleźli się uczeni z naszych czasów zupełnie bezbożni i materialiści. Binet był już osiwiały, przyjaciel od serca pana Cauchy[36], znał dobrze Laplace'a[37], Lagrange'a[38], Lalande'a[39], a był nielubiony od Arago i większej części akademików.

---

[29] Jacques Joseph Ebelmen (1814—1852), inżynier, profesor chemii i metalurgii w Szkole Górniczej.

[30] Gabriel Auguste Daubrée (1814—1896), mineralog i geolog francuski, od r. 1867 profesor paryski, zasłużony badacz, od r. 1867 inspektor generalny kopalń.

[31] Charles Eugène Delaunaye (1816—1872), matematyk, inżynier górnik, profesor Szkoły Politechnicznej, autor licznych prac naukowych. Utonął w morzu pod Cherburgiem w czasie wycieczki. W autogr.: Delonaye.

[32] Henri Etienne Sainte Claire Deville (1818—1881), chemik francuski, twórca prawa dysocjacji termicznej.

[33] Zapewne Frédéric Petit (ur. w 1810 r.), astronom francuski, profesor astronomii w Tuluzie i dyrektor tamtejszego obserwatorium.

[34] Edhem Pasza (1813—1893), turecki mąż stanu; po ukończeniu studiów paryskich piastował w swoim kraju szereg godności, w 1885 roku był ministrem spraw zewnętrznych, zetknął się z nim wówczas Domeyko w Konstantynopolu i był jego gościem w pałacu Porty Otomańskiej. W autogr. pomyłkowo: Ehmedem.

[35] Jacques Philippe Binet (1786—1856), profesor mechaniki na politechnice i astronomii w Collège de France, członek Akademii Nauk.

[36] Augustin Louis Cauchy (1789—1857), matematyk francuski, profesor Collège de France i Sorbony.

[37] Pierre Simon Laplace (1749—1827), matematyk i astronom francuski, autor licznych prac, minister spraw wewnętrznych (1799), później senator i kanclerz. W 1805 r. wniósł w Senacie projekt zniesienia kalendarza republikańskiego.

[38] Joseph Louis Lagrange (1736—1813), słynny matematyk francuski, profesor paryski, podczas rewolucji jeden z dyrektorów mennicy.

[39] Joseph Jérome de Lalande (1732—1807), słynny astronom francuski, profesor Collège de France, dyrektor paryskiego obserwatorium astronomicznego, wydawca wielkiego katalogu gwiazd *Histoire céleste française* (obejmuje 47 tysięcy gwiazd).

Długą mi z tego powodu dał rzecz Binet i ciekawe szczegóły o owych uczonych. Że zaś dobrego był serca, nie wierzył, żeby ci uczeni, nawet Lalande, byli w duszy bezbożnymi. „Z braku wychowania religijnego — rzekł — i żyjąc na gadatliwym świecie paryskim, ludzie ci nie mogą obronić się od wielkiej miłości własnej i dumy. Sam nawet — mówił mi — poprzednik mój Lalande sam sobie kłamał, co innego pisał, co innego myślał. Znał go dobrze i miał z nim stosunki sławny ze swego apostolstwa przeor Św. Sulpicjusza, ksiądz Emery[40], i powiadał, że w prywatnym wylaniu się był Lalande zupełnie inny, posiadał uczucia religijne i szanował wiarę, wbrew temu wszystkiemu, co w swoich pismach filozoficznych zostawił. Całą jego chorobą i nieszczęściem była chęć sławy, żądza podobania się, chełpliwość i namiętna chciwość, aby jak najwięcej i najczęściej o nim mówiono w Paryżu i tylko o nim. To mu nie dozwalało nigdy wejść w siebie i zbadać siebie. Razu jednego, znajdując się w licznym towarzystwie dam i uczonych paryskich, gdy widział, że za mało nim się zajmowano i nie miał czym zainteresować roztargnionego towarzystwa, złowił pająka i wobec wszystkich zjadł go, jakoby jaki przysmak z wielką ostentacją filozoficzną — a to dlaczego? Dlatego jedynie, aby o nim gadano, że je pająki. Jakoż tego wieczora i przez wiele dni potem powtarzano: »est-il possible! M. Lalande mange les araignées; savez-vous, que M. Lalande mange les araignées?«[41] — i to słyszeć było nader przyjemnie dla niego".

[40] Jacques André Emery (1732—1811), ksiądz, profesor w seminariach duchownych; przeciwstawiał się ostro ingerencji Napoleona w sprawy kościelne.

[41] „Czy to jest możliwe! pan Lalande zjada pająki; czy wiecie, że pan Lalande zjada pająki?"

VI. Resztki moich notat paryskich

Od wejścia do Szkoły Górniczej nie od razu odsuwać się zacząłem od emigranckich ruchów: służyłem tylko Towarzystwu Naukowej Pomocy do rozsyłania i rozdawania lichego wsparcia 25 fr[anków] miesięcznie każdemu z wychodźców naszych, którzy po rozmaitych specjalnych zakładach, jak Szkoła Centralna, Szkoła Handlu, Szkoła Dróg i Mostów etc., uczyli się jak ja w Szkole Górniczej, i Towarzystwu Dam Polskich do rozdawania miesięcznych pomocy (5 fr.) na każde dziecko emigracyjne.

Od czasu do czasu wpisałem jaki szczegół do pugilaresu.

29 listopada 1833. Rano u grobu króla Jana Kazimierza do półtorasta naszych emigrantów słuchało mszy, po której ksiądz Skórzyński, tak jak był w ornacie, ukląkł i po polsku odczytał modlitwę o wybawienie nas i kraju od nieprzyjaciół. Książę Adam, Niemojowski, generałowie nasi, sejm i wszelkich opinii tułacze byli w kościele. Wychodząc już ze mszy, naradzali się demokraci, co mają czynić na obchodzie, który dnia tego z powodu trzeciej rocznicy powstania miał się odbyć u gen[era]ła Lafayette'a. Karwowski[1] dowodził, że to nienarodowy obchód, kiedy na nim mają się znajdować arystokraci.

O siódmej wieczorem zeszliśmy się do mieszkania Lafayette'a. Sala była rzęsiście oświecona i przybrana w chorągwie polskie i francuskie. Lafayette, ubrany w mundurze gwardii narodowej warszawskiej, zagaił posiedzenie krótką, ale jak najmilszą przemową, zwracając uwagę na to, że mamy tu nie tylko reprezentantów rządu, sejmu, wojska i ludu polskiego, ale nawet (wskazując na gen[era]ła Giedroycia[2], który był świeżo z Syberii i z Litwy przyjechał) reprezentanta braci naszych cierpiących

---

[1] Jan Joachim Karwowski (1798—1870), słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, poseł białostocki na sejm powstańczy, na emigracji we Francji zwolennik obozu demokratycznego.

[2] Józef Stefan Giedroyć (1787—1855), generał, uczestnik wojen napoleońskich, gdy miał otrzymać dowództwo powstania listopadowego na Litwie, został aresztowany i wysłany na Sybir. Zwolniony po kilku latach pod warunkiem, że nie powróci do kraju, osiadł we Francji biorąc czynny udział w życiu i pracach emigracji.

na Syberii. Dziękował Polakom, że na obchód rocznicy przyjęli gościnę u prostego żołnierza gwardii narodowej warszawskiej i że mu przewodniczyć pozwolili. Po nim zaraz po polsku przemówili prezes Komitetu Dwernicki i wojewoda Ostrowski. Oba starali się podobać się demokratom, gdy jednak wojewoda wymawiając: niech żyje Polska, jedność i wolność, zapomniał wymienić i równość, pani Dębińska[3], wielka demokratka, cienkim głosem dodała: i równość! a wielu za nią powtórzyło: i równość! — śmiech powstał. Następnie Niemcewicz po francusku ze łzami przemówił do ziomków, zalecając im wytrwałość, cierpliwość, szacunek dla zasłużonych imion: „J'ai connu — mówił — Sa Majesté le roi dans son exil; il connaît, ce que c'est que l'exil — soyez sur, il sera touché de notre sort"[4]. Na te słowa poczęli nasi sykać po kątach i zaledwo stary Niemcewicz skończył swoją serdeczną, jakoby na pożegnanie i nad grobem stojący, przemowę, dwóch urwiszów: Szöl i Chodźko Feliks (który się potem upamiętał), gwiznęli na całą salę, a drudzy sykać poczęli, tak że ledwo ich oklaskami przygłuszyć a perswazjami uciszyć mogliśmy.

Wtenczas to Świętosławski[5] demokrata wystąpił po polsku, łając naszych panów i wymyślając, co mógł, na historyczne nasze świetności. Cierpieliśmy jednak spokojnie, bo Francuzi go nie rozumieli, a było wielu ich, między innymi: Odilon Barrot, Garnier-Pagès i tylu innych.

Obracając się ku nim Hoffman (mąż autorki *Pamiątki po dobrej matce*)[6] miał mowę po francusku o konieczności wydania wojny europejskiej przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, ciemięzcy ludów. Po Hoffmanie przemówiłem od braci naszych, powstańców z Litwy i ziem ruskich, dowodząc korzyści, jakie wynikły dla całej Polski z ostatniego powstania, które połączyło nowym węzłem ziemie te i Litwę z Koroną. Kończyłem, wzywając braci, aby przede wszystkim strzegli się wynarodowienia duszy polskiej, aby gdy kto z nas dobieży kiedy do swoich, ranami osłabły, z doniesieniem o świeżych zwycięstwach, nie zapytano go, skąd rodem. Ten koniec nie wszystkim się podobał.

---

[3] Marianna Dębińska, wdowa po pułkowniku weteranie, członek warszawskiego Towarzystwa Patriotycznego, żołnierz i sanitariuszka w powstaniu listopadowym, potem emigrantka do Francji i Anglii. Zob. o niej: G a d o n, *op. cit.*, t. III, s. 266—267, w autogr.: Dembińska.

[4] „Znałem — mówił — najjaśniejszego pana na wygnaniu, on wie, co to znaczy wygnanie, bądźcie pewni, on będzie wzruszony naszym losem".

[5] Zenon Świętosławski (ok. 1812—1875), osiemnastoletni uczestnik powstania listopadowego, na emigracji najpierw we Francji, członek TDP, potem w Anglii, osiadł na wyspie Jersey, był członkiem Ludu Polskiego, wydawcą dziennika „L'Homme".

[6] Karol Hoffman (1798—1875), prawnik i publicysta, na emigracji w Paryżu stronnik ks. Czartoryskiego, redaktor „Kroniki Emigracji Polskiej", członek Towarzystwa Hist.-Literackiego. Jego żona, Klementyna z Tańskich, zob. powyżej, przyp. 44 na s. 157.

Na koniec po krótkim jeszcze przemówieniu Węgierskiego[7] w języku francuskim wystąpił od dawna przygotowany i od demokratów podjudzony Semenenko z długą mową po francusku, wymierzoną przeciw Czartoryskiemu i naczelnikom emigracji, przeciw sejmowi i senatorom naszym. Oskarżał ich o przygnębienie emigracji, o wyprawę portugalską, o zabiegi rozproszenia emigrantów; o to nawet, że w tajemnej radzie sejmowej jeden z posłów zamierzał podać petycją do Izb o zaprowadzenie surowszych praw na emigracją polską, czemu wręcz obecny wojewoda Ostrowski zaprzeczył. Długi był to głos i pełen goryczy dla nas wszystkich; ciężko było podnieść oczy na obecnych Francuzów i na Lafayette'a.

Jakby dla rozweselenia czy przyniesienia ulgi emigrantom zakończył Lafayette piękną, grzeczną i dowcipną pochwałą kobiet polskich, ich męstwa i miłości ojczyzny, ich cnót i zalet, z których zawsze była sławną i znamienitą Polska.

Rozeszliśmy się zmartwieni. Semenenko, młody i niezepsutego serca Polak, spostrzegłszy, że ci, co najbardziej jemu poklaskiwali, byli ludzie bezbożni, rozpustni, pierwszy był ruszony skruchą; usunął się od demagogicznych schadzek i wraz z Kajsiewiczem, Jańskim, Koźmianem[8] i trzema innymi obrali życie pobożne, klasztorne, na osobności, o czym już na innym miejscu wspomniałem, i zawiązali grono naszych emigracyjnych księży, co potem utworzyli zakon Zmartwychwstania Bożego.

W kilka dni potem był pojedynek między Szölem (czy Szelem) i Bronikowskim[9], który go był na miejscu skarcił za gwizdanie. Po dwakroć strzelali się, ale chybili i potrafiono ich pogodzić.

Kiedy potem nazajutrz byłem u Lafayette'a, znalazłem go smutniejszym, niż był zwyczajnie. „Connaissez-vous le jeune homme, qui a fait tant de tapage l'autre jour"[10] — zapytał mię Lafayette. Nie mogłem zamilczeć, że była to rzecz intrygi naszych demagogów, co się uwzięli na

---

[7] Emilian Węgierski (1787—1841), uczestnik wojen napoleońskich, generał brygady w powstaniu listopadowym, gubernator Warszawy i prezes sądu wojskowego, później emigrant.

[8] Jan Koźmian (1814—1877), publicysta, ksiądz; podoficer artylerii w powstaniu listopadowym, przez pewien czas przebywał na emigracji we Francji i Anglii, potem wrócił do kraju. Święcenia kapłańskie przyjął w roku 1860 po śmierci żony, Zofii z Chłapowskich.

[9] Ksawery Bronikowski (1798—1852), publicysta, dziennikarz; podporucznik w korpusie Dwernickiego, wiceprezes Towarzystwa Patriotycznego, współwydawca tajnej „Dekady Polskiej", w ostatnich tygodniach powstania wiceprezydent Warszawy, na emigracji członek Towarzystwa Literackiego, rozwijający na wielką skalę akcję publicystyczną. W trosce o spopularyzowanie wiadomości z dziejów przeszłości narodowej zorganizował i redagował wydawnictwo *Pamiętniki polskie*.

[10] „Czy znacie młodego człowieka, który narobił tyle hałasu onegdaj".

poróżnienie nas. Jakoż podczas obchodu był w drugim pokoju Krępowiecki, uśmiechał się, podbudzał drugich, a Gurowscy ze swojej strony szerzyli nieład i poważnienia. „Malheureusement vos compatriotes ne sont que trop disposés à aggraver la discorde, que l'ennemi tache de semer parmi vous"[11] — rzekł Lafayette. „Nie braknie i nam, Francuzom — dodał — na podobnej intrydze", i dał mi do poznania, że wielu zapaleńców z towarzystwa des Droits de l'Homme naumyślnie „invoquent les noms de Robespierre, de Marat et des hommes les plus détestés dans toute la France"[12], aby ohydzić rewolucję lipcową i zastraszyć ludzi prawdziwie liberalnych, a intrygi towarzystw sekretnych są po większej części dziełem samego dworu i partii ministerialnej. Tu miałem sposobność do wspomnienia o wpływie, jaki wywierają demagodzy francuscy na emigrację naszą, i przytoczyłem, że ów jegomość, co w kapeluszu posunął się był aż do krzeseł prezesa i Komitetu Narodowego w czasie posiedzenia, był Francuz, a nie Polak, podejrzanego charakteru.

Około tegoż czasu sześćset naszych wiarusów, którzy dotąd byli zatrzymani w Prusiech i starano się ich więzieniem i ciężkimi robotami zmusić do powrotu do kraju, wsadzono na okręt w Gdańsku i wysłano do Ameryki. Takiż sam los spotkał kryjących się dotąd w Galicji. Rząd austriacki wsadził przymusem pięćset kilkadziesiąt wychodźców naszych i wyprawił na trzech statkach do Ameryki. Smutny los spotkał tak owych z Prus, jak i tych z Austrii wygnanych; historia każdej z tych dwóch wypraw pełna jest dotkliwych i tragicznych wypadków.

Nie lepiej się też działo naszym w Szwajcarii, owym, co za namową Ramorino byli wyszli z Besançon i innych zakładów. Oborski[13] zwariował, Lelewel[14] pułkownik usunął się od wszystkiego i wszedł do służby szwajcarskiej, do budowy dróg i mostów; jedna część naszych podpisała prośbę do Ludwika Filipa, aby im pozwolił wrócić do Francji, drudzy zanieśli protestację. Rząd berneński dał rozkaz do wypędzenia wszystkich, a ambasador francuski nie wydaje paszportów, tylko pod warunkiem, że nie pozostaną we Francji, ale udadzą się do Algieru, do Egiptu, do Portugalii.

---

[11] „Na nieszczęście wasi rodacy są aż nazbyt skłonni do pogłębienia niezgody, którą wróg stara się posiać wśród was".

[12] „Wzywają nazwiska Robespierre'a, Marata i ludzi najbardziej nienawistnych całej Francji".

[13] Ludwik Oborski (1789—1879), pułkownik, uczestnik wojen napoleońskich i powstania listopadowego, na emigracji członek Młodej Polski, TDP, prezes Rady Polaków w Besançon.

[14] Jan Paweł Lelewel (1796—1847), inżynier-pułkownik, brat Joachima; od roku 1818 w wojsku polskim, brał udział w fortyfikacji Zamościa, budowie Kanału Augustowskiego, w 1831 r. przeprowadzał fortyfikację Pragi i był jej komendantem.

Akademia paryska przyznaje medal wartości tysiąca franków panu Marcinkowskiemu za położone przez niego zasługi w Paryżu w czasie cholery. Zacny ten patriota, wyborny lekarz, skromny, ubogi, oświadczył Akademii, że jego życzeniem jest, aby zamiast medalu wartość jego 1000 fr. Akademia przesłała Towarzystwu Naukowej Pomocy na zapomożenie Polaków uczących się w szkole medycznej paryskiej, i że ze swojej strony nie sądzi, aby w tej usłudze, jaką oddał, przewyższył był usługi lekarskie swoich ziomków współtułaczy, przyjętych gościnnie we Francji.

Coraz to bardziej dokuczają nam nasi demokraci: Krępowiecki, Czyński, ks. Pułaski, I. B. Ostrowski szkalowaniem wszystkiego, co polskie; niczym już były dla nich przeszłość historyczna, zasługi przodków, dawna polska szlachetność, odwaga, serdeczność. Gdziekolwiek wystąpił który z nich z piórem czy przemówieniem, w dziennikach lub na jakim nie bądź zebraniu Francuzów, a do wszystkiego się cisnęli, ze wszystkiego korzystali, to o niczym innym nie mówili przed cudzoziemcami, jak o okrucieństwie panów i szlachty, o ciemiężeniu chłopów, wysławiali duch demokracki Gontów, Doroszenkow, Chmielnickich, oskarżali o zdradę i przedajność królów i hetmanów naszych. Pułascy, Kościuszko, książę Józef byli to ciemięzcy ludu lub służyli za narzędzie ciemięzcom. Bolało to nas wielce; odgłos owej propagandy hajdamackiej dochodził staraniem Moskali i Niemców aż do kraju i przygotowywały się już wypadki, które potem zakrwawiły Galicją.

Kiedy jednego razu mówiłem o tym z Adamem i zastanawiałem się nad tym, że owa kara za niedobre obchodzenie się nasze z chłopami przychodzi teraz, kiedy może mniej na nią zasługujemy, i co gorsza, pochodzi od ludzi podłych, zepsutych, opilców, szukających wyniesienia się i którzy nigdy może nie byli w stanie poznać stanu rolnika naszego, jego potrzeb i sposobów zaprowadzenia ulepszeń, Adam mi na to zrobił kilka uwag. Kara ta Boża przychodzi w czasie, kiedy najgwałtowniej daje się czuć potrzeba poprawy stanu naszych włościan; bo już nieprzyjaciel nasz, car, gotów wytrącić nóż demagogom i zakrwawić nim dwory nasze, wyniszczyć szlachtę, a z nią narodowość naszą. A że kara ta pochodzi od ludzi niskich, złych, zepsutych, to rzecz naturalna. Kara zawsze jest z ramienia niższych; łaska od Boga pochodzi. Karę szatany pospolicie wykonywają, a nie anioły. Wszak do najpoczciwszego nawet kata mamy odrazę.

12 grudnia. Tego dnia byłem na obiedzie u pani generałowej Giedroyciowej z domu Burzymowskiej, urodzonej i wychowanej w Niecieży, gdzie część młodości mojej przemarzyłem. Na tym obiedzie byli: Niem-

cewicz, Adam Sołtan i Mickiewicz. Rozmowa należała do dawnych staroświeckich czasów. Niemcewicz powiadał, że w dzieciństwie swoim znał człowieka bardzo starego, co znajdował się z królem Janem Sobieskim pod Wiedniem, i że pamiętał dobrze obiór króla Stanisława na Woli[15], jego wjazd i koronacją. Powiadał też, że widział w klasztorze nieświeskim jakąś bardzo podeszłego wieku penitentkę, o której mówiono, że za młodu miała być cudownie piękną i że Piotr Wielki tak się był w niej zakochał, że się z nią chciał ożenić; kiedy księżna Radziwiłłowa nieświeska[a] pytała jej, dlaczego nie chciała pójść za cara, odpowiedziała penitentka: azaż gdyby o córkę Waszej Książęcej Mości starał się dziś chan tatarski, byłoby zaszczytnym oddać mu księżniczkę?" Otóż to jakie było natenczas mniej więcej mniemanie o carze.

Zabawiło też nas następne zdarzenie, które nam przytoczył Niemcewicz, a które niegdyś słyszał od Chreptowicza[16], nie wiadomo, z jakiej kroniki czy ustnego podania.

Kiedy Batoremu sejm odmówił podatków, a wojna z Moskwą była nieuchronną, pojechał król na żebraninę po panach polskich: do Sapiehów, do Radziwiłłów etc. Zajechał po drodze do możnego szlachcica nazwiskiem Hlebowicza i prosił o zapomożenie skarbu. Hojnie przyjął Batorego szlachcic i przez kilka dni podejmował go w domu, ale wielekroć razy przychodziło do rzeczy, wymawiał się: ciężkie czasy, Miłościwy Panie! Zmartwiony król miał się do wyjazdu; a gdy był na wsiadaniu i pożegnał gospodarza, ujrzał przed gankiem 60 pancernych i na ich czele syna starszego Hlebowicza. „Oto, Miłościwy Panie — rzekł szlachcic — masz ludzi na usługi kraju", a jego syn podał królowi baryłkę ze złotem przeznaczoną na opłatę żołdu. Wsiadł król i cała jego komitywa na koń, a zaledwo wyjechali za bramę, spotkali drugie tyle żołnierstwa i drugiego syna Hlebowicza, który złożył królowi drugą baryłkę złota na żołd. Nie posiadał się król z radości; aż tu spostrzega oddział zbrojnej piechoty kosztem tegoż samego Hlebowicza sformowanej, którą prowadził trzeci jego syn, najmłodszy, podrostek zaledwo, ze złotymi darami. Stawiąc go przed królem, rzekł Hlebowicz: „Najjaśniejszy Panie, daję Wam dwóch synów na wojnę, a tego małego poślę do szkoły, aby nauką stał się godnym imienia Polaka". Wiedział szlachcic, że król Stefan był również skorym do boju, jak miłośnikiem nauki.

---

[a] W autogr.: Nieświska.

[15] Stanisława Leszczyńskiego w dniu 12 lipca 1704 r.

[16] Joachim Litawor Chreptowicz (1729—1812), kanclerz w. litewski, wszechstronnie wykształcony działacz epoki stanisławowskiej, współtwórca i członek Komisji Edukacji Narodowej, autor licznych rozpraw i artykułów w czasopismach warszawskich; pierwszy na Litwie w dobrach swoich zniósł poddaństwo, oddając każdemu z gospodarzy oddzielny grunt.

Niemcewicz był duszą i ciałem Polak; o niczym nie myślał, nie mówił, jak o Polsce. Z początku emigracji miał jeszcze jakieś zaufanie we dworze, w rewolucji lipcowej, w dyplomatycznych rokowaniach, w liberalizmie francuskim. Odwiedzał napoleonistów, z którymi za czasów Księstwa Warszawskiego i później był w stosunkach. Już powiedziałem, jak się mu powiodło z Pradtem. Bywał u Talleyranda[17] i naprzykrzał mu się z Polską. A gdy razu jednego usłyszał od tego szalbierza, o którym mówią, że za życia wszystkich oszukiwał, a przy śmierci zwiódł samego diabła (mówią, że wyspowiadał się): „toutes les négociations possibles ne vous serviront à rien: il faut vous ôter de la tête cette Pologne"[18], to potem nie wrócił już do onych figur wysokiego tonu, a nawet gniewał się na panów polskich, co na salonach Soulta, Flahauta[19] i na klubie Jockeya[20] spotykali się i rozmawiali z Moskalami.

Właśnie po owej sesji u Lafayette'a (29 listop[ada]) w kilka dni wszedł na posiedzenie Naukowej Pomocy zadyszany i ledwo mógł oddychać z gniewu. „Muszą to być — rzekł — moskiewskie pieniądze, co między naszymi robią taki rozdział i sieją nienawiść; przysięgam, że pieniądze moskiewskie to robią, a czegoż nie dokażą oni na naszą zgubę!" Reflektował go spokojnie książę Adam i starał się nieść pomoc tym nawet między demokratami, co się jakiej nauce lub rzemiosłu poświęcali. Skarżył się jednak, że mu sami nawet ministrowie nie dowierzają z przyczyny intryg i szkalowań podżeganych przez samą emigrację.

Uczęszczał jeszcze natenczas na Radę Towarzystwa Niemojowski, odmiennego wcale charakteru i usposobienia. Zaczarowany ideami Beniamina Constant[21], grał rolę konstytucyjnego liberalisty, zapuszczał się w dyskusje i mało mówił o starożytnej Polsce; jego wady i zalety były z czasów Księstwa Warszawskiego i Kongresówki.

18 grudnia. Był to dzień imienin cara. Pozzo di Borgo[22] dał wielki bal,

---

[17] Charles Maurice Talleyrand-Périgord (1754—1838), słynny dyplomata francuski, b. biskup, długoletni minister spraw zagranicznych, w latach 1830—1834 ambasador w Londynie, wrogo ustosunkowany do sprawy polskiej. W autogr.: Tayleranda.

[18] „Wszystkie możliwe pertraktacje na nic wam się nie przydadzą, trzeba wam zdjąć z głowy tę Polskę".

[19] Auguste Charles Joseph Flahaut de la Billarderie (1785—1870), generał i dyplomata francuski, po rewolucji lipcowej był posłem francuskim w Berlinie.

[20] Jockey-Club (Société d'encouragement), nazwa klubu towarzyskiego w Paryżu.

[21] Henri Benjamin Constant de Rebecque (1767—1830), francuski polityk, filozof i literat, ideolog liberałów, członek Izby Deputowanych, często w opozycji.

[22] Karol Andrzej Pozzo di Borgo (1764—1842), Korsykanin, za monarchii lipcowej ambasador rosyjski w Paryżu, później ambasador w Londynie.

na którym familia królewska, doktrynery, całe juste-milieu[23] i karliści mieli się znajdować. Ten dzień wybraliśmy na obchód żałobny po zamęczonych w bieżącym roku patriotach polskich przez Moskali[24]. Kościół Św. Rocha był kirem pokryty; wszyscy emigranci, nie wyjmując demokratów i ks[ię]cia Adama, byli zebrani i wiele Polek znajdowało się na nabożeństwie. Wszyscy bez wyjątku przystępowali jeden po drugim do ucałowania patyny i potem do pokropienia truny święconą wodą według francuskiego zwyczaju.

Wieczorem dla rozerwania myśli zaprowadził mnie gen[era]ł Pac na Cyrk Olimpijski[25], na którym grano sztukę *L'homme du siècle*[26]. Ludwik Filip głaskał napoleonistów i rad był odnawiać między ludem tradycje bonapartowskie z ohydą republikanckich uniesień. Z wielką pompą i świetnością przedstawiano sceny, jak 13 Vendémiaire[27] i inne, gdzie Napoleon depce prawa i instytucje krajowe, ale tuż zaraz wielkie tryumfy, zwycięstwa, sława. Pochlebiać ludowi i straszyć, bawić go i odurzać, oto sens owej „historii en action"[28] w tych reprezentacjach. Nie obchodzi się też w nich bez przycinków na Kościół, na księży, na bigoterię, jak gdyby ta ostatnia była wadą panującą między paryżanami, a nie bezbożność i materializm. Co było w cyrku godnego widzenia, to żywy portret Napoleona; człowiek, który grał rolę Bonapartego, tak był do niego podobny, że ilekroć wyszedł na scenę, drżał i prawie odchodził od siebie Pac, który był wielbicielem i zapalonym stronnikiem Napoleona. Do tego efektu przyczyniał się niemało ubiór aktora; szaraczkowy surdut, kapelusz, buty i lornetka napoleońska — wszystko jak najdokładniej oddane: złudzenie było kompletne. Zdawało się, że cień wielkiego człowieka przychodził z grobu. Toteż nie miał potrzeby wiele pracy sobie zadawać aktor do odegrania roli i nie był wcale aktorem, artystą. Zalecano mu, aby jak najmniej udawał, jak najmniej rzucał się i nie nadrabiał gestami, a wielekroć zechciał coś z siebie pokazać, znikało złudzenie.

---

[23] „Le juste milieu" (niby: złoty środek), stronnictwo sprawujące rządy za Ludwika Filipa. Reprezentowało interesy burżuazji finansowej i stawało się coraz bardziej reakcyjne.

[24] Mowa o ofiarach wyprawy Zaliwskiego do Polski.

[25] Teatr w Paryżu, posiadający wielką scenę, a przed nią dużą arenę. Wystawiano w nim widowiska historyczne z przemarszem wojsk, bitwami, kawalerią.

[26] „Człowiek wieku".

[27] Vendémiaire, pierwszy miesiąc francuskiego kalendarza rewolucyjnego (miesiąc winobrania) od 22 września do 21 października. W autogr.: Vendemair. Mowa tu o spisku rojalistów (5 października 1795) krwawo stłumionym przez gen. Bonapartego.

[28] historia en action (fr.) — historia na scenie.

W tym czasie odebrał Komitet Emigracyjny pismo od wyprawionych z Prus do Ameryki na trzech statkach kilkuset żołnierzy naszych, zatrzymanych burzą czy jakąś awanturą u brzegu Norwegii. Błagają o to, aby rząd francuski czy angielski pozwolił im wytchnąć bliżej Polski po dwuletnim więzieniu i ciężkich robotach, które musieli wycierpieć za to, że nie chcieli wracać za amnestią moskiewską. Wsadzając ich Prusacy na okręta, ogłosili manifest królewski, że nie mogą Prusy dłużej utrzymywać ich na swojej ziemi, a że żadne państwo europejskie nie chce ich do siebie przyjąć, widzi się w konieczności król pruski wysłać ich do Ameryki. Próżne były na ten raz zabiegi księcia u ministrów francuskich w tej sprawie. Wysłany inny oddział żołnierzy naszych przez Austriaków z Triestu popłynął prosto do Stanów Zjednoczonych, choć się nie obeszło bez awantur między naszymi [a] kapitanem okrętu, pierwej nim wypłynęli na ocean. Lepiej się powiodło szwajcarskim: jednym z nich pozwolono wrócić do Francji, drugim zrobiono nadzieję, że rząd związkowy nie odmówi pomocy. Tymczasem książę i nasi przedniejsi panowie, członkowie sejmu i Komitetu naszego, wymodlili u deputowanych francuskich kilka słów za narodowością polską w odpowiedzi na mowę królewską. Z tej okazji z wielką dumą przyjął naszych wojewodów i kasztelanów Dupin (starszy) i z urazą wymawiał, że emigranci polscy nie chcą iść do Algieru[29].

Z kraju dochodzą wieści o rozstrzelaniu Zawiszy, Giecołda[30], Szpeka[31], Wołłowicza, Konarskiego[32].

15 stycznia 1834. Pomimo woli i rozkazu króla pruskiego przeciwne wiatry i burza zatrzymały w pędzie okręty, na których Prusacy wieźli na wygnanie do Ameryki naszych wiarusów. Jeden ze trzech, okręt „Elisabeth" z kapitanem Wilson, zaledwo się ocalił, dobijając do Hawru, gdzie na przekór policji i woli prefekta mieszkańce gwałtem zdołali uprowadzić do stu Polaków i przyjęli ich gościnnie. Drugi okręt, na którym było więcej niż 200 naszych żołnierzy, miotany burzą, dobił się do portu Harwich[33], gdzie ich Anglicy niedobrze przyjęli, nie pozwolili im

[29] Francja wówczas dokonywała podboju i kolonizacji Algieru.

[30] Stefan Giecołd, sekretarz Uniwersytetu Wileńskiego, w wyprawie do Polski skierowany jako dowódca do powiatu wołkowyskiego (Grodzieńskie), rozstrzelany w Warszawie 15 listopada 1833.

[31] Edward Szpek, szwagier Zaliwskiego, podoficer w. p., skierowany jako dowódca do pow. stanisławowskiego, rozstrzelany w Warszawie 14 listopada 1833.

[32] Szymon Konarski (1808—1839), kapitan w powstaniu listopadowym, na emigracji działacz demokratyczny, członek Zemsty Ludu, słynny emisariusz ogarniający spiskiem szerokie połacie Polski, stracony w lutym 1839 r.

[33] Harwich, port w płd.-wsch. Anglii. W autogr.: Arrich.

wysiąść na ląd. Nasi czym prędzej przesłali do rządu francuskiego prośbę, aby się ujął za nich i pozwolił im raczej pójść do Algieru i być bliżej Polski niż płynąć na wieczne wygnanie do Ameryki. Trzeci okręt, rzucony na brzeg angielski w Dee, przypłynął do Portsmouth[34].

Wielkie były zabiegi i starania Dwernickiego, Czartoryskiego i innych u rządu Ludwika Filipa, aby pozwolił naszym jeńcom, przytrzymanym na okrętach pruskich, połączyć się z emigracją. Niezliczone trudności stawiano tak od strony ministrów, jak od króla i całej doktrynerów partii. Znane były z tej okazji dyskusje w Izbach. Na szczęście zachodziło na nieporozumienie jakieś między Ludwikiem i Rosją, zanosiło się nawet na wojnę. Książę Orleanu zaprosił kilkakrotnie księcia Adama na obiad i przyrzekł, że na radzie ministrów zrobi wniosek o uwolnienie naszych żołnierzy z okrętów pruskich i przyjęcie ich do Francji.

Nie mam dokładnych szczegółów o tym, jak nasi byli uratowani i co się z nimi stało[35].

W Brukseli Lelewel, Worcell, ks. Pułaski i inni wydają dziennik „La Voix du Peuple"[36], w którym naśladując opozycje francuskie i belgijskie, atakują Rząd Narodowy ostatni, wszystkich jego członków i ministrów, jak gdyby jeszcze byli przy rządzie, a nie w takiejże samej niedoli, co oni; powstają na całą naszą szlachtę, przypisując jej nieszczęścia kraju, szkalują nawet przyjaciół naszych, Lafayette'a, i występują z zasadami najradykalniejszej demagogii.

18 stycz[nia]. Bryg „Regina" z Triestu przybył do Marsylii z 25 Polakami. Stąd nowa uraza do rządu, który się opierał ich wylądowaniu, a mieszkańce skorzy byli do ich przyjęcia. W Hawrze tymczasem Towarzystwo Patriotyczne pod prezydencją p. Larrabure daje wielki obiad dla naszych żołnierzy: mowy! toasty! Partia rewolucyjna francuska posługuje się imieniem Polski do dokuczania rządowi. W Marsylii policja każe naszym wrócić na okręt austriacki lub iść do fortecy, był rozruch na ulicach, brano się do barykadowania.

25 [stycznia]. Byłem w Izbie Deputowanych; interpelowano ministrów w sprawie przybyłych do Marsylii i do Hawru Polaków i było sześć petycji podanych za przyjęciem ich do Francji. Od dawna już Argout[37]

---

[34] Portsmouth, wielki port na wyspie Portsea na poł. wybrzeżu Anglii. W autogr.: Portsmut.

[35] Wyjaśnienie zob. poniżej, s. 216.

[36] „Głos Ludu".

[37] Ówczesny minister spraw wewnętrznych. Zob. przyp. 26 na s. 179.

ostrzył zęby na nas i zbierał to, co mógł zebrać na danie nam dobrej reprymendy. Począł od rozczulenia się nad stanem klasy rzemieślniczej we Francji, nad jej ubóstwem i mozolną pracą. „Widzicie — rzekł — podczas kiedy Francuzi cierpią nędzę i muszą pracować, cudzoziemcy pobierają od nas darmo pieniądze, wiążą się z nieprzyjaciółmi porządku i wszczynają rozruchy. Kiedy algierskie i portugalskie wyprawy zdawały się otwierać pole Polakom do zajęcia się, oni woleli na koszcie naszym pozostać i próżnować". To dało mu sposobność do wystawienia w czarnych kolorach obejścia się z Bemem i kilku innych wypadków z emigracji naszej. Dostało się przy tej okazji hiszpańskim emigrantom, którzy nie chcieli wracać za amnestią (choć wielu z nich liberalniejszym sam rząd odmówił paszportu); dostało się i Włochom za ich Młodą Italię; ba, nawet Niemca jednego, Wolfruma[38], który na obchodzie po Dziewickim[39] w loży masońskiej powiedział mowę, oskarżył, że był agentem niemieckich jezuitów. Przez pięć kwadransów mówił minister, sala była spokojna; środek, czyli jako nazywano brzuch Izby, poklaskiwał, oba boki milczały. Ucichł Argout, nikt z młodszych nie zdobył się na odpowiedź, trzeba było, żeby ten jeszcze raz stary Lafayette, trzęsący się i chory, wszedł na trybunę. Zaraz brzuchowi poczęli robić szmer, chrząkać, ucierać nosy; a zaledwo Lafayette wymówił kilka słów, dowodząc, że „les renseignements de mr le ministre n'étaient pas exactes"[40], zagłuszyli go doktrynery, tupając i bijąc po ławkach drewnianymi do rozcinania papieru nożami. Ledwo mógł zejść o swoich nogach, oparty na ramieniu syna swojego, Grzegorza, generał; chciał jeszcze za nami przemówić Salverte[41], ale na próżno: „aux voix! aux voix!"[42] — krzyczał cały środek Izby i zaraz przystąpiono do odrzucenia petycji.

Tegoż dnia wieczorem na balu „des Variétés"[43] poszła w zakład jedna Francuzka ze swymi znajomymi, że wejdzie na bal zupełnie naga i nie zawstydzi się. Wygrała zakład; publiczność bardzo była rozweselona, policja musiała gwałtem wyprowadzić ową kobietę bezwstydną.

---

[38] Hermann Wolfrum, Badeńczyk, działacz polityczny, karbonariusz, kierownik komitetu niemieckiego, 3 lipca 1833 wygłosił mowę w loży „Trinité Indivisible", po czym dostał się do więzienia Sainte-Pélagie, a następnie został wydalony z Francji.

[39] Kasper Dziewicki (ok. 1810—1833), major w powstaniu listopadowym, na emigracji członek loży masońskiej i węglarz. Podczas wyprawy do Polski dostawszy się do niewoli (w pow. stopnickim) popełnił samobójstwo.

[40] „Informacje pana ministra nie były dokładne".

[41] Anne Joseph Euzèbe Salverte (1771—1839), adwokat i polityk francuski, członek Izby Deputowanych, wiceprezes Centralnego Komitetu Francusko-Polskiego. W autogr.: Salvert.

[42] „Do głosów! do głosów!"

[43] na balu „des Variétés" — na balu „Rozmaitości".

1 lutego. Był pogrzeb Dulonga[44], zabitego w pojedynku przez gen[erał]ła Bugeaud[45] za przemówienie się na owej sesji 25 stycz[nia]. Na tym pogrzebie 30 000 wojska stanęło pod bronią dla uciszenia rozruchu, którego nie bez powodów lękano się w Paryżu. Sekcje rozmaitych towarzystw tajnych szły spokojnie przed truną i za truną; tylko na cmentarzu krzyczano: „Vive Lafayette! Vive Cabet! Vive Laffitte!"[46] etc. i zabierano się do bójki. Lafayette'owi, któremu był bliskim krewnym Dulong, lud wyprzągł konie i chciał go w tryumfie prowadzić. Zaledwo sam Lafayette, Laffitte i Cabet[47] uprosili zapaleńców, ażeby na próżno nie wywoływali rewolucji i każdy spokojnie odszedł do domu.

To objawienie czci publicznej dla Lafayette'a dało poznać, jak niesprawiedliwe i bezsilne były oskarżenia i posądzania demagogicznych dzienników i pamfletów, jakoby Lafayette zdradzał sprawę wolności i zaprzedał ją Filipowi. Na tym pogrzebie przeziębił się Lafayette, a choroba przywiodła go wkrótce do grobu.

5 lut[ego]. Przyszła wieść o nierozsądnej wyprawie naszych do Sabaudii pod dowództwem gen[era]ła Ramorino. Już od trzech miesięcy mówiono o tym zamiarze między naszymi. Była to intryga Mazziniego i karbonarów. Komitet nasz i w ogólności ludzie jaśniej widzący w emigracji odradzali naszym zbierającym się do tej wyprawy w Szwajcarii, aby się nie narażali na próżno i nie mieszali się do cudzej sprawy. Dwernicki i Gurowscy ostrzegali Mazziniego, aby nie wierzył gen[era]łowi Ramorino, że gotów jest oszukać, zdradzić. Połowa naszych w Szwajcarii posłuchała rady i ostrzeżenia Dwernickiego. Druga połowa poszła za Ramorino i wtargnęła z bronią do Sabaudii, gdzie za pierwszym starciem się Ramorino umknął, 24 naszych wzięto do niewoli, a 94 dotarło do statku na Jeziorze Genewskim. Ci ostatni przez 36 godzin byli miotani burzą i odpędzani od brzegów przez kantonalną policję. Dobili w końcu do lądu, złożyli broń i znaleźli się w najopłakańszym stanie. Zapewniano mnie, że gdy chodziło o wybór naczelnika do

---

[44] François Charles Dulong (1792—1834), wybitny adwokat paryskiej palestry, polityk, dyrektor spraw cywilnych w ministerstwie sprawiedliwości w latach 1830—1831; członek Izby Deputowanych od roku 1831, przyjaciel Polaków. Na sesji 25 stycznia 1834 napiętnował postępowanie gen. Bugeauda w odniesieniu do księżny Berry, za co został przez niego wyzwany na pojedynek, w którym zginął.

[45] Thomas Robert de Bugeaud (1784—1849), pułkownik napoleoński, później generał i marszałek Francji noszący tytuł księcia d'Isly. W autogr.: Bugeau.

[46] „Niech żyje Lafayette! Niech żyje Cabet! Niech żyje Laffitte!"

[47] Etienne Cabet (1788—1856), adwokat i publicysta francuski, jeden z przywódców karbonariuszy, autor dzieła *Histoire de la révolution de 1830*, w którym m. in. napiętnował nieprzychylne ustosunkowanie się rządu francuskiego do sprawy polskiej.

tej wyprawy, nasi prawie wszyscy głosowali przeciw Ramorino, ale większość Włochów przemogła.

Któż wie, o ile ta konfuzja naszych, spowodowana przez Mazziniego i karbonarów, obroniła w dalszym czasie naszą emigrację od intryg włoskich i od ponawianych spisków na rzecz radykalnej rewolucji.

16 marca byłem na otwarciu konferencji Lacordaira[48] przez arcybiskupa de Quélen[49] w Notre-Dame de Paris. Kościół był przepełniony ludźmi z cywilizowańszej klasy: szlachta wyższa i panowie, uczeni i literaci, młodzież, wojskowi, deputowani i wielu z parów Francji etc., etc. zajmowali całą nawę środkową. Dla kobiet tylko po bocznych nawach dawano miejsca. Trzeba było na dwie godziny pierwej przyjść, aby się nieco zbliżyć do środka kościoła.

Pierwszy przemówił arcybiskup. Nie widziano go od dawna, bo od dni lipcowych, kiedy mu pałac zburzono, żył w prywatnym domu, rzadko się ukazywał, i to na wielkie uroczystości; miał twarz piękną, postać wspaniałą, szlachetną i energiczną, pochodził z jednej [z] najstarożytniejszych rodzin. Jego wymowa przenikała do serca i rozlewała słodycz po słuchaczach. Nigdy tak pięknej, licznej i szlachetnej publiczności nie widziałem w Paryżu; zdawało się, że ktoś wybierał człowieka po człowieku z tego, co było najlepsze we Francji, na to pobożne zebranie. Uważałem przy tym, że w całej tej kilkutysięcznej publiczności znajdowali się przeważnie starce, osiwiałe głowy i młodzież mniej więcej dwudziestoletnia; brakowało zaś w ogólności średniowiecznych juste-milieu, czyli jak uszczypliwie pióra nazywały, „le ventre de la France"[50]. W istocie ta publiczność wystawiała obraz dawnych tradycji przedrewolucyjnych i początek wyzwolenia młodzieży z wolterianizowskiej niewoli.

Zawiązała się szkoła wojskowa w emigracji. Gen[era]ł Sznajde otworzył kurs kawalerii, puł[kownik] Paprocki[51] piechoty, Bieliński[52] fortyfikacji, a Czetwertyński artylerii. Nasi coraz bardziej oddają się naukom,

[48] Jean Baptiste Henri Lacordaire (1802—1861), adwokat, potem ksiądz; w latach 1830—1832 współwydawca demokratyczno-katolickiego czasopisma „L'Avenir", słynny kaznodzieja w Notre-Dame.

[49] Zob. przyp. 12 na s. 121.

[50] „Brzucha Francji".

[51] Kazimierz Paprocki (1798—1857), członek TDP, po wystąpieniu z Ogółu członek nowej Rady Zakładu Paryskiego, tzw. Vauban.

[52] Edward Tadeusz Bieliński (1795—1864), inżynier; kadet gwardii Królestwa Polskiego, współbudowniczy Kanału Augustowskiego, kapitan w powstaniu listopadowym, na emigracji przebywał we Francji, potem w Szwajcarii, w 1852 r. wrócił do kraju.

sztukom i rzemiosłom; ubiegają się o to, aby każdy miał z czego wyżyć, nie polegając na pomocy rządowej; ale nie zapominają, że jesteśmy w służbie, w obozie, należymy do armii polskiej i lada dzień może się otworzyć kampania. Nie masz w Paryżu ani jednej szkoły wyższej specjalnej, gdzie by nie było naszych, a jednak rankami schodziliśmy się na musztrę, już to w mieszkaniu Paprockiego, już to [na] małym placu, na ustroniu koło Barrière de Clichy[53]. To było dla mnie bardzo niewygodnie, bo musiałem z Carrefour de l'Observatoire iść prawie o milę na musztrę i powracać przed rozpoczęciem lekcji w Szkole Górniczej.

Tylko nasi demokraci szyli ciągle. Krępowieckiego rząd musiał wypędzić z Francji, Gordaszewski[54] napisał ostry list o wyprawie sabaudzkiej, zrzucając całą winę na Ramorino. Ramorino odpisał ostrzej, oczerniając Polaków; dwory berliński i turyński wymagają u Vorortu[55] oddalenia Polaków. Rząd szwajcarski opiera się.

26 [stycznia]. Byłem dziś ostatni raz u Lafayette'a. Starzec po chorobie blado wyglądał. Nie wychodzi jeszcze, ale od pierwszej po południu przyjmuje gości zawsze z tąż samą słodyczą i szlachetnym ujęciem. Siedział przy kominku w wielkim fotelu i zaraz począł ze mną mówić o Polsce i o naszej emigracji. Wiedział dobrze, co się między nami dzieje. „Smutno to — rzekł — że młodzi ludzie, ci sami, którzy za liberalnych chcą uchodzić, tyle złego głoszą o kraju. Nie mający imienia i nie znani z zasług, targają się na najświetniejsze imiona polskie, szkalują osoby, które jeżeli w czym zaszkodziły rewolucji, to nie ze złej chęci, ale zapewne mylną rachubą i brakiem przewidzenia. Któż nie zna tu księcia Adama, że miał kilkakroć sto tysięcy franków dochodu, któż nie zna Sapiehy[56], Potockich, co się milionów wyrzekli dla dobra kraju, któż nie słyszał o generałach, co zwyciężyli pod Grochowem, pod Wawrem, pod Stoczkiem. Wszak sam ks[iążę] Adam chciał się bić, nie przypuszczał układów, a Skrzynecki może był uwiedziony przyrzeczeniami i nieszczerością ministrów francuskich. Jeżeli błędy — mówił po niejakim wypoczynku — zniweczyły waszą rewolucję, to o błędach polskich po polsku pisać nikt nie broni; przyjdzie czas, że kraj powstanie i silniej uderzy na nieprzyjaciela, niż to mógł uczynić ostatnią razą. Jeżeli zapaleńcom

---

[53] Nazwa rogatki Paryża.

[54] Franciszek Gordaszewski (1793—1871), kapitan; uczestnik kampanii 1812 r., porucznik gwardii narodowej w powstaniu listopadowym, na emigracji członek Rady Besançon, potem w szeregach „Hufca Świętego" w Szwajcarii, po porażce współzałożyciel Młodej Polski w Bernie.

[55] Wielka Rada Federalna, Dyrektoriat związkowy kantonów szwajcarskich.

[56] Mowa zapewne o Leonie Sapieże, uczestniku powstania listopadowego, którego dobra zostały skonfiskowane.

waszym uda się dowieść, że rewolucje polskie i ich dowódcy dla siebie samych i dla utrzymania poddaństwa podnosili oręż, to się osłabi sympatia dla Polski i oziębnie życzliwość. Wymawiał Platerowi, że na czele swojego dziennika „Le Polonais" położył imię Lafayette'a i innych deputowanych bez ich pozwolenia[57], ale — dodał — pismo to jest pożyteczne, bo oznajamia publiczność naszą z tym, jak u was rządzą Moskale. „Inaczej sobie postępują — rzekł — panowie redaktorowie »de la Voix du Peuple« w Brukseli, którzy się niczym innym nie zajmują, jak oczernianiem patriotów i prawdziwych przyjaciół Polski". Tu się generał zaczerwienił i widocznie był poruszony. (Pisano w tym dzienniku i na Lafayette'a z wielką bezczelnością.) Starałem się oznajomić generała, czym był ksiądz Pułaski, Worcell, Krępowiecki, przedniejsi redaktorowie tego pisma, i że nieprzyjaciele osobiści Czartoryskiego mają na celu spotwarzyć go, aby książę nie przyszedł do władzy, gdy wybuchnie powstanie. „Ach — rzekł generał — ci ludzie nie wiedzą jeszcze, że w polityce, jak i w społeczeństwie ukształconym, potwarz spada na potwarcę, a tyle tylko można zaszkodzić u narodu publicznemu człowiekowi, o ile się rzetelne jego wady odkryje, wady nie ze słabości, ale ze złej chęci i ze złego serca pochodzące". W tym momencie weszły do pokoju panie de Maubourg i de Lasteyrie, a widząc ojca swego nieco wzruszonego i w żywej rozmowie, przeszły do salonu. Wstał Lafayette, przechadzał się po pokoju i kiedym chciał go pożegnać, kończył swoją rozmowę mniej więcej w tych słowach: „On sait bien, que parmi mes amis il y en a qui se sont séparés de moi et qui s'attachent à Louis Philippe dans l'espérance de pouvoir le faire entrer dans la voie constitutionnelle; et faut-il pour cela, que je parle mal de mes amis et que je publie des mensonges sur leur compte?"[58]

Na pożegnanie uścisnął mię poufale i rzekł: „Je vous prie, faites entrer mes enfants"[59]. W salonie zastałem oprócz dwóch córek Lafayette'a panią Georges Lafayette i młodego Lasteyrie. Spełniłem polecenie generała i wyszedłem tknięty do żywego nauką, która mi na zawsze zostanie.

---

[57] Na tym miejscu zamieścił wydawca pierwodruku błędny przypis (zob. *Pamiętniki Ignacego Domeyki*, Kraków 1908, s. 174), który tu prostujemy, stwierdzając, że relacja Domeyki nie budzi zastrzeżeń, istotnie bowiem na odwrocie okładki dziennika „Le Polonais" czytamy: „Le Polonais paraît sous les auspices de MM Pairs de France [wymienione nazwiska], Députés [wymienione nazwiska]", wśród nich jest także nazwisko Lafayette'a.

[58] „Wiadomo, że wśród moich przyjaciół są tacy, którzy się ode mnie odłączyli i którzy przeszli do Ludwika Filipa w nadziei, że potrafią go naprowadzić na drogę konstytucji; i czyż trzeba z tego powodu, żebym źle mówił o moich przyjaciołach i żebym ogłaszał kłamstwa na ich temat?"

[59] „Ja was proszę, wpuśćcie moje dzieci".

30 marca. Wielkanoc. Pisałem list do domu, byłem na nabożeństwie w St. Sulpice, a potem na święconym u gen[era]ła Paca, na którym też wszystkie prawie naczelne figury z naszej emigracji i wielu prostych pachołków, jak ja, znajdowało się. Były też obecne na tym święconym: księżna Adamowa Czartoryska, pani Hoffmanowa (Tańska), pani Rautenstrauch (z Giedroyciów) i kilka innych dam, które zabawiał dowcipem i wesołością swoją Niemcewicz. Górował nad wszystkimi urodą, rozpogodzoną twarzą i białym jak śnieg włosem Kniaziewicz.

W kilka dni potem odebrałem wiadomość o śmierci siostry mojej, Marii[60], którą wielce kochałem. Odnowiło mi się z całą tęsknotą rodzinnych progów przypomnienie lat moich dziecinnych i domowego życia.

Widziałem w tym czasie dwa widowiska, o których warto wspomnieć: byłem na *Don Żuanie*[61] w operze włoskiej; arcydzieło, do którego wykonania byli użyci: Rubini, Tamburini, Lablache, Grisi[62] etc.; i widziałem sławnego Martina w Cyrku Olimpijskim, bawiącego się ze lwem, z tygrysem i z hieną, jak gdyby z trojgiem dzieci. Widząc, jak człowiek odwagą i wejrzeniem panuje nad lwem i tygrysem, z jaką pewnością każe lwowi rozciągać się na ziemi, a potem się sam kładzie i opiera się na nim, a tygrys jak kot przytula głowę swoją do kolan pana swojego, a ogromną łapą dotyka jego piersi pochowawszy starannie pazury, widząc człowieka między tymi dwoma królami źwierząt i jak góruje nawet pięknością i doskonałością form, trudno uwierzyć, aby należał do królestwa źwierzęcego; poznaje się całą doskonałość stworzenia, które myśli, poznaje i ma nieśmiertelną duszę.

13, 14 [kwietnia]. Rewolucja w Paryżu. Tu się obnaża Paryż ze swojej zawołanej cywilizacji, ludzie schodzą do czysto materialnego bytu, występuje w czerwonej czapce, z obnażonymi łokciami sankiulota, rosną barykady, a król obywatel wyprawia 30 000 bagnetów na przekonanie, że ma racją. Gdziekolwiek przez ciekawość podsunął się nasz Polak, wołał lud: „Polonais en avant"[63], jak gdybyśmy byli powstańcami z powołania.

---

[60] Marii Antoniowej Wierzbowskiej, zamieszkałej w Dołmatowszczyźnie.

[61] *Don Juan*, opera włoska w dwóch aktach i dziewięciu obrazach; libretto Lorenzo da Ponte (zm. 1859), muzyka Mozarta (1756—1791), wystawiona po raz pierwszy w r. 1787 w Pradze, a w Paryżu w r. 1805.

[62] Giovanni Battista Rubini (1795—1854), Antonio Tamburini (1800—1876), Luigi Lablache (1794—1858), Giulietta Grisi (1811—1869), wszyscy słynni włoscy artyści operowi.

[63] „Polacy naprzód!"

Szczęściem, rewolucja tą razą nie dopisała podżegaczom. Wojsko i gwardia narodowa przytłumiły przedwczesne zaburzenia. Nazajutrz przeciągał przez ulicę Transnonain[64] oddział żołnierzy 35 pułku z księciem Orleanu na czele; strzelano doń z poddasza jakiegoś domu, chybiono. Żołnierze wpadli do domu i w pień wycięli mieszkańców, dzieci i kobiety. Zamordowali starego d'Aubigny, kupca, który był wybiegł na otworzenie drzwi, i tylko żonie jego i jednej starej kobiecie przepuścili.

Pogorszyło się też i naszym od tej rewolucji, choć żadnego z nas nie wmieszano do spisku i żadnego Polaka nie złowiono w rozruchu. Dzienniki przestały pisać o Polsce, a Thiers od wejścia swego do ministerium bardzo nas zimno traktuje.

18 maja było ogólne posiedzenie Towarzystwa Literackiego pod prezydencją księcia Adama. Wielu Francuzów na nim się znajdowało; między innymi Odilon Barrot i Carnot[65]. Był też obecny młody Walewski, syn — jak wieść niesie — Napoleona. Książę miał mowę po francusku, pełną patriotycznych uniesień; odmalował w żywych wyrazach politykę moskiewską: burzenie szkół i kościołów, wywożenie bibliotek i gabinetów, porywanie dzieci, przesiedlanie familii etc. Dowodził, że z Moskwą nie może być układów, że na niej Europa żadnych nadziei pokładać nie może, że wojna i wojna tylko przed nami, a wytrwałości tylko i dobrego ducha nam trzeba. Niemcewicz też przemówił za wytrwałością, a włos jego biały, twarz rumiana i strzelające oczy dawały żywy obraz tej cnoty, którą nam zalecał, i przypominały nam i Francuzom, ile wytrwał i wycierpiał, ile nadziei przeżył ten weteran sprawy polskiej i ile boleści przegorzało w jego duszy. Przemówił też p. Odilon Barrot gładko i poprawnie, z rozumem i rachubą; ostrzegał, że nie jest jeszcze bliski czas wybawienia Polski i że potrzeba wytrwałości. W tym momencie pociągnąłem wzrokiem po naszych legionistach, po generałach i starych senatorach naszych, z których wielu po trupach już opuścili kraj — i rzekłem w duchu: miły Boże! ten zacny i szanowny rzecznik, co z królewnami tańczy kontredansa, uczy nas wytrwałości i zaleca odwagę!

Któż uwierzy, że to samo towarzystwo, w którego gronie było tylu starych i młodych patriotów, posądzali nasi zapaleńce demokraci o zdradę, o osobiste widoki i niejeden ze starszych, jak sam Dwernicki, Soł-

---

[64] Transnonain, ulica w dzielnicy robotniczej; krwawą akcją masowego mordu, jaki się na niej rozegrał, kierował marszałek Bugeaud, zwany stąd ironicznie „bohaterem Transnonain". W autogr.: Transonais.

[65] Lazare Hippolyte Carnot (1801—1888), publicysta i polityk, saintsimonista, redaktor dziennika „Le Producteur", współpracownik wielu czasopism.

tyk[66], Ledóchowski, potakiwali im, a przynajmniej nie ujmowali się o dobrą sławę Kniaziewiczów, Platerów, Małachowskich i tylu innych.

Jeden okręt z wysłanych przez Austrię dobił z Polakami do Nowego Jorku, drugi z Harwich przywiózł 250 naszych do Oranu[67], gdzie się uformowali w legion. Wysiadłym w Hawrze rząd francuski pozwolił zostać we Francji i żołd przeznaczył. W tych dniach rozwiązał się też Komitet Dwernickiego. Emigracja nasza ze składek swoich utrzymuje biednych naszych żołnierzy, przytrzymanych w Portsmucie.

27 maja. Smutny to był dzień dla nas tułaczów: pogrzebliśmy ostatniego może przyjaciela naszego, szczerego obrońcę Polski we Francji — starego Lafayette'a. Takie przynajmniej uczucie w nas obudziła jego śmierć. Nie mniej smutne uczucie podzielali z nami cudzoziemcy, wychodźcy polityczni z innych krajów. Zdawało się, że Lafayette przeżył swoje blisko sto lat życia nie tylko dla Francji, ale dla pomocy i opieki uciśnionych ludów na dwóch światach, ale co bardziej może niż wszelka inna okoliczność skarbiło mu ową miłość popularną w ostatnich godzinach jego wieku, to że przeszedłszy przez tyle kolei świetnych i krwawych rewolucyjnych, nie zmazał się nigdy okrucieństwem, gwałtownością, nie dał się uwieść pochlebstwem deklamatorów i zachował charakter chrześcijanina, miłośnika porządku i sprawiedliwości. Gardząc też marmurowymi i pozłacanymi pomnikami, które go czekały obok grobowców tylu wielkich generałów w Père-Lachaise[68], obrał sobie na spoczynek Oratorium w Picpus[69], gdzie były groby jego żony, towarzyszki jego więzienia w Ołomuńcu, i grób matki jego żony, księżnej Noailles, gilotynowanej za terroryzmu; przeżywszy świetną epokę, czczony od wszystkich, zwrócił ostatnią myśl swoją ku Bogu i przyjaciółce swojej.

Tymczasem śmierć jego obudziła wiele dzikich namiętności; lękano się na pogrzebie rozruchu, wstrząśnienia, swawoli. Wojsko i gwardia narodowa rozciągnęły swoje szeregi po obu stronach bulwarów aż do przedmieścia Św. Antoniego. Naczelnicy naszej emigracji poszli złożyć ostatni hołd zwłokom generała w imieniu narodu. Familia Lafayette'a wezwała wojewodę Ostrowskiego jako naczelnika gwardii narodowej

---

[66] Roman Sołtyk (1791—1843), generał, polityk i historyk; uczestnik wojen Napoleona, dowódca artylerii w powstaniu listopadowym, poseł koniński na sejm, na emigracji członek Komitetu Narodowego, uczestnik wyprawy sabaudzkiej.

[67] Oran, miasto portowe w Algierze.

[68] Père-Lachaise, jeden z największych cmentarzy paryskich założony w 1804 r., na którym znajduje się wiele polskich grobów.

[69] Picpus, dawny klasztor oratorianów ufundowany przez rodzinę żony Lafayette'a, przy ulicy tej samej nazwy, na przedmieściu Paryża.

warszawskiej (której pierwszym żołnierzem był Lafayette) do niesienia sznura od truny na prawym rogu na przedzie; za nim tuż niósł drugi sznur generał Fabvier[70], a po bokach szli: poseł ze Stanów Zjednoczonych, pp. Laffitte, Odilon Barrot etc.

Król posłał swoje pojazdy z czerwoną liberią, muzyka grała marsze tryumfalne.

Tułacze nasi polscy znieśli na swoich rękach trunę z kościoła de l'Assomption, w którym się zatrzymano dla odmówienia żałobnego nabożeństwa. Tymczasem młodzież, robotnicy i rozmaitego stanu ludzie szykowali się towarzyszyć orszakowi żałobnemu, gotując się jakby do oparcia się żołnierzom na przypadek jakiego gwałtu. Niektórzy nieśli chorągwie; na jednej był napis: „Honneur à la révolution de juillet"[71], ale chorągiew była tak zwinięta, że tylko słowo „révolution" wysuwało się naprzód; na drugiej był napis: „Les écoles"[72]. Te chorągwie zdawały się obrażać policją, podsuwali się sapery, odgrażano się, ale powoli, choć nie bez obawy posuwał się orszak. Na bulwarze du Temple stał pułk 35, ten sam, co popełnił rzeź na ulicy Transnonain. Wołano: „à bas le régiment assassin!"[73] Powstał popłoch, lud uciekał, wywracał gwardiaków; mała garstka została na ulicy przy owej chorągwi rewolucyjnej, a pułk 35 stał nieporuszony. Nikt nie myślał o boju; po chwili śmiech powstał, a nieco zawstydzeni tchórze wracali i nawoływali na drugich, wykrzykując: „Rallions-nous, ayez honte!"[74]. Kiedyśmy przyszli na plac Bastylii, znaleźliśmy liczne wojsko, działa, gwardię municypalną etc. Dopiero na przedmieściu Św. Antoniego poczęli kupić się do nas uwriery, sankiuloty, członkowie Towarzystwa du Droit de l'Homme. Rozrywali nas Polaków między siebie, odgrażali się na rząd, na mouchardów[75] i nie było sposobu wydobyć się z ich karesów: ten nucił *Marseillaise*, ów *Le chant du Départ*[76], ów po prostu, klął i wymyślał na króla, na ministrów, a że wielka część motłochu świeżo odbiegła od warsztatów, brudna i podarta była, wołano: „V o i l à l e p e u p l e c o u v e r t d e h a i l l o n s! N o t r e p e u p l e e x p l o i t é!"[77] Z góry i z dołu witali się nawzajem, nawzajem posyłali do siebie całusy i koncepta chłopcy i dziewczęta. Było to raczej podobne do charivari[78] niż do pogrzebu.

---

[70] Charles Nicolas Fabvier (1782—1855), generał francuski, po rewolucji lipcowej marszałek Francji.

[71] „Cześć rewolucji lipcowej".

[72] „Szkoły".

[73] „Precz z pułkiem morderców!"

[74] „Wróćmy do szeregów, wstydźcie się!"

[75] mouchard (fr.) — szpieg, donosiciel. W autogr.: *muchardów*.

[76] „Pieśń rozstania".

[77] „Oto lud pokryty łachmanami! Nasz lud wyzyskany!"

[78] le charivari (fr.) — wrzawa, kocia muzyka.

Tymczasem na przedzie dochodził wóz pogrzebowy do Barrière du Trône, gdzie się ulica Picpus poczyna. Tu zatrzymano cały krzykliwy rewolucyjny motłoch, a tylko pozwolono deputowanym, familii Lafayette'a i małej liczbie przedniejszych obywateli odprowadzić zwłoki na cmentarz. Wśrzód gwaru, konceptów, bicia w bęben i trąbienia rozchodzić się poczęli paryżanie, a każdy z nas, emigrantów, wymykał się cichaczem do domu, jak mógł najostrożniej.

31 grudnia. Coraz to gorzej dzieje się z naszą emigracją. W Anglii nędza zniewoliła rząd do dania małego wsparcia dla 500 naszych żołnierzy, a Pułaski, Korytko, Worcell nie przestają szkalować najlepszych nawet naszych tam przyjaciół, Stuarta i innych. Fortece pruskie i austriackie już oczyszczone; do szczętu wywieziono Polaków z Niemiec, Szwajcarii; legion nasz w Algierze urósł znacznie i wojować musi przeciw Arabom. Kilkaset naszych żołnierzy wyrzucił okręt austriacki na brzegi Stanów Zjednoczonych i odpłynął, a zostawieni bez sposobu żadnego sami sobie wiarusy, o chłodzie i głodzie, jedni noszą wodę, piłują drzewo i najgrubsze posługi sprawują po miastach; drudzy gdzieś trzebią lasy i orzą ziemię na granicy dzikich Indian. Z kraju o niczym nie słychać, jak o wywożeniu na Sybir, o śledztwach, zaborach.

Cóż dopiero w emigracji? We Francji? Na ziemi, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć obrońców i wskrzesicieli Polski? Ze wszystkich światłych, prawdziwie liberalnych i poczciwych Francuzów i Anglików, których znałem, ani jednego wymienić nie mogę, co by szczerze chciał wojny z Rosją, wojny o Polskę. A jeżeli który z zapaleńców odgraża się na Moskali, to nieszczerze, to bardziej przez nienawiść ku swojemu królowi i ministrom niż z miłości ku nam. Podczas kiedy większa część emigracji pracuje, zarabia na życie, reszta jej, jakby upojona moszczem, wiąże się jeszcze do wszystkich sekt, klubów, spisków i sekretnych intryg. Nowa frakcja w Genewie pod nazwaniem Nowej Polski zagarnęła niemało naszych półgłówków i powiązała ich z Młodą Italią, Młodą Francją etc., choć to, co w tych młodych stowarzyszeniach działo się, było tak stare, jak duma i swawola ludzka, niepohamowana żadną wiarą ni przykazaniem boskim. Już nie tylko tak nazwani literaci i żurnaliści nasi piszą manifestacje, w których szkalują kraj, ale się do nich mieszają ludzie niepiśmienni, żołnierze prości, ledwo się krzyżykami podpisują i protestują. W jednej wielce poklaskiwanej mowie rzekł Niewęgłowski[79]: „Chcecież wiedzieć, co to jest naród polski? Oto dziewięć dziesiątych jego ludności składa lud chudy,

---

[79] Henryk Niewęgłowski (Grach), 1807—1881, słuchacz Uniwersytetu Warszawskiego, porucznik w powstaniu listopadowym, na emigracji członek TDP, współzałożyciel radykalnego pisma „Postęp".

zżółkniały, głupi, nędzny jak bydlę; dziesiąta zaś część jest złożona z gałganów, eksploaterów, tyranów, zdrajców etc." Ma się rozumieć, że mówca i kilkadziesiąt jego współwęglarzy, obywateli Młodej Polski, warowali dla siebie wyjątek, przyrzekali odrodzić naród, nawet całą ludzkość, byleby im pozwolono wyniszczyć szlachtę, jak to im podradzali d'Argenson[80], Potter[81], Marrast, Mazzini. Co gorsza, to że słuchali tych rzeczy i czytali je ludzie ze wszech miar zacni, jak Dwernicki, Ledóchowski, Sołtyk i tylu innych, jak Zalescy, Różycki[82], Nabielak[83], [a] czytając i słuchając, zacierali dłonie i uśmiechali się, jak gdyby w tym było co zabawnego. Nie było już przy nas Adama Gurowskiego, służył Moskwie, pisał i ogłaszał pisma w duchu propagandy rosyjskiej.

W czerwcu czy lipcu zamarzyło się komuś w Zakładzie Poitiers ogłosić Czartoryskiego zdrajcą Polski i nieprzyjacielem emigracji[84]. Projekt ten prędzej przyjęto, niż gdyby chodziło o wyprawę do Polski. Dwa tysiące kilkaset podpisów zebrano do owego ogłoszenia. Oburzyło to starszych i niektórzy, jak Wołowski, Jełowicki, Dembiński, ujęli się w pismach swoich za księciem. Że zaś ze zgrozy, jaką ten akt na nich wywarł, nie byli panami swojego pióra, posunęli się do nazwania wszystkich, co podpisali ów srogi dekret na Czartoryskiego, „rebut de l'Emigration"[85]. Dla pokazania, że nie byli to wyrzutki emigracji, przyłączyli się do podpisów: Dwernicki, Różycki, Nabielak. Ten ostatni w ostrym pamflecie starał się dowieść, że teraz właśnie poczyna się rewolucja społeczna polska, teraz jej zbawienie i świetna epoka.

Wszystkie te zmartwienia i upokorzenia przyjąć winniśmy cierpliwie, za pokutę grzechów narodu naszego i za nasze własne. Straszne są sądy Boże! któż je potrafi zgłębić, odgadnąć? Jakakolwiek przyszłość przed nami, jakakolwiek ma być przyszłość naszego narodu, niech się stanie wola święta Najwyższego.

---

[80] Zapewne powinno być: d'Argenson Voyer Marc René (1771—1842), polityk, czynny członek Société des Droits de l'Homme, autor licznych artykułów w „Populaire".

[81] Louis Potter (1786—1859), belgijski polityk i pisarz, jeden z głównych sprawców belgijskiej rewolucji sierpniowej w 1830 r., autor dzieł antykatolickich.

[82] Karol Różycki (1789—1870), uczestnik kampanii napoleońskich, pułkownik jazdy wołyńskiej w powstaniu listopadowym, na emigracji członek TDP, autor m. in. pamiętników z roku 1831.

[83] Ludwik Nabielak (1804—1883), poeta, historyk, wydawca źródeł; jeden z belwederczyków, potem adiutant Skrzyneckiego, na emigracji członek TDP.

[84] Deklarację potępiającą osobę księcia Adama Czartoryskiego ogłoszono w czasopiśmie „Messager" 29 lipca 1834 r.

[85] „Wyrzutkami emigracji".

W ROKU 1837 WYBIERAM SIĘ DO AMERYKI

W tym roku ukończyłem nauki w Szkole Górniczej paryskiej; zdałem egzam i otrzymałem zaszczytny dyplom. W miesiącach kwietniu i czerwcu byłem użyty do uporządkowania mineralogicznego zbioru margrabiego de Drès. Margrabia był blisko spokrewnionym z Delaunaye'em[b], znał dobrze Hauyego[86], Buffona[87], Barnona[?]. W rewolucji cudem umknął od gilotyny, na którą już był skazany; potem wrócił, był dobrze z Napoleonem, był dobrze z Restauracją i jest dobrze z Ludwikiem Filipem, należy do Izby Deputowanych. Że zaś przygłuchy, wołają go na posiedzenie tylko do wotowania, gdy chodzi o jaki pilny interes. Dziewięćdziesięcioletni starzec, po dwakroć stracił swój majątek na zakupowaniu minerałów i teraz więcej mający długów, niż wart jego gabinet, rozkochany w kamieniach, potrzebował oczu moich do urządzenia kryształów, których miał pod dostatkiem. Dobrze mi czas schodził u niego, a kiedym go raz zapytał, jakim sposobem mógł zachować się w zgodzie z cesarstwem, restauracją i Filipem, powiedział mi: „C'est que voyez vous, mon cher monsieur, les revolutions sont comme les champignons, les meilleures ne valent rien"[88].

W miesiącu lipcu profesorowie Szkoły Górniczej zarekomendowali mię panom Köchlin, Alzacjanom, bogatym bankierom i właścicielom fabryk, którzy kupiwszy niedawno wielkie dobra na pograniczu dolnej Alzacji, Bonne-Fontaine, wartujące 2 czy 3 miliony fr., i mając wielkie lasy, potrzebowali inżyniera do wyszukania rud żelaznych i założenia pieców do ich wytapiania. Tym inżynierem miałem być ja, a że nie miałem wielkiego wyobrażenia o sobie i pierwszy raz w życiu przyszło zarabiać, a nie umiałem i nie śmiałem targować się, zgodziłem się z ochotą na pensję roczną tysiąca dwieście franków. W Bonne-Fontaine był wspaniały zamek, życie bankierskie, stół wyśmienity i wysoki ton towarzystwa. Panowie Köchlin dobrze mnie przyjęli. Pani Köchlin, żona młodszego, i jej dzieci okazali mi od razu pewien szacunek, którego by może odmówili innemu oficjaliście. Z wielką też ochotą i gorliwością oddałem się mojemu rzemiosłu. Od rana do wieczora chodziłem z parobkami, których mi do pomocy dodano, po ogromnych lasach, szukając rudy i znalazłem po wielu miejscach jej pokłady dosyć bogate. To zjed-

---

[b] W autogr.: Dolonim.

[86] Reue Just Haüy (1743—1822), mineralog francuski, profesor w Paryżu, autor licznych prac z zakresu krystalografii i mineralogii.

[87] Georges Louis Lecler Buffon (1707—1788), wybitny przyrodnik francuski, autor 36-tomowego dzieła pt. *Histoire naturelle*.

[88] „To widzi pan, mój drogi panie, rewolucje są jak grzyby, najlepsze nic nie są warte".

nało mi wziętość u pp. Köchlin i już przychodziło do planów zakładania huty, w której mieli mi dać pewien udział w czystym zarobku.

Byłem rad, prawie szczęśliwy, póki pracowałem w lesie i zajmowałem się rudami, ale w zamku, u długiego stołu, na pokojach, przyznaję się, czegoś mi nie dostawało. Przykrzyłem sobie; jakaś żyłka szlachecka dokuczała mi. Cała grzeczność, ujęcie, wygoda, porządek, dobry ton, połączony z niejaką oszczędnością i rachunkowością, wszystko to było z nowego herbarza, wszystko to bardziej pochwalałem w duchu, niż lubiłem. Nieraz wśrzód gadatliwości i przepychu stołowego, przy szampanie i wykwintnym deserze zdawało mi się, że widziałem w salonie zza drzwi spoglądającą na mnie matkę moją, smutną, jak gdyby miała mi co do wyrzucenia. A do tego pp. Köchlin byli protestanci; lubili sobie żartować z księży i starej szlachty francuskiej, choć pani Köchlin była katoliczką i jej brat gorliwym katolikiem. W niedzielę potrzeba mi było iść dwie mile do kościoła.

Nadeszła jesień. Pani Köchlin odjechała z dziećmi do Paryża. Pp. Köchlin (było dwóch braci) pojechali do Miluzy[89] do swoich wielkich fabryk, ja zostałem dla ukończenia moich poszukiwań rudy. Wilgoć i zimno w lasach pogorszyły zdrowie moje, a humor co dzień był gorszy. Wtem odbieram list od p. Dufrénoy[90], mego profesora mineralogii, w którym mi proponuje jechać na profesora chemii i mineralogii do Coquimbo[91] w Chile i ofiaruje 1200 piastów (6000 fr.) na rok pensji, koszt podróży etc.

Odżyłem! Odżył we mnie mój od dzieciństwa zapał do dalekich wojażów. Niedługo myśląc odpisałem, że zgadzam się; i na drugiej ćwiartce papieru napisałem list do pani Köchlin, że jadę do Ameryki. Posłałem listy na pocztę i poszedłem w las. Wracając do domu, zgubiłem list pana Dufrénoy i przez miesiąc nie wiedziałem, dokąd jadę, bo zapomniałem był nazwiska Coquimbo.

W listopadzie opuściłem Bonne-Fontaine, a w grudniu podpisałem umowę z p. Lambert, dawnym kolegą szkolnym pana Dufrénoy, właścicielem min[92] w Chile, który będąc umocowany od chilijskiego rządu do wyszukania profesora chemii w Paryżu, udał się był po radę do swego dawnego przyjaciela i kolegi.

Łatwa była umowa z panem Lambert, tylko co do terminu, na jaki

---

89 Miluza (fr. Mulhouse), stare miasto przemysłowe w Alzacji. W autogr.: Meluzy.

90 Pierre Armand Dufrénoy (1792—1857), inżynier, geolog, dyrektor Szkoły Górniczej w Paryżu. Przy współudziale Elie de Beaumonta opracował mapę geologiczną Francji.

91 Coquimbo (La Serena), miasto w płn. Chile.

92 mina — kopalnia.

miałem zobowiązać się, ledwo żeśmy się nie poróżnili. On miał w swojej instrukcji zawrzeć umowę na lat sześć, ja, spodziewając się wojny, nie chciałem jechać jak na cztery czy pięć lat. Po długim rokowaniu przystałem na warunek sześćletni, a p. Lambert przyrzekł mi wyjednać od rządu skrócenie terminu.

Cały styczeń (1838) zeszedł na przygotowaniach do podróży, na zakupieniu laboratorium i książek i na pożegnaniach.

Smutne były moje pożegnania z familią Czartoryskich, z Niemcewiczem, Kniaziewiczem, Dembińskim, Platerami, Jełowickim; smutniejsze jeszcze z Adamem i jego żoną Celiną, z Laskowiczem, Chełchowskim[93], Zaleskimi, Witwickim, Góreckim, z nikim jednak na zawsze, ze wszystkimi do widzenia, do widzenia, do widzenia! Gdzie? — Bogu wiadomo.

Koniec tomu pierwszego

A D G[94]

---

[93] Walerian Chełchowski (1811—1872), prawnik; słuchacz Uniwersytetu Wileńskiego, podoficer 13. pułku ułanów w powstaniu listopadowym, na emigracji najpierw w Avignon, potem w Paryżu, gdzie pracował jako zecer. Pozostawił dwie prace z zakresu prawodawstwa w przemyśle.

[94] Ad Dei Gloriam — Bogu na Chwałę.

D O D A T E K

PIERWSZE DNI KWIETNIA 1831 R. W LITWIE

Od dwóch miesięcy nasi starsi bracia bili się z Moskalem, tysiące ich na grochowskim polu legło, wolność była w Warszawie; na sejmie o Litwie mówiono, a jeszcze w Litwie była cichość straszna, zapowiadająca wojnę. Po klasztorach i sklepach znoszono proch i strzelby; nocami w zamkniętych kuźniach ostrzono piki, wyprostowywano kosy; młodzież szkolna lała kule; myśliwi swe ładunki na grubszego zwierza chowali. Starzy, wytrawniejsi, co już po trzykroć próbowali podźwignienia Polski, na szeptach, na pokątnych zmowach układali plany, ważyli środki, zawady i przyrzekali wymierzyć czas i godzinę do uderzenia na nieprzyjaciół sposobną. Kobiety strojną młodzieżą gardziły, a swoich braci i mężów, i synów same namawiały czym prędzej rzucić się do broni, a nie czekać leniwie, aż się Warszawa w gruzach zagrzebie lub bracia zwycięzcy przyjdą nas zawstydzić. Po kościołach lud się modlił, spowiadał się, a księża nauczali, że za każdą kroplę za nas krwi przelanej przed Bogiem zdamy sprawę z opieszałości naszej w daniu braciom ratunku. Niejeden posłaniec z Litwy do polskiego wodza idący męczeńską śmierć poniósł; czekano rozkazów od starszyzny polskiej. Młodzież litewska wrzała, a od Moskalów[1] w ich przelęknieniu i obawie czytała sławę swoich wolnych braci, czytała słabość ciemięzców.

Tymczasem zgraję szpiegów nieprzyjaciel rozpuścił na Litwę; po miastach osadził wojenne sądy i tajne inkwizycje. Złowrogim był dzwonek pocztowy każdemu, co się do sprawy publicznej gotował; bo tak jeździli owe piekielne duchy moskiewskiego piekła: asesory, sprawnicy[2], żandarmy; a w ich szpony kto się dał ująć, ten był na zawsze pozbawionym najwyższego szczęścia: bronienia ojczyzny. Trudno było z powiatu do powiatu, z parafii do parafii przejechać; noce tylko i skryte manowce były dla poczciwych otworem. A jednak wieści coraz skorzej biegły: powstanie na Wołyniu, powstanie na Żmujdzi: tam Dwernicki

---

[1] Czyli w postawie Moskali.

[2] sprawnik (ros. isprawnik) — powiatowy naczelnik policji w carskiej Rosji

zbił Rydygiera[3], Rotha[4] i ze czterdzieści pułków jazdy na Litwę prowadzi; w Połądze okręta angielskie dwadzieście tysięcy Żmujdzinów w najświeższą broń i w piękne mundury odziało; tłumy Francuzów biegą; Niemcy się burzą; sam król pruski nie usiedział na swojej stolicy[5]; a tuż Wilno co noc grozi rewolucją, działa na ulicy, Moskale dzień i noce pod bronią; w Oszmianie rzeź okropna: pułk Czerkasów[6] uzbrojony w janczarki[7] i w puginały[8] szerzył rozboje, pożar i rabunki; wojska się od głównej armii cofają.

Takie to wieści, na wpół prawdziwe, na wpół płonne, błyskawicą latały: jak ogień po gmachu napełnionym palnymi składami. Żmujdzini już dokoła w boju z nieprzyjacielem, spośród wojennego dymu i pożogi wyzierali tylko, czy się już cały kraj ogólnym pożarem nie zawziął. Komu z lat najrańszych o ojczyźnie jak o umarłej matce ze świętością mówiono, kto ją przeniósłszy do nieba, jakie dla swej myśli utworzył, o tym niebie młode dni przemarzył, a nigdy tak wysokiego szczęścia nie śmiał sobie roić, że kiedyś przyjdzie mu na swe własne oczy widzieć jej zmartwychwstanie i prosto jej własną siłą i własnym nabytkiem służyć; dlatego godzina ówczesna była wiekiem życia, a w wezbraniu chęci trudnym był wybór, do czego się rzucić i w czym podług usposobienia swego i żądzy poświęcenia się najbardziej być pomocnym.

Na umówiony dzień czekaliśmy tylko hasła i rozkazu z Wilna, a wnet mieli się zgromadzić ze wsi, z okolic szlacheckich i ze znajomszych dworów ochotnicy i łączyć się we trzy punkta: w Lidzkiem koło Wasiliszek, w Słonimskiem do Chorobrowickiej Puszczy i w Nowińskich lasach pod Nowogródek. O dalszych planach powstania nie wiedziałem.

Zamieszkały na wielkim gościńcu wileńskim winienem był przyjąć hasło i celniejszym dowódcom je rozdać. Wyglądałem od Wilna posłańców; miałem na pogotowiu broń i konia; strzelby i pistolety pod pomostem w śpichrzu, proch w pustym ulu we dworskiej pasiece.

W wigilię 1 kwietnia szedłem nocą od mego sąsiada, kiedy z daleka od domu szczekanie psów moich ostrzegło mię, że jest ktoś obcy we dworze. Znalazłem Stanisława[9], który biegł z Wilna na Wołyń, a po drodze w Nowogródku, w Słucku i w Pińszczyźnie miał dać rozkazy i pierwsze hasło do powstania. „Ty leć do Grodna — rzekł nie tracąc

[3] Fiodor Rüdiger (1783—1856), generał rosyjski, dowódca 5. korpusu armii w 1831 r.

[4] Roth, Francuz w służbie rosyjskiej, generał, dowódca trzech pułków ułanów w r. 1830/31.

[5] Fryderyk Wilhelm III.

[6] Czerkiesi, jedno z plemion kaukaskich, znane z waleczności.

[7] janczarka (tur.) — rodzaj strzelby, rusznica.

[8] puginał (węg.) — długi, ostry nóż, sztylet.

[9] Stanisław Kozakiewicz. Zob. powyżej, część pierwsza, rozdz. I, przyp. 8.

czasu — i tam, jeśli nie mają sił do wzięcia miasta, kasy i magazynu, niech wyślą młodzież na partyzancką wojnę do Białowieży dla przecięcia stamtąd dróg i komunikacji. Słychać, że pod Grodnem jest liczny oddział partyzantów polskich w Augustowskiej Puszczy. Jutro w nocy masz im donieść o powstaniu żmujdzkim i litewskim, a jeśli prawda, że Skrzynecki w Łomży, przedrzeć się po rozkazy i donieść mu, żeśmy już działać zaczęli. Za hasło, które tylko naczelnemu wodzowi, prezesowi rządu i Lelewelowi okażesz, powierzam ci słowo Kiejstut, na co ci odpowiedzą Batory, a dla większej wiary pokażesz ten pieniądz". Była to ruska kopiejka z roku 1815, na której koronę zatarto. O szczegółach żmujdzkiego powstania mało jeszcze natenczas w samym Wilnie wiedziano, a wysłani emisariusze przez Żmujdź do Polski nieprędko dojść mogli; ogólnie więc tylko o działaniu powstańców, a bardziej o samym wybuchnieniu powstania donieść byłem obowiązany; w istocie zaś o rozkazy i o instrukcje do naczelnego wodza iść postanowiłem.

Ze wschodem słońca w imię Boże wyjechałem z Zapola; o mil dwie rozstaliśmy się ze Stanisławem: on pocztą za Niemen, ja swoimi końmi ruszyłem do Grodna; oba w fałszywe świadectwa opatrzeni. Po drodze spotykałem oddziały garnizonów moskiewskich pędzonych na obronę Lidy; byli to starzy żołnierze, szaraczkowo ubrani, skurczeni pod karabinem; a każdego się krzaku lękali, sądząc, że spod niego powstaniec wystrzeli. Po karczmach słyszałem, jak powiadano o strasznej mocy jakiegoś wojska na Żmujdzi, co z dubeltówek strzela, ma jakieś drewniane harmaty, a zdziera skóry z Czerkiesów. W Szczuczynie był szwadron huzarów moskiewskiej rezerwy, zamknięty w karczmie, a wkoło niej ostawione były warty. Spotykam dwornego pisarza: dawny z czasów szkolnych znajomy; odprowadza mię na stronę, pokazuje garść kul świeżo ulanych: mrugnął okiem, ścisnął mię za rękę i pobiegł na pocztę. W Kamionce[10] stał na ulicy blady, a jakiś nieśmiały Moskal żołnierz, do którego się nie lękał podejść Żyd i pod nos mu nakiwać. Podczas gdy konie moje wytchnęły, przyszedł do mnie ten Moskal i pytał pokornie, co słychać pod Lidą? Nic mu na to nie odpowiedziałem, a on powtórnie zapytał, czy prawda, że tam w kilku wsiach chłopi nasi wytruli żołnierzy na kwaterze stojących i że tam wody napić się Moskalowi straszno. W tym podeszli inni żołnierze, dwóch mieszczan i Żydek, a wszyscy zapewnili, że tak jest w istocie, i każdy się bardzo zamyślał.

Tak to sam strach w awangardzie wpadał na tył nieprzyjacielskiej armii, kiedy od niej wysłana brygada ułanów Chiłkowa, brygada pieszych strzelców i dwie baterie szły spiesznym marszem na uśmierzenie powstańców. W Grodnie znalazłem już księcia Chiłkowa, mianowa-

[10] Kamionka, miasteczko w pobliżu Grodna.

nego dowódcą wyprawy na Litwę, z władzą rozstrzelania we 24 godziny każdego, co by się mu nie podobał.

Miasto było jak wśród oblężenia, choć wkoło na mil kilkanaście płaszczyzny, równiny i taka spokojność, jak nad obłokami. Spodziewano się posiłków, a tymczasem dwa działa wodzono z miejsca na miejsce, odprzodkowywano je, rychtowano: Żydzi się lękali, a lud się chrześcijański śmiał. Na wielkim rynku przed ratuszem był wielki obóz, na którym batalion piechoty stał dzień i noc pod bronią. Oficerowie latali na koniach, jak gdyby z rozkazami w boju; wieczorem nikt nie śmiał wyjść na ulicę. Gdy zaś szlachcic czy chłop wjeżdżał do miasta, wodzono go dzień cały z policji do policji, jak złoczyńcę, rozbójnika. Ja się półzłotką daną żołnierzowi odkupiłem od tych ceremonii, lecz ledwo wyszedłem na miasto, porwano mię i przed Chiłkowem stawiono.

Zwyczajem wielkich książąt moskiewskich spojrzał on na mnie ostro i z podjętymi, naprzód nadstawionymi ramionami nasunął się na mnie. „Czegoś tu przybył?" — krzyknął po rosyjsku. Na to mu po polsku rozpocząłem szeroki wywód eksdywizorskiej sprawy[11] mojego brata w sądzie głównym grodzieńskim, za którą niby przybyłem, i takem się zawziął na jednego adwokata, że nie zważając na to, czy Chiłkow rozumie, czy nie rozumie, wywiodłem skargę przed obecnego tam gubernatora, skargę na sędziów, na adwokatów, na przekupstwo, żem w końcu znudził panów generałów i wzięli mnie za nieznośnego gadułę, za pieniacza, to jest za rzemieślnika, jaki najmniej podejrzanym jest, a najwięcej dochodu przynosi rządowi. Zmieniono więc ton, a Chiłkow przyjaźnie mnie zapytał, co słychać pod Lidą? Powstałem więc na policję lidzką, że nam jeden targ w mieście rozpędziła, strasząc nas jakimiś powstańcami, o których u nas bardzo strasznie Żydzi gadają, że aż strach w domu siedzieć. Zamyślił się Chiłkow, gubernator głową kiwnął i odprawił mnie jak nudnego szlachcica, a wychodząc nie przestałem się rozwodzić nad eksdywizorską sprawą mego brata przed kancelarzystą, który mię przeprowadzał.

Tegoż dnia przywiedziono kilku okutych mieszczan z Merecza[12], połowionych i powiązanych zamiast trockich powstańców, którzy się tam byli ukazali i nastraszywszy tameczny garnizon uciekli. Był to pierwszy kęs tryumfu na zgłodniały ząb księcia Chiłkowa. Generał Baryszkin tak się tym wielce był ucieszył, że wnet pobiegł do więźniów i z nich jednego stolarza ze związanymi rękami przed nim stawionego sam swoją ręką w policzek uderzył; stolarz plunął mu w oczy, on powtórnie go ude-

---

[11] Tj. sprawy podziału majątku.

[12] Merecz, miasto przy ujściu rzeki Mereczanki do Niemna.

rzył, stolarz się zaśmiał, on uciekł ze złości. I zaraz jedną spomiędzy ich ofiarę wybrano, zasiedli za ławą sędziowie wojenni i słup za Horodnicą pod miastem był wkopany, przy którym miano go rozstrzelać.

Alem nie czekał na ten bal moskiewski. Tegoż dnia na tajemnej schadzce zważywszy, że się powstanie w mieście nie uda z przyczyny małej ilości ochotników, niedostatku broni i nadchodzących posiłków Moskalom, a niejakiś pan Kurek, co udawał, że ma pod swymi rozkazami do tysiąca partyzantów za Niemnem i przyrzekał pomoc naszym, okazał się być człowiekiem podejrzanym, może szpiegiem lub tylko rabusiem, i nie było bliżej powstańców w Augustowskiem, jak gdzieś pod Kalwarią[13], uradzono wysłać młodzieży część do Białowieskiej Puszczy i tam natychmiast utworzyć powstanie. Ja zaś czwartego kwietnia ponad granicą województwa augustowskiego ruszyłem w białostocki obwód.

Niemen był jeszcze wezbrany; ogromny zapas prochu, kul i wojennych wozów pod silną strażą promem tego dnia przeprawiano: ledwom się nad wieczór wcisnął między powozy; a odpływając, widziałem na brzegu stojących Kosseckiego[14] i Skarbka[15], nikczemnych zbiegów polskich. Nikt się z nimi nie łączył, przeklęstwo jakieś było na ich twarzach; ze wstrętem od nich odwróciłem oczy — prom przybił do brzegu, krzyk i wrzawa moskiewskich zwoszczyków[16] mię zagłuszyły. Wyskoczyłem czym prędzej i wbiegłem na górę, gdzie na mnie konie jednego obywatela czekały.

Słońce zachodziło pogodnie, kiedym po raz ostatni żegnał mury miasta i owe dwa zamki: jeden stary, poważny, pamiętny śmiercią ostatniego z mądrych i walecznych królów[17]; drugi, choć młodszy, zestarzały przeklęstwem ostatniego sejmu[18]. Tamten dziś jeszcze wspaniały, choć się w nim zagnieździli generały moskiewskie i wtenczas drżał w nim jeszcze jeden, patrząc z okien na popalone wsi augustowskie i na pobliski tuż nad Niemnem kościół*, co już raz był pogroził największemu

---

* Kościołek kałuszyński, na który według podania mieszczan grodzieńskich Karol XII kazał lekkie działa wprowadzić i strzelał do starego zamku w godzinę, kiedy w nim Piotr Wielki z Sasem obiadowali.

[13] Kalwaria, miasto powiatowe nad górnym biegiem rzeki Szeszupy, dopływu Niemna.

[14] Ksawery Kossecki (zm. 1867), generał w. p., sekretarz stanu przy Radzie Administracyjnej, po roku 1831 dyrektor główny Komisji Rządowej Sprawiedliwości.

[15] Fryderyk Florian Skarbek (1792—1866), ekonomista i literat, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Moment, o którym tu wspomina Domeyko, znajdujemy też opisany w pamiętnikach Skarbka, ale jakżeż inaczej tam maluje się jego postać. Zob. *Pamiętniki hr. Fryderyka Skarbka*, Poznań 1878, s. 186 i n.

[16] zwoszczyk (ros.) — przewoźnik.

[17] Stefana Batorego w roku 1586.

[18] Na którym dokonano drugiego rozbioru Polski.

z carów i dźwigał na swym grzbiecie działa Karola szwedzkiego. W młodszym zamku jęczeli chorzy i ranni Moskale; w salach, gdzie niegdyś Sievers[19] nakazał kłamać piórom, językom, gdzie Polak sięgnął do podpisu cudzych rozbojów, a gwiazdy moskiewskie na naszych zdrajcach błyszczały, opatrywano dziś świeże rany przez wnuków skrzywdzonego rodu zadane, a wielkim ambasadorem na tym jęczących sejmie była — cholera. Wszystkie tam izby, komnaty na mnóstwo przegrodzeń porznięto; wspanialsze na dwa podzielono piętra i wszystkie na lazaret przerobiono. Spomiędzy przegród błyszczą gdzieniegdzie po ścianach ułamki złoconych gzymsów i pokruszone w płaskorzeźbie portreta królów polskich i orły nasze. W sali, gdzie niegdyś Katarzyny wizerunek wisiał, inne dziś palą kadzidła: tam wpośród duszącego gorąca** wyzierają ze zgnilizny żywe straszydła rozpustą i zarazą złożone; a co u nich na myśli, co w przypomnieniu, to tylko godne się lęgnąć w pałacach carowej. Warty wokoło srożą się, jak gdyby kto mógł jeszcze, kto miał siły z tego zaklętego zamku uciekać. Jedna w nim kaplica pustką została; odarto ją z obrazów i ze świętości, lecz nikt jej zamieszkać nie śmiał; tam poważnie echo się rozlega, a gospodarz milszego czeka gościa.

Tak sobie w myśli chodząc po zamkach, straciłem Grodno z oczu, a powóż mój był nad samą granicą Królestwa. U nóg płynęła Łosośna[20], mały ruczaj, ale powabny dla mnie: dosyć go było przeskoczyć, już bym dotknął brzegu, na którym niedawno sterczała rewolucyjna chorągiew i na którym pień nie dopalonego słupa, jednego z tych, co Warszawę ostrzegły o najeździe Moskalów, czernił się jeszcze na wzgórzu. Ale ostrożność kazała mi się wstrzymać z przejściem granicy; mogłem jeszcze mil ze sześć bezpiecznie jechać po tej stronie, kiedy po tamtej co krok musiałbym się przedzierać przez nieprzyjacielskie czaty; przedzierać się jak szpieg, walczyć bezbronnie przeciw szubienicy, przeciw najstraszniejszej broni, jaką człek wymyślił.

W nocy przybyłem do Kalnowa. Pan jeszcze nie spał, leżał na kanapie, u drzwi stali: gumienny, ekonom i jeden z dworskich. Mieli to niby radzić o wiosennej siewbie, ale skoro mię nieznajomego ujrzał we drzwiach wąsaty ekonom, mignął okiem na pana i palec sobie na ustach położył; a kiedym go mijał, on sobie niby wąs na dół pociągał, zmarszczone miał czoło i z ukosa na swoich spoglądał. Zrozumieli wnet słudzy jedno skinienie pańskie, wyszli, a my tę noc przegadaliśmy o naszej

** Sala syfilitycznych chorób. [W autografie: syfilistycznych.]

[19] Jakub Sievers (1731—1808), dyplomata rosyjski, ambasador w Polsce w latach 1792—1793, przyczynił się do zatwierdzenia drugiego rozbioru Polski. W autogr.: Sywers.

[20] Łosośna, dopływ Niemna.

kochanej ojczyźnie. Ja mu o powstaniach litewskich, gospodarz o świeżym zwycięstwie pod Dębem i pod Wawrem opowiadał, o którym tylko co był odebrał najszczęśliwsze wieści. Ale przy tym mi doniósł, że Moskale są aż pod Ostrołęką, gościńce i pomniejsze drogi ściśle przez nich strzeżone, policja czujna: za małe podejrzenie wieszają lub okutych pędzą na Syberią, a biedny pan czy chłop, co zbiegom lub bezpaszportnym da choć na godzinę przytułek. „Czy wiedzą w Warszawie o powstaniu żmujdzkim? — pytałem gospodarza; na co mi odpowiedział, że z ostatniej komunikacji, jaką miał sąsiad wraz po batalii pod Dębem Wielkim, z Polski nic o tym nie wspominają.

Dwa dni musiałem bawić na miejscu, nim wyszukałem przewodnika do przeprawienia mię przez Bóbr w Augustowskie. Mieszkańców tu znalazłem niezbyt skorych do rozpoczęcia powstania; ale co dzień czekali na przyjście Polaków, mieli w Bogu nadzieję i każdy, jaką kto miał, broń strzegł i chował starannie na czas potrzeby. Szlachta od pogranicznej nawet straży, z którą się była zażyła, kupowała zbywające pistolety, pałasze, a od Żydów proch i strzelby. Pod karczmą rozmawiali chłopi nie już o roli, nie o gospodarstwie, lecz o tym, że coraz bliżej słychać działowe strzały i huk wielkich batalii, na których Bóg naszych zasłania, a Moskale tysiące swoich rannych w dzień wiozą, a tysiące grzebią. „Wczora już było późno, wiozłem z lasu koły na ogrodzenie mojego ogrodu; aż słychać jakby daleki piorun; zapytał mię mój Karol: »czy słyszysz?« Przypadłem na ziemię, przyłożyłem ucho; aż ziemia drżała: potem dwa pożary nad puszczą widać było”. Tak mi opowiadał jeden włościanin. W Dąbrowie[21] lud się na nabożeństwo zebrał pod kościołek; wtem jakiś Żyd przybył z Grodna; ciekawi kupią się do niego; on opowiada, jak tam rozstrzelano jednego z mereckich mieszczan: „Wszyscy razem żołnierze strzelili, a on jeszcze żył; potem jeden najśmielszy przyszedł do niego, przyłożył karabin do piersi i zabił go”. „A czemu się on nie bronił?” — zawołał ktoś z gromady. „Nu, a kiedy go przywiązano do słupa, a dokoła wojsko stało, sami Moskale, i potem, choć on umarł — ja nie wiem, może on jeszcze żył — pan generał nie kazał odwiązać, ale przy nim wartę postawił”.

Siódmego kwietnia byłem u jednej zacnej Polki o milę od Kalnowa, nad samą granicą. Wesoło dzień zeszedł; towarzystwo było liczne; czytaliśmy urzędowy raport o batalii pod Dębem Wielkim; piliśmy za zdrowie zwycięzców, panny śpiewały pieśni patriotyczne i zabawy ciągnęły się w noc późną. O godzinie 12, kiedy się goście rozjeżdżać zaczęli, wymknąłem się z pokoju i poza ogrodzie pod starą gorzelnię podszedłem, gdzie na mnie czekał przewodnik. W milczeniu poszliśmy przez pole po

---

[21] Dąbrowa, miasteczko w Białostockiem. W autogr.: Dombrowie.

świeżo pooranej roli, potem przez błota, na których po kolana brnęliśmy aż do rzeki Bóbr, gdzie na brzegu przewodnik mój miał w ajerze[22] ukrytą małą łódkę, tak małą, że za poruszeniem się i straceniem równowagi łatwo się było wywrócić. Wsiedliśmy ostrożnie, a przewodnik sterował poza samym rzędzie jakiegoś płotu w wodzie, od rybaków tam do zastawiania sieci przygotowanego. Noc był[a] pogodna, cicha, księżyc tak jasno świecił, że nigdy go w tak wspaniałym blasku odtąd nie widziałem, czasem kiedy niekiedy plusnęła ryba na powierzchni wody, a szczekania psa we dworze, z któregośmy wyszli, ledwo słychać było. Daleko za nami na brzegu błot widziałem ognie pogranicznej straży, od zachodu nad puszczą dym jakiś i łuna dalekiego pożaru.

Patrzyłem na piękne niebo, kiedy się łódź nasza z szelestem w zarosły brzeg łozą i ajerem zaryła. Było jeszcze na ukos pół mili drogi błotami do wsi, w której przewodnik mój, Mazur spod Goniądza[23], miał swoich krewnych i znajomych; a był to jakiś ponury i surowy człowiek, słowa nie przemówił do mnie i kiedym do niego zagadał, on syknął tylko i ani się odwrócił do mnie. Raz głęboko zapadłem; dał mi rękę, podźwignął mię i przestrzegł, żebym unikał czarniawych miejsc, ale szedł, kędy woda była. Jakoż tam na dnie błota jeszcze się ląd utrzymywał i choć chłodno, dosyć mi znośnie było, pókiśmy na bardzo zimne krynice i żelazną rudę nie trafili, gdzie przez czas niejaki prawie po pas w błocie zatrzymać się musiałem, póki mój Mazur nie wynalazł drogi, kędy to oparzyste miejsce obejść można było. W godzinę przyszliśmy pod dwór Jastrzębną, gdzie miałem sobie życzliwych, a kiedyśmy się do wielkiej przybliżali drogi, tętent koni i głos rozmawiających ludzi na gościńcu kazał się nam w rowie przyczaić. Po chwili podniosłem głowę i daleko widziałem lśniące po księżycu kaszkiety grenadierów ruskich. Był to patrol nieprzyjacielski; przewodnik mój poszedł na wzwiady, potem wrócił i we dwóch przez płoty, przez ogrody podeszliśmy z tyłu pod okna. Zastukałem, ogromne psy do nas się rzuciły, a w moment wyskoczył młody gopodarz. Oddałem mu kartkę, on mię wprowadził do swego pokoju, wykrzesił ognia, przeczytał listek i zaraz ustąpił mi swojego łoża, bo tej nocy niebezpiecznie było w dalszą puszczać się wędrówkę.

Nazajutrz przyszła do mnie gospodyni domu, pani Lubowicka, pozdrowiła mię ze łzami, bo z kartki, którą synowi oddałem, już się domyśliła powodu mojej podróży. Szanowna ta Polka była w żałobie po mężu; trzech synów miała w wojsku rewolucyjnym; młody zięć w miesiąc po szlubie poszedł z karabinem, a córka w Warszawie została; najmłodszy tylko syn pomagał w gospodarstwie matce. Dziwiłem się uniesieniu, z jakim chwaliła mi się, że jej synowie są w najwaleczniejszych pułkach:

---

[22] w ajerze — w tataraku.

[23] Goniądz, miasto w pow. białostockim. W autogr.: Goniędza.

„Starszy, jak mam wiadomość, jest w czwartym liniowym, średni w drugim pułku ułanów, a trzeci, co do jaskółek kulą z pistoletu trafiał, jest bez wątpienia we frejszycach[24], co to z trupimi głowami za bezpardonnych są okrzyczani. Ach, gdybyś pan wiedział, przeszłej niedzieli byli tu Moskale, musiałam ich częstować; ale przy kawie, kiedym zaczęła im gadać o tym moim synu, zawołanym strzelcu, jak trafnie do asa, a jak zimno do niedźwiedzia strzelał, a potem o sile mego najstarszego syna, a o zręczności mojego ułana, pobledli moi goście i ledwo usta otarli, jeden za drugim wyniósł się z Panem Bogiem! Żadna tu z moich sąsiadek nie jest ode mnie szczęśliwszą, choć ja płaczę; żadnej może modlitwy nie są tak gorące: bo ja się modląc za kraj, modlę się za moich najukochańszych synów. O, żebym też choć jednego po wojnie ujrzała, a jeśli już Bóg osądził, że wszyscy oni mają być zabici, żeby też nie na próżno: jak by się uradowała dusza mego męża, gdyby Polska była Polską, wolną i niepodległą, do czego on do śmierci tęsknił i wzdychał!"

Kiedy tak ona mówi, a jej słowa były dla mnie miłe jak najpiękniejsza modlitwa, wbiega dziewczyna z oznajmieniem, że słychać strzały działowe. Wybiegła pani Lubowicka i jej syn, a ja za nimi wkrótce. I rzeczywiście, mogliśmy uchem, choć słabo, rozróżnić kilkadziesiąt bardzo dalekich strzałów, a był to pierwszy głos batalii, jaki w życiu moim słyszałem.

Długo popasywać nie było bezpiecznie; prosiłem o przewodnika o mil trzy do Dębowy, do znanego tam ze swoich cnot wójta gminy, pana Andreackiego. Pani Lubowicka oświadczyła mi, że sama mię tam zawiezie, wzbraniałem się ją narażać na niebezpieczeństwo, ale po krótkim namyśle zaprzężono konie, wsiadłem na kozły, wziąłem bicz i lejce i tegoż dnia zawiozłem panią Lubowicką i brata jej zięcia do Dębowy. Po drodze spotykaliśmy Moskalów, w Cichowie była silna załoga, aleśmy szczęśliwie uniknęli podejrzeń, nikt nas nie zatrzymał.

Dębowa jest mała szlachecka okolica nad Kanałem Augustowskim przy samej śluzie, wkoło bagnami niedostępnymi otoczona, a z jednej tylko strony od Cisowa na dwie wiorsty grobla do niej prowadzi. W tej okolicy mieszkał sławny z poczciwości swojej Litwin Andreacki, brat księdza, ejszyskiego proboszcza, ale tuż przy nim siedział na ogrodzie jeden zwadliwy sąsiad pieniacz, chciwiec i kryjomy duch Moskalów. O ile tamten był nam pomocny, o tyle ten ostatni nam i sąsiadowi swemu szkodził i trzeba się go było wystrzegać jak szpiega.

Na nieszczęście pana Andreackiego w domu nie znalazłem i nie wiadomo było, dokąd z rana poszedł. Jego żona, kobieta pobożna, prosta, młoda, czekała go niecierpliwie i była niespokojna, bo jak się przed nami

---

[24] we frejszycach — w wolnych strzelcach.

przyznała, przysłano z lasu po jej męża rano dla przeprowadzenia w Jastrzębską Puszczę[25] dwóch jakichś zbrojnych krakusów[26]. Gospodyni uprzejma częstowała nas jak ze zwyczaju, ale była roztargnioną, co chwilę spoglądała w okno i dziecko swoje najstarsze wysyłała na groblę na wzwiady, czy ojciec nie wraca. Bawiąc gości, niekiedy wśród rozmowy mieszała się, bladła i zdało się jej, że słyszy tętent koni, i łzy miała w oczach; dzieci nawet były niewesołe, bo nie wiedziały, czego matka płacze.

Pani Lubowicka długo czekać nie mogła; dla oka więc złego sąsiada usiadłem znowu za furmana i wywiozłem ją daleko na groblę, a potem zeskoczyłem z kozłów i o zmroku przyszedłem na powrót do Dębowy.

Gospodarza jeszcze nie było w domu; sama ze starszym dzieckiem modliła się u obrazu, a na najmniejszy szelest czujną była. Wtem pies, co u progu leżał, zrywa się, uderza po drzwiach łapą, skowycze, wyskakuje i wita swojego pana. Wesoło, z hałasem wbiega poczciwy szlachcic, po prostu w płóciennej kapocie ubrany, ściska żonę, całuje dzieci, po tysiąc razy je całuje; potem wyjmuje dla nich dwuzłotkę nowo przyniesioną z Warszawy, na której był wybity orzeł biały obok pogoni litewskiej. Cisną się dzieci i żona widzieć nowy pieniądz, on je raz jeszcze uścisnął i krzyknął z radością: „Brawo! Wszystko najpomyślniej idzie". Tu spostrzegł mię obcego i rzucił okiem na żonę. Ona go wnet ostrzegła, że ja dziś panią Lubowicką przywiozłem, a jestem posłem od powstańców. Zacząłem mu o Żmujdzi i o Litwie rozprawiać, ale mi nie dał mówić wiele, podał rękę, uścisnął i rzekł: „Już o tym wiem i wiedzą o tym wszystkim w Warszawie i teraz dwóch z rozkazami emisariuszów przeprowadziłem, a jakież to walne chłopaki, jeden miał z galonka pendent[27], znać, że oficer, drugi zapewne w randze podoficera. A jakaż broń! Dubeltówki, pistolety, szable i krocice. Ale też nie z biesa przejść zbrojno przez całą armię nieprzyjacielską! Ważne papiery niosą na Żmujdź; żywcem by ich nie wzięli. Trzy dni temu, jak z głównej kwatery wyszli. 12 000 moskiewskiego niewolnika do Warszawy przyprowadzono. Patrz pan, co za pieniądze tam biją! Paradny wystrojono legion litewski i lada dzień wyszlą go na Litwę. Aż przez Gdańsk czy jeszcze dalej Lelewel odebrał list o Żmujdzinach. Co to za radość tam była. Nigdy nie zapomnę tych walnych wiarusów: jakie też to zuchy. A puste, a wesołe, co też my się nie naśmiali. Jeden czarniawy, nazywa się Przecławski". „Toć pew-

[25] Puszcza na granicy pow. augustowskiego i sokulskiego.

[26] Krakusi (krakusy), nazwa sławnego polskiego pułku lekkiej jazdy, utworzonego w ostatnich latach Księstwa Warszawskiego, biorącego udział w wielu bitwach napoleońskich. Pod tą samą nazwą lekka jazda brała udział w powstaniu listopadowym.

[27] pendent — obszyty kosztowną taśmą pas do zawieszania szpady.

no drugi Wołłowicz — podchwyciłem. — On mi dał słowo, że na pierwszą wieść o powstaniu pierwszy rozkazy od wodza przyniesie". „Tak jest — odpowiedział — on wam słowa dotrzymał, bo też to zawadiaka jakiś, a silny, a zręczny! Już oni stąd daleko". „Więc już w Warszawie o powstaniu wiedzą i nasi rozkazy na Żmujdź ponieśli?" — zapytałem. „O, wiedzą i już po liście z Gdańska otrzymano tam drugą dokładniejszą wiadomość; ale jeśli pan masz co nowego do doniesienia, a jakie nowe polecenia od swoich, to popróbujemy, może się uda; rzecz nie jest niepodobna do wykonia, choć Moskale czujni i można stryczek obłowić. Ach, biedni trzej akademicy z Wilna; niedawno z wielką pracą i mozołem przedzierali się do Polski; jakże się też im chciało służyć w krakusach; moja żona ich ostrzegała i ja namawiałem: poczekajcie lepiej, wszak lada bitwa, to nasi Dybicza za kraj świata przepędzą. Nie i nie — koniecznie do wojska. Szczęśliwie ich aż za Rajgrod przewiodłem; nocami po niedostępnych miejscach szli o głodzie i o chłodzie i już pod same przednie straże polskie podpełzli, na wzgórzach pikiety kozackie widzieli, gdy na nich moskiewski patrol nadjechał. Jeden uciekł, a dwóch na miejscu skłuto. Ale potem o tym. Żono! Czyście nakarmili gościa, bo zaraz pójdziem spać, a jutro przeprowadzę, dokąd zechcesz".

Projekt o śnie bardzo mi był do smaku. Po nocnej wędrówce czułem się być strudzonym, a przygotowane łóżka nęciły mię do siebie. „Więc idźmy spać" — rzekłem; ale sama gospodyni, ciągle niespokojna i jakoś trwożliwa, kilkakrotnie powtórzyła: „czy tylko tu wam bezpiecznie — jakieś przeczucie mię trwoży". „Dobrze mówisz, moja kochana — powiedział mąż. — Widzieli mię dziś ludzie jacyś i Żydek z sąsiedniej karczmy, kiedym prowadził moich wiarusów; o! jutro mię w domu nie ujrzycie; ale diabeł poniesie Moskalów po nocy; jednak ostrożność nie zawadzi". Wzięliśmy płaszcze, daliśmy dobranoc, gospodyni nas przeżegnała i szliśmy spać do stodoły. Ale chłopak służący poradził nam spać nad chlewem, gdzie był skład zimowego karmu. Tam się wdrapaliśmy po ścianie z Andreackim, a za nami wlazł tenże chłopak i wszyscy trzej jeden przy drugim zaryliśmy się w słomę, a tylko para pistoletów i fuzja były tuż przy nas na pogotowiu.

Moi towarzysze od razu usnęli. Ja w myślach rozważałem sobie, czy mam iść dalej, kiedy o powstaniu, o tym, co mam powiedzieć, wiedzą już w Warszawie. Ogólnie mi tylko o wszystkim Stanisław[28] donieść poruczył. Żadnej bitwy, żadnego nadzwyczajnego wypadku, nawet sił powstańców opisać bym dokładnie nie mógł. Rozkazy już za dni kilka będą na Żmujdzi. Ja tam nie byłem, ale mam hasła, znam Lelewela; może by moje rady, uwagi były dla Litwy przydatne, a może się im dziecinne

---

[28] Stanisław Kozakiewicz.

wydadzą, im, co takich cudów dokazują. A tymczasem między swoimi byłbym użyteczniejszy: po lasach z powstańcami w partyzanckiej wojnie! Czy się nie za prędko pochwyciłem pierwszej zręczności stania się czynnym? Koło domu tyle ważnych rzeczy było do wykonania. Ale za to widzieć Warszawę! Zwycięstwo pod Wawrem i Dębem, 12 000 niewolnika, pieniądze z pogonią litewską, nasze legiony stanęły mi w duszy. Trzeba dotrzeć choćby dla widzenia jednej pikiety krakuskiej. Sen mię nie brał; Bóg wie, co mi się marzyło; północ minęła, już zaczynało świtać.

A wtem tętent koni posłyszałem. Coraz się przybliża; na chwilę ucichł. Skrzypnęły wrota. Już na dziedzińcu słychać konnych. Podniosłem głowę; przez otwór u strzechy widziałem żołnierzy jadących prosto do domu pana Andreackiego. Na przedzie było kilka par kozaków z pikami, a dalej po dwóch jechali kirasjery, każdy z pistoletem w ręku. Jechali stępo, w milczeniu aż pod sam ganek domu. Zbudziłem pana Andreackiego; pierwsza myśl przyszła zsunąć się tyłem zza strzechy i uciekać w błota. Lecz skorom wytknął głowę, ujrzałem cały dwór dokoła otoczony gęsto żołnierstwem. Tu jęk przeraźliwy żony i dzieci nas dochodzi. Po domie, po dziedzińcu biegają z ogniami. Już w stajni, już w stodole. Okropna wrzawa: „Hdie baryn? Hdie chaziain? Zdies krakusy"[29]. Słychać, jak biją sługi i domowników. Chciał skoczyć Andreacki, wstrzymałem go, mieliśmy trzy strzały; za nas dwóch trzech by ich padło. Wpadają do chlewa z ogniem. Nasz chłopak ze strachu, sądząc, że uciecze, zsuwa się od ogrodu po ścianie. Dostrzeżono go, łowią, pistolet mu przyłożono do piersi i pytają: „Hdie baryn?" Podskoczyli drudzy, biją go, ale się on zaląkł i nie mógł słowa przemówić. Potem go oficer bierze na stronę, prowadzi go do chlewa, nad którym byliśmy schowani; nadstawujemy ucha; słyszymy targ: dwadzieście dukatów daje mu oficer, jeżeli pana wyda, sypie mu rublami. A w domu coraz okropniejszy jęk dzieci i żony, płacz i krzyk kobiet. Tu znowu na dole słychać namowy żołnierzy: „nie lękaj się pana — mówią do naszego chłopca — ty będziesz wolny, a my go powiesimy, powiedz, gdzie krakusy, on dwóch dziś tu przyprowadził, wszak to ich konie w stajni, oni tu śpią u niego, wot diengi[30]". I znowu słuch natężamy; słychać łkanie chłopca. „Mów, bo, zabijemy" — krzyczą i tłuką, a on ledwo mógł wyjęknąć: „Nie wiem, dalibóg, nie wiem, gdzie pan; on za furmankami pojechał". Wtem jeden zapytał: „A gdzie u was siano?" „W stodole" — odpowiedział chłopak i poszli wszyscy do stodoły; tylko dwóch kozaków zostało, którzy poza strzesie i po kątach pikami ryli i głęboko wiercili słomę nad chlewem zrzuconą, tak że pan Andreacki o mało w piersi ugodzonym nie był. Klną

---

[29] „Gdzie dziedzic? Gdzie gospodarz? Tu krakusy!"
[30] „Oto pieniądze".

i łają Moskale; odbili śpichrz, w domie podłogę wydarto, wybijają komin, nawet pasiekę w ogródku zburzyli, powywracano ule, a wszędzie rabunek, gwałt. Drudzy ze stodoły wracają i dają znać starszemu, że siano, jakie tam znaleźli, tak przeszyli pikami, że tam by się i szczur nie osiedział. Wzmaga się złość w barbarzyńcach: „Zapalcie budowle — zawołał oficer — oni tu być muszą, niech się przynajmniej gdzie w dymie uwędzą". Już zapalone łuczywy niosą; jeden tylko ich wstrzymuje, jakiś poczciwszy; inni się burzą, wszczyna się kłótnia: „Jak to, cztery mile na próżnośmy zbiegli, spędziliśmy konie, okaśmy nie zmrużyli i nas siedemdziesięciu jednegoż by skatinę[31] złowić nie miało?" Długo coś między sobą starsi radzili, drudzy się na ziemi rozciągnęli, pijani i zmordowani, aż w końcu „n a k o ń!" głos oficera dał się słyszeć, a żołnierze ozwali się chórem, złorzecząc Andreackiemu, przeklinając krakusów i Polaków, i samego Boga, i hosudara[32], co ich męczy. Mrucząc wyjechali z dworu, kurzawa ich ogarnęła; goniliśmy ją daleko okiem, aż w końcu grobli znikła.

Jeszcze było głucho i obaśmy w słomie leżeli, a każdy jednym okiem patrzył przez otwór, jaki sobie w strzesie był przewiercił; niepewni jeszcze życia, bo niepewni, czy wszyscy żołnierze już odjechali, kiedy usłyszałem głos pani Andreackiej, słaby i przytłumiony: „Mężu, uciekaj". Wyskoczyliśmy; godna politowania była ta kobieta z na wpół umarłą twarzą: drżała, a przy niej stał biedny chłopak służący, zbity i przelękniony. „Uciekajcie — rzekła pani Andreacka — bo nie ręczę, czy po was znowu nie przyjadą, skoro im sąsiad da wiedzieć, że wy tu jesteście"; a spostrzegając mnie, dodała: „dzięki Bogu, żeś pan ocalał; Opatrzność Najwyższa zakryła was przed Moskalami, że im nie przyszło na myśl wleźć tu na górę, kiedy najmniejszy zakątek w całym dworze przetrzęśli. Biedne dzieci moje ledwo żyją z płaczu i ze strachu". „Krótka rada — przerwał pan Andreacki — pan się przebierz i powiedz mi, dokąd chcesz iść". Zrozumiałem z jego miny i z zapytania, że miał mnie za zrażonego tym nocnym wypadkiem; wziął mię punkt honoru i rzekłem: „Idę dalej!" Uścisnął mię szlachcic, klasnął dłonią i zawołał: „Toć mi zuch! Ja ciebie o tęgie pół mili do wioski przeprowadzę, a ty, Maćko — rzekł do chłopca — czółnem stąd pana przewieź aż pod tamte krzaki, żeby nas pan Marcin nie spostrzegł; ja z fuzją inną pójdę drogą". To mówiąc zeszedł na dół, ucałował żonę i oboje poszli do dzieci.

Ja zostałem z Maćkiem, co nam uratował życie, oddałem mu całe moje odzienie, a on mi dał grubą koszulę, jakiej nigdy w ręku nie trzymałem, zdjął z siebie sukmanę szarą z potrzebami i kapelusz, a ja to na

---

[31] skatina (ros. skotina) — bydlę.

[32] Tj. cara

siebie wdziałem, co mi tak fizjognomią zmieniło, że kiedym przyszedł pożegnać gospodynią, ledwo mię poznała. Pobłogosławiła mię ze łzami, dała mi na drogę chleba i trochę wędliny; ucałowałem jej ręce i poszedłem na brzeg kanału z Maćkiem, wsiedliśmy do czółna i popłynęliśmy.

Ranek był piękny, wiosenny; słońce już było weszło, dziękowałem Bogu za uratowanie mię nocy przeszłej z rąk moskiewskich, a w Jego świętą oddałem się opiekę i wesoło mi było, rześko, a myśl wczorajsza, czy potrzebnie idę dalej, nie wracała mi do głowy. Kiedyśmy płynęli, na brzegu stał pan Marcin i poznał się widać na sztuce, bo mi się surowo wpatrywał; potem zoczywszy daleko pana Andreackiego pokiwał głową, zaburczał coś pod nosem i prędko poszedł do domu.

Maciek przybił czółnem na umówione miejsce, pożegnałem go i z panem Andreackim przyszliśmy do wsi położonej nad jakąś rzeczką[33], która do Bobry wpada, zdaje mi się, nad Biebrzą[34]. Tam poczciwy szołtys powiedział nam, że po całej okolicy szukają dwóch zbrojnych krakusów, których wczora pan Gołembiowski komisarz z Cieszewy przeprowadził i za to go nieboraka, jak słychać, Moskale chwycili i męczą niemiłosiernie. „Co, pana Gołembiowskiego? — zawołał Andreacki i wziął się za głowę — więc jesteśmy zdradzeni; tak, z nim wczora ich przeprowadziłem i dziś do niego miałem ciebie odesłać; on jeden mógłby ci wskazać dalszą drogę, bo bez niego nikt nie potrafił dalej się przedrzeć; on wiedział cały sekret dalszej podróży. Biedny mój przyjaciel, zamęczą go, zamęczą". A wtem spostrzegłszy na mnie kwaśną miną: „Ale nie zważaj na to, jest jeszcze jedna rada. O mil dwie stąd mieszka między bagnami w puszczy strzelec Alexandrowicz; on, jak wiem, przeprawił zimową porą jednego Litwina pod Łomżę, a my się z nim dobrze znamy. Człowiek to prosty, ale tęgi zuch i patriota; do niego zaraz napiszę".

Wchodzimy do domku szołtysa, gdzie było kilka kobiet biało i czysto ubranych: jedna siedziała za krosnami, a inne motały nici. Pierwszy raz w życiu widziałem tak zamożnego wieśniaka; serce mi się radowało, kiedy mię uprzejmie, nie pytając, kto jestem, wzięto za jakiegoś posłańca z dalekiej wsi, powitano jak wieśniaka i częstowano gorzałką, a na stół zastawiono chleb, masło, ser i pełną misę gotowanego szczawiu.

Pan Andreacki był wójtem gminy, znał dobrze szołtysa, szepnął mu na ucho, a stary poszedł po swojego syna i zlecił mu, żeby mię przeprowadził do owego strzelca w puszczy; sam zaś przyrządził dla mnie kurpie[35]; bo miałem do przebycia pół mili błot i trzęsawicy, po których ciężko w butach chodzić. Wziąwszy więc zaletną kartkę od pana An-

---

[33] Zapewne Siderką, dopływem Biebrzy.
[34] Biebrza, inaczej Bóbr, Bobrza, więc mowa tu o jednej rzece.
[35] Chodaki plecione z łyka.

dreackiego, pożegnałem go; stary szołtys przeprawił mię i syna swego czółnem za rzeczkę i tam kazał mi usiąść na pniu, zdjął mi buty, włożył kurpie, a nogi moje sznurował powrozkami. „Dyć to wy nigdy w kurpiach nie chodzili, rzecze, wa! co też za okrutna noga; mojego Jaśka o tyle większa" — i patrzy na swojego syna-podrostka, tłustego a niezgrabnego, i uśmiecha się stary. Potem nas przeżegnał: „Szczęść wam Boże!" — rzekł i dał mi kij w rękę.

Z pół mili ciężkiej przeprawy przez błota miałem; po pas zapadałem w bagna i dosyć zmęczony, po dwóch bezsennych nocach dochodziłem w lesie do chatki, w której mieliśmy znaleźć leśnego strażnika; kiedy niespodzianie spostrzegamy przy chacie jakieś kobiety wyższego stanu, nie pustelniczo ubrané, które, skoro nas zoczyły, pochowały się do chaty, a ku nam ogromne psy wybiegły. Za psami młody strzelec wyskoczył, obronił nas i zapytał, kto jesteśmy? „Szukam pana Alexandrowicza" — odpowiedziałem. Zmieszał się i ledwo wybąknął: „Ja jestem". Oddałem list, co go jeszcze bardziej zmieszało.

Odprowadza mię na stronę i zwierza mi się, że właśnie tej godziny pani nadleśna uciekła tu do jego chałupy i ma się tu ukrywać, bo już dłużej nie mogła wytrzymać rozbojów kozackich, mianowicie teraz, kiedy Moskale, rozeźleni za przeprowadzenie szpiegów i posłańców polskich, dopuszczają się gwałtu i rozboju. Potwierdził mi wszystko, cośmy o Gołembiowskim za rzecz niepewną od szołtysa słyszeli, i oświadczył mi, że ani może, ani się odważy służyć mi za przewodnika. „Bój się pan Pana Boga — rzecze — tu lada moment, może tej nocy Moskale do mnie wpadną i za najmniejsze podejrzenie chatę spalą. W Rajgrodzie mówił mi mieszczanin, że się już na nas odgrażał jeden tam Żyd, co ma swoje konszachty z oficerami. A do tego jest tu pani nadleśna. Ona się przelękła na sam widok cudzych ludzi i osłabiała. Ona mię przeklnie, skoro zobaczy, że ja rozmawiam z panem. Ona się domyśli. O! to przebiegła kobieta".

„Ale pozwólcie mi spocząć — rzekłem — bom zmęczony". Pomyślił trochę pan Alexandrowicz, potem kiwnął głową: „Niech się tu pan zatrzyma, ja pójdę, pogadam z siostrą, może jakkolwiek da się ułagodzić pani nadleśna".

Jakoż po chwili przybiegła siostra strzelca, młoda a ładna, i zaprosiła mię do chaty. Wszedłem; na łóżku leżała jakaś otyła jejmość, a tuż przy niej ogromna na ziemi waliza i mały wrzaskliwy piesek. „Waćpan z daleka?" — zapytała mię nadleśna; a choć w strachu, rada by mię zbadać, a ciągle się ogląda, zaziera w okno, chwyta się za serce, pluje i wzdycha. „Z daleka, mości dobrodziko" — odpowiedziałem i umilkliśmy. „Dokądże Bóg prowadzi?" „Chciałbym się pod Łomżę przedrzeć". Znowu milczenie. „Ale to trudno, nie wiem, to niepodobna" — mówi pani nad-

leśna, a widzę, że już nad strach ciekawość górę bierze. I dalej po krótkim namyśle: „Pan może mi zawierzyć; mój mąż w wojsku kapitanem; kto wie, może już majorem dotąd; ach, Boże, gdyby też kiedy Polska była!" Ja milczę, a pani nadleśna biorąc to za potrzebną ostrożność, wysyła pana Alexandrowicza na drożkę od Rajgroda, jego siostrę po wodę, kuzynce każe robić herbatę, wtenczas zrywa się z łóżka, podchodzi familiarnie do mnie i biorąc mię za rękę rzecze: „Ja wiem, że pan jesteś ważną figurą, ja się domyślam; i dobrze, że przed prostymi ludźmi wystrzegasz się gadać; uciekaj czym prędzej pan stąd, bo tu niebezpiecznie; ale powiedz mi, proszę, czy prawda, co nam tu mówią o rewolucji w Litwie, że tam jest 60 000 wojska, czy prawda o Anglikach, że już wylądowali w Rydze i że wojna turecka niechybnie?" Wtem pies zaszczekał, pani nadleśna krzyknęła i padła na kufer, co stał przy mnie. Wbiegają kobiety, nie wiedzą, co się stało, patrzą na mnie, patrzą na panią nadleśną. „Co to było?" — pytają; trzeźwią imość, ona drży, ocyka się, patrzy w okno i po pauzie zapytała, na kogo pies szczeka. „Na mego męża" — odpowiedziała siostra pana Alexandrowicza.

Zaprowadzono panią nadleśną na łóżko, a ona po chwili z miną bardzo poważną prosiła kobiet, żeby się oddaliły, bo ona ma o ważnej rzeczy ze mną do pomówienia.

Wszyscy wyszli, ja znowu z nią tylko zostałem. „O! co mnie — rzekła — to pewno Moskale szukać będą, chwała Bogu, że się skryłam. Mój mąż w krakusach i wiedzą, że ja imperatora nie cierpię. Możesz mi pan zawierzyć, nie takie to rzeczy przez moją głowę przechodziły". Na to odpowiedziałem strudzony, że wiele a wiele miałbym do doniesienia o Litwie, o wojsku, o Turkach i o Anglikach, że wszystko po części jest prawda; tylko mi tak słabo i tak jestem znużony, że muszę choć jedną tu noc przespać. „Ale zmiłuj się pan, chyba życie niemiłe; tu co moment lękamy się Moskalów; tu o pół mili w Rajgrodzie dwa pułki". Na to przełożyłem, że gorzej będzie, jeśli w tej puszczy w nocy zachoruję, a mnie nieżywego znajdą.

Strwożyło to imość, cały sekret ze mną umarłby dla niej; kazała mi dać herbaty, nalała nie żałując rumu, rozłożono ogień na kominie, rozparłem się porządnie przed ogniem i moje obuwie suszyłem. Tymczasem siostra strzelca przygotowała mi pościel w stodole, a potem nieznacznie zza drzwi mrugnęła na mnie, tak że tego nie dostrzegła pani nadleśna, która coraz niecierpliwiej wyglądała ode mnie nowin i wiadomości. Wyszedłem nie mówiąc jej słowa i padłszy jak długi na łóżko, zasnąłem.

Zaledwo słońce weszło, obudziła mię siostra pana Alexandrowicza, przyniosła kawy i kawał wielkanocnego pieroga i pocieszyła mię okiem nadziei. „Niech pan będzie spokojny — rzekła — choć pani nadleśna całą noc nie spała, dziś jednak nie jest w takim strachu jak wczora;

a ja namówiłam brata mego, żeby dziś poszedł do Rajgroda, o wszystkim się dowiedział, o wszystkim się przekonał i — jeśli można — sam lub przez kogo drugiego ułatwił panu przejście dalej. A tymczasem pan musisz dziś tu koniecznie odpocząć, bo się o jego zdrowie lękamy". Podziękowałem czule, poszliśmy do chaty, gdzie w istocie spokojniejszą znalazłem panią nadleśną, a pan Alexandrowicz już był do Rajgroda poszedł.

Został był tylko jego szwagier, młody a prostakowaty, którego, jak uważałem, z góry p. nadleśna traktowała, a on o niej z przekąsem mi gadał i rzadko kiedy siedział w izbie. Cały ten dzień zeszedł mi na próżno. Nudziła mię nadleśna wypytywaniem się o Litwie, o powstaniu; musiałem o wodzach i o wojskach gadać, których nie widziałem, wypadło i o Turkach, i o Anglikach napomknąć, a za to o Francuzach imość mi gadała i wspólnie do pół miliona armii Polsce przygotowaliśmy, a kiedy się udało wymknąć, szedłem pod pozorem niebezpieczeństwa do lasu, gdzie mi niespokojność myśli i gawędka pana szwagra nie dozwoliły zdrzemać, choć snu jeszcze potrzebowałem.

Wieczorem późno jużeśmy byli zniecierpliwieni czekaniem na gospodarza, a na panią nadleśną paroksyzm strachu napadł. Niespokojna o swego brata gospodyni w progu chaty stała i lękała się samej p. nadleśnej, która na nią zwalała całą przyczynę nieszczęścia, jakie zapewne spotkało jej brata w Rajgrodzie. Jeden tylko szwagier spokojnie siedział w kątku i korzystając ze zmroku chrapał. Wtem pies zaszczekał, porwaliśmy się. Gospodarz wrócił, ale przelękniony, zmieszany, najgorsze nowiny nam przynosi: „Ach, tam skończenie świata! — rzecze — Co też tam nie wyrabiają Moskale; pana Gołembiowskiego okrutnie zbili za przeprowadzenie dwóch krakusów; pobrali i strzelców jego, i szołtysa, i zięcia arendarza. Bóg wie, kto ich wydał; całe miasteczko w strachu. Przy mnie żołnierzy wysłano po rozmaitych panów; a kogo wezmą, bądź zdrów! Posłano powtórnie po pana Andreackiego, bo wiedzą o jego konszachtach z Polakami. Kirasjery jak dęby wielkie noszą się z pękami łoz, którymi sieką naszych niemiłosiernie. Najsurowiej zakazano bezpaszportnych na moment do chaty przyjmować, owszem, kazano dostawiać wszystkich cudzych ludzi do policji; a z gminy ani przejść bez moskiewskiego świadectwa". „Dosyć, dosyć — przerwała nadleśna. — Pan tu nocować nie możesz, idź sobie z Panem Bogiem; nam życie drogie, a i chaty szkoda, bo spalą". To mówiąc nastroiła srogą minę i z kąta w kąt chodziła po izbie, a coś sobie pod nos mruczała i kręciła głową. Siostra strzelca załamała ręce i łzy jej stanęły w oczach, a jej mąż, co się w dzień namyślał służyć mi za przewodnika, usłyszawszy złe nowiny, pierwszy uciekł z izby.

Nie było czego czekać, wziąłem mój kij, skłoniłem się i wyszedłem

z panem Alexandrowiczem, a za nami wybiegła jego siostra i zaklinała mię na wszystko, abym niedaleko od chaty pod dębem nocował, a nie puszczał się nocą w nieznajome miejsce lub gdzie w puszczy nie kładł się na ziemi, bo tu są jadowite węże. Wyniosła mi potem poduszkę i kożuch, bo noc była zimna, a ja prócz sukmany nic na sobie nie miałem.

Jeszcześmy się chwilę naradzali z p. Alexandrowiczem; on mi powiadał o położeniu wojsk moskiewskich i o obrotach naszej armii; prosiłem go i zaklinałem, żeby mię przynajmniej przez rzekę Łyn i przez jej rozlewy i zatoki przeprawił, bo pływać nie umiem, a w tym czasie rzeka była wezbrana i trudne do przebycia tak nazwane biele, które na kształt jezior po tej puszczy rozmaicie się wiją. Odłożył to do jutra, a ja poszedłem o kilkaset kroków od chaty i położyłem się pod dębem.

Zimno było i wilgotno i obrzydliwie między gadami; sen jak z musu przychodził, był przerywany; marzenia dzikie, mordujące. Kilkakrotnie byłem w Warszawie, patrzyłem na szeregi powiązanych Moskalów, na zdobyte sztandary, na świetne wojsko nasze; byłem na sejmie i jak poseł perorowałem, potem porwany w ręce Moskalów pod szubienicą wyrywam się, znowu mię łowią, okutego prowadzą na Sybir. To ostatnie mi się śniło, gdy mię zbudził strzelec i oświadczył, że ani on, ani jego szwagier nie chcą i nie mogą się odważyć na przeprowadzenie mię w stronę ku Warszawie; że tego po nich żadną zapłatą wymóc nie zdołam i tu dłużej przebywać mi nie wolno.

Jedna więc tylko droga dla mnie zostawała, to jest ta, którą przyszedłem, a wróciwszy pod Dębowę myśliłem, że przez znajomego mi szołtysa zejdę się gdzie z panem Andreackim i on mi poda jaki inny sposób lub radę.

Pani nadleśna, kiedym wszedł na pożegnanie, mocno się uradowała widząc, że odchodzę. O strzelcu i jego siostrze nigdy nie zapomnę, bo w nich widziełem czułość, prostotę, szczerość i gościnną życzliwość, jakiej od obcych może już nigdy nie doznam.

Za boską pomocą trafiłem prosto do wsi mego znajomego szołtysa, przebyłem powtórnie błota z butami pod pachą, w kurpiach danych mi od strzelca, i spocząłem na pniu, na którym mię stary przedwczora obuwiał. Zoczył on mię rychło ze swojej chaty, podał czółno, przewiózł, ale o p. Andreackim nikt w całej wsi nie wiedział, a innej drogi nie było, jak albo znowu wracać na chatę pana Alexandrowicza, albo koło Dębowy niedaleko Cisowa iść poza augustowskim gościńcu; po przerwaniu zaś łańcucha znajomości pierwszy zły albo lękliwy człowiek mógłby mię wydać. Zostało mi tylko wracać do Jastrzębnej i tam od znajomego mi wójta gminy dostać listy czy zaświadczenia lub mieć sobie osoby wskazane, do których mam się udać. Ale razem ostygła we mnie chęć awanturnictwa, czułem się niesposobnym do emisariuszostwa tajnego

i widziałem, że po przejściu posłańców dwóch na Żmujdź moja misja tym samym niepotrzebną była, a wiele miałem już do doniesienia w Litwie, gdzie przed odejściem moim nic prawie nie wiedziano ani o zwycięstwach polskich, ani o położeniu armii nieprzyjacielskiej.

Po godzinnym odpoczynku poszedłem dalej. Szołtys kazał synowi swemu zaprowadzić mię do wsi (jeśli się nie mylę, Ostrowki) o pół mili za Dębową, gdzie miałem znaleźć jego zięcia, o którym mi powiadano, że jest zręcznym do tajemnych wędrówek, zna wszelkie manowce i ścieżki, wszędzie ma znajomych, a nade wszystko chwalił mi go szołtys z poczciwej, równie jak z rzadkiej przebiegłości.

Południe minęło, kiedyśmy do tej wsi dochodzili, a po drodze widziałem przy śluzie jakichś rządowych strażników; z Dębowy moskiewscy wyglądali żołnierze i pan Marcin był niedaleko na polu. Pana zięcia szołtysa nie znalazłem w domu, on orał pod lasem, pobiegła po niego żona, a ja się do stodoły skryłem.

Przyszedł gospodarz; z miny przebiegły, wesoły, gaduła. Zaprosił mię na obiad, usiedliśmy za stół i jak pamiętam, po prostu ugotowany szczaw z okrasą bardzo mi smakował. Gdy przyszło do rzeczy, nie dał mi wiele mówić. „Wiem, wiem — rzecze — wasan chce do wojska polskiego; toć niedaleko; wasan dziś będzie u krakusów, kiedy chce. Wszakci tu wczora kozaka zabili, a dwóch zjuszonych ledwo uciekło i pociągnęli za sobą konia, a magazyn nasi zabrali". Potem umilkł i dał mi do zrozumienia, że o wielu rzeczach wie, tylko się oglądał na młodego szwagra i na kobiety, które wnet odprawił, a wtenczas mi powiedział, że w Puszczy Jastrzębskiej tysiąc jest krakusów i strzelców, którzy w tych dniach mają napaść na Augustów i z miasta Moskalów wypędzić. Kiedym go pytał, skąd by się tu krakusy wzięli, on tylko o bataliach, jakie na wielkim gościńcu zaszły, o strzałach, jakie tam dziś słyszano, i o przestrachu Moskalów powiadał. Wpadłem na domysł, że Puszet ze swymi partyzantami musiał tu wskutek przyniesionych do niego rozkazów podejść lub Szarkowski, o którym już od pana Andreackiego słyszałem, zapewne ze swymi strzelcami już działać zaczął. Uręczył mię gospodarz, że w tych dniach spodziewają się niechybnie ze trzy tysiące krakusów tu do puszczy i że kirasjery ruskie zbiegli się do kupy i pod Rajgrod uciekli.

Nie tracąc czasu, kazałem siebie pod Jastrzębnę prowadzić, bo tam, jeśli nie krakusów, to znajomego mi wójta gminy znaleźć byłem pewien. Po drodze spotykałem włościan, a każdy nam zaraz gadał o tysiącach krakusów, jakimi się napełniła puszcza, jako też o pobiciu pod Jastrzębną kozaków. Ale niejeden nas ostrzegał, że Moskalów ćma wije się koło puszczy, że tuż przed nami tam dwórek zrabowano, tam wieś, a tam zabrano konie i nikogo na drodze nie przepuszczają. Przebiegły mój Ma-

zur tak się tęgo wymykał wąskimi ścieżkami, żeśmy ani jednego nie napotkali Moskala; ale na nieszczęście był on wielkim miłośnikiem karczem i gawędki. Gdziekolwiek poczuł gorzałkę, zboczył niby dla rozpytania się o nieprzyjacielu, a nigdy na jednym kieliszku nie przestał. Miałem zręczność przypatrzyć się poczciwej uprzejmości, junactwu i prostocie tamecznych rolników; nie widziałem i jednej familii, która by nam nie mówiła o synach i braciach swoich, co poszli na wojnę, a każdy wzdychał do wypędzenia Moskalów, a mego przewodnika, znanego, jak widać, w okolicy z patriotyzmu, witał pomyślną nowiną, że krakusy na głowę kozaków pobili i że w puszczy jest „ćma" naszych żołnierzy, pięknie w mundurach poubieranych. „Mój Jaśko jak świt poszedł ze strzelbą do puszczy; niech go Bóg prowadzi" — rzekła do nas jakaś poczciwa kobieta i zapłakała. W innym miejscu spotkaliśmy Żydostwo jakieś ze swymi tłumokami uciekające, które nas upewniło, że armia polska „gwałt, co dokazuje pod Jastrzębną". Słońce się chyliło ku zachodowi, przyspieszyliśmy kroki nasze; Mazur nie ustaje w gawędce; zmordowany, potrzebowałem też nieraz wychylić kieliszek gorzałki. Na koniec mijamy lasy cisowskie, słońce zaszło i widać niedaleko puszczę.

Cicho było, wieczór pogodny, żadnych wojsk nie widać. Słyszałem dzwonienie na pacierz z pobliskiego kościołka; Mazur głośno odmawiał »Anioł Pański«, a potem pokręcił głową i rzecze: „Dyć to mądry zakrystian, co choć księdza nie masz, tak regularnie dzwoni na pacierze". „A gdzież ksiądz?" — zapytałem. „Och! ksiądz już dawno z dwururką i z krzyżem poszedł na Moskalów. Poczciwe to księżyna! Jakie on nauki prawił".

Szeroko mi o kazaniach tego księdza gadał, kiedyśmy pod samą puszczę podchodzili, kędy droga do Cisowy idzie. Po prawej stronie drogi jest jezioro, tuż przy gościńcu spust, młynek i karczma, w której Żydek mieszka. Nad jeziorem od Stankowa leży mała okolica szlachecka, gdzie przewodnik mój miał się o wszystkim dowiedzieć przez znajomego tam szołtysa.

Mój Mazur był już tęgo podchmielony, kiedyśmy do tej wsi szlacheckiej weszli. Na ulicy spotykamy szołtysa, jakiegoś walnego w szarej sukmanie szlachcica, który na mnie surowo badawczym okiem spojrzał i długo zdawał się nie słuchać mego przewodnika, co go natychmiast zagabnął o jakichś chrzcinach i kumostwie, na którym jego żona pokłóciła się ze szwagierką sąsiada. Tak się nad tym długo rozwodził, że ja nie widząc temu końca, a licząc na ich znajomości, przerwałem rozmowę i zapytałem, czy prawda, że tu są krakusy i kędy by się tu do nich przedrzeć można? Spojrzał na mnie surowiej szołtys i oka ze mnie nie spuścił a i mój Mazur nie bardzo był z mego zapytania kontent.

„A któż wasan jesteś?” — zapytał szołtys. „Ogrodnik z Dębowy — podchwycił mój przewodnik — i mój dobry sąsiad; idziemy szukać konia, co nam Moskale ukradli”, a widząc schodzących się ludzi, ścisnął nieznacznie szołtysa za rękę. Aż tu i Żydek spod młyna przybliża się do nas z załamanymi w tył rękami, skurczony, wytrzeszczył na mnie oczy i „nu, co tam słychać?” — przebąknął. A wtem szołtysa już przy nas nie było, coraz się więcej zbiega szlachty, kobiet i dzieci. Ja się lękając, iżby się to na co złego nie zaniosło, szepnąłem do kolegi, że się stąd wynosić trzeba; ale on swoją gawędką zajęty nie uważa na nic; aż w końcu, kiedy już nas ludzie wkoło ostąpili, wpada szołtys i krzyczy: „Prowadźcie tych panów do mnie; ja ich nauczę, jak to bez paszportów chodzić. Dziś nowe pismo z Augustowa mam od gubernatora, żeby takich ichmościów dostawiać do gminy; dziś tu przenocujecie u mnie, bo już późno, a jutro do Cisowy was odprowadzimy”. Odebrano nam kije i poprowadzono do chaty, a cała wieś zbiegła się nas widzieć.

Wchodzimy do chaty: ja smutny, ale mój przewodnik nie traci rezonu: „Wstydź się, panie sąsiedzie — rzecze. — Czyż mię nie znacie, ja wam ręczę za tego człowieka (wskazując na mnie), wszakci my nie uciekamy”. „A mnie co do tego; toć sobie jutro w Cisowie o tym pomówicie” — odpowiedział szołtys, na co mu mój kolega: „Prawda, to nic, ale, ale — bo tam kozaki”, a widząc, ze szołtys bardzo surowo te rzeczy bierze, dodał: „i to nic, my nie lękamy się, ale po co nam ten ambaras”. Powypędzał z izby niepotrzebnych, co się do nas cisnęli, szołtys, a nas zaprosił na przygotowaną wieczerzę. „Potem o tym — rzekł — a teraz do Bożego daru: czym chata bogata, tym rada”.

Zasiedliśmy koło wąskiego a długiego stołu na ławie; na pierwszym miejscu siadł mój przewodnik, przy nim mnie posadzono, tuż dwóch szlachty, co nas pilnowali, dalej siadł szołtys i jego syn; a każdy się przeżegnał prócz mnie, który tego zwyczaju naszych ojców dawno zapomniawszy, nie przypomniałem go na ten raz, bardzo dla mnie potrzebny, co na mnie zwróciło oczy szołtysa, że się zmarszczył, zajrzał mi w oczy i głową pokręcił. Gospodyni podała nam misę kaszy, z której wszyscy łyżkami czerpali, a mój Mazur nikomu gadać nie dał i ciągnął swój dyskurs o jakimś koniu, co na jarmarku był kupił, potem gdzieś przehandlował, na czym go oszukano, jak się odhandlował itp. Co do mnie, czułem taką suchość w gębie, że jednej łyżki przełknąć nie mogłem. Spostrzegła to gospodyni i podchodząc do mnie rzekła z politowaniem: „Wyście chorzy?” „Tak, niedobrze mi, bardzo zmordowany jestem” — odpowiedziałem. Na to gospodarz: „Więc dajcie mu mleka”. I gospodyni wyniosła mi na misce mleka ze śmietaną, które mię orzeźwiło, a tymczasem kończono pierwszą potrawę, dziewczyna odjęła misę,

gospodyni drugą na stół postawiła, na której były kartofle; same zaś usiadły na stronie, jadły z poprzedniej misy i z niej dzieciom rozdawały.

Wtem wbiega do chaty młody, rześki chłopak w krótkiej sukmanie, strzelba i torba myśliwska na krzyż przez plecy, kapelusz z kogucim piórem na głowie. „Pan Jezus pochwalon, jak się macie, Boże dopomóż" — zawołał. „Prosimy" — odpowiedziano. Okręcił się, tupnął nogą, podjął ramiona, wziął się w boki, a z ukosa spoglądając na mnie, zapytał: „Co też to za człowieka mącie, jam go w życiu nie widział, chociam tutejszy". Mój Mazur śmiało mu spojrzał w oczy i rzekł: „Toć jużem tu powiadał, że to ogrodnik z Dębowy; czemże się mu tak przypatrujecie — wach! nic już, że wy ludzi nigdy nie widzieli". Powstaje zwada między nowym gościem a moim kolegą, wśród której widzę, jak koło okien naszej chaty coraz się więcej ludzi kupi i coraz nowe twarze w oknach się migają i jacyś ludzie z kijami, a coraz większy hałas na dworze. Nagle rozwarto na wciąż drzwi od izby, a z ciemnego przedsienia wysypała się gromada ludzi zbrojnych w strzelby, w piki, w pistolety. Poznaję, że to partyzanci, co mię wyzwolić przychodzą od szołtysa, który mię chciał wydać Moskalom, i z radością rzucam się ku nim. Aż jeden z nich, jakiś ogromnie wąsaty w zielonej kurtce, tęgo uzbrojony, bierze mię za piersi, przykłada pistolet i pyta mię po niemiecku: „Wer bist du und was hast du hier zu tun?"[36] Dziwi mię to, ale pewien, że któryś z patriotów, nie chcąc mię i siebie kompromitować wobec szołtysa sprzyjającego Moskalom, chce ze mną obcym mówić językiem, odpowiedziałem: „Wer bin ich, das kann ich nicht..."[37] — jeszczem nie dokończył, a cała gromada wrzasnęła: „A Prusak! A szpieg! A wiązać!" Podają powróz, krępują mi ręce, ile im sił staje, a związawszy mię z Mazurem, prowadzą nas przez wieś koło młyna do puszczy.

Tłum ludu ciśnie się za nami, świszcze, łaje, wymyśla, dzieci nam zabiegają drogę, zazierają w oczy, przedrzeźniają; Mazur mi nad uchem wywołuje wszystkich czartów z piekła, a mój wąsaty po niemiecku wrzeszczy i wszyscy idą prędko, coraz prędzej; bo ktoś ostrzegł, że moskiewska pikieta dała ognia i tuż nieprzyjaciel. Ledwośmy wskoczyli do lasu, każdy się bierze do strzelby; przypadają do ziemi, czatują, ale patrol ruski inną pojechał drogą, strzelcy się do kupy schodzą, gromadzą się koło nas, a choć tak było ciemno w gęstwini, że ich twarzy rozeznać nie mogłem, naprędce wyciągłem do nich perorę, że ja się bynajmniej nie gniewam za ostrożność, z jaką mię przyjęto. „Ale prowadźcie mię — rzekłem — do waszego dowódcy, ja mu opowiem, kto jestem, a wam tylko donoszę, że na całej Litwie powstanie i że was tu

[36] „Kim jesteś i co tu robisz?"

[37] „Kim jestem, tego nie mogę..."

szukałem, żeby wam o tym donieść, z wami się połączyć, bo tego interes wymaga. Więc wiwat!" Ozwało się kilku: „To nasz! Odwiążcie". I nas rozwiązano, a skorom ich uręczył, że mój kolega był mi przewodnikiem, puszczono go i odprawiono do lasu.

Tu nastąpiło wspólne uściśnienie, ale prawie każdy z nich był pijany, prócz jednego strzelca, który nam zaproponował, nie tracąc czasu, biec na gościniec i tam czatować na oddział kirasjerów. Ochotnie wszyscy na to się zgodzili, a na zakład przyjaźni jeden z nich dał mi dubeltówkę, którą zarzuciwszy na plecy, poszedłem z nimi.

Kiedyśmy wyszli z gęstwini na bór nieco rzadszy, widziałem wszystkich przy świetle księżyca. Było ich do dwudziestu; najwięcej po strzelecku ubrani, mieli strzelby i za łowieckim pasem pistolety; u niektórych wisiał na sznurku kordelas[38], inni z oszczepami byli, a u wielu kogucie pióra za kapeluszem były zatknięte. Na czele szedł ów wąsaty strzelec, co mię po niemiecku był przywitał, nieco od innych, jak było widać starszy z urzędu, i ze mną otwarcie a szczerze, lecz już po polsku rozmawiał. Z jego słów postrzegłem, że była to świeża garstka partyzantów, przez Szarkowskiego naprędce zebrana. „Patrz, kolego — rzekł do mnie — pierwszego zaraz dnia potłukliśmy kozaków; kilku ich w błocie gnije, mamy więźniów, zabraliśmy magazyn, a co to strachu Moskalom!" „Prawda — odpowiedziałem — po całej okolicy biega sława, że was tu jest do dwóch tysięcy". „Ho, ho! — przerwał mi. — Gdybyśmy choć setną część tego mieli na pierwszy początek, ale takich chwatów, jak ów, co tam widzisz, w ciemnej sukmanie prawie na końcu idzie i pilnuje, żeby się te pijaki nie porozłazili".

Tymczasem syknął jeden, co szedł przed nami; wszyscy się zatrzymują, rozchodzą się wzdłuż gościńca, każdy siada za drzewem — cichość. I ja z moją dubeltówką niedaleko wąsatego strzelca się zakradłem, a każdy zdjął strzelbę z plecy [!] i miał ją w ręku na pogotowiu lub na kolanach położył. Było głucho, czekamy pół godziny; wtem od Jastrzębnej ktoś gwizdnął, blisko mnie siedzący strzelec odgwizdnął. Przybiega jakiś dworski człowiek dobrze uzbrojony i daje znać, że Moskale we dworze Jastrzębnej mocno się obwarowali i sądzą, że ich tam atakować będziemy, a nawet lękają się wysłać na podjazd. Schodzą się nasi strzelcy; słychać daleko bęben moskiewski; potem kawaleryjskie trąby na postrach czy z potrzeby. Rozlega się echo po puszczy, potem znowu cicho; po krótkiej naradzie wypadło iść do naszych dowódców. Przedstawiono mię przybyłemu koledze, ale ów w ciemnej sukmanie na stronę go odwiódł i coś niedobrego z nim o mnie pogadał, bo w ciągu drogi stronili ode mnie i pobiegli pierwej przed nami.

---

[38] kordelas (węg.) — obosieczny, spiczasty nóż z silną rękojeścią.

Szliśmy przez odwieczne łomy[39], po wywrotach, przez bagna; z kłody na kłodę skakać trzeba było, a kiedym się raz pośliznął, zapadłem po kolana w błoto. Choć tego dnia ubiegałem już mil ze sześć, starczyło mi jednak sił, byłem dość wesoły, a nowe partyzanckie życie wielce mi się podobało. Dziwiło mię, że bez śladu, bez ścieżki takeśmy szli przez starą puszczę jak po znajomym gościńcu, a moi koledzy tak zręcznie po kłodach, po łomach skakali, jak gdyby im każdy pień, każde drzewo jako dom rodzinny było znajome i żaden nie plusnął w wodę jak ja, nowicjusz.

Ledwośmy na suche miejsce wyszli, dostrzeżono ścieżkę, na której za przyspieszeniem kroku zoczyliśmy kilku ludzi zbrojnych pieszo i dwóch konnych. Po wzajemnym gwizdnieniu podchodzimy do nich i widzę jakiegoś z siwą głową w mundurze leśnego urzędnika, dosyć otyłego obywatela, a miał dwururkę w ręku opartą na ziemi. Przy nim jeden wojskowy w mundurze strzelców pieszych; dalej w cywilnych płaszczach jacyś ochotnicy wyższego stanu; jeden krakus z lancą i chorągiewką stał oparty o swojego konia, a na drugim koniu siedział wysoki jakiś człowiek, białym płaszczem okryty, spod którego mu się czarne oczy iskrzyły, i miał na głowie pąsową konfederatkę. Tuż przy nogach leżała na ziemi baryłka, na której oparty siedział jakiś wąsal i nucił coś sobie pod nosem.

Strzelec z naszej gromady przedstawia mię jak nowego rekruta, nowego kolegę i ochotnika; ja opowiadam o współdziałaniu braci naszych na Żmujdzi i na Litwie, o batalii pod Wiesami, o rzezi oszmiańskiej i o nadziei, że za dni kilka w całej Białowieży wybuchnie powstanie. Radość się wzmaga, wesołość; Mazur, co przy baryłce siedział, wstaje, podnosi ją o siwej głowie urzędnikowi; ten do mnie przepija, podaje mi ją; a że brakło kieliszka, wywracam ją do gęby i piję. Już tylko odrobina wódki była na dnie samym, a wszyscy krzyknęli: „Wiwat! Niech żyje ojczyzna!" Jeden tylko, ów w ciemnej sukmanie, odprowadziwszy na stronę wojskowego z żółtą wypustką, gadał mu coś zapewne o mnie, bo często mię palcem wytykał i nie należał do naszej gawędki, która coraz rozkoszniej nam biegła, a strzelcy na trawie się rozłożyli.

Ktoś gwizdnął z daleka; ucichła gromada, odpowiedziano. Wbiega zadyszany strzelec i woła: „Jesteśmy zdradzeni. Jakiś tu szpieg między nami. Już Moskale wiedzą o wszystkim i w Augustowie mają nas spisanych. Dziś dom spalili panu Szarkowskiemu i twój (obracając się do starego urzędnika) zrabowali, zburzyli, dzieci i żonę wypędzili, stodołę spalono, a do waszych posłane kozactwo jeszcze nie wróciło. Biegłem koło Jastrzębnej, okropny jęk we dworze, płacz kobiet; aż strach, jaki

[39] Powalone drzewa.

tam krzyk teraz. Naśród dziedzińca rozłożono ognie, latają z zapalonymi główniami po stodołach, a rozpojone kozaki śpiewają. Tu niedaleko pod lasem o mało mię pikieta nie schwyciła. Ale jutro dwa bataliony piechoty i szwadron kirasjerów idzie na nas polować".

Przymknął mu gębę urzędnik leśny, zmarszczył brwi i kazał: „zabić pod lasem pikietę", a kilku strzelców odbiegło. Wtem wypada z gęstwini Szarkowski z pistoletem w ręku i przytłumionym głosem woła: „Zemsta, panowie, zemsta! Jeden spomiędzy nas zdradził. Domy nasze i żony, i dzieci w pożarach!" Na to podbiega ów w ciemnej sukmanie i rzecze: „Mamy tu, mamy szpiega". „Gdzie szpieg?" — zapytał Szarkowski. On wskazał na mnie, wszyscy milczą, tylko stary urzędnik i wąsaty w zielonej kurtce strzelec biegą do niego, chcą coś mówić, ale Szarkowski nie słucha, każe mię do drzewa wiązać, dwóch z odwiedzionymi kurkami stawia tuż przy mnie i daje rozkaz: „Pilnować, póki nie wrócę, jeśli się pomknie, w łeb strzelić. A wy — dodał cichszym głosem — za mną! Trzeba zmienić baraki, bo jutro uderzą". Wszyscy odbiegli, konnych tylko posłano w stronę, skąd Szarkowski przybiegł, a kilku pieszych na wedety i posterunek rozprowadzono.

Zostałem tylko ja, związany, i dwaj przy mnie pijani strzelce, których strzelby do mnie odwrócone były, a po odwiedzionych zamkach ślizgały im się niezgrabne palce. Nastąpiła cichość, księżyc zaszedł za obłok; dwaj strzelce po chwili namysłu usiedli i strzelby swoje rzucili na ziemię.

— Cóż, panie sąsiedzie — rzekł jeden — zaproszą nas jutro na bankiet?

— Och, żeby ten z piekła nie wylazł.

— Nie klni[j], bo ci ten nabój w brzuch wsadzę.

— Nie nakarmisz go tym (i ziewnął), nic on dziś w oczy nie widział prócz — gorzałki.

— A ów ser, coś z kozackiego płaszcza wydobył?

— Komu, komu, a nigdy mojej kmosie nie zapomnę, że mi odradziła pójść do ułanów, kiedy się to nasza wiara tak na Moskala cisnęła. — Bo komuż niemiło mieć Polskę, a kłuć tę szyzmę, póki nam naszej ziemi nie oddadzą. Ale panie sąsiedzie, wasan człowiek z głową, powiedzcie mi, co nam po tej batalii wczorajszej; toć na nas po stu na każdego przyjdzie i wykole; a ten wariat Szarkowski, z nim i ładu nie znaleźć; już dziś wódki byśmy nie mieli, gdyby nie ten nasz stary, co nam pozwolił Żydka zrewidować. A toć zaraz nasi do niej dopadli, połowę ich się spiło i do domów poszło. Coż wasan na to?

— Pan Bóg wszystko widzi, panie sąsiedzie; a czy Moskala pod krzakiem, czy na polu zabijesz, to jedna chwała, bo wszystko to dla ojczyzny. Czy to niemiło wspomnieć, że nasze wnuczęta będą Polakami? Dopóki

tu Moskal, dopóty wszystko złe. Szkoda, że wasan nie czytasz książki i żeś się nie znał z naszym księdzem!

— Ja wolę do krakusów — wariacja; jednemu na dziesięciu, z fuzją na karabin, z pistoletem na harmatę!

— He! Panie sąsiedzie, gdyby się to przedrzeć do Łomży, toć by i ja poszedł — do krakusów.

Nie mogłem dłużej wytrzymać, przerwałem rozmowę i rzekłem: „Jak to, wy, powołani na obrońców ojczyzny, ledwoście jedno zwycięstwo odnieśli, już zamyślacie o rzuceniu waszego wodza? Wy tu bezpieczniejsi jesteście niż na otwartym polu krakusy, ale wy nie wiecie, ile pożytku z was ma Polska i ile szkodzicie Moskalom. Czy wiecie, że się was oni tak lękają, jak gdyby was tysiące było? Cóż oni wam poradzą: gdyby i 10 000 wojska przeciw wam sprowadzić mogli, nie osaczą tak szczelnie puszczy, którą wy tak dobrze znacie, iżbyście jakim przesmykiem od nich ujść nie mogli, a uchodząc nie zabili ich dwa razy więcej, niż was samych tu jest. Z waszych strzelb tyleście jarząbków nastrzelali: toć Moskal nie ptaszka, a jemu z karabina i wołu zabić trudno. Dajmy, że wam tu już trudno będzie się utrzymać, to was do innej puszczy naczelnik poprowadzi, a za wami ciągać się będą pułki moskiewskie, które, gdyby nie wy, ileż by naszych żołnierzy nabiły, a może by tam przeszkodziły niejednej wygranej".

Mówiłem jeszcze dalej o miłości ojczyzny, o wojnie po lasach, o powstaniu, a oba strzelcy mię słuchali z zadziwieniem, uważnie. Pierwszy z nich zamyślił się, potem zwiesił głowę i zaczął drzemać, a drugi mi przerwał w te słowa: „Wasan musi umieć pisać i musi być czyta książki; bo ja to samo od księdza słyszałem, słowo w słowo; co też to za szalony nasz naczelnik takiego człeka wiązać. Dobrze to gdzieś napisano: i brat przeciw bratu będzie". Wstał i chciał mi odjąć powrozy, alem mu na to powiedział: „Bracie, nie godzi się łamać rozkazów dowódcy, on za was piersi nadstawia, trzeba go słuchać; on mię sam uwolni, gdy ochłonie z gniewu, bo ja mu pokażę znak, który go o tym przekona, że jestem jak wy dobry patriota".

Księżyc wyjrzał spod obłoku i spostrzegłem: opodal pod ogromną jodłą stał jakiś człowiek czarnym płaszczem okryty, a spod kołnierza sterczała mu nad głową rura od strzelby. Umilkłem, a on podszedł do nas i rzekł poważnie: „Odwiążcie tego pana" — i dał jakiś znak strzelcom, którego nie zrozumiałem. Potem podprowadza mię pod jodłę i szepce mi do ucha: „Uciekaj stąd, życie twoje w niebezpieczeństwie". Na to mu przełożyłem, że się podejrzeń nie lękam, mam sposób przekonania naczelników o tym, kto jestem, a do tego wymieniłem moje nazwisko, które przez ucieczkę okryłoby się hańbą, niesławą i pewnością, żem szpieg; ważną zaś mam potrzebę widzieć się z dowódcą i od niego

wymagam pomocy w dokonaniu zamiarów, jakie mię tu sprowadziły. Podniósł rękę ów czarny człowiek, wskazał mi palcem, obejrzałem się: dwaj strzelce stali tuż za mną z wymierzonymi ku mnie strzelbami. „Idźcie sobie — rzecze do strzelców — zaśnijcie spokojnie, boście się przekonali, że gdyby to był szpieg, z pierwszej zręczności byłby korzystał i uciekłby niechybnie alboby go wasze kule dosięgły".

Odeszli strzelce, on mi swój czarny płaszcz odchyla i czarną pod nim suknię kapłańską pokazał. „Jestem ksiądz od bliskiego stąd kościołka — rzecze — nieszczęście wniosło cię do nas w godzinę, kiedy tysiące złych nowin, zdrada, rabunek, pożary nas dotknęły i kiedy nasi dowódcy głowy potracili, a strzelce pijani świadczą przeciw tobie, żeś Prusak, że cię po niemiecku mówiącego słyszeli, żeś się nie przeżegnał u wieczerzy, kiedyś był u szołtysa, i że cię między Moskalami ktoś widział. Nie chciano czekać jutra, bo jutro już stąd daleko będziemy i w obozie naszym o twojej śmierci radzą. U nas tu jeszcze trochę jest nieładu, nieporządku; ochotnicy się rozbiegają; Szarkowskiemu braknie krwi zimnej — co robić, ja tu zostać muszę, ale ty wracaj do domu". Jeszcze mu przełożyłem cały przedmiot mojej misji, ale mię uręczył, że już o tym, co mam do doniesienia, w Warszawie wiedzą i że Przecławski i Wołłowicz, z którymi się on poznał i sam rozmawiał, ponieśli rozkazy od Rządu Narodowego i od naczelnego wodza na Żmujdź; a w końcu dodał: „Ja ciebie tu ratuję i twojej sławy bronić będę, a jeśli uciekać stąd nie chcesz, to ja od ciebie uciekam". To rzekł, przeżegnał mię i skoczył w gęstwinię.

Sam jeden, po ogromnej, nie znanej mi puszczy błąkam się w noc głuchą, między wedetami[40] partyzantów a moskiewską strażą; od jednych czy od drugich złowiony, niechybna śmierć, marna i haniebna, a bezużyteczna. Nie wiedząc kierunku, skąd przyszedłem, rzuciłem się pierwszą ścieżką, na jaką trafiłem; na niej byli zaczajeni powstańcy, bo kiedy niekiedy słychać ich hasło, gwizdanie. Każda jodła czarna lub wywrot starego dębu wydał mi się zasadzką, żołnierzem lub jakim ostrzegającym mię duchem. Niezbyt daleko był zapewne gościniec i dwór Jastrzębna, bo w północ słyszałem alarm i bębnienie. Poszedłem w głąb puszczy i długo błądziłem, aż na koniec przede dniem sen mię zmorzył, rzuciłem się pod wywrot spróchniałego drzewa między gęstwinię i na wilgotnej ziemi, w noc zimną, między wężami usnąłem.

Posilny a twardy sen wydał mi się chwilą; porywam się, ranne powietrze i balsamiczny zapach wiosennego liścia orzeźwiły mię. Spojrzałem w stronę, gdzie pięknie, różowo czerwieniło się niebo i zapowiadało bliski wschód słońca. Krótka, ale gorąca modlitwa uspokoiła mię i wlała

[40] między wedetami — między posterunkami, placówkami.

we mnie nadzieję wymknięnia się spod rąk moskiewskich. Nie było czasu długo się namyślać: po stronie, w której był wschód słońca, domyśliłem się kierunku, w jakim iść należało, by trafić na gościniec augustowski, z którego znajomą mi była tylko jedna droga, tj. droga do Stankowa, po której przed dwoma dniami wiozłem panią Lubowicką.

W tym kierunku poszedłem, nie pilnując się poprzecznych dróg ani ścieżek i usłyszałem w gęstym borze płacz kobiecy. Pobiegłem w stronę, skąd ten głos wychodził, i widzę bladą, przelęknioną, z rozczochranymi włosami kobietę niosącą na barkach i w ręku ciężkie tłumoki powiązanej bielizny, sukien i rozmaitych rzeczy. Biegła Bóg wie dokąd, nie drogą, ale po gęstwini; zoczywszy mię oniemiała, stłumiła płacz w sobie. Pytałem ją: „Skąd jesteście", a ona mi przerywanym głosem zlękniona odpowiedziała: „Z pobliskiego dworu, z Jastrzębnej, Moskale rabują, zabijają. Imość uciekła, całą noc błądzę, czy nie wiecie, kędy do wioski?" Nie pamiętam, jakiego nazwania wieś wymówiła, ale jej doradziłem iść za mną na augustowski gościniec, z którego by łatwiej mogła trafić, dokąd zechce.

Poszedłem dalej, ona z daleka za mną szła i wkrótce trafiliśmy na gościniec, na którym ja w jedną, ona w drugą rzuciła się stronę. Na piasku był świeży ślad jazdy moskiewskiej, z daleka widać było jakąś kurzawę; znowu zboczyłem z drogi w las i widziałem przemykających w galop kozaków, jak gdyby ich kto gonił lub się co drzewo lękali wystrzału. Długo szedłem, póki [nie] trafiłem na słup, na którym było napisano: „Do Stankowa".

Tu przychodzi mi na myśl, że właśnie ta drożka wychodzi z lasu w punkcie, gdzie ów młynek, jezioro i okolica leżą, przy których byłem złapany, i gdzie mieszkają szołtys i Żyd, którzy mię wczora Moskalom wydać chcieli. Trudna rada, nie czas było wracać; przybieram dobry humor i wpadło mi na myśl udawać, że niby do Cisowa, do tamecznego wojta gminy idę.

Kiedym wychodził z lasu, wrota przy młynie były zamknięte, a u wrót Żydek ze swoją fimilią używał szabasu, bo właśnie była to przed Wierzbną Niedzielą (ruską) sobota. Idę śmiało, przyspieszonym krokiem, otwieram sobie wrota, Żyd ustępuje z drogi, o nic nie pyta, idę dalej, aż na tej samej drodze poznaję szołtysa. Ale i on ustępuje z drogi, skłonił mi się: „Pan Jezus pochwalon" — rzecze. „Na wieki" — odpowiedziałem. „Dokąd Bóg prowadzi?" „Do Cisowy" — i poszedłem dalej, a już dochodziłem do cisowskich lasów, kiedy się oglądam: bieży za mną szołtys, tuż za mną. Uciekam, on mię goni, dopędza, chwyta mię za sukmanę i pada na ziemię. „Poczekaj pan, nie gub siebie" — woła i ręce jak do modlitwy złożył. Dziwi mię to, zatrzymuję się; on mi rzecz niespodzianą powiada, że to on był pierwszy, co mię wczora

o szpiegostwo posądził i posłał był tajemnie do lasu po swoich wiarusów, żeby mię przytrzymali. „Jak Bóg na niebie — rzecze — zdało mi się, żeś Prusak. Ale gdy wrócił do nas mój sąsiad a przewodnik pana i nam powiedział otwarcie, żeś pułkownik polski przebrany, żona i dzieci moje całą noc nie spały, ja całą noc jak szalony po puszczy biegałem, żeby pana uratować; a nie znalazłszy naszych, kiedym o świcie wrócił do chaty, znalazłem dzieci i żonę we łzach i przeklinały mię. Zlituj się pan nad biedną moją rodziną, dotknij przynajmniej progu, a rozweselisz nas wszystkich. Ale na miłość Boga nie idź do Cisowy, bo tam pełno Moskalów i tam pewno chwycą pana".

Spojrzałem mu w oczy, a widziałem w nich szczerość, żal i poczciwość. „Bądź spokojny — rzekłem — widzę, żeś dobry Polak, więc ciebie kocham. Do twego domu nie wstąpię, bo Żydek, co nas szpieguje, lub jaki zły sąsiad mógłby cię oskarżyć Moskalom". „To przynajmniej — prosił mię szołtys — pozwól pan przynieść dla siebie co na posiłek, bo widzę, żeś strudzony; pozwól żonie mojej, niech ona tu przyśle choć jedno dziecko, które by jej i całej rodzinie przyświadczyć mogło, że się na nas nie gniewasz". „Dobrze więc — powiedziałem mu — przynieś mi tu, proszę, mleka i przyprowadź z sobą najukochańszego syna, żebym go ucałował".

Pobiegł szołtys do chaty, ja się tymczasem w krzakach ukryłem, a z daleka dostrzegłem, jak przeciw niemu wybiegły dzieci i liczne domostwo. Dalej widać było kościołek jastrzębski, a jeszcze dalej na rozległych błotach rzekę Bóbr, za którą białostocka ziemia nęciła mię do siebie niewypowiedzianie; postanowiłem wracać.

Od rana chmury się zbierały, parno było jak przed deszczem i kiedym czekając na szołtysa, odpoczywał, taka ulewa spadła, że mię do nitki zmoczyło. W sam deszcz przyniósł mi mleka szlachcic, a jego syn podrostek przybiegł za nim i podał mi chleba.

Posiliłem się, ucałowałem chłopca, a ojciec podjął mi się za przewodnika służyć. Wtenczas powiedziałem mu pokazując na rzekę: „Jeśli chcesz, bracie, wiernie mi usłużyć i dać nowy dowód życzliwości, patrz — oto z tamtego brzegu rzeki ciągnie się las daleko i zapewne przytyka do białostockiego gościńca. Dostań dla siebie i dla mnie wieńcierzy, pojdziemy rybę łowić, a łódką przewiozłszy się na tamtą stronę wpadnę do gaju i tam mię straż pograniczna nie złowi". Podjął ramiona szlachcic i przekładał mi, że niebiezpiecznej rzeczy żądam, bo się nikt w dzień przez granicę nie przedziera; a do tego dodał, że zawczora najsroższe wyszły [rozkazy] do pogranicznej straży śledzić dwóch zbrojnych krakusów, co w tych dniach od naszego wojska na Litwę poszli.

Po krótkiej jednak naradzie chłopak mały odniósł do chaty garnek i poszedł uspokoić matkę, a ja z szołtysem ruszyliśmy przez pola, przez

miedze aż na brzeg błota, gdzie czas niejaki zaczekać musiałem, nim szlachcic zbiegał do wsi, nim dostał wędek i rozpytał się, gdzie schowane czółno. Było już południe, kiedy przebrnąwszy głębokie bagna, zarzuciliśmy nasze wędy, choć bez robaczków i bez chęci złych dla ryby. Za rzeką widziałem konno przemykających strażników i ich mieszkania opodal; z tej zaś strony byli w niedalekiej wsi Moskale i jakiś oddział piechoty ciągnął ku Jastrzębnej. Upatrzywszy porę i czółno, wskoczyliśmy do niego; przewiózł mię szołtys, wyskoczyłem i nie oglądając się szedłem jeszcze dobrą staję błotami, aż wpadłem do lasu i tak byłem zmordowany, że dalej iść nie mogłem, a znalazłszy cienisty krzak starego jałowcu, zaryłem się pod niego i twardo zasnąłem.

Czułem jeszcze na wpół we śnie, że ktoś mię targa, budzi, porywa. Ocykam się, patrzę — był to ten sam szlachcic z okolicy, co mię wczora na niebezpieczeństwo naraził, a dziś ratuje. „Uciekaj pan stąd — rzecze — tu nad samą drogą leżysz; tylko co siedmiu strażników tędy przejechało". Przebiegliśmy czym prędzej drogę, a w bezpiecznej gęstwini zatrzymałem się; on wydobył z torby swojej kawał sera, chleba, gorzałkę i flaszę brzozowego soku. Z pragnienia wypiłem sok jednym ciągiem i zaraz dalej poszliśmy środkiem pięknego gaju, unikając nawet mieszkania leśnych strażników. Chciałem go był odprawić w obawie, iżby nie został złowionym, ale się on uparł wyprowadzić mię na wielką drogę, po której straż pograniczna nie zwykła jeździć.

Jakoż nie pierwej aż na gościńcu rozstałem się ze szlachcicem; chciałem mu dać w pieniądzach nagrodę, ale jej nie przyjął, a prosił tylko o to, abym, skoro Polska będzie wolna, nie zapomniał o jego synach i przyjął ich pod moje dowództwo. Ostrzegłem go wtenczas, że nie jestem tak wielką osobą, jak o mnie gadał ów przewodnik, i że nie jestem dotąd oficerem. Na rozstaniu się zapytałem go, jak się nazywa. „Tomaszewski jestem" — odpowiedział. Uścisnąłem go i poszedłem dalej.

Droga do Dąbrowy nie była mi obcą: zachodzę do znajomego mi obywatela. Przy ganku stało wiele pojazdów. Goście w tym czasie są niebezpieczni, zachodzę z tyłu domu i niepostrzeżony wkradam się do pokoju gospodarza. A wtem słychać głos wielu nieznajomych, których gospodarz do tegoż pokoju prowadził. Zamykam się na klucz, szturmują do drzwi, szukają klucza, wzmaga się hałas w domu; gospodarz krzyczy, łaje, posyła po kowala, żeby wnet odbijać zamek. Ale na szczęście goście się rozjeżdżają. Gospodarz szedł kurytarzem sam jeden; pokazałem się mu, opowiedziałem moje przygody; on mi dalszą podróż ułatwił.

Pisałem w Dreźnie 1832 w kwietniu, w rocznicę mojej wędrówki.

S P I S   T R E Ś C I

str.

Przedmowa 5

TOM PIERWSZY

CZĘŚĆ PIERWSZA

POCZĄTEK PODRÓŻY MOICH Z ZAPOLA PO ŚWIECIE (1831—1832)

Ostrzeżenie 43

I. Wyjazd z domu 45

II. Żołnierka 59

III. Przejście do Prus 77

IV. Prusy — Niemcy 84

V. Drezno 95

CZĘŚĆ DRUGA

FRANCJA. — PARYŻ. — EMIGRACYJNE ŻYCIE AŻ DO WYJAZDU DO AMERYKI (OD 12 LIPCA 1832 AŻ DO 2 LUTEGO 1838)

I. Strasburg 103

II. Paryż. Notatki moje paryskie 113

III. Emigracja i emigranci w Paryżu 142

IV. Dalsze wyjątki z mojego dziennika w Paryżu 170

V. Cokolwiek o uczonych, na których kursa uczęszczałem w Paryżu 1832—1833 190

VI. Resztki moich notat paryskich 199

DODATEK

Pierwsze dni kwietnia 1831 r. w Litwie 225

Spis ilustracji 255